



Format Literacki

NR 6 (2022)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892





Format Literacki

NR 6 (2022)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892

W numerze dominujący temat: Dolnośląskie konstelacje artystyczne (I)

Format Literacki

Wydawcy:

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział we Wrocławiu

Prezes: prof. Waldemar Okoń

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu | Instytucja Kultury Samorządu Województwa
Dolnośląskiego

Dyrektor: Igor Wójcik | Rynek-Ratusz 24, 50-101 Wrocław

www.okis.pl, sekretariat@okis.pl

Redakcja:

Redaktor naczelny

Waldemar Okoń

e-mail: waldemar.okon@wp.pl

Z-ca red. naczelnego

Andrzej Saj

e-mail: aasaj@interia.pl

Sekretarz redakcji

Robert Gawłowski

e-mail: adr@post.pl

Urszula M. Benka

e-mail: urszula.m.benka2@wp.pl

Krzysztof Rudowski

e-mail: krzysztofrudowski@op.pl

Stali współpracownicy:

Magdalena Barbaruk, Monika Braun, Bogusław Jasiński, Janusz Jaroszewski, Gabriel L. Kamiński,

Stanisław Karolewski, Leszek Koczanowicz, Andrzej Kostołowski, Zbigniew Kresowaty,

Roger Piaskowski, Marek Śnieciński, Henryk Waniek, Igor Wójcik, Tadeusz Złotorzycki.

Opracowanie graficzne: Artpunkt-eu

Okładka (przód): Zbigniew Kresowaty, *Portret Janusz Styczeń*, rysunek

Okładka (tył): Jan Sawka, *W rytmie słońca*, Teatr Kalambur, 1970, plakat,

rysunek tuszem, kolorowany (czyt. s. 184)

Korekta: Monika Wójtowicz

Druk: Jaks

Nakład: 400 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi

i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa Dolnośląskiego

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie pod patronatem:

Urzędu Miasta Wrocławia,

Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu,

Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego

Kwartalnik bezpłatny

Wrocław miasto spotkań


OŚRODEK KULTURY I SZTUKI
WE WROCŁAWIU

 **DOLNY
ŚLĄSK**
INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO

 **DOLNY
ŚLĄSK**
www.umwd.pl

Spis treści numeru 6

- Waldemar Okoń** Wstęp – „Format Literacki” nr 6 — **4**
- Janusz Styczeń** Między zwierciadłem a drzwiami — **6**
- Zbigniew Kresowaty** Melancholia surrealistyczna
(Na odejście poety Janusza Stycznia) — **8**
- Bogusław Michnik** Wiersze — **14**
- Henryk Waniek** O Fostowiczu mógłbym więcej — **20**
- Robert Gawłowski** Pan Marek — **28**
- Waldemar Okoń** Jestem jak echo. Rok 1983 (fragmenty) — **30**
- Krzysztof Rudowski** Konstelacje *wybrane fragmenty* — **48**
- Katarzyna Aksamit** Wszystkie drogi prowadzą do Wrocławia — **62**
- Mirka Szychowiak** Wiersze — **66**
- Monika Braun** Patrzac ku górze — **72**
- Karol Maliszewski** „Ogma”. Kolaż tekstów i wspomnień — **82**
- Rafał Różewicz** *Land* — **92**
- Justyna Paluch** Wiersze — **100**
- Gabriel Leonard Kamiński** Zakopany — **104**
- Roger Piaskowski** W Stronę Schwo — **110**
- Krzysztof Chara** Wiersze — **130**
- Leszek Żuk** Kawa czy herbata? — **134**
- Urszula M. Benka** Bunt mistyki — **156**
- Bogusław Jasiński** Po śladach — **170**
- Bogusław Klimsa** Ballada o pierwszym wydrukowanym plakacie Janka Sawki — **184**
- Barbara Łuszczynska** Hedonista kreatywny
(albo „laboratorium” życia Andrzeja Paluchiewicza) — **190**
- Andrzej Saj** „Wehikuł pamięci” – o fotografii Andrzeja Paluchiewicza — **198**
- Andrzej Kostołowski** Przybysze i żarty w sztuce Wrocławia (cz. I)
(z cyklu ROJE UWAG) — **202**
- Leszek Mularski** Wiersze — **206**
- Krzysztof Rudowski** Mariás, Mariás; Mariás! — **210**
- Bogdan Koca** Caron Poivr — **214**
- Barbara Sola** Staw — **226**
- Kamil Bryka** Między panem, wójtem, plebanem i Barbarellą,
czyli „Myśmy wszystko zapomnieli” — **228**
- Roger Piaskowski** Czterysta Dziewięćdziesiąt Dwa
(O „Dniwniku” Waldemara Okonia) — **234**
- Tadej Karabowicz** Przekorna cielesność trwania — **244**
- Marian Lech Bednarek** Księżyc się pokłócił z jajkiem — **250**
- Zbigniew Kresowaty** Nagroda Literacka GNOMA im. Marianny Bocian — **252**
- Urszula M. Benka** Kronika — **253**

Wstęp – „Format Literacki” nr 6

Jeden z tekstów zamieszczonych w najnowszym „Formacie Literackim” to fragmenty książki Krzysztofa Rudowskiego zatytułowanej „Konstelacje”. Słowo „konstelacja” oznacza gwiazdozbiór, ale też układ, konfigurację, stan rzeczy, a jego rozliczne znaczenia współgrają z zawartością naszego pisma, które tym razem poświęcone jest konfiguracji zdarzeń i ludzi zajmujących się sztuką we Wrocławiu i na obszarze całego Dolnego Śląska, którego dzieje są ściśle związane z dziejącą się tu nieustannie historią zanurzoną w epokach i zdarzeniach minionych, jednak nadal mających swój niezaprzeczalny wpływ na współczesność. Nie jest to jednak kolejna odsłona badań regionalistycznych, lecz raczej artystyczny głos w dyskusji nad wpływem na sztukę tego, co Hipolit Taine określał mianem „milieu” i co nigdy nie było li tylko realistycznym odzwierciedleniem miejsca, w którym ta sztuka powstawała. Konstelacji tekstów towarzyszy bowiem w „Formacie” konstelacja autorów, dla których ich małe i większe ojczyzny są jedynie pretekstem, aby móc zbudować ponad nimi mosty prowadzące nas często w nieznane obszary, gdzie twórczość poetów, pisarzy i twórców parających się sztukami plastycznymi staje się próbą rozpoznania owego „nieznanego”, tak aby przeszłość nie zaginęła w ludzkiej niepamięci, a teraźniejszość stała się dzięki tym działaniom bardziej bogata i nośna artystycznie. Według Krzysztofa Pomiana „Na poziomie świadomych zachowań są dwie naczelne postawy wobec przeszłości: pamięć i historia. Pamięć to utożsamienie się z przeszłością. Dla osoby, która wspomina przeszłość, którą wspomina – to jej przeszłość. I odwrotnie, jeżeli ktoś utożsamia się z postaciami z przeszłości albo czuje się uczestnikiem minionych zdarzeń, można stwierdzić, że jedno i drugie są dla niej lub dla niego przedmiotem pamięci. Historia przeciwnie, zakłada dystans wobec przeszłości, traktowanie jej jako przedmiotu zewnętrznego, a nie części samego siebie”¹. Wydaje się, że Krzysztof Pomian nazbyt ostro rozgraniczył obie te sfery, jednak nie miejsce tu na polemikę z wybitnym historykiem sztuki, raczej chodzi w tym momencie o wskazanie na niezwykle bogate interpretacyjnie obszary, jakie mieści w sobie przetworzona i utrwalona poprzez sztukę, bliska historii

1 K. Pomian, *Historia, pamięć, polityka* [w:] *Pamięć. Rejestry i terytoria*, Kraków 2013, s. 22.

„sztuka pamięci”, tak obficie obecna i prezentowana w naszym kwartalniku. „Credo”, „Apokalipsę” oraz „Imię” – wiodące tematy poprzednich numerów, zastąpiła związana z naszym regionem opowieść o konstelacjach, które działały się tu przed laty, oraz o bieżących wydarzeniach artystycznych odzwierciedlonych w poezji, prozie i eseistyce. W eseju Zbigniewa Kresowatego poświęconym poezji Janusza Stycznia czytamy bowiem, iż przypomina ona „wciąż czynną studnię z echem, żeby ją odkryć i zajrzeć w dno, trzeba odsunąć krążek księżyca i przebić się przez mroki oraz wejść w mistykę ludzkiego DNA”. Słowa te powinny nam towarzyszyć podczas lektury wszystkich tekstów zamieszczonych w naszym kwartalniku, bowiem zawsze kontaktując się ze sztuką, winniśmy dokonywać owego „odsuwania krążka księżyca” po to, aby dotrzeć do istoty zawartego w niej wewnętrznego światła, które być może jest odbiciem często zapomnianej i postponowanej obecnie „mystyki ludzkiego DNA”.



Jan Sawka, rysunek ilustrujący folder reklamowy agencji estradowej P.P.I.A. IMPART
ul. Włodkowica 5, 1971 (czyt. s. 184)

Między zwierciadłem a drzwiami

zobaczył w zwierciadle swoją przyszłość,
otworzyły się drzwi pokoju,
widział, jak otwierają się drzwi w zwierciadle,
ze zwierciadła wychodziła ku niemu kobieta,
szła cicho, uważając, by jej nie usłyszał,
wychodziła jakby z jego serca,
jego serce było wielkie jak zwierciadło,
patrzył w zwierciadlaną głębię swojego serca,
doznał zawrotu głowy,
musiał oczy zamknąć,
ale to kobieta położyła mu dłonie na oczach,
stała za nim z tyłu,
jak sama przyszłość,
jak sam czas,
zakrywała mu otwarte serce,
zasłaniała zwierciadło,
było już niepotrzebne, zdołała z niego
wynurzyć się
i cały świat wynurzała na nowo,
zdejęła mu dłonie z oczu,
zobaczył, że on sam już nie boi się swojego serca
kobieta stała przed nim całkowicie wynurzona
ze wszystkich głębi,
ze wszystkich tajemnic jego serca scalona,
patrzył na nią jak w zwierciadło,
jak w swoje serce,
teraz dopełnione wiecznością,
w uchylonych drzwiach pokoju stanęli domownicy
i cicho odeszli jak aniołowie



Jan Sawka, plakat wrocławskiej grupy jazzowej SAMI SWOI, 1970, kolorowany linoryt (czyt. s. 184)

Melancholia surrealistyczna

(Na odejście poety Janusza Stycznia)

Janusz Styczeń zmarł 2 kwietnia 2022 roku w godzinach porannych.

To postać nietuzinkowa, postać tajemnicza, a jego poetycka droga to jakby wielka odyseja i teatr *Melancholii symboli*. Taki tytuł nosi jeden z jego tomów poetyckich i do tego zbioru wierszy chciałbym się odwoływać w chwili jego odejścia za horyzonty mroków...¹

Debiutował opowiadaniem pt. *Requiem dla nieśmiałego*, które ukazało się w 1960 roku na łamach „Odry”, a kilka miesięcy później, w tym samym czasopiśmie, ogłosił drukiem wiersz *Niewymierność*. Na przełomie lat 60. i 70. XX w. należał do grupy literackiej Ugrupowanie 66 i przyjaźnił się z Rafałem Wojackim. Jego poezję uznano za modelowy – odznaczający się zintelektualizowanym rygoryzmem i obecnością egzystencjalnej metafizyki – przykład literatury Ugrupowania 66. Wydał ponad 25 tomów poetyckich oraz wiele dramatów. Publikował w wielu czasopismach literackich, jego poezja tłumaczona była na kilkanaście języków obcych. W 2012 roku tom *Furia instynktu* został nominowany do Nagrody Literackiej „Nike” oraz znalazł się w finale Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego – „Orfeusz”.

Poezja Janusza Stycznia nigdy się nie zestarzeje. Jest wciąż aktualna, jest teatrem bywania przeróżnych postaci w miejscach tajemnych. To swoisty cykl patrzenia niezależnego, odrębnego i przechodzącego w perspektywę zakłęcia tajemnej całej sfery marzeń i jej wersyfikacji na wskroś spojrzeniu, które jeszcze przed minutami było jakąś dotykálną fizycznością, a już nią nie jest... Jest swoistą grą postaci...

Niestychanie inspirująca jest poetyka Janusza Stycznia jako wciąż czynnej studni z echem, żeby ją odkryć i zajrzeć w dno, trzeba odsunąć krążek księżyca i przebić się przez mroki oraz wejść w mistykę ludzkiego DNA. Zawsze z ogromną

¹ Janusz Styczeń, *Melancholia symboli*, Biblioteka Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, seria 11, 2, Wrocław – Trzebnica 2003.

przyjemnością sięgam do jego znakomitych tomów wierszy – obrazów, w których czuję: pieśń, zapach werniksu i pobyt kobiety, czasem głód seksu i szept erotyczny wydobywający się zmysłowo z jakiegoś tajemnego pulsującego labiryntu. Okrzyknięty kiedyś (za czasów Wojackowych) „poetą mroku” Styczeń na zawsze pozostał poetą mroku, ale też poetą symboli, władcą księżycy i lustra. Gdy wczytać się w dalsze ciągi jego tekstów – widzi się ciągle rozbudzoną erozję, zwłaszcza u ukrytej osoby „trzeciej”, która zostaje wciągana w wir bezczasu, w teatr z czasu jedyny... Sięgam do wierszy poety równie z ogromną melancholią, gdyż wiem, że ów świat porwie mnie także w niecodziennosc... poza horyzonty, na białym Jednorożcu, tym bardziej że ten dzisiejszy świat chorujący na fizykę płaskich zwyczajnych spraw, ale kłótliwych w wyrażaniu poetyckich wektorów, często jest wyzbyty romantyki, pnący się w kierunku konceptualizmu pieniądza i narkobiznesu, przez co staje się złudno-banalny, obcy marzeniom, nie wspominając już o stanie i czasie wojny... Sięgam akurat dziś do tego wydania *Melancholii symboli*, bo sam potrzebuję innej melancholii, żeby nasycić się krwistym kolorem róż, wracając w pustkę czasów z bukietem róż, choć to czas jakby bez Sztuki i bez kryteriów jej oceny...

Janusz Styczeń to inscenizator scen niebanalnych, inscenizator atmosfery z zapleczem bezwiednym, tajemnym, z oczekiwaniem na erotyczny fakt, który nastanie. Wiedzie nas zawsze ku surrealistycznym obrazom ożywionej, ale



Autor tekstu z Januszem Stycznem na uroczystości urodzinowej, 2010, fot. z arch. domowego Zbigniewa Kresowatego, wyk. Grażka Kresowaty

tajemniczej symboliki, czasem sięgającej mitu i filozofii kontemplacji malarstwa, które zawsze odgrywało u niego wielką rolę inspiracyjną. Jak pamiętam z naszych kontaktów, Janusz kupował lub przeglądał albumy znanych i mniej znanych malarzy, poszukiwał w malarstwie, chodził do Empiku, ale i bywał na wystawach malarstwa. Kiedyś przyszedł nawet do BWA „Awangarda” (1994, Wrocław) na moją wystawę połączoną z prezentacją mej poezji, którą interpretował śp. Andrzej Wojaczek (brat Rafała).

Poetyka Janusza jest na pewno jedyna w swoim rodzaju. Wyraźnie odróżnia się od głosów poetów, którzy oscylowali wokół estetyki surrealistycznej, ale nigdy nie stworzyli utworów podobnych do tekstów Janusza Stycznia. Czasem wzorowali się i inspirowali poezją poety kochającego artystów malarzy, głównie tych, którzy budują zaplecze metafizyczną wyobraźnią, gdzie zaglądać potrafił tylko Styczeń... To, na przykład, Caspar David Friedrich – kto wie, czy nie od pokochania tego artysty wziął się dalszy ciąg kolejnych aktów poetyckich Janusza. Jeden ze swoich tomów poetyckich nazwał tytułem obrazu tego znakomitego malarza, czcząc go jako swego mistrza. Mam na myśli wiersz: *Mężczyzna i kobieta kontemplujący księżyc*. Tu poeta oznajmia, że pokonując zasłone i drogę oraz jej mrok, który snuje się w tle obrazu, jest mu bliżej do humanizmu, choćby przez samo patrzenie na słońce, które zawsze oślepia. Wracając do malarstwa Friedricha, którego Janusz tak bardzo ukochał, wracając do dzieł artysty niezwykłego, który maluje postaci od tyłu, nie pokazując ich twarzy (nawet Styczniowi), on sam jako medium musi przejść na drugą stronę obrazu, żeby nam opowiedzieć: co widział, patrząc jakby z „przodu”... Artysta malarz Friedrich, jakby osobowość równie surrealistycznie ukryta: kobieton i mag (?) – medium wyobraźni plastycznej, tworzy tajemnice w urokliwości Janusza: semantyczne zdarzenia, czasem senne i jakby cichy kot skrada się zmysłem widza, żeby milczeniem odegrać „teatr zmysłu”, poza samym czasem fizycznym. Styczeń bardzo interesował się także malarstwem Tycjana!... z jego Wenus – kobietą leżącą na łożu... na pierwszym planie, której twarz jest, ale jakby nie jest ważna. Ważna jest tutaj przestrzeń i czar posłania, gdzie zaraz przybędzie kochanek... Ma poeta do czynienia z obrazem odwróconym, dziejącym się dalej w oczekiwaniu? Ta Wenus, na pierwszym planie, blado wychylona z nocy, z mroku, gotowa zawsze dla kochanka – pójdzie z każdym? Ona trwa na tle dalszych widzeń, czyli: swych innych postaci kobiet, z których jedna pakuje kufer lub wyjmuje dla Wenus odzienie... Artysta widzi tu Wenus w trzech osobach. Poeta słyszy rozmowę kobiet przy kufrze, widzi „świadomość czuwającą” jak pies i wie, że ta Wenus szuka innego stroju, innego, lepszego wcielenia nagości... Właśnie w tomie

Melancholia symboli jest dużo o Wenus jako dziewczyny... „szukającej fontanny” prawdziwego wykwitu kobiecego, który może tylko zdarzyć się raz.

...dziewczyna idzie przez ogród,
ona lubi bardziej ogród niż świat,
ona lubi patrzeć i słuchać,
jak Czas szeleści usychając i się rodząc,
dziewczyna rozrzuca opadłe liście,
jakby chciała rozrzucić opadły Czas i jego szczątki
poderwać do dnia...

Poeta poszukuje zmysłami, przez obraz nagiej (?) kobiety, która ma w sobie beczczas... Poeta wie, że kobieta czeka na coś więcej; na prawdziwego mężczyznę, na jego zapach, poeta wie, że jest sam tym zapachem, szuka ogrodu... ale właśnie on jest tym ogrodem i sensem natury... Poezja estetyki erotycznej, niespotykanej, wprost promieniuje w wierszach Janusza Stycznia... Poeta od dawna, jak tylko sięgnąć wstecz, odbiera sobie nieustannie swoje drugie JA z obrazu artysty malarza (?) – jakby wcześniej uknutego i zamierzonego ja... Próbuje złożyć rozrzucone szczątki prawdziwego marzenia, drzemiącego jeszcze w nas, i podać nam treść tej niecodziennej, jedynej erotyki. Ustawia, jak się wydaje, zmysłom naszym scenę zbyt małą na tak wielkie opowiadania, ustawia jakby tych dwóch aktorów, wprowadzając i siebie do tego trójkąta. Czytając poezje Janusza – twórcy surrealistycznego, tak naprawdę rodzimy się ponownie innymi: w labiryntach... mitycznych, w ruinach sennych cieni, w filozofiach starożytnych (?) i wychodzimy jakby z oceanu po zniweczeniu Meduzy... Czuje się, że Styczeń liczy na wyobraźnię odbiorcy i zaprasza go nieustannie do obcowania ze swoją osobną mitologią, a sam reżyseruje nastrój, wydłuża pojęcie erotyki kobieto-mężczyzny, układa znaki rąk, ust i muśnięcia poręczy albo zawiesza księżyc nad Makbetem, na którego „czekają łodzie potopionych gdzieś na dnie Oceanu” (ale to fragment mojego wiersza, zainspirowanego poetyką Stycznia), bowiem Janusz wielokrotnie zbliżał się także do Szekspira. Trzeba powiedzieć, że te poematy surrealistycznie otwierane na oścież, toczą się gdzieś blisko klasyki teatralnej, jakby w zawieszonym gdzieś ponad kontekstem śmierci, ale śmierci takiej, która ożywa... „życiem po życiu”... To ciągłe niespokojne poszukiwanie miejsca na obserwację i obecność, na uczestniczenie, na łaknienie, na bycie tym „trzecim okiem”, to perwersyjne podglądanie lupą Wielkiego Big Brothera scen i przeczuwanie chwili, w której może stać się COŚ bardziej atrakcyjniejszego niż to, co jest (?). Poeta wciela się w rolę bezosobową, ale czynnie we wszystkim

uczestniczy. Buduje trójkąty, gra nimi, zdradza i wiernie przelewa kolory, „idzie na trzeciego” pomiędzy usta a dłoń, choćby był nawet kamiennym jednorożcem. To gra czasem perfidna, ale brana z życia, które jest teatrem.

...pary tańczą dookoła jednorożca,
dookoła kamiennego marzenia,
on jest sercem ich tańca
ich serca w nim się odbijają,
jest dla nich czymś pewnym, wiecznym,
czymś, na co zawsze można liczyć...

Poeta nawet tutaj jest niezmordowany swoim życiem wielo-życiem, bo to przez wiele lat w nim światy tańczyły i grały jakiś bezkresny, intrygancki byt ponadczasowy. I on tańczy, a wystarcza mu: samo nagie marzenie kamienia, czyli milczenie. To te postaci mówią Jego ustami. Janusz Styczeń nie odszedł i nie odejdzie do końca, jest w swoich wierszach, jest takim romantykiem zawadiaką (?), gdyż na – z pozoru czystej i martwo widzialnej – scenie tworzy osobny ruch, nastrój, szal kobiety i iluminuje według siebie marzenia. Styczeń umie przedłużyć chwilę rozkoszy, całuje swoje postaci nieskończenie – odprowadza, w zatoce marzenia, białego konia biegnącego brzegiem... Jego poetyka nie spieszy się do orgazmu – czeka na moment, chce wytrzymać jak najdłużej w rozkoszy trwania, wyczekuje w szale zmysłowym, jakby pragnął jeszcze większego uniesienia... Umie także „ustawić” relację śmierci i życia i nadać jej wielowymiarowość. Często sekunda jest tutaj rozkoszną wiecznością.

...zostały po nim skrzypce,
ona dotyka skrzypiec,
jakby to jego dusza zostawiła
takie swoje wyobrażenie,
taki symbol wcielony w konkretny podmiot,
taka szkatułkę, w której zamknięta jest
duszy emanacja...

Ta fascynacja kształtem duszy, a raczej poszukiwaniem jej kształtu, jakby GDZIEŚ istniejącej i wymodelowanej, włożonej w człowieka. Ta delikatność linii i liryki bywa podskórną, lamentującą, ale radosną (?), w morzach snu, w ognistych włosach. Dzieje się ponad dzisiejszą sferą pojmowania, jest ponad zmysłowością zabieganego człowieka, który bywa przecież piękny, a jego życie jest znikającym cudem. Ta jedyna nieskończoność, która opowiada siebie w poecie,

odrasta, ciągnie jak grzeszna Chimera, unosi się i łzawi zadziwiona sobą, cała sobą żyje, jak po śmierci kochanka u Pazyfae...

Poeta wchodzi w całą marę śmierci... w jej traumę i nadaje jej kształt „nietru-mienny”... To mrok jest tym, z czego można coś wydobyć... uratować (?), dotknąć, sparzyć się.

...szepce umarłej, że ją wciąż kocha,
całe stopy ma otulone tym szeptem,
szept przenika we włosy umarłej, w jej duszę,
kobieta czuje to przenikanie,
jest to dreszcz rozkoszy...

Nawet szept u poety ma zapach (czuć go rozkoszą), trwa najmocniej po odejściu – oddaleniu, gdy wychodzi on z cmentarza. Nikt bardziej jak tylko poeta zawraca mroki człowiekowi, jest w ciągłym przebudzaniu, jest zawsze pod narkotykiem zapachu kobiety, ona żyje na jego krwi, pasie swą cielesność jak mara pośmiertna... W wierszu *pomnik nagrobny* powie: *dwóch śmierci trzeba, by śmierć pokochać* – piękne i intryganckie! – i zamknięte, bo takie powiedzenie jest na wieczność, jakby się za moment miała skończyć sama poezja. Ale, jak znam/znałem Stycznia, nie poprzestanie/nie poprzestawał on nigdy na śmierci, na jej, co dziwne, zawsze nie przykrej traumie, ale żywej, jak odradzająca się – non stop – róża...

Wróćmy jeszcze do samej postaci poety.

Mówi on: *Wychowałem się na prozie Williama Faulknera i od niego uczyłem się, jak poskramiać grozę, umieszczając ją na uniwersalnym obszarze świata i czasu.* Jest zatem poeta postacią z twarzą niewiadomą dla czytelnika, który mało co o nim wie. Styczeń wpatruje się w fizyczność otoczenia, w podmiot kobieto-mężczyzny (nazwałem go kiedyś „kobietonem”). To ciało napawające grozą (?) – można tu zaryzykować dygresję: kto wie, co jeszcze może się stać z osobo-wością liryczną Janusza, czy może ona przejść do obłędu?, może z monstrum przejść w lirykę perwersyjną? A może dalej, ewaluować jak libido erotyki auten-tycznego poety już nieraz ukazane, może unieść się ponad radością bólu... Ale poezja Janusza Stycznia pożąda zawsze więcej, i więcej, pożąda całej wieczności – jest zaborcza i łapczywa, pragnie co rusz nowego... To zagłębienie w obszary zmysłowości niespokojnej i bardzo romantycznej, do obłędu i rozkoszy... Zatem Janusz Styczeń jeszcze nie pokazał swej twarzy, a już odszedł spotkać postaci swych wierszy... Poetyka Janusza Stycznia jest i pozostanie bardzo zapamiętana i długo jeszcze będziemy jej poszukiwać, i swych twarzy w nocach, w świetle księżyca, w obrazach Friedricha.

BOGUSŁAW MICHNIK

Urodziłem się...]

Urodziłem się gdy Ostsee
Przelało się w Bałtyk

Urodziłem się na brzegu

Na ruchomej wodzie
Osiadały bryzgi światła

Nadbrzeżna wydma
Przesypywała ziarna piachu
Niczym w odwróconej
Klepsydry ze szkła

Wsparta o ziemię mgła
Gubiła swój zimny połysk

Teraz przede mną
Uklęka noc

Siedzę na brzegu
Na krawędzi
Suchej kartki
Poranionej odłamkami słów

Nad ich przepaścią

VIII-XI 2019

*

* *

Wyszła rodzona mowa
Zmieniły się diakryty
Stare odpadły od słów

Droga nie zawróci
Do Ühlingen
Chełst do źródła
Drzewo do korzeni

Morze nie dobije
Do brzegu w Sudetach

Pozostanę w morzyszczu

Spojrzę za siebie
Ale nie zostanę dzieckiem

Wszystko będzie
Jak było Jak jest

26 XI 2020

Nad morzem w Ulinii

Pamięci cywilów z zatopionego statku MS Wilhelm Gustloff

Stoję na brzegu morza
Umarłych
Pod którymi otwarła się
Woda ciemna
Od wirów

Ostatniego stycznia
Ostatniej wojny
Poszli Kamień
W wodę skostniałą
Która zamknęła się
Za nimi przygnieciona
Czarnym lodowcem nocy

Postarzał się czas
Wiele słów zeszło
Z tego świata
I zatarła się geometria wody

Została cisza Solidna
Jak gotycki sarkofag
I tłumiona pamięć
(Verdrängte Erinnerung)

V 2019

Małe requiem. Notatka z Łeby

Moment niskich obłoków przed wzejściem księżyca

Doskonale nieruchomych na linii morza

Czesław Miłosz

Przezroczysty pejzaż
Na jasnym ciemny ton
Niczym z Poussina

Kwiaty powietrza
Zawieszone w przestrzeni
Ryte na jej szybach

I naraz ciemnia
Narosła znad wody
Pełna i dojrzała

Obrazy zmierzające
Do swojego zmierzchu
W pyle kosmosu

27 VII 2019

Kamień w Szczenurzy

Z tamtego czasu pozostała cisza
Chłodna cisza w miąższu nocy
W jej szarym osoczu
Milczenie na dnie ciemności
Która wyparła się światła

Za ruchomą linią horyzontu
Którą widać chociaż nie istnieje
Miejsca utracone Zetlałe Spełzłe
Starte ślady na pył i kurz
Okruchy minionego czasu
Który z wszystkiego
Wszystko próbuje odrzeć

Tylko kamień został na swoim miejscu
Z twardą do szpiku kością pamięci

4 II 2020

Śmierć. Jeszcze żyje

Śmierć jeszcze we mnie
Mieszka Jeszcze czuje się
Nieźle Trochę utyka
Gdy wychodzi na spacer
Do lasu Na łąkę Na brzeg
Rzeki która niesie światło
Patyki i śniętą rybę

Śpi dłużej i mocno
Nie dręczą jej sny
Okno ma na księżyc
Na słońce ma oko
Łapczywie patrzy wokół
Jakby napatrzeć się chciała
Na teraz i na zawsze

Gdy odchodzi to blisko
By wywieść w pole ciemne
Kogoś kogo kochałem
Z wygasłym sercem
Na skraj obcej rubieży
W słowa których nie zna
Żaden język świata

28 II 2021

O Fostowiczu mógłbym więcej

To mogło się zdarzyć któregoś z tych dni w końcu lat 70., w Kłodzkim Ośrodku Kultury, wtedy kipiącym od aktywności. Przewijało się tam najlepsze intelektualne i artystyczne towarzystwo krajowe i zagraniczne, choć głównie dolnośląskie. Wspaniałe to było miejsce, zasługa Bogusława Michnika, ówczesnego dyrektora Ośrodka. Właśnie w tamtejszym zgiełku duchowego bogactwa musiałem się przecież zetknąć z tym ascetycznie wyglądającym hipisem, który może wcale nim nie był, jakkolwiek na takiego wyglądał. Miał żywe spojrzenie i zwyczaj głośnego myślenia, co sprawiało, że czuło się jego otwartość. Przedstawiano go jako poetę, ale robił też inne rzeczy. Tak to mogło wyglądać na samym początku, którego jednak nie pamiętam zbyt szczegółowo.

Spotkaliśmy się, poznali i niebawem może nawet odwiedzali. W każdym razie w roku 1982 lub 1983 już dobrze znałem tę drogę do Międzygórza, pod sam jego dom, praktycznie nieprzejezdną. A jednak dojechaliśmy tam samochodem Jarka Markiewicza, który Michała Fostowicza już znał albo dopiero pragnął poznać. Wyjechaliśmy z Cieplic po obiedzie. Dotarliśmy na miejsce pod wieczór, który się przeciągnął do białego rana, bo Markiewicz miał dar wciągania ludzi w niekończące się rozmowy. A pod tym względem Michał był łatwą ofiarą. Właśnie coś takiego zdarzyło się w tę ciepłą, chyba lipcową noc, na łące, na zboczu Iglicznej czy też Czarnej Góry. Zresztą dużą część nocy zajęła nam obserwacja płonących ściernisk na przeciwległym zboczu Jaworka. Widok był jak z obrazów Boscha. Płonący świat.

Tamte odwiedziny u Alicji i Michała Fostowiczów pamiętam już dokładniej, nie mówiąc o niezliczonych późniejszych. Również kilka wizyt Michała u mnie w Warszawie. Także sporadyczne spotkania w Kłodzku czy Wrocławiu. Można powiedzieć, że wszystkie one były ciągle tą samą rozmową, przerywaną i podejmowaną na nowo. Nasze rozmowy i w ogóle dialog z Michałem poruszały się krętą drogą, bo on nie tyle mówił, co ustawicznie dociekał. A temu, co mówił, jakby z góry niedowierzał. Tak było na początku, zanim dopiero później zauważyłem, że jego myśli dryfują w kierunku pewników. Wspólna nam słabość do filozofii tao oraz buddyzmu – to był trop pierwszy naszego aliansu. Jeszcze innym były wiersze

Michała, nasycone jakby lękiem przed rzeczywistością taką, jaką jest. Elastycznie unikał jej twardych konturów, szukając nowych nazw dla rzeczy oczywistych. Wszystkiego dotykał opuszkami myśli, a i tak zdawał się wątpić w to, czego dotyka. Rozmowy z nim miały więc urok szczególny, bo niebanalny.

Tłumaczył teksty angielskie, posługując się zrazu raczkującą znajomością tego języka. Najpierw – jeśli dobrze pamiętam – był John Donne i w ogóle brytyjska metafizyka. Zdaje się, że zwracał też uwagę na Thomasa Stearnsa Eliota i Ezrę Pounda, ale z tej anglojęzycznej mgławicy coraz wyraźniej wyłaniał się William Blake, który ostatecznie stał się jego życiową obsesją. Zaczął więc również tłumaczyć Blake’a, a jego twórczość otulał wyczerpującymi komentarzami. Po latach powstał z tego zbiór przekładów – *Wieczna Ewangelia*, wydany w roku 1998. W tym samym roku, z inicjatywy Michała, odbyła się w Świdnicy konferencja pod hasłem *Realność świata wizji*. Z pewnym wzruszeniem oglądam teraz na YouTube, zrobione dla TVP Wrocław przez Agnieszkę Mazanek i Krzysztofa Landsberga, migawki z tamtego zdarzenia. Udało się Michałowi sprowadzić na tę konferencję intelektualną śmietankę: Wiesław Juszczak, Tadeusz Sławek, Jacek Gutorow, Jarosław Markiewicz, Olga Tokarczuk i wielu innych. Nie była to konferencja stricte naukowa, gdyż jej materiał utkany był z różnych impresji, intuicji, refleksji, a także z działań artystycznych – muzyki, plastyki, poezji. Wszak poza wszystkim Michał był samorodnym, ale zręcznym i pracowitym malarzem, do czego jeszcze powrócę.

Trzy majowe, pogodne, choć chłodne wieczory w Świdnicy były jego wielkim świętem. Przede wszystkim odbyła się promocja wspomnianej *Wiecznej ewangelii*, a na tle tej całej imprezy Fostowicz podjął się wyrażenia złożoności świata, jakim go postrzegał. Dosłyszał on mianowicie w przesłaniu angielskiego poety-rysownika egzystencjalną definicję, trudną, drastyczną i gorzko prawdziwą – że ludzka egzystencja finalnie jest katastrofą. Poniekąd było to odkrycie wtórne, poprzedzone podobną konkluzją, wyrażoną już przez Williama Butlera Yeatsa, pionierskiego „odkrywcę” Blake’a. Definicja ta rzucała cień na pozytywny i pragmatyczny mistycyzm taoizmu, a jeszcze bardziej buddyzmu, na który Yeats także zerknął z sympatią. Ta sprzeczność nie jest może aż tak wielkim paradoksem, jak mi się zrazu wydawało, choć umieszczenie Blake’a w takim kontekście było nieco bulwersujące. Bo jeśli nawet uznamy, że jego biografia jest obrazem pewnej katastrofy, to jednak większe znaczenie mają zasoby wiary Blake’a w samego siebie.

Blake, ten samotnik z wyboru, ustawiczny arogant, z domieszką wielkiej dumy, by nie powiedzieć megalomanii, żyjący pod prąd wszystkich ówczesnych energii, mód i kanonów, heroicznie zdeterminowany, uruchomił we mnie wszystkie potencjały krytycyzmu. Wielkość jego dzieła, zarówno poetyckiego jak i obrazowego,

nie jest przecież bezsporna, choć trudno ją podważyć, wzięwszy pod uwagę jego rosnącą popularność. Rosnącą dlaczego? To pytanie było zasadnicze dla naszej niekończącej się dysputy. Można by szukać odpowiedzi w legendzie rockowego zespołu The Doors, który poprzez Aldousa Huxleya (*Drzwi percepcji. Niebo i piekło*) automatycznie nawiązywał do Blake'a. Ale taki rockandrollowy wariant Blake'a był chyba dla Michała drugorzędny i nie dość głęboki. Więc odpowiedzi na to pytanie nie potrafiłem sobie udzielić, podczas gdy dla Michała rosnące znaczenie Blake'a było czymś oczywistym. Jak okazało się później, nie potrafił zaakceptować mojej niewrażliwości na doniosłość Blake'owskiego dzieła, tak jak ja nie umiałem zrozumieć tego, że Michał nie dostrzega uderzającej stylizacji w utworach – głównie malarskich, ale też poetyckich – Blake'a. O tych niedostatkach pisałem obszerniej w szkicu *Swedenborg–Blake–Yeats* (publikowanym w miesięczniku „Odra”), obawiając się, że moje uwagi rozeżłą Michała. Ale może liczyłem również na to, że otworzą mu oczy? Lecz nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. I dalej trwał między nami przewlekły spór, tyle że wolny od zaciętrzewień. Różnica zdań nie miała wpływu na naszą wzajemną sympatię, bo nad rozmowami z Michałem unosił się urok przygody. Miłym było spotkać się z nim. Zawsze doceniałem go we wszystkim, co mówił i czynił. A ostatecznie lubiłem to jego urzeczenie Blakiem, które brało się z duchowego pokrewieństwa, a nie z indoktrynacji. Podobnie jak on, za każdym razem odkrywał świat na nowo, dając pierwszeństwo wyobrażeniom przed rzeczywistością. To było bardzo interesujące, jakkolwiek Michał coraz silniej uzależniał się od Mistrza, który w moim przekonaniu był przede wszystkim mistrzem w dziedzinie zawziętości. Tak. Blake zawsze był pewny swego. Nawet wtedy (a może wtedy najbardziej), gdy w jego biografii podstawy ku temu kurczyły się i malały. Michał także był pewny swego, im trudniejsze i bardziej skomplikowane stawało się jego życie – na odludziu; w tym domu na końcu świata, obciążonym jakimś prawnym absurdem; w tej pracy dojazdowej pomiędzy Międzygórzem a Zieloną Górą; w zawikłaniach osobistych; w dokuczliwości spraw finansowych, a wreszcie zdrowotnych.

Wbrew temu wszystkiemu był uporczywy. Odporny. Konsekwentny. Wierny. Godne podziwu było jego zdecydowanie, by wynieść Blake'a na ołtarze. Z tej pracowitej determinacji powstał sążnisty esej, po wielu trudnościach pięknie wydany przez Słowo-Obraz-Terytoria w Gdańsku – *Boska analogia. William Blake a sztuka starożytności*. Nadzieją Michała było, że ten utwór stanie się podstawą do jego habilitacji w Polskiej Akademii Nauk. Ale na przeszkodzie stanęły wymogi formalne. Tłumaczył mi profesor Juszcak, na czym polega beznadziejność tej sprawy. Ale Michał miał nadzieję do końca. Wierzył, zamiast zmienić strategię dyskursu, co dałoby mu większe szanse.

Przypadło mi napisanie recenzji z tego opus magnum Michała do miesięcznika „Nowe Książki”. Termin do jej napisania był krótki, nie byłem w stanie przeczytać tego od deski do deski. Nie tylko z powodu grubości woluminu (przeszło 500 stron!), lecz głównie z racji myślowej gęstości wywodu. Co gorsza, czasami – jak to odczuwałem – autor ocierał się o granice komunikatywności i faktów. Zataczał się w stronę języka poetyckiego. Podobne odczucia wyrażał profesor Wiesław Juszczak, dodając, że wbrew najszczerzszym chęciom PAN nie akceptował formy eseju zamiast rozprawy. Moja recenzja była życzliwa, choć zestawienie Blake’a ze starożytnością i jej sztuką wydało mi się dość ryzykowne. Miał na to Michał swoje wyjaśnienie – że nie chodzi tu o samą sztukę antyku, co o starożytny modus kreacji, który Blake zamierzał wskrzesić. Lecz w wieku XVIII postrzeganie starożytności było – z dzisiejszego punktu widzenia – bardzo wyidealizowane, by nie rzec chybione. Można powiedzieć, że wprost dyletanckie. A u Blake’a – wręcz fantastyczne! Tymczasem we „wprowadzeniu” do *Boskiej analogii* pisze Fostowicz: „Blake może mógłby zostać postawiony – ze względu na pojemność swojej wizji – obok takich postaci jak Platon, Konfucjusz czy Jacob Böhme...” i to określa skalę jego fascynacji. Ale kto zna Platona, Konfucjusza, Jacoba Böhme i Williama Blake’a, ten wie, że jednak nie mógłby.

Niemniej recenzja była pochlebna, choć nie przeoczyłem faktu, że autora ponosi grandilokwencja, trochę lekceważąca możliwości percepcyjne czytelnika. W szczególnym sensie tego słowa można by rzec, że retoryka Michała stała się „hermetyczna”. Ale Blake’owski idiom dopuszczał przecież wszelką swobodę, byle się mieściła w granicach jego arbitralnej kosmologii. Michał zapuścił się w nią tak głęboko, że wręcz nie nadążałem za jej sensem. Miał do tego prawo, bo Blake’a uwielbiał, podczas gdy ja ani trochę. Zresztą wtedy nasze kontakty były już rzadkie. W latach 90. poruszaliśmy się po innych orbitach. Pewnego późnojesiennego popołudnia spotkaliśmy się na dworcu wrocławskim i przez całe dwie godziny wspólnej jazdy uzupełnialiśmy braki w tym, co wiemy o sobie. Listopadowa ciemność huczała za oknami pociągu Wrocław–Międzyzlesie. W rozmowie dominowały problemy prywatne. Wracał właśnie do domu z wykładów w Zielonej Górze. Już wtedy chorował, był zmuszony używać cewnika i w takiej to kondycji dzielnie znosił swe bytowanie. Ciągłe planował swą habilitację, uzasadniając ją jako konieczność w staraniach o wyższą emeryturę. Wsłuchując się w jego słowa, jak zawsze pełne uwielbienia dla Blake’a, postulującego supremację wyobraźni nad prozą myślenia, pomyślałem, że jako wykładowca Michał jest pewnie atrakcyjny dla akademickiej młodzieży, dręczonej dogmatami uniwersyteckiej poprawności. Jego werbalizm potrafił być uwodzicielski. Z upływem lat nabierał nawet czegoś w rodzaju intelektualnej ekwilibrystyki i megaerudycji. Uświadomiłem

to sobie jeszcze na długo przed publikacją *Boskiej analogii* (2008), w której to odezwało się w pełni, bo w roku 2005, czy to z inicjatywy redaktora naczelnego Wydawnictwa Dolnośląskiego Jana Stolarczyka, czy prezesa wrocławskiego SPP Bogdana Kosa, a może mojej własnej, Michał podjął się wygłoszenia referatu, który miał być laudacją. Temat stanowiła moja książka, wydana niewiele wcześniej w Wydawnictwie Dolnośląskim. Ale Michał uchylił się od tego, wprowadzając swój własny temat. Trudno mi nawet powiedzieć jaki. Coś mi tylko podszeptuje, że mógł to być szkic, opublikowany dwa lata później w piśmie „Rita Baum” (*Obraz i narracja. Buty van Gogha*), gdzie między innymi można przeczytać: „Język odnosi się wyłącznie do siebie – filozofia jest rodzajem elokwencji (dyskursem)”. Możliwe jednak, że było to coś jeszcze innego, z moją książką wszakże niemające nic wspólnego. Po tym zagadkowym zdarzeniu został w moim dzienniku następujący zapis:

24.02.czwartek. „...O 18:00 spotkanie w Domku Romańskim. Przemawia Michał Fostowicz, to znaczy odczytuje swój esej, niezwykle długi i bardzo (bardziej niż to się zdarza w jego refleksjach i monologach) hermetyczny. Szczerze mówiąc, miałem ogromne trudności ze zrozumieniem tego, co mówił, i potem czułem się w obowiązku prostować różne napuszone uogólnienia. Ale też obecni jakby czuli się speszzeni jego wysokim lotem. Urszula Benka wyszła przed końcem, pod pretekstem jakiegoś problemu dentystycznego.

Michał przybył tam w asyście kogoś z redakcji pisma RITA BAUM, była to jakaś dziewczyna i rozmawiałem z nimi później. Zachęcali mnie do współpracy z nimi. Dostałem najnowszy egzemplarz tego pisma, chyba pierwszy raz trzymałem je w ręce. Ale nie powiem, by mnie coś zachęcało. Nie bardzo rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Mam wrażenie, że jest to jakaś intelektualna sekta, czyli coś, za czym nie przepadam”.

Na podstawie tej notatki domyślam się, że już wtedy (2005) Michał funkcjonował w kręgu „Rita Baum” na prawach mentora, bo później zapraszał mnie na łamy tego pisma wielokrotnie. Ale cóż bym ja, który nigdy nie przeczytał żadnego z koronnych dzieł Deridy ani Heideggera, miał do zaproponowania tak górnołotnej instancji? Wszak abstrakcyjność mojego myślenia kończy się na płytkim poziomie zdrowego rozsądku, bo jestem po stronie osobistej empirii. Jak wspomniałem, krążyliśmy wtedy po różnych orbitach, tylko czasami się zbliżających. Rzadko. Coraz rzadziej. Byliśmy sobie bliscy, mam nadzieję, ale na rosnącą odległość. Raz jeszcze sięgam do notatek, w których znajduję wyraz tego dystansu, który ciążył nad naszymi punktami widzenia. Jest to raport z ostatniego naszego spotkania.

Rok 2010

„10 stycznia 2010. Dziś około godziny 13. dotarliśmy z Tereską niejakim cudem przez śnieżne zatory do chatki na końcu świata, czyli u podnóża nieba. Międzygórze

(recte Wölfelsgrund – wilczy teren). Najpierw spotkanie z Alicją, której przekazaliśmy rozmaite dobra użyteczne przy dietach wzmacniających. Ona i Michał byli właśnie po wczorajszej i równie niełatwej wyprawie samochodem terenowym do Wrocławia, gdzie czcigodnemu pacjentowi wykonano tomografię, ale jej wynik będzie do odebrania w terminie późniejszym (poniedziałek), gdyż ze względu na warunki drogowe zaraz po badaniu musieli ruszyć w drogę powrotną. Alicja. Kto zna tę dziewczynę, jej emocjonalność i ekspresję, dzielność i odporność, nie da się zwieść przez pozory. Czekają na nas wypieki, herbata i kawa oraz obszernie informacje na temat minionych i obecnych problemów związanych z chorobą Michała. Ponieważ nie jestem lekarzem, muszę to streścić słowami szarego cywila: komplikacje nerkowo-moczowe mogące być przyczyną (lub skutkiem) zdiagnozowanego raka prostaty, którego operacja wyznaczona została prowizorycznie na marzec. Jakieżś, nie całkiem rozpoznane, zaburzenia o charakterze reumatycznym, ograniczające sprawność ruchową Michała, połączone ze stanami gorączkowymi, które są leczone kuracją antybiotykową. Poza tym Michał otrzymuje środki przeciwbólowe, ostatnio mniej radykalne, i przestrzegana jest dieta wzmacniająco-odkwaszająca organizm, według popularnej metody medycyny alternatywnej, chyba nieszkodliwej. Dodać należy, że Alicja, która jest główną pielęgniarką na tym (również lekarskim) odludziu, sama ma problemy zdrowotne – przepuklina, której leczenie operacyjne trzeba odłożyć na później, jako że jest osobą niezastąpioną. Na wiadomość, że krąg znajomych i przyjaciół Michała trwa w gotowości pomocy (również finansowej), Alicja reaguje z wdzięcznością, choć utrzymuje, że w zasadzie są samowystarczalni. Że tak nie jest całkowicie, wskazują pewne treści „między wierszami” na temat cen leków, kosztów terapii, wymogów codziennego bytowania. Odnieśliśmy więc wrażenie, że dane w delikatnej formie wsparcie finansowe może być pomocne. Innym problemem są jednak trudy wynikające z miejsca, w jakim mieszkają, kwestii zaopatrzenia w Międzygórzu i w chwili obecnej – zima! – najbardziej logistyka prozaicznych codziennych potrzeb. Alicja jednak podkreśla, że ze strony lokalnej społeczności, zaprzyjaźnionych leśników czy jej dawnych uczniów spotykają ich akty solidarności, pomocy i współczucia. Michał. W swej wieży, siedzący w fotelu (szlafrok), sprawia wrażenie osoby chorej, ale w stopniu znacznie mniejszym, niż się nastawiałem po porcjach ostatnich wiadomości z drugiej i trzeciej ręki. Nie będę streszczał naszej żywej rozmowy na tematy fachowe: literatura, wydawcy, lektury etc. Stan ducha Michała określe jako zwykły, żywy i sprawny. Można by sądzić, że nic mu nie dolega, choć wtrąca, że przez ostatni czas z powodu permanentnej gorączki (38-39°) nie jest w stanie pisać i czytać, czyli praktycznie – nie pracuje, jakkolwiek ma taki zamiar. Tu dodam, że od czasu konsultacji z urologiem zmuszony jest używać cewnika (z którym w ubiegłym roku jeździł jeszcze na zajęcia do Zielonej

Góry – horrendalne!), co oczywiście ogranicza jego swobodę. Jakkolwiek wczoraj (z powodu wyjazdu do Wrocławia) zszedł samodzielnie ze swych karkołomnych schodów, a dzisiaj wstał dwukrotnie z fotela i przeszedł przez pokój, by sięgnąć po coś albo pokazać, na ogół jest jednak zbyt słaby, by się poruszać. Myślę, że wiadomość o tym, iż krąg znajomych i przyjaciół pamięta o nim i żywo reaguje na jego zdrowotny kryzys, przyjął ze skromnym zadowoleniem, a kwestię pomocy finansowej ze zrozumiałym wahaniem i zakłopotaniem, co – jak mi się wydaje – dał sobie wyperswadować, jako fakt czysto przyjacielski i w najlepszym sensie humanitarny. Myślę, że rozstaliśmy się w nastroju nadziei (szczerej) i prywatnie jestem, zważywszy na temperaturę i rzeczowość naszej rozmowy, a także jego reagowania i „zwykłości”, optymistycznie nastawiony. Bądźmy więc dobrej myśli i pozostajmy (uwagam to za równie ważne jak inne formy pomocy) w kontakcie z Michałem, aby nie czuł się przez swoją chorobę wykluczony. Zważywszy odległości i warunki pogodowe tej pory roku, nie akcentuję bezpośrednich wizyt, ale adres e-mailowy Michała zdaje się być dobrym środkiem wspomagania duchowego: <m.fostowicz@gmail.com>”.

I jeszcze na sam koniec, zgodnie z obietnicą, zostawiłem kwestię malarskiej twórczości Michała. Ponieważ w przeszłości aż dwukrotnie pisałem eseje do katalogów jego wystaw, nie chcę powtarzać dawnych sformułowań. Szczęśliwie składa się jednak, że w mojej poczcie elektronicznej zachował się list naszego wspólnego znajomego. Nie ujawniam tu jego nazwiska, nie jestem pewny, czy tego by sobie życzył. Dodam tylko, że incipit „Szanowny Panie Henryku” jest raczej żartem lub stylizacją na oficjalność komunikatu, bo w istocie od dawna byliśmy i pozostajemy na ty.

„2010. 16.01. sobota. Szanowny Panie Henryku, od dawna niepokoją mnie Pańskie słowa o obrazach Michała F.: „raporty z wnętrza materii”. Ponad dwadzieścia lat temu MF podarował mi dwa obrazy; jeden w brązach, a drugi z użyciem jaskrawej żółci i czerwieni. W obu widziałem szczątki skłębionej materii-ciała ludzkiego i oba w równym stopniu wywoływały we mnie lęk, przedstawiały eksplozję ciemnych sił psychicznych, fatum. Wisiały w maleńkim holu, przy drzwiach. Mały mój syn panicznie ich się bał, kilka osób stwierdziło (niepytane), że nieprzyjemnie na nie patrzeć. Dość szybko uznałem, że MF obraża własną podświadomość. Ona sama dobija się w nim formy, ujawnienia. Pewnego dnia (ok. 1992 r.), kiedy wróciłem ze szpitala po operacji i byłem kancerofobicznym wariatem, przysłała do mnie energoterapeutka. Ledwie weszła, spojrzała na malunki, ze zgrozą krzyknęła: Rak, to są komórki rakowe! Czemu pan to trzyma w domu? Te słowa ostatecznie zdecydowały o oddaniu obrazów bratu. Odetchnęliśmy. Piszę o tym Panu, bo Pan jest podróżnikiem w regionie ludzkiej Unwirklichkeit i zrozumie właściwie moje obawy związane z wyświetlaną przez MF jego własną podświadomością. Okrutny przypadek

MF przypomina losy aktorów Grotowskiego, który otwierał ciemnię. Napisałem dla ulgi, ten mail nie wymaga odpowiedzi. Serdecznie pozdrawiam”.

Nieco ponad tydzień później odpisałem:

24.01. niedziela. *Ale jednak jakoś muszę się odnieść do tego, o czym piszesz; już kilka razy spotkałem się z podobnym ujęciem-odniesieniem się do obrazów Michała, które w moim odbiorze są odbiciem mozołu (skutecznego), typowego dla malarzy samorodnych, tzw. amatorów, w wielu wypadkach prześcigających profesjonalistów, a już na pewno traktujących to poważniej, bardziej odpowiedzialnie, często też osiągających więcej. To strona techniczna; warsztat, mozół, powaga, a także pewne złudzenia co do społecznego miejsca sztuki. Bardzo więc cenię pracowitość i poczucie smaku Michała. Inną stroną medalu jest wyraz (przesłanie), czyli – najczęściej – interpretacje. Przed kilku laty Boguś M. zaskoczył mnie odpowiedzią na pytanie, dlaczego w swoim biurze trzyma obraz Michała za szafą. „A, bo one (jego obrazy) są jakieś takie rakotwórcze”. Hm. Kto wie, czy nie równie (jeśli nie bardziej) rakotwórcze mogły być wrażenia Michała, który odwiedzając Bogusia, widział swój obraz zesłany za szafę? No więc tak, rozumiem, że z tysiąca powodów można nie przepadać za taką estetyką albo dostrzegać tylko jej ektodermiczne warstwy (coś takiego, tylko w większym wymiarze i częściej, słyszałem o obrazach i rysunkach Beksińskiego), a ostatecznie wierzyć w bezmierną skuteczność oddziaływania obrazu. Skłonny jestem przystać na Twoją formułę „wyświetlania własnej podświadomości” w przypadku Michała. Także zgoda, co do ekipy grotowszczaków. No i Beksiński, też tu jest na rzeczy. Dodałbym jeszcze tę bezbrzeżną i pełną ofiarności fascynację Michała Blakiem (trochę mi teraz głupio z powodu ironicznych akcentów, jakich sobie nie odmówiłem, pisząc do NOWYCH KSIĄŻEK recenzję z tej jego ostatniej „Boskiej Analogii...”). No, ale ostatecznie można też na to (jego obrazy, wiersze i miłość do Blake’a) spojrzeć jako na świadectwo prawdziwości. Ekspertyza Twojej energoterapeutki wydaje mi się jednak (jak cała ta bioenergoterapeutyczna dziedzina) niepoważna i arogancka. Prawda jest bardziej złożona i subtelna, niż potrafią z niej wydłubać słowa. Pozdrawiam gorąco w tym arktycznym piekle.*

Mógłbym oczywiście więcej, bo przemilczałem niemało, ale przecież i tak powiedziałem – wydaje mi się – za dużo. Ale co znaczy w przypadku Fostowicza „za dużo”? Bo przecież można w nieskończoność.

Pan Marek

Marka Garbałę poznałem na samym początku studiów polonistycznych w 1977 roku. Było to tuż po moim debiucie poetyckim. Dość często odwiedzałem go w redakcji „Literatury Ludowej” przy Szewskiej. Czasem spotykałem tam także Mariannę Bocian i profesora Stefana Bednarka, innymi razy – Urszulę Benkę czy Gabriela Kamińskiego. O wierszach, które przynosiłem do lektury, rozmawialiśmy jednak zawsze sam na sam. Pan Marek – bo tak zwracałem się do niego przez wiele lat – starannie zaostrzonym ołówkiem, pedantycznie nanosił swoje uwagi, propozycje i poprawki. Pokazywał precyzyjnie wszelkie mankamenty, poetyckie niedoróbki, jakieś banały. A czynił to wszystko z gracją pełną ironii, sarkazmu, a niekiedy i złośliwości, bo uczył nie tylko językowego rzemiosła, ale też literackiej kindersztuby. Z precyzją neurochirurga operował teksty, pokazując autorowi jeszcze inne możliwe znaczenia i konteksty. Szkoła Pana Marka była już wtedy znana pośród młodych poetów Wrocławia. Następne miejsce, w którym żywo dyskutowało się o wierszach, to Koło Młodych Pisarzy dawnego ZLP w Związkach Twórczych z Andrzejem Więckowskim, Andrzejem Sajem i Janem Stolarczykiem na czele. Ale i te spotkania Pan Marek zaszczycał swoją obecnością, dając popisy erudycji, erystyki i krytyczno-literackiej przenikliwości. Z kolei na polonistycie młodym poetom przewodził bardziej, niż doradzał charyzmatyczny opiekun koła naukowego – Lothar Herbst, który nie miał chyba ani czasu, ani ochoty, by cyzelować teksty podopiecznych, gdyż zajmowały go bardziej inne obowiązki: praca akademicka, redakcyjna, a przede wszystkim – budowanie opozycji politycznej we Wrocławiu. Był zatem Pan Marek człowiekiem instytucją, bez której wiele poetyckich talentów najzwyczajniej by przepadło. Pośród moich poetyckich patronów byli także Urszula Benka i Janusz Styczeń. Każdy z tych kontaktów był jednak inny. Marek Garbala, obok cyzelowania wiersza, uczył też solidnej roboty redaktorskiej. Jako pierwszy uświadomił mi, jak ważne jest komponowanie cyklu poetyckiego, budowa tomu wierszy, dobór i selekcja tekstów. Tego wówczas nie uczono na polonistycie. Wspierał mnie także przy pierwszych próbach krytyczno-literackich. W latach 80. współpracowaliśmy przy wydawaniu pisma „Że” oraz przy wielu

konkursach poetyckich, także tych „O kropkę Że” w kawiarni artystycznej „Pod Kalamburem”, którą stworzyła Halina Litwiniec. Wtedy to przeszliśmy na ty, choć uwielbiałem publicznie zwracać się do Niego per „Panie Marku”. Był zatem Pan Marek niezwykle oratorem także i podczas wielu spotkań, które miałem przyjemność organizować czy prowadzić. Jego charakterystyczna „puza” nadawała takiej barwy, takiego smaku, że te chwile wspólnych literackich uniesień stawały się niezwykle i na trwałe zapadały w pamięć. Pan Marek, choć nie wprost, potrafił być autoironiczny, dawał subtelne sygnały, że ma do siebie dystans, że bawi się konwencją spotkania, formą wypowiedzi, bo słowo mówione było dlań niekiedy ważniejsze od pisanego. Uwielbiałem, gdy uderzał ciętymi ripostami, grał wykwinnością języka, wodził za nos, zwłaszcza jeśli jego adwersarz czegoś nie doczytał albo coś przeoczył. W towarzystwie Pana Marka jeździliśmy też całą grupą do Kłodzkiego Klubu Literackiego, do Bogusia Michnika. I tam miał niemałe grono pupilów, uczniów i admiratorów. Podobnie było w Wałbrzychu czy w innych dolnośląskich miasteczkach, z których pochodziliśmy. Pan Marek zawsze znalazł chwilę, by siedzieć na czyimiś tekstami. Wiosną 1997 roku zdarzył się też szczególny wieczór w Kłodzkim Ośrodku Kultury. Wieczór, którego nigdy nie zapomnę, ale nie ze względu na moje 20-lecie poetyckie. Wiadomym powszechnie było, że Marek Garbala i Lothar Herbst, niegdyś bliscy sobie redaktorzy i wydawcy słynnej „Agory”, od wielu lat byli poróżnieni. Nigdy w rozmowach z Panem Markiem temat ten się nie pojawiał, tak że do dziś nie wiem, „co było na rzeczy”. Podobnie i Lothar Herbst – mój szef w Polskim Radiu Wrocław – wyraźnie unikał rozmowy na temat Pana Marka, nawet gdy słyszał, jak montuję jego tyrady nagrane podczas spotkań literackich. Fakt faktem, zobaczyliśmy zdumieni, jak Lothar i Marek stoją razem przy barze, popijają i rozmawiają „jakby nigdy nic”. Po sali „poszło”, że się pogodzili. Poczułem wtedy ogromną radość. Pod wrażeniem byli także inni: Marianna Bocian, Janusz Styczeń, Romek Kołakowski, Boguś Michnik, Michał Fostowicz, Janek Stolarczyk. Kto wtedy mógł przypuszczać, że wielu z nich tak szybko odejdzie na zawsze?

Marek. Mój Pan Marek. Wrażliwy czytelnik. Przenikliwy redaktor. Wspaniały orator. Miłośnik regionalizmów. Wymagający nauczyciel poezjowania. Bez względu na siepacza banału, pustosłowia, mowy-trawy. Starszy brat. Szczery krytyk. Człowiek skromny. Oderwany zupełnie od „mieć”. Człowiek, który potrafił wyłącznie „być”.

Jestem jak echo. Rok 1983

(fragmenty)

Nowowiejska

Dom mojej pamięci nigdy niewidziany naprawdę jest coraz wyżej nad poziomem morza, unoszony przez czas i odległość od tamtych ulic, a przecież stoi do dziś wynajmowany przechodniom przypadkowo na godziny albo dni, nie wiem, nie byłem tam dawno. Miałem dwa lata, gdy odeszliśmy od niego w inne bogatsze strony od tej jedynej zachowanej kamienicy pośród zniszczenia kwitnącej w girlandy i amory kochające się na łąkach, ściany porosłej liszajami z podmołkiego tynku. W zakamarkach domu gnieździli się fryzjer, łazarz i linoskoczek, wesoła trójca coraz mniej realna. Najważniejszy był fryzjer często pijany od zapachu taniej wody kolońskiej i linoskoczek rozpinający linę pomiędzy dachami sąsiednich posesji. Łazarzami byliśmy wszyscy, ale nikt z nas o tym nie wiedział. Czasami tylko matka buntowała się patrząc przez okno w dół, mówiła o brzydocie podwórza, na którym rośło jedno drzewo ukrywające się od czasów wojny przed zbyt natrętnymi lokatorami. Nie otwieraj drzwi, jak będziesz sam, nie wpuszczaj nikogo, nawet jakby przyszedł ten od budzenia z martwych. Nie wiedzieliśmy, czy kiedykolwiek przyjdzie, może i taki był, ale dozorca nie wpuściłby go za próg, domokrążcom, żydom i żebrakom dziękujemy. Wszystko jest możliwe w czasach pogardy, więzienia stoją otworem dla przechodzących spokojnie ulicami jak wielka paszcza lewiatana i nie wiadomo kto z nas będzie potępiony, kto następny do gazu. Tysiąc koni przepuszczamy, a jednego zatrzymamy, tysiąc koni... Na pewno fryzjer zamykający zakład w godzinach pracy, kiedy nie mógł ustać na nogach, i domiar panie i podatki i przeszłość burżuazyjna, być może linoskoczek, który wychodził wcześniej i wracał późno, tak że rzadko go widywałem, ale brał mnie wtedy na kolana i pokazywał wiązanie węzłów na linie w lalki i człowieczki węzłaste, zabawne bardzo, kiedy się ruszały kopane nogą w podbrzusze, podskakiwały między palcami nawinięte na wrzeciono, kręć się kręć prząśniczko, pamiętam, do roboty, przez cały dzień. Marzył o sztuczce z liną, która sama się podnosi i można wejść po niej na najwyższą chmurę jak jakiś fakir na kronice filmowej, ale trzeba uważać, aby się nie powiesić przedwcześnie, jak ten z przeciwnika, jak karzeł zapluwający się przez tyle lat po powstaniu.

Operatorzy

Naprzeciwko żyli mieszkali i uczyli się kandydaci na operatorów filmowych. Jak się później dowiedziałem, wszyscy byli kawalerami zupełnie nieświadomie, jakby zakładali, że operator filmowy musi być kawalerem i uczyć się w małym domku, w którym kiedyś mieszkała Gertruda Stein. Często wyglądali przez okna w chwilach wolnych od nauki i wabili dziewczęta przy pomocy kostek cukru albo wielce nieprzystojnych propozycji, jak mówiła babka. Po wabieniu zaciemniali okna i wyświetlali na próbę nieprzyzwoite filmy z życia mrówek albo z życia kołchozów. Wydawało się szczególnie wczesną jesienią, że ci poprzedni gdzieś odlatywali, aby zrobić wolne miejsce dla kolejnych stad w służbie kultury, które przylatywały nie wiadomo skąd i znowu powtarzał się kawalerski rytuał, tylko dziewcząt było coraz mniej, bo brakowało cukru, a na polach trwały wykopki i walka ze stonką. Zawsze marzyłem o tym, że zaproszą mnie do siebie i pokażą, jak nawija się taśmę na wielką szpulę, lub końcowe sceny projekcji, ale nigdy nie ośmieliłem się ich o to poprosić. Dlatego moja edukacja techniczna pozostawia do dziś wiele do życzenia, dwie lewe ręce, piasek w rękawach, obawa przed maszynami jakby to były stwory z innego świata, które potrafią zranić i uciąć palce, na szczęście to nie mnie, to koledze z podwórka. Pozostaniesz już tak na zawsze niedouczony i nie będzie nikogo, kto przeprowadzi cię na drugą stronę ulicy ani dalej w stronę niepewnych pozorów twojego istnienia, zaułków o dziwnych i niewyjaśnionych do końca nazwach – zaułek Starczy, ulica Jedności Narodowej, ulica Wieczorka wikłają się i płaczą między sobą tworząc węzły nie do rozcięcia i nie wiesz skąd masz wziąć miecz, chyba że wystarczy drewniany, prezent na urodziny, którym nie można nikogo skaleczyć i zabić. Widziałem wczoraj kogoś z zaplątanego zaułka, mówił o Żydach, o świętych niewiastach, które potrafiły zachować świętość do śmierci i nawet zachowują ją do dzisiaj tuż po drugiej stronie ulicy. Jemy cukier, wabimy koleżanki, bawimy się w świętych pańskich, stary film wyświetla ktoś inny, zaułki Starcze zamykane są na noc przed złodziejami czasu.

Rzeczy ze Lwowa

Jestem ponownie, tak jak przed chwilą tylko że w innym miejscu i o innej porze, w pokoju babki, śniący o czasie odmierzanym przez budzik dziadka Michała. Dziadek Michał z austriackiego wojska, odmroził nogi w Tyrolu podczas kampanii wojennej i mieli mu je amputować, ale na szczęście zakochała się w nim Tyrolka i uratowała nogi kąpielami w ziołach i miłością bezbrzeżną, a dziadek i tak ją zostawił, bo miał już żonę i dziecko w dalekim Lwowie, historie zapomniane nawet przez umarłych. Napalono w piecu i trzeba podrzucać co pewien czas umiejętnie, by nie wypadły na podłogę rozżarzone węgle diabelfki z piekła rodem tego od smażenia na ruszcie grzesznego ciała. Chowam się pod kołdrę, może mnie nie znajdą, nie odkryją, lecz zło dociera wszędzie, nawet pod kołdrę. Na ścianach portrety w owalu w złożonych ramach babki Karoliny, która patrzy przed siebie, panna w żabocie w perłowej bluzce i pragnie pokochać kogoś i być z nim szczęśliwa i nie ma ambicji zawodowych, jak to przed wojną. Rzeczy zachowane ze Lwowa, lew z brązu, przycisk dla nieistniejących papierów, kałamarz z orłem w koronie upierzonym drapieżnie, broniącym granic na Niemnie i Dnieprze czy jeszcze dalszych. Grzeją się leniwie przy piecu, opowiadają cicho swoje niezgłębione historie pozornie martwe i ciężące w dół, aż do zagubienia po śmierci babki, do dziś nie wiadomo co się z nimi stało, przy przeprowadzce ktoś ukradł, albo same postanowiły umrzeć śmiercią bohaterską, kiedy nie ma już czego bronić, same granice pokoju. Śpisz jeszcze, nie zapomnij o mnie, tu jest dobre miejsce na zatrzymanie godzin, nieruchome jądro, które trwa, zanika, cichnie w chwili poruszanej jedynie oddechem, a nie czasem wewnętrznym, tym z dalekiego przylądka. Kafle nagrzane żarem, z kwiatami według wzoru wyciskanego w glinie według pierwszych śladów naszego pobytu na ziemi, kwiaty z czasów kredy i dinozaurów. Mieszka w nich duch opiekuńczy domu promieniający zimą, zaklinany w kamień w lecie, przesyłający delikatne znaki jesienią i wiosną. Wraca matka, dobrze, że mamcia go już położyła, ja też zostanę na noc, odjechały ostatnie tramwaje i niebezpiecznie jest, kiedy noc wychodzi na łowy, może wtedy pochwycić w sidła nawet matkę, a cóż dopiero kogoś tak małego jak ja. Jesteś zanurzony w jednej sekundzie, próbujesz zrozumieć, rozsunać jej ściany, ale one nie są z gumy, podobnie jak zatłoczone nocne tramwaje i konduktor śpiący z tyłu na ławce dla konduktorów, zmęczony, czekający na kolejną zmianę.

Podwórko

Odbijasz się od ścian jak piłka skórzana z wyraźnym szyciem ręcznym i plecionką na szwie, która boli, kiedy spada na głowę. Wokół nas budynki wyłożone piaskowcem do wysokości pierwszego piętra, projekt niezbyt szczęśliwy, piaskowiec zjadł wszystkie pieniądze na budowę i musimy na początku zadowolić się kuchenką węglową, ale za to na zewnątrz bogato, pokazowa dzielnica mieszkaniowa dla przodowników pracy, dla pracowników najlepszych, imienia Tadeusza Kościuszki, który też był przodownikiem, ale został wzięty do niewoli i musiał siedzieć w ruskim więzieniu. Przeprowadzamy się z Nowowiejskiej na trzecie piętro, do nowego bloku, to już postęp, pod numer siedem, szczęśliwy dla ludzi wybranych. Musisz uważać, gdy grasz w piłkę, kopiesz o mur, co jest za tym murem, widzisz drzewo i starą kamienicę poniemiecką, dużo tych rzeczy poniemieckich, częściowo zrujnowanych, przez okno widać zaplecze domu towarowego i dziwną windę, którą jeżdżą towary kolonialne. Za murem jest na pewno cudowny ogród, słońce, motyle, kukuleczka kuka gniazdko sobie szuka, a świniarek żeni się nieustannie ze świnią na papióreczku. Na drzewo za murem nikt dotąd nie wszedł, ponieważ tam mieszkają chuligani i bandyci, rzucają kamieniami jak próbujemy przejść przez mur, walczą z nami mówiąc, że są tutaj od dawna, a my przyjechaliśmy nie wiadomo skąd. Patrzymy w dół na nasze balustrady, klatki, od których odbijają się mali spadochroniarze przypięci do małych spadochronów zrobionych z chustki, azyl lekkiego latania i nikt nam tego nie zabierze, nawet ci z przeciwka, pomódlmy się za nich, pomódlmy się za zburzenie muru, za drzewo, aby nie uszło przedwcześnie, za jednookiego Zenka, który stracił oko bawiąc się niewypałem, niech wstawią mu sztuczne, lepsze i łatwiejsze do wymiany, kiedy się już to stare ludziom znudzi. Wszyscy mu zazdroszczą, szczególnie kiedy pokazuje jak wyjmuje się sztuczne oko za papierosa albo dwa. Odbijam się od przejścia między domami, gdzie tak często wieją wiatry ze wschodu albo zachodu, to zależy od władzy, w jedną i drugą stronę, jakby wiedziały, że tutaj mieszkają ludzie zwyczajni, unoszeni wraz z przyływami i odpływami powietrza jak na wielkiej huśtawce. Fala niesie mnie i wyrzuca na brzeg. Musiałem wrócić, zmierzyć się z nią, zobaczyć sztuczne oko, piłkę, drzewo, którego już nie ma, mur po drugiej stronie, wejść jeszcze raz do tej samej rzeki, zrobić jeden krok w pustkę, w przestrzeń nadal nie do końca wypełnioną.

Szczury

Karmienie kaczek nad Odrą, rzeką pokoju, rodzinną. Niestety rodzina nie pochodzi znad Odry, jest znad Kamiennej i znad Pełtwi przykrytej ulicą Akademicką albo inną, której nazwy nie pamiętam i nie będę tego sprawdzał, ponieważ piszę swobodnie, jestem wolnym człowiekiem zależnym od słów, a nie od ulic, rzek i karmienia kaczek. Kaczki proszą o jeszcze, szczególnie kaczory krasnapióre, piękne, wabiące. Potrafią walczyć i ginąć za swoje młode, teraz walczą o kawałek chleba rzucanego z mostu nad kanałem tuż obok Muzeum Śląskiego w gmachu dawnej Rejencji, czy czegoś takiego, dalej bez sprawdzania. Uwielbiam to, meandry błędów i niedopowiedzeń, walkę z pozytywizmem w imię romantycznych ideałów. W kanale mieszkają szczury lub piżmowce biegające obok kaczek, w brunatnych futerkach z długim gołym ogonem, którego nienawidzi moja matka, obrzydzenie, awersja, ogonofobia, niechęć wywiedziona z czasów, gdy kobiety miały jeszcze ogony i wchodziły dzięki nim szybciej na drzewa. Co-famy czas do epoki, kiedy byliśmy małymi gryzoniami gryzącymi korę i pędy młodych widłaków, a niektórzy nie zdążyli uciec przed tyranozaurom. Uciekamy przed deszczem, bawimy się na bulwarze, uwielbiam to słowo niepolskie, tuż obok muzeum bulwary, które kiedyś zagospodarujemy, teraz odwracamy się od rzeki, czytamy: miasto odwraca się od rzeki, ale czy ja już umiem czytać? Patrę na buty, które trudno dostać, tym bardziej że wszystko się na mnie pali, jak mówi matka, jestem jak płomień, który nigdy nie zgaśnie. Porównanie niezbyt udane, jak większość porównań, po co w takim razie porównywać, właśnie po to, aby były nieudane. Sztuka jest zbiorem większych i mniejszych błędów i na tym polega jej siła i wielkość, odnotowuję w kajecie, znowu niezbyt polskie słowo, jakie są polskie słowa, Cedynia, Cedzyna, Mieszko vel Mesko, pocziwaj, pożywaj, idę pobruszać. Z daleka widzę prapolski Ostrów Tumski, gdzie kamienie mówią po polsku. Trzeba wracać, jest coraz ciemniej i matka musi mnie wziąć na ręce, ale jak długo można nieść kogoś tak dużego już jak ja, i deszcz staje się większy i zamykają się wszystkie bramy i okiennice jak pąki roślin przed zimą i być może przyjdzie wielka woda, powódź, która zabierze starców i świerszcze za kominem, dziadka, chaty w Podhorcach. Na szczęście ktoś się nami zajął, wziął na łódź i przewiózł na drugą stronę kanału, gdzie nie ma już szczurów z oślizłymi ogonami i tyranozaur śpi po obfitym posiłku, a kaczki płyną do prapolskiego morza, do którego wyprawiali się niegdyś nasi dzielni wojowie po sól, buty, widłaki i świeże ryby.

Pedet

Prowadzą mnie do domu towarowego, nie po towary, ale do przedszkola. Bronię się ze wszystkich sił, będzie ci tu dobrze, są zabawki dzieci, na szczęście udało mi się wyrwać i uciec po schodach z czwartego piętra i chyba uciekam do tej pory, bo nigdy więcej już tam nie poszedłem, a wystarczyło przejść po chodniku i nawet nie trzeba przez ulicę, dzięki czemu jest bezpiecznie, a ja i tak wolę być sam bez dzieci pani i cudzych zabawek. Pamiętam jak jeszcze wszystko było wypalone, tylko mury zewnętrzne stały i na dole sklep z różnymi rzeczami przykucnięty schowany pod ruiną najbliższą otwarty, później otwierano kolejne piętra z przedszkolami szkołami handlowymi internatami z mojego okna widoczne tablice, na których jakieś znaki znaczenia przechodzące aż do ściany do kieszeni z kredą nauczyciela zawodu, to była zawodówka jak mówiono, a wyżej akademik dla mężczyzn niebotyczny, rozległy jak cały dach. Z dachu strzelano niekiedy rakietami w święta państwowe i wojskowe, gra muzyka orkiestry, pod domem ustawiały się oddziały w żelaznych hełmach, wzywamy was polegli na polach drugiej wojny światowej, polegli na polu chwały i werble donośne przy kamieniu z nieznanym żołnierzem na placu byłego żołnierza pruskiego Tauentziena. Kiedyś był tam jego pomnik, a teraz najprawdopodobniej leży biedny pod kamieniem upamiętniającym nowe czasy z samochodami nad głową, kręci ulicami jak demiurg szybkości, jak człowiek pokutujący za cudze grzechy. Kiedyś pamiętam przewrócił się tam koń ciągnący wóz z węglem, stara kobyła o oczach powleczonech mgłą i trzeba ją było zastrzelić, bo złamała nogę, do zabijania koni najlepsi są żołnierze w żelaznych hełmach, ale tym razem zwyczajnie, w rzeźni, po bożemu. Przedszkole już na szczęście mnie nie straszy, tylko czasami pomysły, aby zaprowadzić mnie do Domu Kultury na zajęcia dodatkowe na ulicę Kołłątaja. Nie lubię Kołłątaja, nie chcę się zajmować czymś pożytecznym, jestem leniwy lenistwem wielu chłopskich pokoleń i nic tu nie zmieni krew mieszczańska lwowska. Nie lubię wychodzić na pańskie, wymyślam różne powody, wypadki, wpadnięcie pod samochód, stratowanie przez spłoszonego konia, złamanie nogi, niebezpieczeństwa ulicy Tadeusza Kościuszki, fryzjera, który podobno łapie dzieci nie mówiąc już o czarnej wołdze, w której siedzą mordercy rzeźnicy przerabiający małych chłopców na parówki, których wciąż jest za mało na rynku społecznym.

Kino Warszawa

Przychodzi nowy i nowy dzień, a my nadal mieszkamy obok kina „Warszawa” i nie wiemy czy ktoś w Warszawie mieszka niedaleko kina „Wrocław”, cały naród buduje swoją stolicę, co nie oznacza, że cały naród buduje Wrocław. Jesteśmy urzeczeni ciemnym wnętrzem i płótnem na którym odbijają się fantomy światła odebranego ciemności, *lux in tenebris lucet*, odwieczna walka. Podobnie jest w literaturze, rzeczy odbijają się od siebie, zwierciadła, gościńce, słowa urzeczowione, ale to się nie udaje, widocznie coś się stało pomiędzy, jakaś rysa, pęknięte lustro, najwyraźniej wdał się we wszystko diabeł i miesza ogonem. Do kina wchodziło się od podwórza przez odrapane wejście do niskiego budynku i jakby przez piwnice, a później prawdziwa poczekalnia. Ale nie było to kino podziemne tylko prowizoryczne, jak wszystko, z nadzieją na rozbudowę, na remont po latach, kiedy już odbudujemy stolicę. Stoimy pod kasą w kolejce opierając się o żelazną barierę i nawet nie wiem jaki film dzisiaj wyświetlają, czy mnie wpuszczą, film od lat dwunastu, nie każdy może wejść, niektórzy muszą zostać i obcy się smakiem, popatrzeć na fototy z portretami aktorów i nie czuć nawet smrodu z ubikacji, wiadomo przed remontem nie opłaca się niczego ruszać. Za chwilę zaczną wpuszczać, trzeba skupić się wewnątrz, urosnąć, zapuścić wąsy i brodę, czuję jak staję się coraz większy, silniejszy, moje mięśnie pokonałyby tygrysa, a coś dopiero wątlę bileterkę. Jest sposób na litość i na wpechanie się w sztuczny tłok, milicja, wołają i wyłapują już na sali, schylam się wtedy jakby coś upadło mi na podłogę, wciskam w fotel, czekam aż zgaszą światło, wtedy jest już prawie dobrze i drugi raz nie sprawdzają, moja ulubiona kronika filmowa wydanie „B”, widzę ją już trzeci raz, ale trudno, potem dodatek artystyczny, który nie wszyscy wytrzymują, ale wracają na film francuski z Gabinem, który zawsze gra gangstera albo ojca wielodzietnej rodziny mającej sporo problemów na francuskiej prowincji. Pamiętam, że raz jeden nie wpuścili mnie do kina w budynku Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej na *Kopciuszka* Disneya, film amerykański i, co tu kryć, chwalcący ustrój feudalny, a my będziemy mieć Bolka i Lolka, szkoda, że też na *Dzikim Zachodzie*, jeżeli Zachód to dzięki, jeżeli Wschód to płynie z niego światło, bileter powiedział, że *Kopciuszek* jest od siedmiu lat, a ja mam sześć i pół, był emerytowanym ubekiem albo kimś takim, byłem ludowym milicjantem, widocznie dostrzegł tam sceny erotyczne godzące w moralność socjalistyczną i nie każdy mógł je oglądać, odpowiadać na pytanie na kogo pasuje pantofelek.

Dworzec

Stoję na dworcu pod słupem podpierającym dworzec. Waldemar Słupnik rozpięty pomiędzy wszystkimi peronami. Patrzę na pociągi, które są jednocześnie we mnie. Dworzec na wysoki połysk, proszę zatrzymać się w odpowiednim sektorze, nie to co dawniej, kiedy chodziliśmy bez ruchomych schodów po błocie i staram się zapamiętać, w którym sektorze jest moje miejsce, między trzecim a czwartym, na końcu, jak zawsze, ale to musi się zmienić. Będą kobiety i wino będzie łało się strumieniami, zachłysnę się bogactwem świata, będę używał piórka flaminga, aby ulżyć sobie w najlepszych poczekalniach, lecz w tej chwili jeżdżę drugą klasą, bo nie ma trzeciej w socjalizmie, lepiącej się od brudu, na szczęście jest zima i nie czujemy smrodu, nie wychylamy się z pośpiesznego pociągu, nie wychylaj się a będzie ci się dobrze powodziło. Ściany dworca są granatowe, najnowsza moda. Granatowa farba dobrze kryje nierówności i liszaje i jest ciemniej dzięki niej, nie widać żebraków ani mędrców na delegacji zbyt wyraźnie, świat się zaciera, niknie w naszych oczach. Jemy kanapki z teczki prosto z ręki, jestem coraz starszy mimowolnie, gdy rozgrywa się ta akcja nieśpieszna i nudna jak w polskim filmie. Ludzie łaszą mi się do rąk, proszą o utrwalenie oprócz tych, którzy mają to gdzieś albo nie myślą o przyszłości, inaczej znikną, zostaną wyparci z rzeczywistości przez kolejne wymiary, których jest już dziesięć i dalej się nie da, wracamy do początku. Rzeczywistość trzymamy w kieszeni, topi się jak resztki śniegu albo ser ementaler, na rękawiczkach, na kurtce i przychodzi do mnie niespodziewanie wizja zmęczonego słupnika, za długo już stoję i czekam, a może powrót do czasów dzieciństwa, cudownych wydarzeń przeczuwanych, zapowiadających świętość, zabawy z małym słupem, igraszki z diabłem kuszącym, z piękną kolejką napędzaną elektrycznie, która jeździ wokół stołu, ale wtedy trudno jest przewidzieć co się wydarzy po latach w Warszawie Centralnej na drodze do Wrocławia Głównego w chwili przerwy między podróżami moment zmęczenia, zapowiadają, proszą o odsunięcie się od toru, odsuwam się w stronę granatowego słupa, patrzę przed siebie na podobne do mnie odbicie w posadzce i wiem, że kolejka już nie jeździ, może dlatego, że nigdy jej nie miałem, a schody ruchome ponemieckie zatrzymały się w Spółdzielczym Domu Towarowym Feniks w pewnym momencie i nikt już ich nigdy nie naprawił.

Pergola

Płyniemy razem z ojcem kajakiem w myślach jeden jedyny raz w życiu i nigdy się to już nie powtórzy, ja z przodu w kamizelce ochronnej, ojciec próbuje wiosłem jak tu jest głęboko, na szczęście stopa wody pod kilem, pod słońcem na ogromnym jeziorze wewnątrz miasta tuż obok Hali Ludowej dawniej Stulecia, miejsce zabaw dla ludu z miast i wsi, sportowcy wiejscy na start. Czekamy aby do wiosny, wcześniej się nie da, wcześniej jest tam lodowisko albo nic nie ma, chodzą smutne łabędzie, które nie zdążyły odlecieć i coraz mniej jest ludzi, którzy tam pływali kajakiem w niedzielę w dzień świąty i przez to wolny od pracy. Matka patrzy na nas z brzegu, ma sukienkę haftowaną w błękitne ptaki na białym tle i parasolkę chroniącą przed słońcem z bambusa i jedwabiu, która wzbudza sensację wśród przodowników pracy zebranych, aby odpocząć i zabawić się kulturalnie na Pergoli tuż obok Ogrodu Japońskiego, którego jeszcze nie ma. Ludzie w nowych gabardynowych garniturach, pod krawatem słuchają przez głośniki hejnału z wieży mariackiej i obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, jak podają czas najlepszy w Polsce, najświeższy z dokładnością do pół sekundy. Nastawiamy zegarki, Omegi Błonia, ojciec ma Doxę, piękny zegarek ze Szwajcarii przemycany przez Alpy w czasie wojny, okolica zieleni jest pełna. Wiosłuje sam, ja jestem za mały albo za słaby, nie wiem, tak jest wygodniej oprzeć się i płynąć zamknąwszy oczy aż do zatracenia w wodzie opływającej burtę, ręce zanurzone, skręcające łódź w jedną stronę. Zaczynamy obracać się w lewo nie dotykając powierzchni, impresyjnie pod światło, jestem cały zwinięty na dnie, mruczę z zadowolenia, przeciągam się i sypię iskry jak brunatny kocur, który nie boi się wody. Matka macha do nas ręką z daleka, podpływamy do niej, kajak jest wypożyczony na godzinę, możemy jeszcze trochę popływać, chcesz wsiąść, nie zmieszczę się w nowej sukience, nie doprasuję potem w żaden sposób, a i tak zaraz musimy wracać, właściciel woła do nas przez tubę, numer siedem do brzegu woła, biega wokół sadzawki jak brzydkie kaczątko albo kura goniąca swoje małe, troskliwe, troszczy się o spółdzielcze dobro jak o swoje, nowy człowiek nowych czasów bohater i dba, abyśmy zbytnio nie skręcali na prawo.

Neony

Zakładają nam neony, dojrzeliliśmy do tego, cywilizacja zaczyna pożerać własne dzieci jak Saturn melancholijny i żarłoczny. Przyszli przed południem, z linami, pasami, wielkimi literami przywiezionymi na konnych jeszcze wozach. Rozkładają wszystko pod domem towarowym, to tutaj będą pierwsze jaskółki pierwsze objawy kultury masowej po wojnie. Z liter składam napis, nic nie pasuje, zakłócono ich kolejność i konie ogromne perszerony nie pozwalają dzieciom bliżej podejść. Duże C duże N, czytam przez dłuższy czas i dopiero olśnienie CENTRALNA, bardzo mądrze, w tak centralnym punkcie nazwa kawiarni i restauracji, miejsce rozrywki dla klasy robotniczej po pracy zabawa. Robotnik niepomny wysokości wspina się po murze, aby założyć pierwsze elementy, pierwsze głoski ryte w metalu na czerwono i niebiesko. Mur jest wysoki, ocalał po czterdziestym piątym roku, chociaż wszystko wygląda inaczej. Maszyny proste kołowroty siła fizyczna siła duchowa, ta poradzi sobie bez maszyn prostych. Ciągną do góry na piąte piętro, skąd czasami strzelają w czasie defilad pod oknami race i zielone kule nadziei rozpryskujące się na wolnym od wrogich samolotów niebie. Podłączą później, jak będą już gotowe napisy „Kawiarnia” i „Bar”, już mniejsze mniej ambitne bardziej w cieniu tego pierwszego jakby matki rodzicielki wszystkich neonów gasnących zapalających nasz Manhattan z kluczem wiolinowym, który dodano kilka miesięcy a może lat później po CENTRALNEJ w rogu placu nad sklepem z nutami płytami muzycznymi, w którym czasami sprzedawali fortepiany jak rzucili i ludzie w kolejce dla dzieci, ja już się nie nauczę grać, ale im będzie lepiej. Też KDM „PKO zabezpiecza ciebie i twoje mienie” i „Pijcie Rosavit zawiera witaminę C” wysokie na najwyższej strunie niepojętej do końca, ponieważ napój ten nigdy nie wszedł do produkcji i reklama nie wiadomo czego paradoksy socjalizmu socjalizm jest paradoksalny w swej istocie i tak zostało, nikt tego nie zdemontował przez wiele lat, jaka to różnica Polo Cockta i napój cienisty chłodny tylko z nazwy z dachu domu, na którym można go zobaczyć orzeźwia przechodniów z daleka swoją wysublimowaną urodą rzeczy, której nie ma, iluzji zapowiedzi smaku gnieżdżącej się razem z gołębiami nad gzymsem z piaskowca okazałym i wystawnym, Rosavit na lepsze jutro przelewany z migocącej butelki z pustego w próżne, a neony psują się tak często i często trzeba je wyłączać, o czym donosi miejscowa prasa zatroskana, że w tak centralnym punkcie, „Gazeta Robotnicza” i było nawet w „Trybunie Ludu”.

Ulica Kleczkowska

Pejzaże mojego miasta wzdłuż wybrzeży Odry innych niż kiedyś z matką jestem sam, tak trzeba, takich właśnie widoków, ani zbyt pięknych, ani obojętnych przesuwających się pod mostami niosących ze sobą deszcze, po których ślizgam się z góry spadam po żelaznych balustradach wprost w objęcia ulic z czerwonej cegły kominów, które nie odlatują, bo nie mają skrzydeł dymią siwymi strugami dymu z elektrociepłowni. Dym potrafi latać, ma skrzydła błękitne wrażliwe na wiatr zwijające się przy byle podmuchu w rurkowane kryzy kołnierze grandów hiszpańskich zawiązane wokół linii wysokiego napięcia, mechanofaktura przejęta z portretów czarnych od dumy i nienawiści poplątana złożona z powierzchni murów baraków ziemi tragicznej zbrukanej błotem płynącym kanałami. Przerwij, zbliżamy się do ulicy Kleczkowskiej Kłęczkowskiej, nigdy nie wiem, na pewno coś od Kleczkowa bardziej niż od kłęczenia, kłęczenie nie jest modne, należy walczyć z postawami religijnymi. Na ulicy więzienie naróżne z warowną wieżą, żeby nie uciekli więźniowie na wolność patrzą przez parkany szuflady zbite niedbale z desek czekają na amnestię pod reflektorami na wieżyczkach chodzą strażnicy o tej porze przynoszą im kolację, myślę o córkach naczelnika więzienia o miłości, ale to w innych czasach bardziej romantycznych i nie na ulicy Kleczkowskiej może się wydarzyć, tutaj niewiele się dzieje, podjeżdża tramwaj, pora wsiadać, już późno, jazda wydaje się być przepełniona smutkiem, alegoryczna, z kulą księżycą gubiącą się we fioletach po obu stronach burty biegną fale naprzeciw *cest une manie, mais je la trouve juste quelquefois*. Myślę o wyspie umarłych na Osobowicach na cmentarzu bez skalistych wybrzeży, komunalnym w czarnych obwódkach z bramą, przydziałowym. Jestem niedaleko i nie wiem, jak to będzie kiedyś, czy to nie jest wszystko jedno, gdzie cię zakopią, chyba nie, przepisy nie pozwalają na taki bałagan pośmiertny w Hadesie musi być porządek, każdy ma swoją kwaterę i dzięki temu łatwiej jest go odszukać po numerach rejestrach. Wracam z dalekiej podróży, wprowadzie nie po Jeziorze Bodeńskim nie po ciemnych wodach Szwajcarii, ale po Wrocławiu wyludnionym o tej porze roku do domu, gdzie na mnie czekają z kolacją z serwetą rozścieloną na stole i nikt mnie nie pilnuje na wieży, tylko cień dymu unosi się coraz wyżej uważny i piękny.

Cmentarzysko

Lecimy wszyscy z klatki popatrzeć, na Podwalu znaleziono kościotrupy, stosy kości podczas robienia wykopu pod budynek. Wszyscy lecą, dzieci dorośli naukowcy specjaliści, aby określić kto to leży zbadać epokę cmentarzysko kiedyś już poza granicami miasta. Taniec śmierci rozpoczyna się pomimo przeszkód czynionych ze strony Milicji Obywatelskiej, jaka tam ona obywatelska, która nie pozwala podejść zbyt blisko, nawołuje rozciąga sznury wzdłuż ulicy chroniące zmarłych przed naszym wzrokiem. Szkielety gotyckie skręcone płomienście dosyć dobrze zachowane przypominają zasuszone liście albo gałązki drzące na wietrze, mogą rozpaść się pod byle dotknięciem, pochodzą z czasów zarazy dżumy, tu ich chowano, za murami we wspólnych dołach niosąc ostrzegawcze krzyże kołatki pokutne upadające pod ciężarem trupów położonych na wysokich noszach, wiezionych na wozach dopóki sił starczy wykrotami. Dom musi tu stać, ponieważ jest w ogólnym planie zagospodarowania przestrzennego, zaplanowany dla przodowników pracy, tuż obok parku imienia Hanki Sawickiej. Trzeba gdzieś ich wywieźć, pochować bezimiennie albo pokazać w Muzeum Śląskim, ekspozycja dopasowana do kształtów czaszek piszczeli relikwii, tak daleko się nie posuniemy, to nie byli święci z relikwiarzy, gdyby to byli ludzie z paleolitu albo Prasłowianie to co innego, w naszym mieście, w którym kamienie mówią po polsku. Co to zostaje z człowieka, pani widziała, zawsze mówię mojemu i po co ty się tak szarpiesz w tej pracy jak i tak później do dołu, a on się śmieje i szarpie dalej, ostatnio już trzecią pracę zmienił przez to, że zawsze zadziera z kierownikiem. Barokowe kościotrupy byłyby inne, bardziej rozrosłe w sobie męskie i kobiece dynamiczne pełne barwnej bujności i krzepy, wspaniałe. Szkoda, że wtedy nie było zarazy, ale była za to wojna trzydziestoletnia. Dokądś ich wywożą, nie wiemy dokąd, oczywiście można by sprawdzić, ale jaka to różnica, czy to kogoś ożywi, koparki hałasują spychacze, będą tu mieszkać wybrani spółdzielcy mieszkaniowi, Spółdzielnia „Cichy Kącik” pośród zieleni, najładniejsze podwórko w całym Wrocławiu uczestniczą w konkursie i wygrywają cenne nagrody, najładniejsze są śmietniki całe w zieleni. Musimy wracać z tej podróży, życie jest silniejsze, odkręcamy kurki z ciepłą wodą, myjemy buty po tych trupach, tak trzeba, pamiętamy całuny i to, że leżeli złożeni głowami w jedną stronę na wschód, a teraz tańczą biskup z chłopem można dama z dziewczką uliczną pomiędzy banderolami słowami, którymi opatrzone ich na całą wieczność, a przynajmniej do końca tej strony.

Odra

Zachwycenie, zakręt rzeki opadający w dół coraz niżej do morza daleko nie dopłyniemy. Na wycieczce za cmentarzem są zakręty Odry nieznane, niezrozumiałe dotąd z żelaznymi obręczami przytwierdzonymi do nadbrzeża, służą od zeszłego wieku z wieżycami nakrytymi miedzią, która stała się zielona grynszpanowa i błyszczący się pyszni swoją omszałą dostojnością wasza wysokość trująca i piękna. Poziom wody podnosi się, ale z dnia na dzień, poziom łąk obniża wały obwarowania drżą z wysiłku, tak, rozumiem to, ale coś mogę dla was uczynić, nie widzę dokładnie konturów, nie można przejść do końca zagrodzone jest siatką i tablice ostrzegawcze grożą ostrzegają przejęte swoją rolą ponad właściwą im miarę. Nikt się tym nie przejął, ludzie przechodzą depczą ryzykują kalectwo łamiemy gałęzie z pierwszymi pąkami do domu są ostre bronią się nie wziąłem noża łatwiej wtedy poszłoby cięcie przy ścieżce rosną zeszłoroczne trawy, nie zdążyły umrzeć albo nie mogły tego zrobić podnoszone ku górze przez kolejne pokolenia psów wilczyc o wielu sutkach niedługo będą rodzić zziębnięte za patykiem za kamieniem w odbiciach pejzaż horyzontalny jeszcze nienarodzony dopiero powstaje odbłask ciemny zapomnieniem rzeki leniwej z wyspami z piaskiem zabrudzonym przez dzieci, które puszczają kaczki na wodzie powstają kręgi powracające fale. Ja też rzucam coraz większe, aby utrwalić, to niemożliwe, to się nigdy nie stanie nie zatrzyma może w momencie, w którym powstanie tama zatrzymująca rzekę w tym miejscu nie wolno zatrzymywać żeglugi na Odrze nawet w myślach, dywersja kara śmierci niepowstrzymana przewozi, a może to nie ja rzucam kamienie tylko ktoś podobny do mnie mój własny i nie pozwoli się stamtąd zabrać zapakować pod pachę jak psiaka. Już czas wracać, płaczemy, ludzie patrzą na nas zaskoczeni jak można tak rozpaczać krzycheć, ktoś każe nam stąd odejść, płynie barka albo niech nie płynie nie ma jej, uwierzcie mi, i nigdy jej nie było w tym miejscu i o tej porze cisza spokój przelatują pierwsze rusałki niepewne ciepła rozkładają skrzydełka nad nami pawie oczka, chmurzy się i nasza jedność z naturą jest zachwiana coraz wyraźniej o tej porze roku.

Wierzba płacząca

O drzewach powleczonych bielą na wysokości korony, idziemy alejami poprzędzani przez nie, ścigani później po przejściu jakby były zawiedzione podwójnie, kiedy jesteśmy obok nich i kiedy już przejdziemy wyciągają do nas gałęzie prosząc o cukier, zresztą nie wiem o co, na białych nogach wapno ochronne przed robakami hubą, która ssie soki wypija nektar przytłacza swym ciężarem. Wiem o nich niezbyt wiele, nie znam nazw jedynie kilka wymyślam nazywam bez sensu. Na trawniku przed domem brzoza płacząca wierzba, nie, właśnie brzoza z dalekiej Północy zabłądziła tutaj nie wiadomo jakimi drogami przyszła nieniekochana przez strażę graniczną ludową albo najpewniej jeszcze za Niemców za nich Plac wyglądał zupełnie inaczej. Jest podobna do staruszki wspierającej się na lasce, można to sprawdzić, wziąć staruszkę laskę i moją brzozę wierzbę i już wyniknie prawda porównania. Przypomina też gnomę, który ukrywa własną twarz w zielonych obszernych rękawach. Najpóźniej ze wszystkich drzew na Placu ma pąki, dopiero w połowie maja i wiadomo wtedy, że to już jest prawdziwa wiosna, popatrz, nasza brzożka znowu jest zielona, tylko martwię się, żeby ona nie upadła pod własnym ciężarem złamała stara już musi być mało sprawna, a w środku zmieściłaby się cała altana z ludźmi ukryta przed ludzkimi oczami pod warkoczem z kręcących się liści, delikatnie schowana, wiatr jedynie na wierzchołku czesze gałęzie przeplata je kokardami wstążkami z chłodnego powietrza, zupełnie jak panna młoda tylko pień zbutwiały wskazuje na wiek, może go naprawią pomogą drzewu przetrwać, myślę, że związana jest z naszym życiem i będziemy żyli tak długo, jak ona będzie, tak długo będziemy młodzi. Zawsze niepewność tajemnica czy w tym roku odżyje, coraz trudniej jest jej powrócić z tej dalekiej krainy, w której przebywa zimą, coraz dłuższa jest ta droga na szczęście widzę znowu pąki i jeszcze raz się udało dotrzeć do nowego maja. Naprawili ją betonową plombą, nie wiadomo jak teraz będzie żyła z tym betonem, widocznie tak się robi pomaga drzewom przeżyć i nam w ten sposób i nigdy przez to i dzięki niej nikt z nas nie stanie się stary i zmęczony, wprawdzie ciężko żyje się z kulą u nogi z dziuplą pełną betonu, lecz jakoś żyjemy, a w tej drzewnej altanie menele znowu zrobili sobie piwiarnię i musiała interweniować Milicja Obywatelska, na szczęście mają blisko z Łąkowej i przegonili ich, a drzewo zostało nienaruszone, jakby niepokalanie poczęte.

Zaraza

Tyle jest śmierci codziennie, zaraza we Wrocławiu kilka lat wcześniej, *variola vera* poetycka nazwa, czarna śmierć, wszędzie dezynfekcje, ale co to pomoże, nie wychodź nigdzie na ulicę, pamiętasz szczepienia powszechne białe kłamki ekipę dezynfekcyjną, trzeba stąd uciec jak najszybciej, potrzebne jest zezwolenie, wyjeżdżam z ojcem do dziadka do Wójcik, tam będziesz bezpieczny, a wy? my musimy chodzić do pracy, wiesz, że umarł doktor Zawada, ten, który leczył babcię Karolinę pomógł jej, kiedy miała ciężką gripę, jego grób zalali wapnem za to ma piękny pomnik z różowego marmuru, życia mu nikt i tak nie przywróci, pomyśl, skąd u nas taka choroba przywleczona z daleka na pewno przez jakichś marynarzy, później pielęgniarz nie poznali się od razu i to przez to. Miasto jest zamknięte ciężko chore, drugi raz twierdza Wrocław, ludzie boją się ze sobą spotykać, ktokolwiek spotkał się proszony jest o zgłaszanie się dzisiaj, odnotowano nowe zachorowania, dzisiaj zmarli kolejni chorzy. Podobno ci od dezynfekcji niszczą w domu wszystko odkażają, głos karettek, dobrze, że przynajmniej ty wyjedziesz, pozdrów od nas dziadka opowiedz mu jak tu jest. Pierwszy raz szczepionka nie chciała się przyjąć dopiero za drugim razem, niedługo będziemy już tylko siedzieli w domu jak w średniowieczu, podobno ogniska choroby wygasają, to się tak mówi kwarantanna ojciec zadżumionych przykłady z literatury i sztuki śmierci nic się nie oprze, na ulicy Nowowiejskiej ktoś zachorował niedaleko babci, wsiadłam do pociągu opuszczam szybę w przedziale, ucieczka w lasy jeziora jak niegdyś, przyglądajcie się uważnie szczurom, jak się zachowują, to jest ważne podczas dżumy, *variola vera* nie ma na nie wpływu, niedługo ludzie zaczną się bawić tańczyć kochać pić na umór takie są prawa zarazy, po nas niech będzie koniec świata, o czym ty mówisz, zamykają ich w specjalnych obozach na obserwację, jaka tam zabawa. *Tryumf śmierci* Lorenzo Costy, kaplica Bentivoglio, San Giacomo Maggiore, Bolonia, wóz ciągnięty przez czarne woły, teraz karetka maluje się na białą, dzisiaj nie zanotowano nowych zachorowań, nareszcie, czytam gazetę u dziadka, niedługo będziesz mógł wrócić do domu odwiną bandaż z kłamek i wszystko wróci do normy do punktu wyjścia, zostaną zwinięte czarne flagi i śmierć popłynie swoim zwykłym korytem niezmienna beznamiętna, w domu, na ulicy, w pociągu.

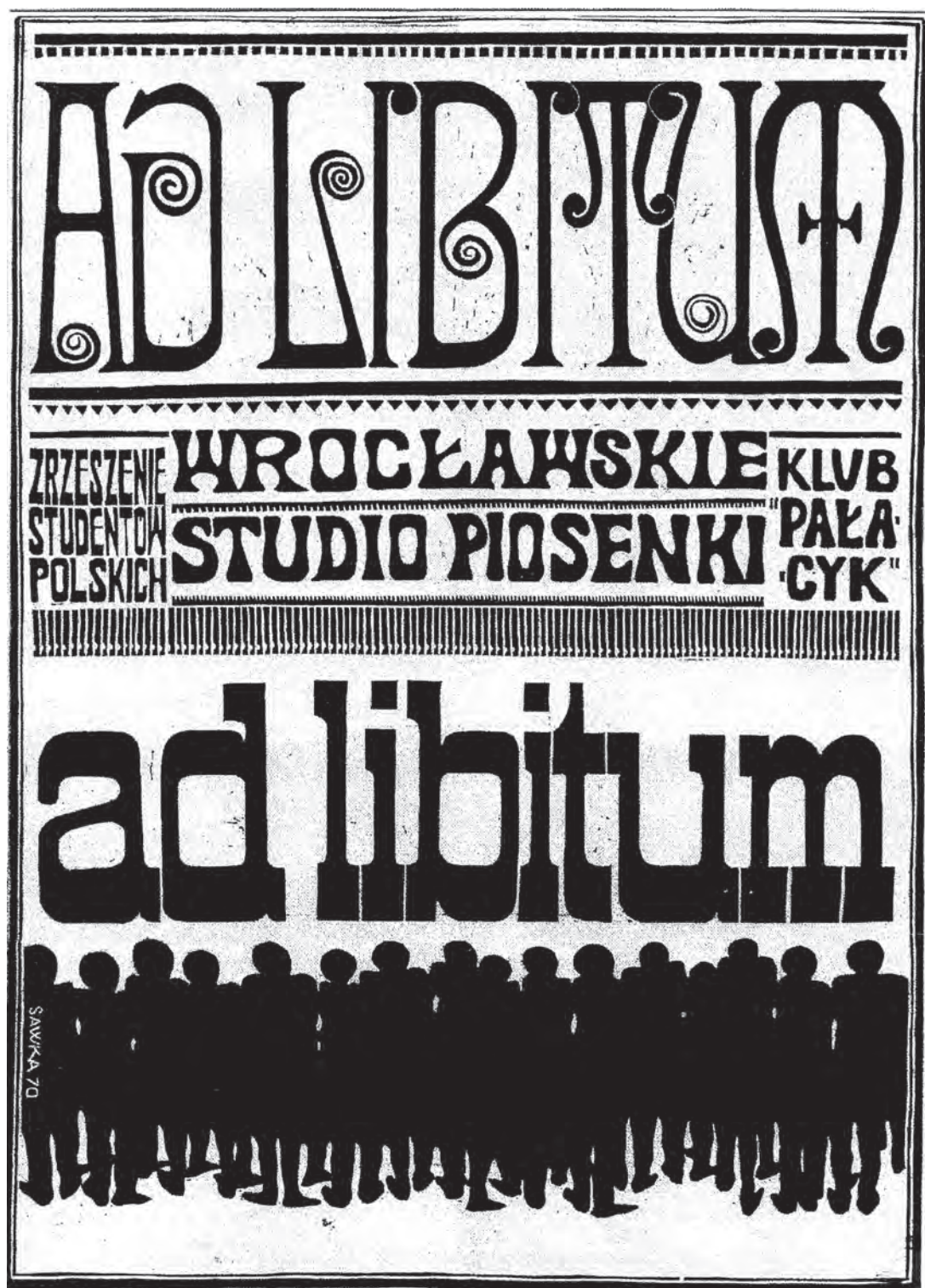
Ulica Wandy

Nie mieszczę się w zakreślonych granicach, zmniejsz marginesy, zmniejsz odstępy, napij się herbaty, to nic nie pomoże. Czynność pisania jest taka sama jak inne czynności, tak samo dobra tak samo zła, przybliża nas do śmierci do myśli o niej, przybliża do narodzin. Obrazki z życia z wystawy z maskarady, rozrastam się rozpycham ściany, coraz wyżej, podnieście strop, cieśle, czekam na klucze idę do ślubu wkładam obrączkę zapraszam na małe przyjęcie, bez księdza niestety, coś ich nie lubię, przeprowadzam się opuszczam dom rodzinny w jednej chwili w jednej sekundzie do wspólnego pokoju na razie z kuchnią samodzielnie w oczekiwaniu na klucze prawdziwe, ojciec mi znalazł załatwił jego znajomy wynajmuje za dwa i pół tysiąca. Sprzątamy malujemy, jak to młode małżeństwo, obiecujemy odwiedzić babcię Baran, nigdy tego nie robimy, nie mamy czasu, uczę się do ostatnich egzaminów tracę wzrok w starym budownictwie, okno w kuchni w pokoju ciemno, trzeba to wreszcie skończyć, jeżeli się zaczęło, szkoda oczu, ale trudno. Lubię przerywać frazy zawieszać głos nie kończyć zdań, starzy ludzie sąsiedzi, stara dzielnica, najdroższa we Wrocławiu, wszyscy chcą tu mieszkać, nie wiadomo dlaczego, w zieleni jak w potrawce, środkiem trawniki drzewa malownicze na ulicy Wandy, obok Krakusa, Słowicza. Kupujemy na rogu w sklepiku Marlboro, ostatnie paczki jeszcze tu można dostać w agencyjnym sklepie, musimy oduczyć się palenia papierosów, niszczenia sobie zdrowia, jedzenia czekoladek kurczaków z pieczarkami kiełbasy Służewieckiej, mojej ulubionej na gorąco, idzie kryzys, przerywamy hossę na rzecz ascezy, było dziesięć lat tłustych teraz będzie dziesięć lat chudych, jak w Piśmie Świętym. Ja w takich kolejkach po byle co stać nie będę, ostrzegam. Krakus krzyżuje się z Wandą mitycznie legendarnie, z tego związku rodzą się słowiki rodzą się krzykliwe przedszkola szkoła podstawowa piekarnia, dojazd siódemką czternastką do centrum, rodzą się dzieci sąsiadom, niektórzy niestety umierają, jak ta samotna kobieta pod nami w średnim wieku, też ten gość z przeciwka, mamy piec, w którym nigdy nie zapalano po wojnie, raz spróbowałem, nie umiem, kupmy lepiej grzejnik, powinien wystarczyć, jest cienka ściana w pokoju, inni grzeją jak wariaci, pomogą nam tanio przetrwać. Słodycz samodzielności, słodkie lata siedemdziesiąte, końcówka, mamy już radio Amator fotele Kon-Tiki stary tapczan od matki zepsuty niszczoney coraz bardziej, jak to u młodych pękają sprężyny, stal nie wytrzymuje naszego entuzjazmu, widocznie słabo ją hartowano, na regale książki biblioteka coraz większa przywiązana do mnie i wierna jak pies. Pięknie jest żyć i być młodym na ulicy Wandy za Gierka, zielona Danuta zielony Waldemar, ich oczy jak piękne świece i szkoda, że piecyk gazowy w łazience trochę dymi, musimy go naprawić, inaczej będzie nieszczęście i wysadzimy w powietrze pół domu albo i więcej.

Wrocław

Ręką po płocie z falistej blachy, jak dawniej dreszcze emocje przyskają zmysły i nikt mi nie wierzy jak to przyjemnie, jak dobrze, jak oczyszczająco. Katharsis kijem po sztachetach, cała symfonia pierwsza druga dziewiąta, dziewięć moich symfonii niekonkretnych przypadkowych niepozbieranych, i proszę nie stukać nam od rana pod oknami. Idę wyzwolony odmłodzony przez ocieplenie gwałtowne przez koniec mrozów, z rozwianym szalikiem z rozpiętym płaszczem, mam na rękach ślady brudu płotu resztki farby. Ulica Szewska ulica Kuźnicza z malowniczą ruiną z drzewami rosnącymi na balkonach, wstęp wzbroniony, nie pluć nie deptać dawnej świetności. Plac przed Dworcem Świebodzkim i jego boczne odnogi fascynujące nieprzebyte, patrzę na jedną z nich, nigdy tędy nie szedłem, prowadzi donikąd, skręcamy zawsze w Robotniczą i tędy, a tamta droga jest niezamieszkała negatywna opustoszała ginąca w oddali i nie wiesz skąd biorą się takie liche niechciane niepotrzebne ulice na ogólnie optymistycznym, jak mówią, planie twojego miasta. Wyobrażasz sobie zapomniane place mokre zaułki ciemne poddasza błotniste pobocza, przecinasz je reprezentacyjnymi ulicami pokazową promenadą głównymi trasami, niech się wiją przenikają kopulują, niech powstanie z tego nowe miasto słońca nowa utopia nowy brud za paznokciami święto ludowe, gwiazdy o niespokojnych obliczach. Spotykasz kogoś biegniesz śpieszysz się do Ossolineum przez dziedziniec obok studni obok murów porośniętych bluszczem, nie śpiesz się tak, zaczekaj, popatrz jak powstaje twój świat, którego końce sięgają do Odry do ulicy Grodzkiej Łokietka Jedności Narodowej Nowowiejskiej, tu się zatrzymujemy, dalej nie dzieje się nic ciekawego, tam kończą się przetarte szlaki, tam umierają sturęcy olbrzymi, których macki nie sięgają poza twoje granice twój okrąg poza zdarty naskórek zmysłów poznania dotyku. Mówisz tak, jakbyś był niewidomy odległy rozproszony we mgle, ręką po płocie, i kiedy skończą remontować ten pałac ten portal fasadę kamienne obramienia schody prowadzące niegdyś do sali balowej, niestety nie ma mocy przerobowych, nie ma mocnych, z taką robotą nie można się śpieszyć, tym bardziej jak nie ma pieniędzy. Patrzysz pod światło, patrzymy jak ulice od zawsze negatywne zamieniają się w czarno-biały pozytyw, Ziemie Zachodnie i Północne są szczęśliwie, ponieważ są coraz bliżej macierzy.

Waldemar Okoń, *Jestem jak echo. Rok 1983*, Wrocław 2017.



Jan Sawka, *Wrocławskie Studio Piosenki AD LIBITUM*, 1970, linoryt, plakat (czyt. s. 184)

Konstelacje

wybrane fragmenty

NA ZACHODZIE

Pociąg długo stoi na stacyjce w Łambinowicach. Część więźniów pognano na śmierć do tego straszego obozu, część pojedzie dalej.

Jurek dowie się dopiero wiele lat po wojnie, co to był za obóz. Nieprędko bowiem jego nazwa będzie wymawiana na równi z innymi miejscami kaźni. Po wojnie mordowano tutaj Niemców z takim przekonaniem, jakby straszny kodeks Hammurabiego nadal obowiązywał.

Pociąg jedzie dalej. Teraz przetacza się przez ogromne, jeszcze niezniszczone miasto Breslau.

Niewiele widać z okienek towarowych wagonów. Stare, czysto utrzymane mury, szerokie ulice, tramwaje, ogromna ilość parków, a wreszcie imponujący wielkością dworzec. Ale pociąg jedzie dalej. Zagłębia się w noc, którą po kilku godzinach rozjaśniają łuny. Więźniowie się cieszą.

– Musiało być alianckie bombardowanie.

Ale to nie bombardowanie. Pociąg przejeżdża obok ogromnych koksowni, gdzie zawsze żarzą się węgle i pełgają ogniki.

Pociąg zatrzymuje się na bocznicy. To Waldenburg. Obóz pracy.

Jerzy głęboko oddycha powietrzem przesyconym dymem, przypominającym woń płonących w powstaniu kamienic.

W CIENIU WULKANU

W chwili przejścia Wałbrzycha przez Rosjan Jurek właściwie pierwszy raz w życiu poczuł się naprawdę wolny. Ma świadomość, że teraz może zrobić dosłownie wszystko. Pójść w każdą stronę, zostać każdym, zostać nikim.

– Pamiętasz, jak tutaj jechaliśmy – mówi jeden z obozowych kolegów – to duże miasto, Breslau. Pamiętasz? Wielkie, piękne, bogate.

Decyzje wtedy podejmowało się szybko.

– Jedziemy tam.

Jedziemy – paradoksalnie – oznaczało rzeczywiście jazdę, ale nie pociągiem czy samochodem. Dwa wielkie rowery na balonowych oponach to był w wojennym zamęcie prawdziwy skarb.

Chłopcy, z trudem pedałuując, wydostają się z wałbrzyskiej doliny. Na ramionach naprędcie sklecone plecaki, w których kryją się skarby – kawałek chleba, mocny sznurek, zapasowa czapka, świeczka, nożyk. Mijają ogromny park kryjący mury ledwie widocznego zamczyska. Teraz jest tutaj pusto, ale ewakuacja zamku z doborowych niemieckich oddziałów nastąpiła w ostatniej możliwej chwili. Drogę przebiega im w pewnej chwili koń, jeden z okazów zamkowej stajni. Jurek przypomina sobie konie u wujka Henryka. Razem z Marią jeździli czasem na przejażdżki.

Za Książem rozciąga się bezkresny płaskowyż, przez który wiedzie w nieskończoność pusta szosa. Jedyny punkt orientacyjny – samotna góra o nazwie Zobtenberg – wygląda niczym wygasły wulkan.

ŚWIAT JEST MAŁY

Południowa strona Wrocławia jest doszczętnie zniszczona.

Radzieckie uderzenie i zacięty opór Niemców dosłownie starły z powierzchni ziemi rzędy pięknych kamienic i zamieniły je w pustynię. Tym martwym polem wędruje dwoje młodych ludzi, prowadząc rowery wąskim pasem komunikacyjnym wolnym od gruzów, niczym wąwozem wyżłobionym nurtem rwącej rzeki. To, co widzą, zasadniczo różni się od obrazu, jaki ukazał się niecały rok temu z okienka zaplombowanego wagonu.

Kiedy zbliżają się do ocalałego wiaduktu kolejowego, zatrzymuje ich radziecki patrol. Nie wystarczają dokumenty wydane w obozie, Rosjanie chcą ich zatrzymać. Dopiero zwykła transakcja – oddanie rowerów – pozwala wejść do miasta. Unieruchomione tramwaje i rozbite sklepy, z których nie zdołano jeszcze wszystkiego wynieść. Im dalej, tym więcej ludzi egzystujących w niewyjaśniony sposób pośród martwych murów. Za kolosalnym budynkiem uniwersytetu otwiera się rzeka. Nie, nie jest w niczym podobna do Wisły. Porozdzielana na pojedyncze kanały; obecna w całym mieście. Tuż przy nadbrzeżu zatopiona barka, z której nie sprzątnięto jeszcze trupów niemieckich żołnierzy. Mocno nadszarpnięty most prowadzi na drugi brzeg, gdzie wita przybyszów nieco skromniejsza część miasta, ale za to lepiej zachowana.

Na placykach małe cmentarze. Groby przetrwają zaledwie kilka tygodni. Staną na nich prowizoryczne stragany i budki, a w przyszłości domy niezdarnie uzupełniające wyłomy w ciągach secesyjnych kamienic.

Mała uliczka wita ich zapachem chleba – tutaj działa pierwsza piekarnia. Dalej, na rozległym placu – rozłożyło się targowisko.

Świat jest mały.

– Jurek! – woła ktoś z tłumu.

– Bogdan! – usta same wymawiają imię warszawskiego kolegi.

Jaki traf sprawia, że serdeczny druh znalazł się tutaj, w na wpół zburzonym, obcym mieście?

– Słuchaj – mówi Bogdan – zająłem niedaleko doskonałe mieszkanie. Mam tam dosłownie wszystko. Obok, na tym samym piętrze, jest drugi lokal. Mógłbyś tam zamieszkać. Poznałem tutaj świetnych ludzi, a dziewczyny... Pożyjemy jakiś czas i ruszymy do domu, do Warszawy. Jesteśmy młodzi. Świat ściele się u naszych stóp.

Kolega z obozu jeszcze tego samego dnia przechodzi pod wiaduktem, za którym jest dworzec kolejowy. Zostawił gdzieś tam, daleko, narzeczoną. Żyje, nie żyje – trzeba sprawdzić. Dla niego każdy dzień, każda godzina jest cenna.

RADIO SIEMENS

Buszowanie po mieście, w którym nadal trwają w niezmienionym stanie mieszkania porzucone przez byłych właścicieli, nieopróżnione jeszcze magazyny sklepowe, otwarte zakłady, przynajmniej te, których nie pozajmowało wojsko – jest czymś niepowtarzalnym. Ulicami przetaczają się watahy ludzi taszczących poniemieckie dobro, które następnie wywożą w głąb Polski, gdzie każdy przedmiot nabiera wielkiej wartości.

W mieszkaniu Jerzego jest wszystko, czego potrzebuje do życia.

Nie zapomina o zainteresowaniu radiotechniką i ściąga, skąd tylko może, sterty kondensatorów, wskaźników i potencjometrów, z których ma zamiar zbudować w przyszłości jakieś urządzenia, ale – jak na razie – jedynym działającym aparatem jest piękne radio Siemensa z wbudowanym ogromnych rozmiarów głośnikiem niskotonowym. Gramofon i zestaw płyt z nagraniami ulubionych niemieckich piosenkarzy zamienia często ogromne mieszkanie w muzyczny salon, gdzie usłyszeć można również muzykę Beethovena i Bacha. Wśród płyt – o dziwo – jest także krążek z muzyką Counta Basiego i Harrego Jamesa i cały zestaw z nagraniami jazzującego niemieckiego comba Petera Kreudera.

Ellingtonowski Caravan rozbrzmiewa w ponemieckim Wrocławiu.

KAŚKA

Nareszcie przychodzi wiadomość od Jurka.

– Jadę do niego. – Maria natychmiast decyduje się odwiedzić syna.

– Zaczekaj, przecież to takie niebezpieczne. Tam, na zachodzie, grasują bandy szabrowników – uspokaja ją Ludwik.

Maria nie słucha. Pociągi jeżdżą, choć rozkład jazdy nie istnieje.

Czasami trzeba usadowić się na zewnątrz wagonu albo na samej lokomotywie.

Podróż trwa kilka dni i okazuje się najbardziej ekscytującą wyprawą, jaką Maria odbyła w swoim życiu; łącznie z tymi, na które jeździła z nieodżałowanym panem Lentowiczem. Kiedy wychodzi przed obszerny, pełen zgiełku i ruchu dworzec, witają ją masywne mury wielkiego miasta. Główne ulice są już oczyszczone z gruzu, ale co krok, pomiędzy kamienicami, widoczny jest wyłom wypełniony pozostałościami zburzonego domu.

Jakimś cudem udaje się znaleźć odpowiednią ulicę i bramę. Na drugie piętro wiodą wygodne, wyłożone bordowym linoleum schody, których stopnie zabezpieczone są lśniącymi mosiężnymi listwami. Drzwi, zza których dobiega głośna, skoczna muzyka, otwiera wysoka, dobrze zbudowana dziewczyna o długich włosach.

– Jurku! – woła, przekrzykując muzykę. – Twoja mama.

DO WROCŁAWIA

Ludwik bardzo długo się zastanawia, nim oświadcza Marii:

– Dostałem propozycję pracy we Wrocławiu. Mam już dosyć bezczynności i oszukiwania się, że mieszkanie w przeznaczonym do rozbiórki domu ma jakąś przyszłość.

– Chcesz jechać do Jurka? Przecież on lada chwila ściągnie tutaj – dziwi się Maria.

– To zaczeka. We Wrocławiu organizuje się największa w Polsce fabryka wagonów. Na początku zająłbym się uruchomieniem sieci ciepłowniczej. To jest ogromny zakład, prawie jak miasto.

– A gdzie będziemy mieszkać?

– Proponuję wygodną willę, ale chyba lepiej będzie nam z Jerzym. W końcu to tylko na jakiś czas.

Życie w zburzonej stolicy doskwiera Marii. Gdzieś podzieli się dawni znajomi. Nowe porządki niespecjalnie się jej podobają. Do miasta ściągają całe rzesze ludzi z prowincji, zatrudnianych przy odbudowie. To nie jest już jej Warszawa.

– Zaczekamy tam, aż stolica się odbuduje. Zaczną działać instytucje, zakłady... Wtedy wrócimy.

Na szczęście cały ich dobytek mieści się w dwóch walizkach.

Jedynie huculski wazon trzeba nieść w ręku.

MARIA ROZPOCZYNA PRACĘ

Maria szuka jakiegoś zajęcia. Kiedy przypadkiem spotyka profesora Raszkowskiego, z którym przed wojną miała wykłady z chemii organicznej, bez wahania przyjmuje propozycję pracy w instytucie. Musi jednak obiecać profesorowi, że dopilnuje spraw związanych ze swoim dyplomem, którego przecież nie zdążyła zrobić.

Instytut prowadzi żona profesora, która wcześniej była jego asystentką. Znają się

z Marią doskonale. Ponieważ w instytucie pracują również inne osoby z wydziału, nowa pracownica przyjęta jest z otwartymi rękami. Dodatkowy jej atut stanowi doskonała znajomość obcych języków, szczególnie francuskiego, co okazuje się bardzo przydatne przy licznych tłumaczeniach prac naukowych.

Przynajmniej w co drugą niedzielę Maria zabiera Ludwika do państwa Raszkowskich. Ponieważ stoi tam całkiem przyzwoite pianino, namiętnie grywa Szopena. Dlaczego nie decydują się na instrument w swoim domu?

– Okrzepniemy trochę i ruszamy do Warszawy. Nie możemy mieć za wiele rzeczy – mówi Ludwik, odmawiając po raz kolejny przydziału na wygodny dom na przedmieściu.

SZTUCZNE OGNIĘ

Miasto zwariowało. Jeszcze straszą ruiny, jeszcze na bocznicach stoją wagony pełne rozbiórkowych cegieł, a wokół wielkiego budynku Hali Ludowej trwa festiwal koloru ostatni kwiatek przed nadchodzącymi latami szarżyzny.

Jurek i Kaśka – ta sama dziewczyna, która przed dwoma laty otworzyła drzwi Marii – spacerują wśród tłumów przelewających się między wystawowymi pawilonami. W jednym z nich – zbudowanym w kształcie beczki – sprzedaje się piwo z dolnośląskich browarów. Piwo jest jeszcze smaczne i odpowiednio się pieni, ponieważ warzy się je według porządných niemieckich receptur.

Kaśka i Jurek wraz z paczką znajomych siedzą na tarasie letniej kawiarni, przed którą rozpościera się okrągły staw z fontanną, a dookoła wznosi się obrośnięta winoroślą pergola.

Na tym tarasie spędzają długie godziny, czekając na wieczór, kiedy na niebie pojawiają się sztuczne ognie. Teren wystawy jest dla nich światem wolnym od codziennych zmartwień.

Jurek jest wysokim, przystojnym młodzieńcem. Nosi okulary, które przydają mu nieco powagi. W tańcu mocno przytula Kaśkę, a ona z przyjemnością przylega do niego swoim młodym, gorącym ciałem.

Jurka cieszy obecność tej ładnej, atrakcyjnej dziewczyny. Lubi mieć ją przy boku, lubi, kiedy oglądają się za nimi na ulicy.

– Pojedziemy razem do Warszawy. Mam tam sporo przyjaciół, kolegów ze szkoły...

– A twoja rodzina? Oni tutaj zostaną?

– Rodzina? Jakże to ma znaczenie?

KAŚKA WYBIERA MĘŻA

Na podłodze dużego pokoju posłania dla kilku osób. Pół Warszawy przyjechało obejrzeć wystawę, której wspomnienie przysłoni swoim rozmachem dopiero budowa Pałacu Kultury i Nauki. Przyjechał również Bogdan. W pierwszym

momencie chciał wejść do swojego byłego mieszkania, ale natknął się na starszego, korpulentnego mężczyznę. Pan Goldbacher, właściciel małego zakładu produkującego kable, wcale nie zdziwił się tą wizytą. Maria kilka razy wspominała mu o poprzednim lokatorze.

– Jeżeli pan chce, proszę przenocować u mnie.

– Będę spał u Jerzego.

Wieczorem siedzą, długo wspominając beztroskie chwile pierwszych tygodni po zakończeniu wojny.

– Pamiętasz profesora Pawłowskiego? – Bogdan zmienia temat. – Nie żyje.

Wiecznie przestraszony, znerwicowany nauczyciel z kompletów.

Lata okupacji przypląciły ciężką chorobą serca. Taka jest rzeczywistość, bo powieści o wojennych bohaterach, którzy nie bali się niczego i szafowali życiem, dopiero zaczynają się rodzić w umysłach tych, którzy pozostali na uboczu wydarzeń.

Jerzy nie zabierze Kaśki do Warszawy. Dziewczyna jedzie tam z Bogdanem.

MARIA PO RAZ DRUGI SPOTYKA PABLA PICASSA

Na uroczej uliczce ciągnącej się wzdłuż kanału Odry jest bardzo ciasno. Nazwano ją ładnie – Wybrzeżem Wyspiańskiego. Pokazuje się gdzieś oryginalny kapelusz pani Raszkowskiej, uśmiecha się z tłumy któraś ze znajomych Jerzego.

Wreszcie wychodzą. Na szerokich schodach wejściowych do głównego budynku politechniki pojawiają się oni. Wielki artysta jest wśród nich.

Tłum, mimo zabiegów sił porządkowych, otacza grupę intelektualistów uczestniczących w zjeździe. Maria jest tuż przy nim.

Wielki artysta ma fotograficzną pamięć.

– Pamiętam – mówi, patrząc na Marię.

Przez chwilę rozmawiają, ale przed budynek zajeżdżają samochody i goście udają się na jakieś kolejne oficjalne spotkanie.

– Proszę mnie koniecznie odwiedzić w Paryżu – mówi na koniec artysta i ściska dłoń Marii.

Przez chwilę jego ciemne oczy błyszczą niczym gwiazdy nad nocną Sekwaną.

GOLDBACHER DZIĘKUJE MARI

– Pani Mario, jak ja się pani odwdzięczę? – Gruby mężczyzna o sympatycznej twarzy pije małymi łykami herbatę z filiżanki.

– Przecież jesteśmy sąsiadami – tłumaczy Maria, podsuwając gościowi ciasteczka swojego wypieku.

– Wie pani, jak trudno teraz prowadzić interes? Każdy urzędnik robi trudności, każdy traktuje człowieka jak przestępcę. Same przeciwności.

– Wiem dobrze, panie Goldbacher. Tuż po wojnie usiłowałam prowadzić sklep. Kontrola na kontroli. Kary, utrudnienia. Nie dałam rady.

– No tak, ale pani jest wykształcona, mąż ma takie piękne stanowisko w Pafawagu. A ja, cóż ja, zwykły Żyd. Znam się tylko na tych kablach. I wie pani co? Państwowe zakłady zamawiają u mnie towar z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Gdyby mi pozwolono, otworzyłbym największą fabrykę w Europie.

– A ta pani, ta ładniutka, to pańska córka, żona? – Maria zmienia temat.

Goldbacher spuszcza wzrok.

– Kto by chciał starego, grubego brzydala za męża? Maja przyjechała z małej wioski. Uczy się. Ja jej zapewniam byt, ona mi towarzystwo. Nie ingeruję w jej prywatne życie. Ma koleżanki, kolegów, swoją sympatię. Dla nich jestem jej wujkiem. A że daje mi trochę czułości? Mój Boże, za to, co przeżyliśmy w czasie wojny, ta odrobina ciepła...

KAMIEŃ

Pogrzeb odbywa się w rzęstym deszczu. Niemy cmentarz przyjmuje zmarzniętą grupkę ludzi. Przyjeżdża Zofia, ciągle przybita śmiercią Teresy, ciągle wystraszona możliwymi konsekwencjami.

Maria nie płacze. Jej małżeństwo było chłodne jak dzisiejszy deszcz.

Jurek myśli o ojcu. Stara się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio dłużej ze sobą rozmawiali. Nie potrafi. Byli dwojgiem obcych sobie ludzi. Zwariowana młodość nie pozwala na dłuższe chwile refleksji.

– I tak trzeba będzie za jakiś czas załatwić ekshumację. Ludwik chciał leżeć ze swoim ojcem na Powązkach.

Kiedy wracają do domu, ze zdziwieniem zauważają na wycieraczce przed drzwiami kamień. Niewielki, zwyczajny kamień.

Maria, chowając go do szuflady biurka, ma wrażenie, że czuje na nim dotyk czyjejś dłoni. Po chwili dzwonek. Mieszkająca u Goldbachera dziewczyna przynosi naręcz białych goździków.

To niespodziewane tchnienie życia w smutnym dniu.

Zofia pali papierosa za papierosem. Patrzy na Marię. Patrzy tak samo, jak patrzyła na nią pół wieku temu; z miłością.

Jurek spieszy się na jakieś ważne spotkanie.

Ludwik moknie.

Przez rok przeleży w niegościnniej ziemi ponemieckiego cmentarza. Potem spocznie obok ojca, pułkownika artylerii, którego nawet nie pamiętał.

PROFESOR RASZKOWSKA NIE ZNOSI KOMUNIZMU

Profesor Raszkowski już dawno nie żyje, jego żona przejęła instytut. W domu czuje się samotna, więc często zaprasza znajomych z pracy. Maria bywa u niej prawie w każdą niedzielę. Kiedy przyjeżdża do niej Zofia, idą razem w odwiedziny. Drzwi otwiera mała Ula, wychowanka pani profesor, która znalazła tutaj dom, wypełniając puste miejsce po zmarłym w czasie wojny dziecku. W małym pokoiku dziewczynka trzyma swoje skarby – zabawki. Każdy z gości pani profesor poczuwa się do obowiązku obdarowania jej kolejnym drobiazgiem.

Po smacznym jak zawsze podwieczorku Zofia zapala papierosa.

– A pani – zwraca się do niej profesor Raszkowska – wysługuje się komunistom? Maria czuje się nieprzyjemnie, zna bowiem poglądy swojej przełożonej.

– Jestem komunistką – odpowiada Zofia – więc jeżeli komuś się wysługuje, to sobie i swoim poglądom.

– Ale przecież pochodzi pani z inteligenckiej rodziny. Czy ładnie to tak występować przeciwko swojej klasie społecznej? – profesor Raszkowska nie daje za wygraną.

– Jestem za społeczeństwem bezklasowym.

– A patriotyzm? Ojczyzna? To nie ma dla pani znaczenia?

– Żyjemy w swoim kraju. Gdyby nie komunizm, nadal cierpielibyśmy niewolę. Proszę spojrzeć, ile zrobiliśmy. Przemysł, edukacja, zrównanie praw mężczyzn i kobiet.

– Co też pani mówi! Chodzi o te traktorzystki, milicjantki? Przecież to wierutna bzdura. Ludzie nie są równi. Nie są jednakowo zdolni. Kobiety nie mogą być górnikami, bo są po prostu za słabe. Mężczyźni nie pracują w fabrykach włókienniczych, bo mają za duże dłonie.

MARIA GRA SZOPENA

Maria od czasu do czasu zabiera wnuczka na spacer albo na niedzielne odwiedziny u profesor Raszkowskiej. Syn Jerzego i Anny zaprzyjaźnia się z wychowanką przyjaciółki babci Ulą, z którą potrafi spędzać w jej pokoju – królestwie zabawek – dosłownie cały dzień.

Panie mogą w tym czasie spokojnie porozmawiać, wspominając przedwojenne czasy, lub zastanawiać się nad przyszłością instytutu, w którym – choć Maria jest tylko szeregowym pracownikiem pobierającym niską pensję – głos jej liczy się zaraz po zdaniu szefowej.

Czasami przerywają rozmowę, a Maria siada do pianina.

Czas wtedy cofa się i Maria ma wrażenie, że jest znowu w majątku rodziców, że zaraz otworzą się drzwi i wejdzie Józef ze swoimi skrzypcami. Ale Józef się nie pojawia. Co najwyżej zagląda czasem Zofia, która na swoim przymusowym

zesłaniu do Wrocławia otrzymuje jakiś etat w urzędzie wojewódzkim. Te wizyty kończą się zawsze tak samo – awanturą. Dla profesor Raszkowskiej czas sprzed wojny jest czasem idealnym, a to, co dzieje się z Polską od wkroczenia Armii Czerwonej, uważa za tragedię.

Trzaskają drzwi, a w mieszkaniu pani profesor pozostaje tylko zapach dymu z papierosów Zofii.

MARIA CZYTA NA GŁOS

W domu panują porządki, które przypominają Marii atmosferę z czasów, kiedy żył Ludwik. Wraca cisza. Kiedyś oznaczała nieobecność męża, który do późnego wieczora pracował w firmie. Teraz są to popołudnia i wieczory, kiedy Jurek, ślęcząc nad projektami, zamyka się w pokoju zaadaptowanym na pracownię; sam albo z którymś z kolegów inżynierów. Anna zajmuje drugi pokój i siedzi nad książkami z nadzieją, że wróci w końcu na przerwane macierzyństwo studia. Pozostaje Maria i jej wnuczek Staś, który na szczęście jest spokojnego usposobienia. Brzdąc z ciekawością śledzi jej każdy ruch w kuchni, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy zapali nad stołem lampkę, wyjmie z szuflady książkę i zacznie czytać. Ta umiejętność, którą nabyła, czytając niegdyś książki swojej matce, kiedy ta zaczęła mieć problemy ze wzrokiem, przydaje się teraz. Dzięki niej rozpala wyobraźnię małego szkraba wpatzonego w nią szczęśliwymi oczami.

MARZENIE LEONARDA

– Maria? – mistrz Xawery nie jest pewien, czy się nie pomylił.

Maria ciągnie za rączkę Stasia; ten ledwie nadąża za jej szybkim krokiem, którym pewnie przemierza wrocławskie ulice.

– Co z twoimi końmi? Czasy się zmieniły, prawda? – pyta, wskazując przejeżdżający tuż obok autobus, którego rura wydechowa wypuszcza właśnie kłęby czarnego dymu.

– Marzenie Leonarda – odpowiada Maria. – Chciałam rzeźbić konie, ale zrobiłam zaledwie kilka portretów, z których ocalał tylko jeden, wcale nie najlepszy. Mistrzu – to daleka przeszłość. Wojna i to życie – wskazała na wnuka.

– Nie wiem, nie rozumiem. Przeżyłem obóz i jedyne, co trzymało mnie wtedy przy życiu – to sztuka. A i potem – również. Proszę sobie wyobrazić, że w 1952 zamówiono u mnie pomnik Stalina. Kiedy zobaczyli projekt, pokiwali łysinami, piękny, powiedzieli, piękny, ale gęba generalissimusa widać im do gustu nie przypadła. Bo i była paskudna. Istny Boruta. A ja teraz, Mario, tutaj, na PWSSP. Proszę mnie koniecznie odwiedzić.

MAŁY STAŚ OGLĄDA WIELKI ŚWIAT

Budzi się wcześnie. Słyszy, jak wychodzi do pracy tata, potem mama, a następnie babcia.

Pod lampą zwisającą z sufitu rozsiada się kilka muszek, które raz po raz zrywają się do kolistego lotu, sprawiając wrażenie, jakby bawiły się w berka.

Okno zamknięte, ale uchylony jest lufcik, przez który dochodzą dźwięki z ulicy. Ktoś krzyczy.

Łóżecko stoi przy oknie. Łatwo jest uklęknąć na posłaniu i wyjrzeć przez szybę. Jakiś stary człowiek ciągnie sklecony z desek wózek pełen nikomu niepotrzebnych rzeczy.

– Butelki, szmaty skupuje! – woła raz po raz, chociaż nikt nigdy do niego nie podchodzi.

Za to inny gość na ulicy – ten, który niesie przewieszony przez ramię metalowy stelaż z kołem zamachowym – kiedy tylko ustawi na bruku to przedziwne urządzenie i zaczyna uderzać w prostokątną sztabkę jakimś metalowym przedmiotem, wydającym czysty, przyjemny dźwięk, przyciąga natychmiast grupkę osób ze stępionymi nożami i nożyczkami w dłoniach.

– To coś dla mnie – myśli Staś i marzy, że jak będzie duży, wybierze właśnie taki zawód.

Ale zaraz przyjeżdżają śmieciarze i zgrabnie wyprowadzają z bram okrągłe metalowe kubły, lekko je unoszą i zaczepiają o haki w tyle samochodu. Rozlega się syczenie i zaczyna opróżnianie. Puste pojemniki odstawiane są już tylko przed bramą. Śmieciarze wskakują na mały pomost w tylnej części auta i jadą, dumnie rozglądając się po ulic.

Przychodzi babcia, ubiera Stasia i sadowi go przy kuchennym stole. Przed nim kubek ze słodkim kakao, na którego powierzchni pływa niczym góra lodowa pianka ubita z białek.

Babcia krząta się po kuchni. Nuci rosyjskie romanse.

– Babciu, opowiedz o swoich braciach.

I Maria opowiada o braciach, o sobie, o życiu w małym majątku na początku tego wieku, którego koniec już od kilku lat odmalowuje w swoich futurystycznych książkach Stanisław Lem.

POCHÓD KWIATÓW

Można przyzwyczaić się do życia w drodze. Kraj jest wielką budową. Wszędzie potrzebni są fachowcy od drążenia w ziemi. Ale również wszędzie są ci, którym nowy porządek świata się nie podoba. Michał poznaje coraz szerszy krąg ludzi zaczynających tworzyć coś w rodzaju frontu niezadowolenia. Ma wielu

przyjaciół, z którymi spotkania przeradzają się w snucie wielkich planów o wolnej Polsce, a może raczej po prostu o demokratycznie rządzonym państwie. Mało kto może się w tym połapać. Socjalizm zmazał biedę, wykształcił już dwa pokolenia, a że o siedemnastym wrześniu trzeba zapomnieć... Są ważniejsze daty. Choćby dwudziesty drugi lipca. Właśnie wtedy zjawiają się we Wrocławiu razem z Krystyną. Zatrzymują się u jakiegoś znajomego ze studiów. Przez Wrocław maszeruje pochód kwiatów. Ulice kolorowo przystrojone, a środkiem suną wozy, traktory i ciężarówki z pachnącą zawartością. Trochę to nieprawdziwy obraz świata, trochę zretuszowany, ale obraz, który na zawsze pozostaje w pamięci wszystkich mieszkańców miasta nad Odrą, którzy byli wtedy dziećmi.

– Może wrócimy tutaj? – pyta nieśmiało Krystyna. – Zabralibyśmy Julkę od dziadków, ty wróciłbyś do malowania i skończyłaby się wreszcie nasza tułaczka.
„Tułaczka? – powtarza Michał w myślach. – Tułaczka to nasza wolność”.

GOLDBACHER WYJEŹDŻA NA ZAWSZE

– Wyjeżdżam.

Goldbacher jest roztrzęsiony.

– Czy nie ma innego wyjścia? Czy nie ma jakiejś możliwości...

– Nas, Żydów, przeganiają co jakiś czas z miejsca na miejsce – tłumaczy. – Musieliśmy się do tego w końcu przyzwyczaić. Nie zna pani historii?

– Znam aż nazbyt dobrze – odpowiada Maria.

– Izrael to nasz kraj. Ziemia obiecana. Jakoś to będzie, w końcu nie dotyczy to tylko mnie. Zaopiekują się państwo Elżbieta?

– Nie musiał pan pytać – uspokaja go Maria. – Oczywiście że się zaopiekujemy.

– Ja zostawię pieniądze, zabezpieczę.

– Nie trzeba. Elżbieta radzi sobie doskonale. Proszę jechać i dobrze nas wspominać.

ZIEMIA OBIECANA

List przychodzi dziwnie wymięty i wielokrotnie opieczętowany.

Jerzy długo ogląda kopertę z wszystkich stron, zanim decyduje się ją otworzyć. To list od Goldbachera, który opisuje swoje losy po opuszczeniu Polski; wyjazd do Izraela, próbę normalnego życia w zupełnie obcym dla niego kraju i desperacką ucieczkę. Oczywiście powrót do Polski jest niemożliwy. Najbliżej ukochanych miejsc są Niemcy, i tam się zatrzymuje, w Monachium. W każdym zdaniu, w każdym słowie czuje się, że ów człowiek gaśnie z tęsknoty.

PAPIEROSY DAMSKIE

Jest wieczór. Dzwonek do drzwi. Staszek z lekkim przestraczem idzie długim, mrocznym korytarzem łączącym wszystkie pomieszczenia mieszkania.

– Kto tam?

To Zofia. Zawsze przynosi Stasiowi coś w prezencie. Kiedy jakiś czas temu ofiarowała pudełko z napisem Halma; przez długie tygodnie można było cieszyć się kilkudziesięcioma kolorowymi pionkami, które w zabawach przemieniały się w rzesze maleńkich ludzików. Ale tym razem, wyjątkowo, prezentem nie jest gra.

– I co u ciebie, Mańka? – pyta niezmiennie pani Zofia, patrząc na Marię tak, jak nie patrzy na nią nikt.

Nikt inny również nie zwraca się do niej Mańka. No, raz jakiś znajomy tak do niej powiedział. Kiedy Staś zapytał, kto to jest, babcia uśmiechnęła się i wyjaśniła, że to kolega pana Lentowicza. Ale kto to jest pan Lentowicz?

Na stole pojawia się kawa i... popielniczka. W domu nikt nie pali i nikomu z odwiedzających na to się nie pozwala – nawet znajomi Jerzego, którzy zaglądają w sprawie projektów, muszą wychodzić na balkon albo klatkę schodową. Wyjątkiem jest Zofia. I chyba dlatego palenie bardzo długo kojarzy się Stasiowi nie z nałogiem, ale z jakimś rodzajem rytuału. Tym bardziej, że sposób, w jaki przyjaciółka babci wyjmuje papierosa z paczki, zapala go i pali – nie jest zwyczajny. Na dodatek papierosy palone przez panią Zofię noszą nazwę Damskie i nie dość, że są lekko przyprawione, to zamiast wypełnionego filtrem ustnika posiadają jedynie tekturową rurczkę.

I zaczyna się rozmowa, z której dobiegają do Staszka tylko fragmenty. W snujących się leniwie opowieściach pojawiają się imiona nieżyjących braci babci i zdarzenia znane jedynie z podręczników historii. Często jest mowa o wojnie, która dla chłopca sprowadza się jedynie do nostalgicznych obrazów z dość często emitowanych radzieckich filmów.

POCHÓD PIERWSZOMAJOWY

Szkolne boisko. Lekcja przysposobienia obronnego, na której zwykle biega się z noszami, opatruje nieistniejące rany i zgłębia trudną sztukę tyczenia linii okopów. Kwiecień zajmują jednak ćwiczenia marszu w czwórkach, a nawet w ósemkach.

Ciekawe, czy istnieje jakieś zmuszające do tego zarządzenie, czy jedynie czyjaś nostalgia za czasami czerwonych krawatów powoduje te przygotowania do robotniczego święta. Oczywiście najtrudniejsze są zwroty, podczas których ci od wewnętrznej strony muszą dreptać w miejscu, aby wyrównać krok.

Pierwszego maja uzbraja się uczniów w fotografie komunistycznych świętych, przyklejone na tekturze zaopatrzonej w drewniany trzonek. Część dostaje wielkie, papierowe kwiaty mające wyrazić radość młodego pokolenia w pięknej chwili przemarszu przed okrytą czerwonym suknem trybuną. W szkole sprawdza się rygorystycznie obecność, ale do miejsca formowania pochodu docierają tylko nieliczni.

Staszek z Piotrem rozdają kwiaty mijanym na ulicy dziewczynom. Urywają się szybko i jadą tramwajem linii dziewięć na stary żydowski cmentarz, który od lat jest odgradzony wysokim murem, na tyle jednak w kilku miejscach wyszczerbionym, że łatwo daje się go sforsować. Stanisław zna prozę Kafki, zaczytuje się w Schulzu, ale jakoś nigdy nie zastanawiał się nad tym, że kultura żydowska – zupełnie nieobecna w powojennej Polsce – nierozzerwalnie łączy się z jej historią. Cały czas ma wrażenie, że jest czymś tak odległym w czasie i przestrzeni, jak kultura Majów czy Babilończyków.

NISKIE ŁĄKI

Mieszkanie. Dużo wolnego czasu. Dwoje młodych ludzi.

Kończą się studia.

Raz, dwa razy w tygodniu tabuny bliższych i dalszych znajomych przewalają się przez mieszkanie Agnieszki i Staszka.

W kuchni ustawione jest małe urządzenie destylacyjne. Kartkowa wódka Baltic nie dość, że jest reglamentowana, smakuje paskudnie, a ze sztucznego miodu, którego w sklepach jest pod dostatkiem, można upędzić całkiem znośny alkohol. Przyciemnione światło, modne piosenki, które na okrągło nadaje oderwane od rzeczywistości radio. Upić się i tańczyć. Tulić dziewczyny, całować. Imprezy trwają do rana. Na tle szarości zniewolonego miasta – kilkadziesiąt metrów kwadratowych swobody.

Następnego dnia goście sprzątają dom lub snują się smętnie po pokojach. Małe dramaty: miłości i rozstania; w ciągu kilku godzin.

Przez tydzień mieszka u nich przyjaciółka któregoś z kolegów Agnieszki. Ładna, ruda dziewczyna z Zakopanego. Kiedy wyjeżdża, zaprasza ich do siebie.

Jednego poranka niedobitki, które zostały po nocnej imprezie, postanawiają iść na daleki spacer. Mglisty poranek uspokaja puls, ucisza. Idą daleko, tam, gdzie kończą się ulice i zaczynają tereny nad Odrą zwane Niskimi Łąkami. Jest pusto, ale w pewnej chwili mijają inną grupę młodych ludzi, którzy – zapewne tak jak oni – również szukali tu wytchnienia po ciężkiej nocy.



Jan Sawka, *Wrocławska Grupa Muzyczna ELAR*, 1970, linoryt, plakat (czyt. s. 184)

Wszystkie drogi prowadzą do Wrocławia

Parafrazując słynne starożytne powiedzenie, nie chcę oczywiście w żaden sposób wzniecać dyskusji na jakieś banalne i oklepane tematy. Chodzi mi raczej o zwrócenie uwagi na pewien metafizyczny punkt wspólny, który stanowi coś w rodzaju przecięcia się losów różnych ludzi, pozornie (tylko pozornie) niemających ze sobą nic wspólnego. Analizując układy gwiazd, ciężko jest mówić o czymś w rodzaju wykluczenia, o trajektorii, która nie zgadza się w żaden sposób z jakimś większym systemem. Systemem czego? Dobre pytanie na wstępie rozważań dotyczących dwóch niezwykle tekstów, które w swoich najgłębszych warstwach traktują właśnie o przyczynach, o źródłach, o momentach przecinania się losów i przenikania bytów. Mam na myśli utwór *Jestem jak echo*¹ Waldemara Okonia, czyli pamiętnik poetycki ujmujący każdy dzień roku 1983, oraz powieść Krzysztofa Rudowskiego zatytułowaną *Konstelacje*². Tajemnica ludzkiej egzystencji zawiera się właściwie w jednym, prostym pytaniu – dlaczego tak, a nie inaczej? Czemu właśnie w takiej konfiguracji genów, relacji, zdarzeń? Następnym krokiem mógłby oczywiście stać się dylemat dotyczący postaci decyzyjnej, czyli szeroko rozumianego Stwórcy, czy też dyrygenta tudzież demiurga, który w sobie tylko wiadomy sposób supła losy i komplikuje relacje. Człowiek przychodzi na świat w jednym, konkretnym i ściśle określonym momencie. Pojawia się pośród rozmaitych wydarzeń, pośród wojen, przełomów politycznych, sporów o władzę. Przybywa podczas kadencji rządu, panowania tyrana, urzędowania papieża. Staje się członkiem rodu, dostaje krewnych oraz adres zamieszkania i rusza w drogę. Dokąd zmierza i z kim się spotka? Tego oczywiście nie wie. Jeśli jednak obejrzy się lub rozejrzy wokół siebie, zauważy z całą pewnością, że nie jest i nigdy nie był sam. Od czegoś się wszystko zaczęło, przez coś przeszło i na czymś w końcu się zatrzyma. Pęd życia. Energia kosmosu. Istnienia układają się w konstelacje. Nikt nie zna klucza odpowiedzi, ale wszyscy jesteśmy przekonani, że kiedyś zagadka zostanie wyjaśniona.

1 Waldemar Okoń, *Jestem jak echo. Rok 1983*, Warstwy, Wrocław 2017.

2 Krzysztof Rudowski, *Konstelacje*, Warstwy, Wrocław 2018.

Dwie niezwykle książki, które jednoznacznie i bezceremonialnie kumulują środek ciężkości w jednym konkretnym miejscu – w stolicy Dolnego Śląska. Wrocław, miasto, w którym pewne rzeczy się krzyżują, ocierają o siebie i zostają choćby w niewielkim stopniu wyjaśnione. Kim jest dziewczyna, na którą ukradkiem spogląda roztargniony student? Kto wie... Być może to wnuczka dawnego kochanka jego babci, który poszedł na wojnę i nie wrócił...

Analizy porównawcze zwykło się opierać na prostym schemacie wykazującym różnice i podobieństwa. Ta szkolna zasada pociąga jednak za sobą pewne ryzyko. Otóż idąc tym tropem, łatwo jest stracić z oczu oryginalność obu wartości. Porównywanie bowiem nigdy nie jest sprawiedliwe – ani dla jednej, ani dla drugiej strony. Unikatowość polega na braku możliwości porównań czy też wręcz na niemożności znalezienia jakichkolwiek odniesień. Zacznę zatem od wyznania, iż w obydwu przypadkach mamy do czynienia z dziełami na wskroś oryginalnymi, niedającymi się z czymkolwiek zestawić. Jednakowoż każdy tekst ujmuje poniekąd te same problemy w zupełnie inny sposób. Punktem wspólnym staje się również Wrocław, w którym w pewnym sensie wszystko się zbiega. Pierwszą i zarazem najbardziej rzucającą się w oczy różnicą jest forma. U Waldemara Okonia mamy do czynienia z pamiętnikiem, który ujmuje w swoje ramy jeden rok życia jednego konkretnego człowieka. U Krzysztofa Rudowskiego z kolei stykamy się z mozaiką mikrorozdziałów, które zupełnie niepostrzeżenie układają się w jedną całość fabularną. Obydwa tekstu bazują na motywie splatania się losów oraz wizji układów egzystencjalnych, które nigdy nie zostaną do końca zbadane. Z tym że środek ciężkości w każdej opowieści jest gdzie indziej. Waldemar Okoń kreuje system scentralizowany. To on sam, jako bohater i narrator, jest źródłem energii i motorem napędzającym całość. Od jego osoby odchodzą niejako rozgałęzienia, które podążają w wielu różnych kierunkach i na wszystkie strony świata – także do przeszłości, a może nawet – przede wszystkim do niej. Nie chodzi więc o dywagacje na temat – kto z kim ma się połączyć, ale raczej nad tym, co musiało się wydarzyć, aby ukształtować jednego, konkretnego człowieka. Z kolei Krzysztof Rudowski tworzy pewnego rodzaju mapę, na której nie ma żadnego punktu centralnego, ale są linie krzyżujące się lub biegnące równolegle. Losy ludzkie się przeplatają po to, aby dalej podążać w nieznanym kierunku. Owszem, ludzie na siebie wpływają i nawzajem siebie kreują, aczkolwiek dzieje się to w sposób panoramiczny, szeroki i niescentralizowany. Zatem pytanie: „Dlaczego jestem akurat taki, a nie inny?” w obu przypadkach zdaje się uruchamiać różne mechanizmy, które jednakowoż wykonują tę samą pracę. Efektem owych działań jest natomiast refleksja, od której czytelnik w żaden sposób nie ucieknie. Refleksja dotycząca najgłębszych warstw osobistego odbioru człowieczeństwa i swojej własnej roli w świecie czy też może nawet – we wszechświecie.

Motywe, który zdaje się dominować w treści obu książek, staje się tzw. oddech pokoleń. Zewsząd czuje się tutaj obecność przodków, których jakąś cząstkę wszyscy przecież nosimy. Mówię oczywiście o genach, ale nie tylko, bo ogromne znaczenie mają także okoliczności pojawienia się człowieka na świecie oraz miejsce, w którym to się stało. Nie da się jednak uciec od spostrzeżenia dotyczącego olbrzymiej rangi przeszłości danego człowieka. Mam na myśli przeszłość zamierzchlą, odległą. Przeszłość, która sięga czasów poprzedzających narodziny. Wszyscy skądś pochodzimy. Wszyscy mamy niezliczoną ilość przodków. Waldemar Okoń, który, jak już pisałam, siebie samego stawia w centrum układu, do przeszłości podchodzi w sposób z jednej strony obrazoburczy, a z drugiej nostalgiczny. W jego opowieści minione traumy mieszają się ze wzruszającymi powrotami do wspomnień. Od sentymentalizmu przechodzi się w kontrowersję. Od poetyckiego stylu, który ociera się o awangardę (warto wspomnieć choćby swobodne podejście do interpunkcji), do formy miejscami przypominającej dziennikarską relację. Całości dopełniają natomiast fotografie, na których dominują właśnie motywy przeszłe. Fotografie zostają wyeksponowane w sepii, czyli formie jeszcze bardziej przywodzącej na myśl skojarzenia nostalgiczne. Z kolei Krzysztof Rudowski siebie samego umieszcza na jednym ze skrzyżowań konstelacji, w wirze dziejów, gdzieś obok innych istnień, które mogą, ale nie muszą, połączyć się kiedyś jakąś relacją. Obydwie formy przekazu każą czytelnikowi podjąć próbę dostrzeżenia i zrozumienia własnej roli w tej układance zdarzeń, emocji i doświadczeń.

Podobieństwem, które rzuca się w oczy już podczas pierwszych chwil obcowania z oboma tekstami, jest niebywała wręcz erudycja autorów. Obaj związani z literackim środowiskiem Wrocławia w sposób naturalny czynią to miasto miejscem niezwykle istotnym. Obaj czarują subtelną wonią wtajemniczenia. Aczkolwiek obaj snują swoje opowieści w sposób zgoła odmienny. Waldemar Okoń wybiera formę pamiętnika. Tej struktury tak naprawdę nie porzuci nigdy i wróci do niej wiele lat później w *Dniewniku*. Przez cały ten czas, a trzeba zaznaczyć, że pomiędzy tworzeniem jednej i drugiej książki minęło niemal czterdzieści lat, nie zmieni się też jego unikatowy styl, który ciągle będzie łączył zadziorność z melancholią. W związku z tym, jako czytelniczka *Dniewnika*, już wiem, że Waldemar Okoń najzwyczajniej w świecie się nie starzeje. Z biegiem czasu nie ulegają również zmianie jego preferencje oraz polot twórczy wynikający z braku fałszywej skromności, a także poczucia wolności niemalże totalnej. Krzysztof Rudowski z kolei ubiera swoją opowieść w formę powieści mozaikowej, która składa się z ogromnej ilości króciutkich, bo zazwyczaj nieprzekraczających jednej strony, rozdziałów. Trzeba wielkiej uważności,

aby te maleńkie elementy powiązać i połączyć w jedną całość. Autor dużo zatem wymaga od czytelnika, ale i dużo z siebie daje. Urzeka bowiem subtelną atmosferą starego romansu, która w naturalny sposób przechodzi niejednokrotnie w dramatyczny, choć oszczędny, opis przeżyć związanych z niepokojami choćby wojny czy też doświadczenia śmierci bliskiej osoby.

Niewątpliwie żaden z omawianych tutaj tekstów nie jest pozbawiony kontrowersji. Wręcz przeciwnie – chętnie mówi się w nich o kwestiach niepopularnych lub powszechnie uznanych za tabu. U Rudowskiego przeczytamy więc o kazirodczym związku, chorobach psychicznych i podejrzanych wyborach ideologicznych tudzież twórczych. Drugi autor z kolei wprowadzi czytelnika w peerelowski świat absurdów oglądanych oczyma wrażliwego intelektualisty. Punktem wspólnym będzie natomiast elokwencja, która z całą pewnością oczaruje odbiorcę – Wrocław. Na początku i na końcu, a także w każdym innym miejscu procesu czytelniczego dotyczącego obu tekstów, to miasto roztacza swój subtelny urok starości, dostojności i mądrości. Wrocław jest istotny, a wręcz kluczowy w odbiorze całości. Aczkolwiek w żadnym z utworów nie został ukazany z perspektywy nastawienia na miejsce (czy też miejsca). W projekcji tej chodzi bowiem raczej o emocje, o wspomnienia, o energię. Wrocław jest więc w pewnym sensie magiczny. I metafizyczny. Staje się źródłem przeżyć, relacji, skrzyżowań konfiguracji międzyludzkich. Jest też z całą pewnością domem dwóch wybitnych twórców, którzy zarówno o Wrocławiu, jak i w ogóle o życiu potrafią opowiadać jak mało kto.

Na migi

Nie rozumiem waszego języka i nie mam pojęcia, kto bardziej zawinił, kto bardziej się zapętlił i zapomniał, że musimy być bliżej siebie, żeby słyszeć i sobie wierzyć.

Kiedyś mi to nie przeszkadzało, ale w końcu straciłam cierpliwość do obcego języka.

Podśluchiwałam wczoraj głuchoniemych – patrzyli na siebie z bliska i rozumiałam każde słowo z ich rąk. Miganie pozbawione wyższych tonów, przejrzyste i proste.

Właśnie takim językiem nie chcę kłamać, że wiem wszystko.

Bryndza

Tak się spieszyłam – mało snu, życia więcej. Żeby zawsze były pod ręką, otwarte listy i książki schowałam w ziemi. Zaszalałam kilka razy, trochę uciekłam, trochę wracałam, hodując czule depresję i inne łatwo zapadalne stany.

I nagle odwołali koniec świata. Nikt nie przeprosił. Żadnych wyjaśnień. Nie byłam na to gotowa, znowu trzeba się rozgrzebać, otrząsnąć z tego przestrichu i zwolnić. Tak się nie robi.

Cicho, ciszej

Moje ciało nie chce ze mną rozmawiać.
To kara za brak adoracji. Nigdy nie byłam
podekscytowana, że je mam, że takie,
od początku tylko moje.

Widzę, kiedy wychodzi każdego dnia,
a potem wraca. Łżejsze, odwodnione,
coraz cichsze. Ja, pełna kości i żył
– nie mam odwagi się nim okryć.

Boję się, że go nie wystarczy na mnie
całą. Czegoś nie zasłonię, nie ochronię.
Trudno dopieścić siebie niezupełną
i kłamać o przejściowej rozsypce.

Przecież ono kiedyś nie wróci.

Sama nie wiesz

Miasto oświetlone jak świąteczne drzewa
stado krzyczących ulic, uchylonych drzwi
– nic się tu nie ukryje, możesz iść wszędzie.

Rozglądasz się: wszystko jednak jest czarne
i niewidzialne. Samotność spadła na ciebie
jak niespodziewany deszcz – chcesz upaść
gdzieś wygodnie, zaczekać aż ciemność
wróci tam, skąd przyszła. Może do siebie.

Czego właściwie chcesz, czego szukasz
w miejscu, które od dawna przestało
cię kochać? Po wariacku, prawie za nic.

Co cię tak nagle nieznajomo boli,
że aż chcesz się dowiedzieć, skąd
ten ból wyrasta i kto go zasiał?

Inny świat

inżynierowi Rysiovi z miłością

W tym kącie pełnym ciemności był
prawie niewidoczny. Przykryty
kikutami starych parasoli i rowerów
wymyślał dla nas ciekawszy świat.

Każdy chciał mieć ciekawiej w tym
gównianym życiu, ale planeta
pierdolniętego Rysia rozpadała się
wciąż na kawałki. Ktoś się przewracał
każdego dnia o połamane kontynenty
albo nigdzie nie dopływał, bo nagle
kończyła się jakaś rzeka, odpływało
morze. Oddalaliśmy się wtedy od Rysia
i nikt nie dostrzegał, że on też coraz
bardziej odchodzi od siebie. Czasami
było dwóch Rysiów, osobnych w swoim
budowaniu domowego kosmosu.

Dwóch wrogów, dwa genialne plany
na życie w ciemności, poza światem.

Zmiana (wizyty domowe)

Powinnam być w innym miejscu, w innym
mieście – tam, gdzie moje życie nie będzie
się jąkać i paprać. Ma pan coś takiego
na oku? Nie, nic nie będziemy ustalać ani
przepisywać, mnie te złote środki nie kręcą
od dawna – przynajmniej na coś w końcu
zrobiłam się odporna. Pojechałabym
w wysokie, tybetańskie góry, gdzie ludzie
nie przestają się uśmiechać, choć nie mają
niczego. Coś musi być w ich powietrzu, może
w tamtym niebie, że się tak ładnie cieszą.

Idę. Znowu, jak widzę, wychodzę z niczym,
doktorze, a panu nawet nie jest głupio.



Jan Sawka, *Plakat Wrocławskiej Grupy Teatralnej KARZEŁ*, 1970, technika mieszana, (czyt. s. 184)

Spokojnie, panie (wizyty domowe)

Gabryś był nawiedzony, panie doktorze. We śnie
zobaczył białego

gołębia na parapecie. Mocno naciągany
argument dla takiej duszy
szczypiaszczey jak ja. Raj rajem, piekło piekłem,
ale jestem zainteresowana,
kto jest szefem czyścica, bo mnie
najbardziej odpowiada ten ustrój. Republika
dla normalnych ludzi.

Mówiłam mu: *zostaw ten różaniec,*
tam nie kryje się żadna odpowiedź.

Nagły apetyt
na któregoś z bogów
może zmienić się w chorobę
nieuleczalną.

Gabryś chciał mnie nawracać, doktorze.
Nauczanie początkowe życie
załatwiło mi bezpłatnie i nie dam się wkręcić
w żadne parapety. Nadrabiać braki
pod koniec życia? Niech spada.

To nie ja zobaczyłam Boga w oknie,
to nie ja zadrżałam.

Spowiadam się z cudzych grzechów
i tego się trzymajmy.

Lepiej

Chcę być kimś jeszcze oprócz siebie. Czegoś
mi brakuje w tym związku sam na sam. Może
kota, który zna lepsze miejsca, gdzie można
się schować. Dobrze bym się czuła
w wodzie, z jakąś niezbyt mięsożerną rybą,
żerującą na dnie, wtopioną w muł.

Dziwny stan, gdy wolisz szukać innych wcieleń.

Myślisz wtedy: mogłabym być czymś,
co niekoniecznie się rusza, ale jest
żywe, widzi, ma swój język, dom i mały
kawałek ziemi, gdzie nikt nie wejdzie
bez pytania. Ta noc, jakiś półprzetyomny
sen – podrzucił mi kilka pomysłów.

Kartkuję je niecierpliwie, ale tam jest
za dużo mnie, za dużo moich słów.



Jan Sawka, *Colas Breugnon*, 1970, kliszoryt (czyt. s. 184)

Patrzac ku górze

P o ośmiu, a może i dziesięciu godzinach jazdy fiatem 125p po polskich drogach Anno Domini 1976 jestem wykończona. To czas wybojów, dziur w nawierzchni, szos bez pobocza i wleczenia się za ciągnikami, żukami i innymi, przeważnie zdezelowanymi pojazdami w dobie realnego socjalizmu wypełniającymi jednopasmowe, oczywiście wąziutkie, wylane kiepskim asfaltem szczelinki łączące miasta i miasteczka, poza którymi brunatne pola (jest zima), bure wioszczyny, szare miejscowości. Jestem wykończona po dniu spędzonym z moim młodszym rodzeństwem (brat i siostra) na tylnym siedzeniu skądinąd komfortowego jak na owe czasy samochodu ojca. Jestem w rozpacz, bo opuszczam moich przyjaciół, moją klasę, miejsca, które znam. Wynosimy się z Lublina, z trzypokojowego mieszkanka (gomułkowski blok Bronowic, podówczas peryferii miasta), zostawiamy szkołę podstawową im. Marceliego Nowotki, komunistycznego działacza o robotniczej proveniencji, w sam raz pasującego do robotniczej dzielnicy (do dziś pamiętam zbiorowe skandowanie z akademii szkolnych: „Marceli Nowotko, my dobrze ciebie znamy, pragniemy, by nasza szkoła była godna twego imienia”), porzucamy teatr im. Juliusza Osterwy, którego zapach wiśniowych kotar i foteli, ciemnych kulis i płótna pokrywającego scenę oraz uwięzłego w nich kurzu był jednym z najpiękniejszych mojego dzieciństwa, teatr, który stanowił nie tylko miejsce pracy ojca, ale w jakimś sensie dom nas wszystkich, przestrzennie i metaforycznie. Mam dwanaście lat, ktoś przecina mi życie na pół. Ale nikogo to nie obchodzi, jedziemy. Do Wrocławia. Do nowego domu. Do nowego teatru ojca.

Auto telepie się na kostce brukowej tego nowego miasta, a ja patrzę i widzę po raz pierwszy w życiu tak wysokie i piękne domy. Muszę sięgać oczami ku górze, co w Galicji nie było potrzebne. Tam niziutkie domki i kamieniczki – krajobraz przyziemny dosłownie i w przenośni – a tu budowle z „głowami w chmurach”, gzymsy i okapy, zdobienia i płaskorzeźby, wielkie okna i drzwi pełne ornamentów. Ulica taka szeroka. Czuję, że wjeżdżam do innego świata. I siadam, choć przedtem leżałam; na tylnym siedzeniu samochodu skłębione koce, poduszki, my, rodzeństwo Braunów – nikt nie słyszał wtedy o pasach dla pasażera ani fotelikach dla dzieci, a dziś w takim musiałaby siedzieć moja dwuletnia podówczas siostra.

Rzeklibyśmy literacko: wyciągam szyję, takie wydaje mi się to niezwykle. Do dziś pamiętam tamten obraz i architekturę, jakiej nigdy wcześniej nie widziałam, ja – dziewczynka z prawej strony Wisły. Dziś wiem, że był to plac Powstańców Śląskich i jego secesyjna zabudowa: okazałe siedziby niemieckich urzędów przy Kaiser-Wilhelm-Platz i kamienice z niegdyś luksusowymi apartamentami miejscowej socjety, o czym wówczas nie miałam bladego pojęcia. Nie znałam historii miasta, nie wiedziałam, że jeszcze niedawno było tu Breslau. Nic nie wiedziałam o miejscu, w którym miałam teraz mieszkać.

Zaraz potem byliśmy już w nowym domu, gdzie także należało wysoko sięgać wzrokiem. Olbrzymie mieszkanie w starej kamienicy, choć nie tak pięknej jak te przy placu Powstańców. Tak czy inaczej dotychczas nie chodziłam po pokojach o tej wysokości (około czterech metrów) i rozległości (mieszkanie razem miało sto osiemdziesiąt metrów kwadratowych), pod stiukami okalającymi sufity i lampy, po korytarzu, na którym można było urządzać wyścigi, i łazienkach z okienkami, przez które wpadała jasność ze świetlika, ale i przeciągi stamtąd. Przydzielone przez miasto z racji funkcji ojca, było ledwo odmalowane na nasze potrzeby i niemal nieurządzone. A w każdym razie nie czymś, co mogłoby pasować do jego wielkości i architektonicznych aspiracji. Rodzice nie mieli pieniędzy na nowe meble, te, które posiadali, były dość byle jakie, więc poza najniezbędniejszymi wystrojem była tam pustka, mająca jakąś, jak dziś myślę, daleką analogię do otaczającego nas miasta pełnego ruin, przetrzebionego, o chaotycznej raczej na on czas kompozycji. I w mieście, i w domu niewiele było konstrukcji zatrzymujących wzrok: tam przypadkowy kawałek muru, tu zabłąkane łóżko czy krzesło. I tu, i tam mieszały się różne porządki: obskurna, gierkowska nowoczesność z resztkami przeszłości. To było dziwne uczucie, i wewnątrz, i na zewnątrz, po zgrzebnym Lublinie, a przedtem Toruniu, gdzie ojciec reżyserował, które jednak nie zostały naruszone przez wojnę. Może i były niewysokie i zapyziałe, ale kompletne, zachowywały jakąś spójność. Wrocław nie. Ani nasze mieszkanie.

Zresztą dziwność dawała o sobie znać w różnych sferach mojego ówczesnego życia. Żeby jakoś uniknąć jej niepokojącego wpływu, spędzałam początkowo dużo czasu, leżąc na łóżku i patrząc na zmianę w sufity i w książki. Czytałam wtedy niemal bez przerwy, co ułatwiało stałe prawienie chorowanie. Częściowo rzeczywiście byłam chora – zmiana klimatu, rozstaniowa depresja, którą w owych czasach nikt nie zajmował się specjalnie, zamiast terapeutę miałam literaturę. Zdejmowałam z półek co popadnie i czytałam od deski do deski: tomy Szekspira, Fredry, Moliere (dramatu w domu było oczywiście dużo), ale także Prusa, Żeromskiego, Orzeszkową, Dąbrowską, Nałkowską. Lubiłam to czytanie bardziej niż szkołę, która nudziła mnie, więc specjalnie zapadałam na przeziębienie czy ból brzucha,

czemu – biorąc pod uwagę realną historię innych, poważniejszych dolegliwości – łatwo dawano wiarę. Zresztą wszyscy byli zajęci. Matka – młodszy rodzeństwem i paleniem w piecach. (Rodzeństwo też konsekwentnie chorowało, a piece były węglowe, bo nie stać nas było na założenie jakiegoś innego rodzaju ogrzewania, ponadto gigantyczna kubatura pożerała ciepło). Ojciec – teatrem. Właśnie tworzył swoje najlepsze zapewne spektakle. A ja czytałam, czyli sięgałam wzrokiem dalej. Nie wszystko rozumiałam, ale za to przeżywałam. Doznanie tamtych lektur, ktoś powie może, że zbyt wczesnych, stało się cenną substancją, na której potem mogłam hodować późniejsze, bardziej świadome i metodyczne poszukiwania.

Mieszkanie było dość prowizoryczne, jak powiedziałam, ale w tamtym czasie była to właściwość wielu przestrzeni i sytuacji. Przynajmniej z dzisiejszej perspektywy. Nikt nie miał zbyt dużo, wszyscy wiedzieli, że materii nie można być pewnym. Trzy dekady po wojnie, komuna w rozkwicie. I co prawda kusił gierkowski „dobrobyt” w postaci sera brie i zupek w słoiczkach dla niemowląt oraz fiatów 126p, jednak wokół mnie znacznie bardziej kuszące było teatralne życie, które z budynku przy ulicy Rzeźniczej stale wędrowało do nas albo myśmy tam wędrowali. Siadałam w fotelu i patrzyłam na scenę, przez którą przepływały sytuacje, przechodzili aktorzy i maszyniści, rozglądali się i dokonywali swoich pomiarów i obserwacji scenografowie, kompozytorzy wsłuchiwali się w przestrzeń, w ruch dookoła, w siebie samych, scenę, na której reżyserzy wypatrywali właściwych słów i gestów, by wyjaśnić, o co im chodzi. Wszyscy w poszukiwaniu formy dla tego czegoś, ważnego, niemogącego znaleźć innego kształtu w kraju, gdzie wyrażanie było w ogóle niebezpieczną sprawą. Lubiłam zarówno próby, jak i przedstawienia. Te pierwsze, nasycone owym skupieniem i napięciem wyprawy odkrywczej, te drugie kipiące gorączką między sceną a widownią, pełne ekscytacji towarzyszącej odgadywaniu metafor i niedopowiedzeń, w których ukrywało się to, czego wprost w tamtych latach mówić nie było wolno. Częściej niż ma to miejsce obecnie, sztuka stawiała się magicznym portalem w inny świat, interfejsem – tak byśmy to może dziś nazwali – ale wtedy komputerów przecież nie było, pomiędzy dwiema stronami istnienia: tą oczywistą, namacalną, dosadną i tą drugą – „wielką powietrzną przestrzenią”, jakby powiedział Wyspiański, pełną „ludzi i cieni”, nieograniczoną. W teatrze widzi się dalej, słyszy się więcej, świat odczuwa się jako wibrujący instrument.

Rodzice nigdy nie cenzurowali mojego uczestnictwa w przedstawieniach i próbach ani książek, które czytałam. Raz zaledwie *Trzema krzyżakami* Helmuta Kajzara¹ z rozebrany Bogusławem Kiercem przekroczyło ich pojęcia o tym, co wolno

1 Helmut Kajzar był autorem tekstu i reżyserem spektaklu, Wrocław 1977.

dziewczynce. Pamiętam, jak Boguś tłumaczył im, swoim wibrującym, pięknym, pełnym uwagi i łagodności głosem, którego samo brzmienie wrażało głębokie pojmowanie świata i ludzi, że przecież jego nagość widziałam już wcześniej, na plaży nadmorskiej, gdzie rodzinie spędzaliśmy wakacje, i że na spektakl mogę bez szkody pójść. Jednak najwyraźniej nagość wakacyjna i sceniczna to były dla nich dwie różne jakości. Może chodziło też o inne znaczenie kobiecego i męskiego ciała? Bo przecież ojciec sam chętnie pokazywał rozebrane aktorki w swoich spektaklach, a nawet był w tym swego rodzaju specjalistą. W tym przypadku rodzice nie dali się przekonać. Nawet *Białe małżeństwo*² zobaczyłam dość szybko, acz nie podczas premiery, po prostu dlatego, że ta odbyła się jesienią 1975 roku, jeszcze zanim sprowadziliśmy się na dobre do Wrocławia. Z lektur tylko *Hipisi w poszukiwaniu ziemi obiecanej* Kazimierza Jankowskiego zostali mi wyjęci z rąk. Czemu? Właściwie nie wiem, jeżeli poza tym żaden tekst, obraz czy rozmowa zakazane nie były. Odwrotnie, wolno mi było szukać i eksperymentować na własną rękę.

Być może częścią tego permissywności w moim intelektualnym wychowaniu było zmęczenie matki i absolutnie zaangażowanie ojca w sprawy teatru? Na pewno ich obojga przekonanie, że ograniczenia w tej sferze nikomu nie robią dobrze, a rozwój i dorastanie są procesami niejako samoistnymi, w których raczej nie trzeba przeszkadzać, niż nimi sterować. Zapewne też ich własne, fatalne doświadczenia z edukacyjną i ogólnopaństwową indoktrynacją; oboje przeszli przez szkoły w latach stalinowskich i za wczesnego Gomułki. A może i to, że nad Odrą było jakoś inaczej niż nad i za Wisłą? Więc niereglamentowany ferwor nie zawsze obyczajowo poprawnych dyskusji, często odbywających się także na podłodze w salonie (czy za mało było krzeseł? czy po prostu swoboda koczowania na parkiecie sprzyjała intelektualnym przepływom?), w salonie za dużym i nieodpowiednim właściwie do naszego prostego życia, przyciągał mnie, choć czasem było zbyt późno i choć Zbyszek Cynkutis znajdował we mnie łatwy obiekt swego ironicznego dowcipu. Nie umiałam sobie z tym radzić, ale lubiłam patrzeć, jak gestykuluje, tłumacząc matce i ojcu różne kwestie, opowiadając o swym Laboratoryjnym życiu i jego ciemnych stronach, choć o jasnych także. Unosił ręce, był gwałtowny w swej ekspresji, ostry, zmienny. Niekiedy wykonywał ruch, który przypominał cięcie noża. Tak to pamiętam. Jego gibkie ciało balansowało między uśmiechami a złością, pogardą i zachwytem. Siedziałam, oparta o ścianę, patrzyłam na te jego uniesione ręce, jakby celebrował samą sytuację rozmowy, jakby dociekanie i spór miały wymiar rytualny, a on był demiurgiem tego rytuału.

I nieco podobnie było, gdy najpierw wdrapywaliśmy się na najwyższe piętro kamieniczki w Rynku. A potem siadaliśmy na podłodze pod ceglanyścianami

2 Tadeusz Różewicz, *Białe małżeństwo*, reż. Kazimierz Braun, Wrocław 1975.

niemal kwadratowej sali i w poczuciu, że to, czego jesteśmy świadkami, jest czymś w rodzaju świętego obrzędu, patrzyliśmy, jak rozgrywa się przed nami *Apocalypsis cum figuris*. Zbyszek też tam był, ale inny niż w domu, obcy. Znów, żeby zobaczyć jego twarz, musiałam patrzeć w górę, a on – oni wszyscy nad nami trochę jak szaro-czarne ptaki. To była jesień 1976. To Janek Bernard namówił rodziców, żeby mi pozwolili ten spektakl nie dla dzieci zobaczyć ledwie po trzynastych urodzinach. Trafiło im do przekonania, że to już koniec i *Apocalypsis* nie będzie więcej grana. Miał rację. I oni, że się zgodzili. Nie trzeba wszystkiego rozumieć, żeby wchłonąć, pamiętać i przez kolejne lata rozszyfrowywać. Choć przecież też nie do końca.

Dwa lata później olbrzymie kukły Petera Schumanna w *Dziadach* znów odrywały mój wzrok od ziemi. Szybowały w powietrzu, a przynajmniej tak się zdawało nam, patrzącym na nie w Teatrze Współczesnym. Chodziło o drugą część dramatu, obrzęd, o Złego Pana, Dziewczynę, Dzieci, o winę, karę i odpowiedzialność, i o zawsze wywrotowe w tym kraju znaczenie sztuki Mickiewicza. Ale może rysowane grubą kreską monstra, duchy uproszczone do czerni i szarości, kondensowały w sobie także okropności ostatnich dekad pod tą szerokością geograficzną. Czy było to zamiarem Amerykanina, twórcy Bread and Puppet Theatre, urodzonego pod Breslau przed II wojną światową? Może nauczyła go tego Europa czerwonych i brunatnych totalitaryzmów? Może wyczuliło go to na wszelką opresję? Kukły projektowane przez niego stanowiły graficzny, teatralny protest song, podobnie do innych jego nadekspresyjnych lał, które wcześniej wędrowały po ulicach Wrocławia w czasie festiwalu Teatru Otwartego, a także po Europie i Ameryce. Wszystkie będące czymś więcej niż tylko pomysłową kompozycją z papier mâché, tkanin i drewna.

Kto na to pozwalał w czasie, gdy każda linijka tekstu przechodziła przed oczami cenzora? Nie tylko linijka, ale i gest, intonacja, element kostiumu. Wszystko podlegało ocenie z perspektywy nieprawomyślności i zagrożenia dla systemu. W jakimś sensie wiele spektakli jako takich nosiło znamię rebelianctwa, bo samo gromadzenie się było przecież czymś niebezpiecznym. Brook wiedział i pisał, że szczególnie w teatrze „skupienie w jednym miejscu dużej grupy ludzi stwarza niezwykle napięcie. Dzięki temu można wyodrębnić i postrzegać jasno siły, które stale – choć z ukrycia – kierują codziennym życiem”. Reżim też to wiedział i starał się jakoś kontrolować ryzykowną, artystyczną kipiel. „W istocie żaden hołd dla utajonej potęgi teatru nie jest tak wymowny jak ten, który składa cenzura”³, która jednak zawsze pozostawała pół kroku za twórczą wyobraźnią. Cokolwiek mogło skojarzyć się z czymś zakazanim, a były tego całe tomy w Głównym Urzędzie

3 Peter Brook, *Pusta przestrzeń*, przeł. Witold Kalinowski, Warszawa 1977, s. 122.

Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, i nawet wzmianka o stoncie ziemniaczanej mogła okazać się warcholska, było starannie usuwane z tekstu, obrazu czy sytuacji. Stąd na przykład hrabia Hufnagiel w *Operetce*⁴ nie mógł nosić czapeczki leninówki. Mimo to ani drobiazgowo wytyczne, ani doświadczenie cenzorów nie uwzględniało niektórych przypadków. Dlatego rąbanie przez Rzeźników kiełbas i półci mięsa, usunięte z *Odejścia Głodomora* w 1977 roku podczas próby generalnej, zostało niebacznie zastąpione przez cenzora rąbaniem konserw mięsnych, co w czasach chronicznego braku bez mała wszystkiego okazało się metaforą jeszcze dosadniejszą i nieodmiennie wywoływało salwy śmiechu na widowni.

Deficyty i ograniczenia, w tym w dostępie do informacji, książek i wiedzy, nie były wtedy źródłem niemożności, ale odwrotnie – twórczej siły. Być może reglamentacja wszelkich niemal dóbr, nie tylko materialnych, ale i tych związanych z życiem społecznym, politycznym, kulturą, nauką, możliwościami poznawania świata i uprawiania nieskrępowanej ekspresji, była – na przekór zamierzeniom despotycznego systemu – powodem wynalazczości twórców, stymulowała nowe pomysły, pchała ku nieortodoksyjnym formom wypowiedzi i kontaktów społecznych. Bo choć nieco sparciała i już stęchła w tamtym czasie, niby trochę oswojona i mniej krwiożercza niż w latach pięćdziesiątych – komuna schyłku lat siedemdziesiątych wydawała się jednak ciągle nienaruszalnym monolitem. Próby naigrawania się z systemu były kontrolowane, podobnie jak artyści, których nieprawomyślne poczynania władza traktowała z jednej strony jako wentyl bezpieczeństwa, a z drugiej obejmowała ograniczeniami. A jednak reglamentacja dozwala mimo wszystko nabywania pewnych ilości towarów deficytowych. Tak było i z władzą, która potrzebowała jakiejś legitymacji wobec Zachodu, a intelektualistów i artystów traktowała jako grupę szczególnie podatną na flirt. To wytwarzało margines względnej wolności, choć była ona takim właśnie deficytowym towarem, szczególnie w sztukach performatywnych, które i tak miały wąskie grono odbiorców, a więc władza nie ryzykowała zbyt, że infekcja się rozniesie. I wygląda na to, że margines ów był ciut szerszy we Wrocławiu niż na przykład w Lublinie czy Toruniu.

Można więc było w przedstawieniach ocierać się o granicę dozwolonych wypowiedzi, szukać tematów i metafor, które opowiadały o tym, co naprawdę obchodziło ludzi, eksperymentować z formą i treścią, choć i sam eksperyment był przecież wówczas czymś podejrzanym, wręcz obrazoburczym. Jakoś jednak tak się działo, że inność i nowość we Wrocławiu okazywały się do pewnych granic możliwe, że tu rodziły się, ale tu też docierały z zagranicy, skądinąd przecież oddzielonej żelazną kurtyną; miasto było areną przyptywów z zewnątrz i stąd

4 Witold Gombrowicz, *Operetka*, reż. Kazimierz Braun, Wrocław 1977.

też wypływały w świat fale i prądy. A temu, co się tu działo, przyglądano się, niekiedy z odległych miast i krajów, analizowano to i opisywano, przyciągało to twórców, widzów, krytyków. Dzięki temu zaistniał teatr Grotowskiego i pantomima Tomaszewskiego, dzięki temu powstał Kalambur, to była też szansa dla znakomitej wrocławskiej szkoły grafiki, umożliwiało to organizowanie Festiwalu Teatru Otwartego, przyjazdy Petera Brooka, Marcela Marceau i Petera Schumanna. Dzięki temu mogłam uczestniczyć w tak wielu niezwykłych spektaklach Jerzego Jarockiego, Józefa Szajny czy Jerzego Grzegorzewskiego, zdumiewać się *Wilgocią* Leszka Mądzika, z przejęciem czekać na przyjazdy „Ósemek” do Wrocławia, śledzić wiadomości o ich aresztowaniach, procesach i zwalnianiach, patrzeć z uwielbieniem na Władimira Wysockiego w *Dobrym człowieku z Seczuanu* pokazywanym przez Teatr na Tagance. Odczuwać teatr jako obszar niepoddany ogólnej urawniłowce. W dziwnym marginesie pomiędzy tym, co absolutnie zakazane, a tym, co jednak możliwe, mieściło się także bujne życie w Klubie Związków Twórczych (choć istniejący pod dawną nazwą, nie ma on dziś nic wspólnego z kultowym lokalem artystów), w Domu Aktora (teraz jest tam Muzeum Etnograficzne), „Pałacyku” (obecnie dogorywającym jako lokum różnych dziwnych firm) z jego pokazami zachodnich filmów, całkowicie niemających dostępu na wielkie ekrany, i w zwykłych domach, w których kontynuowała się burzliwość dociekań, wynajdowanie pomysłów, do których przychodzenie nie było jak dziś obwarowane rytuałem umawiania się, szukania luk w kalendarzu i innymi, formalizującymi kontakty międzyludzkie procedurami. Telefon miało niewielu. Wtedy te kontakty były trochę jak dziś Facebook: prawie każdemu wolno zagadać do każdego o dowolnej zresztą porze. Tyle że wtedy oznaczało to telepanie się tramwajem, zatłoczonym i niepunktualnym, chodzenie piechotą, z rzadka ktoś miał samochód. W spotkaniach bezpośrednich uczestniczyły jeszcze zwykle herbata (też trudno dostępna), alkohol (często), jedzenie (skromne, ale bardziej niż dziś cenione) i – zawsze – współobecność z jej cielesnym i przestrzennym wymiarem.

Z perspektywy dziewczynki, a potem dziewczyny, wszystko to nabierało szczególnych znaczeń: ludzie i miejsca, gesty i lektury, zdarzenia. Wydaje mi się, że w tej wczesnej fazie życia widziałam je jako fragmenty, wyspy rozdzielone morzem nierozpoznania. Wrocław też widziałam w ten sposób: chodniki jak kolaże z kamieni, starych i nowych płyt po drodze do kolejnych szkół, szlaki do teatrów, a więc ulice asfaltowe i z kostki, której zostało tu pełno z niemieckiej, poukładanej przeszłości, i inne drogi, którymi docierałam z miejsca na miejsce, sytuacje, jakie się w tych miejscach rozgrywały. Wielu rewirów i dzielnic długo nie znałam w ogóle. Dopiero dużo później, gdy miasto stało się przestrzenią użytkowaną przez moje dorosłe sprawy, uzyskało dla mnie jakąś ciągłość, znaczna

część białych plam zniknęła z jego mapy; nawet kamienie i płyty chodnikowe, zdaje mi się, zaczęłam rozszyfrowywać potem, tak jak i historię Kaiser-Wilhelm-Platz i Breslau. Ale wówczas, gdy szłam, a tak było najczęściej, bo komunikacja miejska była przecież niestabilna i nieprzewidywalna jak pogoda w tej szerokości geograficznej, zatem gdy szłam, pod stopami mając błoto, śmieci oraz kompozycyjny i semantyczny chaos, za przestrogę miałam Słowackiego: „Patrzę smutny, patrzę w dół, / Czy kto moje serce struł”⁵, więc zamiast pod nogi patrzyłam w niebo, zdumiewałam się architekturą obcą mnie, dziecku ze wschodu, mostami jak olbrzymie koronki, których wzory niekiedy stanowiły kontynuację огоłconych, listopadowych drzew i mieszały się z ornamentem chmur, by potem odbić się w wodzie, mnożąc światy, i arabeskami napisów jeszcze mniej zrozumiałych niż budowle, kreślonych dziwną czcionką w języku, którego nie rozumiałam.

A wszystko to w mieście, w którym kamienice takie jak te, które w styczniu 1976 roku obserwowałam przez okno samochodu, były wciąż śladem trwającej od wojny przemiany, bolesnej i odbywającej się niejako w ciągłych skurczach – buro-brudne, pokryte liszajami, mające znaki po kulach, domy rozproszone wśród ruin, stert gruzu i chaszczy zarastających inne ruiny. Wprawdzie w tamtych latach budowano już tu i ówdzie, nieładem i stylem nowych budynków kalcząc dawną strukturę miasta, jednak jego całość, wbrew temu, a może i przez to właśnie, była niespójną mieszaniną epok i kultur skonfliktowanych, balansujących ryzykownie na krawędzi kolejnych katastrof, niekiedy jakby ukradkiem, wciąż niepewnych, kim lub czym są, do kogo lub czego mają się przywiązać i przyznać. Tak rzecz się miała z niemiecką, czeską i żydowską schedą, i tak samo z polskością, która chciała unieważnić tamte schedy, sama przecież jeszcze z niejasną, powojenną tożsamością, nieprzetrawionymi żalem, złością i poczuciem winy. Tylko patrzeć dalej, sięganie ku niebu i horyzontowi, przyglądanie się temu, co piękne i ciekawe, wypatrywanie nowych rozwiązań, szukanie zaskakujących możliwości, tak w sferze koncepcyjnej, jak i po prostu, gdy się szło po ulicy czy na skróty, przez pole, które niegdyś było kwartałem budynków, pozwalało nie zajmować się obrazami i skojarzeniami kłopotliwymi, sprawami wciąż nierozwiązanymi. Jedynym sposobem na życie tutaj pozostawało unieść głowę, podnieść wzrok, tak w sensie fizycznym, jak i symbolicznym.

Dla porządku powinnam tu dodać, że z olbrzymiego mieszkania przy ulicy Pocztowej musieliśmy się po dwóch latach przenieść do paskudnego bloku z wielkiej płyty, bo miasto miało inne plany względem starej kamienicy. Spomiędzy spojeń płyt nowego lokum notorycznie ciekło podczas deszczu i roztopów, bo mieszkaliśmy na czwartym, ostatnim piętrze. Ojciec, który miał

5 Juliusz Słowacki, *Pieśń na Nilu* [w:] idem, *Pisma pośmiertne Juliusza Słowackiego*, Lwów 1866, s. 47.

smykałkę domorosłego wynalazcy, co zresztą było bardzo przydatne w szukaniu nieoczywistych rozwiązań scenograficznych w jego przedstawieniach, wymyślił, że trzeba w te szpary wtykać plastikowe słomki do napojów, by kanalizować wyciek wody do stojących na podłodze wiader. Ironia losu znów kazała nam wszystkim zadzierać głowę. Obserwowanie tej barwnej instalacji w suficie i wydobywającej się z niej wody dało mi daleki przedsmak obcowania ze sztuką nowoczesną w wielkich muzeach świata, co miało się zdarzyć w nowych czasach i światach, ale o czym nikt z nas wówczas nawet nie śnił. Gościom z zagranicy, zdumionym Polską w ogólności, a w szczególności sposobem życia dyrektora teatru w dużym mieście, rodzice demonstrowali owo dzieło na poły z dumą, na poły z zawstydzeniem. Że administracja w państwie demokracji ludowej konsekwentnie odmawiała naprawy dachu, nie muszę zapewne dodawać. Za Lublinem przestałam tęsknić.

Czy to patrzeć ku górze było dla mnie wtedy jakimś oczywistym kluczem do rzeczywistości, bo sama byłam jeszcze niedoformowana, fizycznie i mentalnie niepełnogabarytowa? Bo nie mając dorosłych zobowiązań, mogłam się gapić, gdzie chciałam? Czy może we Wrocławiu znajdowałam lepsze warunki do unoszenia głowy? Z perspektywy Polski centralnej było to peryferyjne miasto niczyje: ani nasze, ani ich, ani tamtych. Ale jednocześnie duże miasto, ciężące ku europejskości, co nie bez znaczenia w kraju wiosek i prowincjonalnych miasteczek, kraju, który cały był prowincjonalny ze wszystkimi niedomaganiem i kompleksami stąd wynikającymi. Miasto, gdzie było wolno więcej, a przynajmniej tak mi się zdaje. Jeszcze w latach siedemdziesiątych trochę dziki zachód Polski, wciąż przecież szukającej swojego nowego porządku po wojennej dekompozycji przestrzennej i społecznej, niemogącej go wciąż odnaleźć w fałszu i sztuczności realnego socjalizmu. A tu było mniej przywiązań, mniej ograniczeń, nie żeby tych politycznych czy ekonomicznych stąd płynących nie było, ale ponieważ wszyscy pochodzili nie stąd, ale skądinąd, z jakiegoś „tam”, gdzie zostawili możliwe resztki własności, tradycji i bliskich, więc tutaj, z reguły w cudzych mieszkaniach, wśród przedmiotów stanowiących przypadkową zbieraninę, wśród nowych społecznych konstelacji czuli się swobodniej. Pewnych rzeczy nie musieli, oni je mogli. I jeszcze ta wisząca w powietrzu aura obozu transferowego. Cały Dolny Śląsk przecież tym był. Przepuszczano tędy Polaków i Niemców, Żydów i Czechów, w odwrotnym kierunku Rosjan wracających do kraju, i jeszcze innych, dla których to nie była ani stacja początkowa, ani docelowa, ale jazda w nieznaną dal. Coś z tej jazdy, której duch trwał jeszcze kilka dekad po wojnie, rozumianej zarówno dosłownie, jak metaforycznie, znalazłam we Wrocławiu: większy pęd, brak zobowiązań, nastrój podróży. Gdy się jest w drodze, obowiązują przecież inne zasady. Jadąc, odkrywa

się nowe miejsca i krajobrazy, spotyka nowych ludzi, z którymi łatwiej wchodzi w kontakt, niż mogłoby się to zdarzyć tam, gdzie ustaliły się hierarchie i koterie, gdzie elita zna swoją wartość (a przynajmniej tak jej się zdaje) budowaną na wielopokoleniowej tradycji i pilnuje jej, przywdziewając obyczajowe i myślowe gorsety, jak to bywa w Krakowie czy Kielcach. Jeśli, jak napisałam na początku, przeprowadzka do Wrocławia przecięła moje życie na pół, to nie chodziło tylko o prostą cezurę czasową, ale o przejście jakościowe. Wrocław nie był dla zasiedzia-
łych, to było miejsce, gdzie – być może – należało rezygnować z jakichś ludzkich, stabilizacyjnych tendencji i potrzeb, gdzie – być może – zmieniało się perspektywę i punkt widzenia (jak to w podróży), ale w zamian zyskiwało się wielorakość doświadczeń, swobodę ich penetrowania. Tu patrzyło się dalej i wyżej. I postępowało się tak dlatego, żeby pominąć rzeczy drobne i mniej istotnie, a zobaczyć plan szerszy, na którym rysują się wtedy wyraźniej ważne punkty orientacyjne. A dobrze narysowany plan czy mapa przydają się, jak wiadomo, innym podróżnikom, dlatego w finale potrzebne mi są słowa jednego z nich, który czuł, że będąc w środku zdarzeń, nie ma się jasnego ich obrazu ani skutków, które mogą mieć. „I choć nie wiedzieliśmy o tym [napisał Fridtjof Nansen] – w każdym razie kiedy chodzi o mnie – wiele oczu śledziło niewątpliwie naszą podróż i jej wyniki”⁶.

6 Fridtjof Nansen, cyt. za: Czesław Miłosz, *Droga północna (1913)* [w:] idem, *Kroniki*, Paryż 1987, s. 52.

„Ogma”. Kolaż tekstów i wspomnień

„Jest to chwila, gdy pamięć mimo trwożnej chęci
Pocałunek na czole składa Niepamięci”.

Propozycja

S kąd te wspominki i czemu mają służyć? Być może odtworzy się tu historię pasji pojedynczych osób, ich niespokojnego kręcenia się w kółko, chęci „udoskonalenia” rzeczywistości w oparciu o poezję stawiającą wspomnianej rzeczywistości jakieś warunki, składającą propozycje itd. Propozycje rozwoju, pogłębienia, otwartego poszukiwania – tak może brzmieć bohatera wersja wydarzeń. Inni ujmą to tak: to nic innego jak robienie szumu wokół własnej osoby i specyficznego hobby, tego chorobliwego wierszoróbstwa. Pragnienie zarażenia, pociągnięcia w przepaść kilku następnych zapaleńców, żeby tylko nie czuć się w swoim dziwactwie zbyt osamotnionym, w tym miasteczku wbitym w romantyczne pagórki przy samej granicy z Czechami.

Propozycję spisania tych wspomnień złożył Robert Gawłowski w czasie rozmowy, podczas której omawialiśmy zacierające się w pamięci początki. Robert był ich świadomy, a nawet chwilami pamiętał więcej, bowiem uczestniczył w wydarzeniach je tworzących jako poeta i dziennikarz Radia Wrocław.

Jak to się zaczęło? Piszący te słowa musiał wcześniej brać udział w życiu poetyckim i przyglądać się działaniom różnych stowarzyszeń literackich, skoro na prośbę dyrektorki biblioteki, pani Witoldy Waloszyk, wziął się w roku 1990 do zakładania poetyckiego klubu w Nowej Rudzie.

„Przybywajcie, nawiedzeni”

Tak nawoływałem w lokalnej prasie, zapraszając wszystkich chętnych do wspólnego działania. Jeszcze nie wiedziałem, jak ono ma wyglądać. Nie chciałem niczego narzucać. Wyobrażałem sobie, że zaproponuję tylko sposób

1 B. Leśmian, *Zapomnienie* [w:] tenże, *Poezje*, opr. J. Trznadel, Warszawa 1965, s. 49.

czytania wierszy, widzenia w nich więcej, niż się wydaje. A wydaje się zazwyczaj w sposób sformatowany przez szkołę i nawyki edukacyjne. Wyjść poza te nawyki, przestać się lękać własnej samodzielności i pomysłowości, dać się uskrzydlić – jak widać, mierzyłem wysoko.

„Otwarły się drzwi”

W siódmym numerze „Ziemi Kłodzkiej” z roku 1990 czytamy: „Pod skromnym przewodnictwem niżej podpisanego, co to już w niejednym przedśionku literatury czapkę nerwowo miętosił, spotyka się raz na jakiś czas garstka ludzi czytając wiersze albo dyskutując zawzięcie na różne literackie tematy. Rzecz jasna, krąg nie jest zamknięty – CZEKAMY NA KAŻDEGO WRAŻLIWCA z otwartymi rękami. Być może jest ten klub niewiele znaczącą efemerydą i w końcu ta grupka ludzi rozpadnie się, i każdy rozejdzie się w swoją stronę, ale nie jest to wcale jakaś ponura perspektywa, a raczej normalna kolej rzeczy”².

Tak właśnie się stało. Po latach klub rozpada się, przestaje istnieć. Snuję te wspomnienia po to, by podsumować najlepsze lata działalności, która przyniosła poetyckie ożywienie regionu. A w nim do tej pory niepodzielnie rządziło Kłodzko. Jednak siła oddziaływania tego ośrodka z wolna zaczęła słabnąć. W „Warsztatach Polonistycznych” znajduję zgrabne podsumowanie początków działalności klubu „Ogma”.

„»Nasze przyjście do czytelnicy Miejskiej Biblioteki Publicznej nie zdarzyło się przypadkiem ani nie zostało zapisane w gwiazdach. Zwyczajnie otwarły się drzwi prowadzące do następnych«. Tak wspomina początki Noworudzkiego Klubu Literackiego OGMA Tomasz Leśniowski, jeden z założycieli, wówczas uczeń Technikum Górniczego w Nowej Rudzie. Klub powstał w styczniu 1990 roku. Noworudzka Miejska Biblioteka Publiczna szukając nowych form działania (które mogłyby sprostać potrzebom duchowym innym niż typowe), otwierając się dla czytelników jeszcze bardziej niż dotychczas, stała się miejscem regularnego spotkania się miłośników literatury, nieśmiało próbujących wyrażać swoje przemyślenia i uczucia za pomocą wiersza. Założycielami klubu byli ludzie bardzo młodzi oraz dorośli, ustabilizowani już życiowo, stateczni obywatele (np. górnik, handlowiec). Początkowo czytali swe wiersze sobie nawzajem, a później ośmielili się przedstawić je szerszemu gronu na łamach lokalnych czasopism (...) oraz w czasie poetyckich wieczorków organizowanych dla mieszkańców miasta. Na początku zabawy w poezję nawet nie przypuszczali, że kiedykolwiek uda im się dorobić własnych almanachów, antologii i tomików. A jednak... Marzenia

2 K. Maliszewski, *Chwila nad wierszem*, „Ziemia Kłodzka” 1990, nr 7, s. 6.

zrealizowały się bardzo szybko. Już w maju 1990 roku ukazała się bardziej niż skromna broszurka («wydrukowana» na maszynie do pisania w 55 egzemplarzach) – pierwsza antologia OGY. Mottem tego zbioru stało się *Posłanie do Nadwrażliwych* Kazimierza Dąbrowskiego. Znaleźć tam można również wytłumaczenie słowa Ogma. Oznacza ono celtyckiego boga, znanego w Galii i Irlandii, opiekuna literatury, zwłaszcza poezji. Po wakacjach pojawiła się w klubie Anna Szpak, uczennica trzeciej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Nowej Rudzie. Jej rysunki i wiersze urozmaicały *Antologię Poezji. Zeszyt II*. Broszurkę tę, w nakładzie 120 egzemplarzy, zauważono we Wrocławiu, a na utwory Davida Magena zwrócił uwagę Mieczysław Orski, czemu dał wyraz w prowadzonej w odrzańskiej rubryce »poza Oficyną«. Wiersze Tomasza Leśniowskiego, używającego pseudonimu literackiego David Magen, i Anny Szpak zostały dostrzeżone przez jury Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego dla Młodzieży o Laur Wierzbaka, organizowanego corocznie w Poznaniu. Noworudzkich uczniów-poetów zaproszono na tę imprezę, a ich wiersze wyróżniono. W tym samym czasie młodych twórców zaproszono dzięki pani Jadwidze Echaust do Wałbrzycha, na wieczór poetycki w Technikum Górniczym, a także zaprezentowali swój dorobek w kłodzkim Liceum Medycznym, spotykając się ze sporym zainteresowaniem ze strony rówieśniczego audytorium. W lutym 1991 roku światło dzienne ujrzały pierwsze indywidualne tomiki: Karola Maliszewskiego *Będę przebywał jeszcze wtedy w Polsce* (wydany własnym sumptem) i Daniela Gwoździka *ujarzmione części świata* (wydany dzięki pomocy macierzystej szkoły Daniela – Technikum Górniczego im. Stanisława Staszica w Nowej Rudzie). W następnych miesiącach ukazała się *Antologia Poezji. Zeszyt III* sponsorowany przez Miejski Ośrodek Kultury (tu debiutowała Beata Jaroszevska, nauczycielka w Szkole Podstawowej nr 8) i tomik Davida Magena *na twym grobie*, ufundowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną³.

I Wspólny Wieczór Zaprzyjaźnionych Poetów Dolnośląskich

Wzorem odbywających się w Wałbrzychu i Kłodzku imprez marzyło się prowadzącemu „Ogmę” choćby skromne spotkanie w Nowej Rudzie, taki maleńki zjazd poetek i poetów z innych okolic. W maju 1991 roku udaje się ten plan urzeczywistnić. Dochodzi do skutku I Wspólny Wieczór Zaprzyjaźnionych Poetów Dolnośląskich. Nikt wówczas nie przypuszcza, że rozpoczyna on długą, trwającą do dziś, tradycję Noworudzkich Spotkań z Poezją. Niestety, nie ocalała lista obecności uczestników tego pierwszego spotkania, a ja jak przez mgłę pamiętam

3 K. Maliszewski, *Jest taki klub w Nowej Rudzie*, „Warsztaty Polonistyczne” 1993, nr 3, s. 98-99.

tylko takie osoby jak Krzysztof Śliwka, Marek Karwowski, Robert Gawłowski i na pewno Olga Tokarczuk. Skąd w tym towarzystwie osoba pisząca prozę?

Konieczna dygresja

Podczas przypadkowej rozmowy z panią bibliotekarką zrozumiałem, jak wiele wyleciało mi z pamięci. Szkoda, że nie zapisałem tych wszystkich drobnych zdarzeń. Pani Krystyna Karwowska opowiedziała mi, że bodaj w 1990 roku zaprosiłem piszącą koleżankę z Wałbrzycha na spotkanie autorskie do naszej biblioteki. Przyszło dziewięć osób, a Olga czytała wiersze i krótkie opowiadania. Podobno pytałem ją o coś, a ona odpowiadała, ludzie włączali się do tej rozmowy. Niestety, nie podpisywała wtedy swoich książek, bo nie miała jeszcze żadnej w dorobku. To było dopiero przed nią.

Pani Krysia zapamiętała to dlatego, że doszło do zamiany płaszczy. Podobno biegliśmy na dworzec PKS, by zdążyć złapać Olę przed odjazdem autobusu. Udało się. Obie panie w ostatniej chwili zdołały się zamienić identycznymi czarnymi płaszciami. Jeżeli w 1990 roku była już moją piszącą koleżanką, to znaczy, że poznaliśmy się wcześniej. Grzebiąc w archiwach, natrafiłem na jej i moje wiersze drukowane w dodatku literackim „Trybuny Wałbrzyskiej” i przypomniałem sobie, że to musiał być 1988 lub 1989 rok, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Stało się to w zamku Książ, w Białej Baszcie, miejscu przydzielonym Wałbrzyskiemu Klubowi Literackiemu na cykliczne spotkania. Urządzono mi tam wieczór autorski, na który i ona przyszła. Powiedziała, że przeczytała w „Trybunie” moje teksty i chce o nich porozmawiać. Tak doszło do zawarcia znajomości.

Traf chciał, że jakoś w tym samym czasie rozpocząłem współpracę z solidarnościowym tygodnikiem „Niezależne Słowo” i ogłosiłem prywatny konkurs literacki pod nazwą „Widok z okna”. Nagrody nietypowe: jeden z tomów *Dzieł zebranych* Platona, bodaj *Fedon*, butelka czerwonego wina, chlebak (nieodzowny rekwizyt młodego poety w drodze) i tym podobne. Już nie pamiętam, co wysłałem autorce zestawu, który nadszedł z Wałbrzycha, a co Krzyśkowi Śliwce z Ząbkowic Śląskich, zwycięzcom tego konkursu. Konkurs w zasadzie był poetycki, ale moją uwagę zwróciły małe prozy Olgi, śmiało łamiące podziały na to, co poetyckie i prozatorskie. I taka już wtedy mi się jawiła – wiecznie na granicy między czymś powszechnie przyjętym a tym nieodkrytym i niepewnym. Dziewczynka wydep-tująca własną ścieżkę, ciepłe i czułe ufo zesłane nam na pociechę i otwarcie oczu na to, czego widzieć się nie chce, bo tak łatwiej, wygodniej, bezpieczniej.

W nadesłanych na konkurs pracach dominowały mniej lub bardziej oryginalne metaforyzacje tego, co za oknem i w świadomości patrzącego. A tylko ona na

moment stała się oknem, zreorganizowała pojęcie podmiotu i opisała to, co okno może czuć i myśleć o odbijającym się w nim potoku rzeczy i ludzi. Opowiedzieć inaczej to najczęstsze i najprostsze przesłanie towarzyszące nowemu pisarzowi. Ale dopiero ona uzmysłowiła mi to z mocą i świeżością. Tak dla mnie w małej, prowincjonalnej gazecie zaczął się przełom w literaturze.

Zauważyłem, że była bardzo wrażliwa na punkcie tego, co pisze. Mocno przeżywała słowa krytyki. A kto nie przeżywa, niech pierwszy rzuci kamieniem. Teraz już sobie z tym radzi, jest opanowana, odpowiada spokojnie i rzeczowo. Podczas I Wspólnego Wieczoru Zaprzyjaźnionych Poetów Dolnośląskich czytała fragment prozy, mówiąc, że z poezją dała sobie spokój, że jej wiersze stały się zbyt rozgadane, że już lepiej pisać prozę. Jak się okazało, to, co czytała, było fragmentem jej przyszłej debiutanckiej książki *Podróż ludzi Księgi*. Byłem pod wrażeniem, słowa płynęły zgrabnie i wartko, emanowały z nich spokój i mądrość, czuło się wyraźnie określoną wizję świata. Po odczytaniu Zygmunt Krukowski, noworudzki poeta z rodziny reemigrantów z Francji, zaczął wypytywać o jedną z postaci, o Gosza, który skojarzył mu się z francuskim słowem znaczącym kierunek „na lewo”, a więc, że to ktoś „lewy”. Bardzo się wtedy zirytowała, mówiąc, że to nieporozumienie, że ona miała zupełnie inne intencje. Potem te cykliczne spotkania zamieniły się w Noworudzkie Spotkania z Poezją, na których starała się zawsze być z kolejną nową prozą. Uważała, że to przynosi jej szczęście, bo gdy pierwszy raz publicznie, właśnie w Nowej Rudzie, przeczytała kawałek *Podróży ludzi Księgi*, to zaraz znalazł się wydawca. Przypadek, lecz Olga uważała, że to coś magicznego. Fragmenty następnych książek, jeszcze z maszynopisu, też starała się na tych spotkaniach czytać. Jako jedyna mogła czytać prozę na imprezie gromadzącej poetki i poetów. Potem ustalił się zwyczaj, że już wydaną książkę „chrzcila” w noworudzkiej bibliotece, prosząc mnie o prowadzenie spotkania promującego dzieło. Z roku na rok zwiększała się liczba zainteresowanych słuchaczy. Proszę pamiętać, że zaczęło się od dziewięciu osób. Jeszcze wspomnę i to, że Olga chcąc się odwdziżyć za prowadzenie jej spotkań, zaproponowała, że będzie prowadzić moje. I tak się stało: zawdzięczam jej wspaniałe spotkania autorskie z okazji wydania *Sajgonu*, a potem *Manekinów*.

W trakcie tych naszych pierwszych kontaktów i rozmów okazało się, że poznaliśmy się wcześniej – zaocznie, na łamach czasopism. Olga debiutowała opowiadaniem jako nastolatka, uczennica liceum, w młodzieżowym piśmie „Na przełaj” w roku 1979, pod pseudonimem Natasza Borodin, ja zaś gorliwie przeglądałem dział literacki tego pisma (a szczególnie rubrykę KMA, „Klub Młodych Autorów”). Ona czytywała „Radar”, w którym ja wtedy debiutowałem jako poeta. Kółko się zamknęło.

Co dalej z „Ogmą”

We wspomnianym artykule z „Warsztatów Polonistycznych” opowiada się o tym, jak podczas I Wieczoru „Ogma” integruje się z innymi klubami i środowiskami.

Młodzi noworudzianie nawiązali wówczas serdeczne kontakty z poetami (również uczniami szkół średnich) skupionymi w Stowarzyszeniu Żywych Poetów (Brzeg) i grupie poetyckiej „622 Upadki Bunga” (Kłodzko). Pod koniec czerwca B. Jaroszevska, D. Gwoździk, D. Magen i piszący te słowa na antenie Polskiego Radia prezentowali swoje wiersze oraz krótką historię klubu w audycji literackiej „Obecność” nadawanej z Wrocławia, a prowadzonej przez Lothara Herbsta i Roberta Gawłowskiego. W styczniu 1992 roku powstała antologia poezji *pod powiekami z rozsypanych słów*. Zaistniała ona dzięki życzliwości prywatnych sponsorów i instytucji, m. in. Urzędu Gminy. Na łamach „Trybuny Wałbrzyskiej” Marek Malinowski, recenzując ów zbiorek, zauważał: „Krzepiące jest, że owo środowisko literackie wyrosło, jak powiedzieliby socjologowie, »na surowym korzeniu«, i to w pełnym tego słowa znaczeniu. A pamiętać trzeba, że w Nowej Rudzie ani klimat, ani gleba dla tego typu poczynąń nie były zbyt sprzyjające”⁴. Kolejne wydawnictwa klubu to tomiki *jakaś dziwna radość* Beaty Jaroszevskiej i *gubiąc echo własnych słów* Anny Szpak oraz antologia *Pożegnanie z poezją*.

19 czerwca 1992 miały miejsce II Noworudzkie Spotkania z Poezją. Wśród zaproszonych gości znaleźli się m. in. Teresa Wagilewicz, Robert Gawłowski, Krzysztof Śliwka, Mirosław Awizeń, Janusz Skrobot, Roman Gileta, Ewa Karpf, Olga Tokarczuk. Z Brzegu przyjechał Janusz Wójcik, rozpoczynając intensywną i zażyłą współpracę między dwoma środowiskami, noworudzkim i brzeskim. W dynamiczny i pomysłowy sposób kontynuował ją przez całe lata Radosław Wiśniewski wraz z grupą skupionych wokół niego młodych autorów (np. Tomasz Zacharewicz, Piotr Czubryt, Szymon Goriaczko, Ola Goriaczko, Ryszard Słoneczny, Anna Chmielowska). Do Nowej Rudy zawitał wtedy Antoni Matuszkiewicz ze Świdnicy, prezentując własną twórczość i prowadząc na zmianę z piszącym te słowa kolejne Noworudzkie Spotkania z Poezją. Wraz z nim przybyli młodzi świdniczanie, którzy w Nowej Rudzie znaleźli dobre warunki do prezentacji swoich wierszy, np. Leszek Florek (pisujący pod pseudonimem Tamara Hebes), Wioletta Stadnicka, Tomasz Hrynac, Grzegorz Woźny, Ryszard Fiedler, Andrzej Mesjasz, Iwona Mesjasz (obecnie Matuszkiewicz). Trzecim środowiskiem, które mocno związało się z noworudzkim w wyniku tych cyklicznych spotkań, było środowisko wałbrzyskie. Drogę przetał Roman Gileta. Razem z nim zaczęli

4 M. Malinowski, *Cienko przędq, ale przędq*, „Trybuna Wałbrzyska” 1992, nr 13, s. 4.

przyjeżdżać następni, np. Danuta Góralska-Nowak, Teresa Misior-Zalewska, Wiesława Raczkiewicz, Zdzisław W. Żurek, Elżbieta Gargała.

W tym czasie klub się rozrasta. Do znanych już nazwisk członków i członkiń klubu, takich jak David Magen, Lidia Bryk-Mykietyn, Bogdan Klim, Daniel Gwoździak, Beata Jaroszevska, Anna Szpak, dołączyły nowe osoby, m.in.: Renata Szymik, Karolina Trybała, Aneta Oczkowska, Sylwia Wierdak, Daniel Wielgus, Krzysztof Karwowski, Bolesław Kubicki, Lidia Niekraś, Sebastian Antolik, Jakub Jóźwicki, Beata Rumak-Eisfeld, Weronika Gawrońska, Mariusz Poźniak, Angelika Niepsuj, Magdalena Kotwica, Tomasz Proszek. Wychodziły kolejne almanachy i indywidualne tomiki, np. *Obieg w naturze* K. Karwowskiego, *Demo* Przemysława Jurka, *On mieszka w drzewach* B. Jaroszevskiej, *Delikatność traw* A. Oczkowskiej, *Wiersze. Pierwsza dekada października* R. Szymik i B. Kubickiego.

„Ogma” swój rozkwit zawdzięczała niezwyklej aktywności Tomasza Leśniowskiego (Davida Magena), czuwającego nad wszystkim aspektami prężnej działalności. Bez niego nie byłoby tych wieczorów i tomików. Muszę to w tym miejscu podkreślić.

Zygmunt Krukowski⁵

Ukazuje się też w 1993 roku debiutancki zbiór wierszy Zygmunta Krukowskiego, który po latach milczenia i odwrotu powrócił do życia literackiego⁶, wprawdzie w skali tylko lokalnej, noworudzkiej, ale jednak... *Kosztowna esencja* gromadziła najlepsze, zdaniem autora, teksty z wielu lat, częściowo siedemdziesiątych, a częściowo osiemdziesiątych.

Przede wszystkim widzę w nich przestrzeń tak znajomą, obsesyjnie powielaną i rekonstruowaną, że być może już czytelną tylko dla noworudzian. Krukowski nigdy w gruncie rzeczy nie opuścił tego konkretnego „małego świata”, do odnalezienia przez ciekawskich w Sudetach Środkowych, między Górami Stołowymi i Sowimi, w Obniżeniu Noworudzkim otoczonym przez Wzgórza Włodzickie. Rozliczne aluzje, które czyni, do miasteczka ułożonego na dnie doliny taki pejzaż

5 „Noworudzkie środowisko literackie przed 1990 rokiem reprezentowali Czesław Borsowski i Zygmunt Krukowski. Obecnie ten pierwszy, wydawszy tomik w Kłodzku, przeprowadził się do Polanicy, natomiast drugi twórca, laureat wielu konkursów poetyckich i dramaturgicznego (na sztukę dla dzieci), zadebiutował tomikiem *Kosztowna esencja*” (T. Leśniowski, *Poeci Doskonale Wierni. Noworudzki Klub Literacki „Ogma”, Polsko-Czeska Grupa „Poeci’97” w latach 1990-2004*, Nowa Ruda 2005, s. 7).

6 Autor ten ożywił się wyraźnie wraz z rozpoczęciem działalności „Ogmy” i Noworudzkimi Spotkaniami z Poezją. Dał się wreszcie namówić na wydanie tomiku, a w lokalnej prasie pisał: „W Nowej Rudzie może i byli przedtem ludzie piszący wiersze, ale było to tylko echo w pustym lesie” (Z. Krukowski, *Felieton emocjonalny. Karol Maliszewski*, „Gazeta Noworudzka” 1994, nr 60, s. 6).

przywołują. To jest ważne dla niego samego, jak również dla bohaterów opowiadań, powieści, felietonów, a przede wszystkim wierszy. Bo właśnie w wierszach ta zaklętna i zaklęta przestrzeń dostępuje czegoś jeszcze, a mianowicie lirycznej i metafizycznej uniwersalizacji.

Jednak, jak myślę, można na chwilę zapomnieć, czytając te utwory, o topograficznym konkrecie, można odsunąć go na dalszy plan, ponieważ ważniejsze jest ludzkie „samopoczucie” w tym miejscu (i tego miejsca), wrażliwość kogoś, kto z miejscem związał się na dobre i złe, tworząc swoją wątłą egzystencję w przestrzeni między szpitalem a cmentarzem, między kościołem a kopalnią. Niczego więcej nie ma – mówi każdym wierszem Krukowski. I jest tego jednocześnie tak wiele, i spełnia się w tym życie, jego przewidywalna (i nieprzewidywalna) twórcza nieskończoność. To jest ta jego metafizyka kropli wody czy ziarenka piasku, o której tyle razy mówił (nawiązując nie tylko do Faulknera, ale i do tłumaczonego przez siebie Blake’a), świadomy swego miejsca na Ziemi, a także tego, co z tym miejscem zrobić, jaką urządzić mu oryginalną transcendencję poetycką.

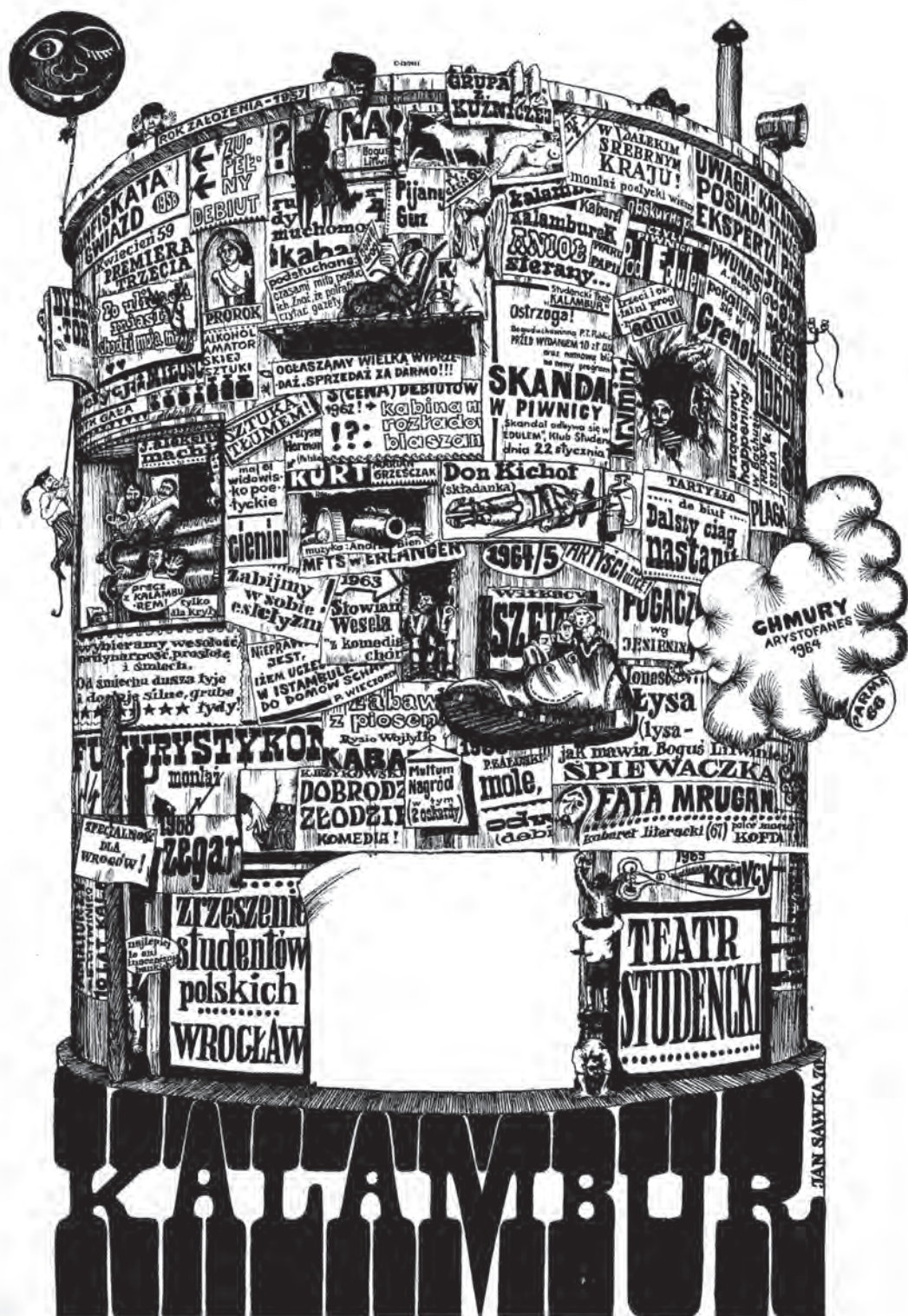
I może szarpał się niekiedy, mówiąc, że chciałby się wyrwać czy wydostać z tego skazania i wyroku, to jednocześnie nie wyobrażał sobie życia poza „wyrokiem”. Najlepsze rzeczy napisał właśnie w tak rozumianych granicach. Bo on świadomie nie widział tych granic. A jeśli dawały o sobie znać, przekraczał je każdym słowem, każdym zdaniem. Nie sądzę, że tylko współziomek, mieszkaniec tego miejsca, może odczuć rozmach i siłę obrazowania wyrastającego z tych zmagania, z imperatywu *p r z e k r a c z a n i a*. To właśnie zapewnia poecie trwałość, a miejscu, które uświetnił swoim trudem, daje uniwersalne znaczenie. Nowa Ruda zanim trafiła do prozy Olgi Tokarczuk i dzięki temu stała się szerzej znana, już trwała godnie i szlachetnie w poezji Zygmunta Krukowskiego. Nowa Ruda jako punkt wyjścia... A do czego można było przez nią dojść, do jakiej samoświadomości i do jakiego arcyzmu, pokazują jego wiersze.

Taki *Land*

Wśród licealistów dojrzewających w tak ożywionym krajobrazie literackim był i Rafał Różewicz. W rozmowie opublikowanej na stronie Wydawnictwa J (tuż po wydaniu powieści *Land*) wspomniał o tym, że „w zaciszu miejscowej biblioteki z wypiekami na twarzy przeglądał publikacje Noworudzkiego Klubu Literackiego OGMA”. Podobno bywał też na niektórych wieczorach poetyckich organizowanych przez klub, a także formację, która z niego się narodziła, czyli Polsko-Czeską Grupę „Poeci’97”. Czytał wydawane tam pisemko „Cermait”, a pierwsze utwory publikował w jednodniówce „Outside” i też noworudzkiej „Paginie”.

Kolejne Noworudzkie Spotkania z Poezją gromadziły coraz więcej uczestników. Szczególnie wtedy, gdy imprezie zaczęły towarzyszyć konkursy poetyckie – pierwszy z nich nosił nazwę „O Laur Kosmicznego Koperka”, drugi po latach nawiązał do postaci Zygmunta Krukowskiego. Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Zygmunta Krukowskiego odbywa się do dziś. Wśród ich laureatów były takie postacie jak m.in.: Klara Nowakowska, Cezary Domarus, Edward Popławski, Hieronim Szczur, Marek Chorabik, Anna Andrych, Marcin Ziolkowski, Grzegorz Tomicki, Anna Fidecka, Piotr Brysacz, Jarosław M. Gruzla, Marcin Czerwiński, Roger Piaszkowski, Mirosław Dragon, Dariusz Sas, Mirosław Gabryś, Michał Bruno Rybczyński, Czesław Markiewicz, Miłosz Kamiński, Grażyna Lityńska, Grzegorz Hetman.

O, zapomniałbym... Ważne dla młodych, szukających swojego stylu, czy jak to się dzisiaj mówi – dykcji, były konfrontacje z doświadczonymi pisarzami. U nich można było coś podpatrzeć i mieć potem o czym mówić na warsztatowych spotkaniach „Ogmy”. Nie pamiętam już wszystkich mistrzyń i mistrzów (za co przepraszam), którzy nawiedzili progi noworudzkiej księżnicy w ramach działalności naszego klubu, ale na koniec tych kilka nazwisk muszę wymienić: Urszula Koziół, Marzanna Bogumiła Kielar, Danuta Saul-Kawka, Anna Janko, Bogusława Latawiec, Mirka Szychowiak, Agnieszka Wolny-Hamkało, Janusz Styczeń, Bohdan Zadura, Julian Kawalec, Adam Ziemianin, Zbigniew Machej, Antoni Matuszkiewicz, Roman Honet, Jacek Podsiadło, Mariusz Grzebalski, Dariusz Sośnicki, Ernest Bryll, Maciej Woźniak, Jacek Bierut, Dariusz Suska, Konrad Góra, Bartosz Suwiński.



Jan Sawka, *Plakat teatru KALAMBUR*, 1970, rysunek tuszem (czyt. s. 184)

Land

59.

Po kilku kolejnych ucieczkach na adlerze Edek w końcu postanowił stawić czoła swoim prześladowcom. Co prawda nie miał już scyzoryka, ale woził ze sobą procę i pałał chęcią zemsty za wyzwiska i kamienie rzucone w jego stronę.

Skrzyknął więc kilku chłopaków, Heńka, Bronka i Grubego, synów osadników z sąsiedztwa, i przekonał ich, że warto iść „na Niemca”. Wkrótce czwórka uzbrojonych w kamienie i proce dzieciaków ruszyła w kierunku dawnego niemieckiego cmentarza. Tam, na wzgórzu, od jakiegoś czasu nie tylko leżała głowa szeregowca Piotrowskiego czy ciało Antoniego Krześniaka, ofiar Werwolu, ale koczowała też niemiecka banda wyrostków, utrapienie Edka. Pilnowała ona noworudzkiego cmentarza, bo Polacy chętnie się tu zapuszczali po nocach i otwierali groby w poszukiwaniu kosztowności: głównie pierścionków oraz złotych zębów. Niekiedy nawet rozbierali te stare niemieckie groby i cmentarny budulec służył im potem do umocnień domostw, ogrodzeń i budowy piaskownic. Nie to jednak było najgorsze. Po drodze Edek, gdy tak szedł (bo tym razem nie zabrał adlera, za duże ryzyko, gdyby poszedł na jeńca) z Heńkiem, Bronkiem i Grubym, przypomniał sobie bowiem miejskie legendy o Królu Złotym i Księżciuniu, a także opowieści o ich wyprawach na noworudzki cmentarz.

Ci to dopiero byli artyści. Odsuwali nagrobne płyty jak prawdziwi poszukiwacze skarbów. Wskakiwał taki Król lub Księżciunio do środka, otwierał trumnę i ściągał z trupiego palca złoty pierścionek. Pewnego dnia jednak pokłócili się o łupy i Król Złoty na groby poszedł sam. To była jego ostatnia wyprawa. Wypatrzył grób, odsunął płytę i wskoczył do środka. Płyta jednak niespodziewanie się zsunęła i uwięziła go w grobowcu razem ze złotym zębem nieboszczyka. Król Złoty długo krzyczał z przerażenia i wołał o pomoc, ale krzyki na cmentarzach były wtedy na porządku dziennym i wszyscy wiedzieli, żeby tam nie chodzić wieczorami, bo albo szaber, albo morderstwo, albo gwałt. W przypadku Króla była to jednak zwykła, głupia śmierć hieny cmentarnej. Ludzie przekonali się o tym dopiero po trzech dniach, kiedy go znaleźli, równie martwego jak nieboszczyk, którego przyszedł obrobić, choć jeszcze nierozłożonego. Złoty ząb również znikł, choć oficjalnie nikt o niczym nie wiedział.

Kiedy ciało Króla zostało zabrane, a płytę odłożono na miejsce, milicjanci, podwładni Kaźmierskiego, weszli do mieszkania Króla sprawdzić, co jeszcze powyściągali z grobów. Sami chętnie przytuliliby te skarby. Jeden z nich odsunął ciężką dębową szafę i zobaczył za nią drzwi prowadzące do sekretnego pomieszczenia. W środku znaleźli różne papierzyska w języku niemieckim i książeczkę wojskową, z której wynikało, że Król Złoty był w czasie wojny żołnierzem Wehrmachtu. Czy został wcielony do niemieckiego wojska siłą, czy też poszedł na ochotnika? Nie wiadomo. Mieszkał sam ze swoją przeszłością, do której regularnie wracał: w pomieszczeniu za szafą było sterylnie czysto, wszystkie papierzyska ułożone w idealnym porządku. Dbał o ten swój Wehrmacht, jak na Niemca przystało, choć z dokumentów wynikało, że był Polakiem z Warmii. Jego współnik, Księciunio, przepadł bez wieści.

60.

Noc była już całkiem ciemna, kiedy Edek, Heniek, Bronek i Gruby dotarli na noworudzki cmentarz, uzbrojeni po zęby: z kieszeniami pełnymi kamieniami i z gaciami wypełnionymi strachem. Bo odwaga odwagą, ale cmentarz i Niemiaszki... źle to wszystko się kojarzyło, przynajmniej od ostatnich sześciu lat. „A co, jeśli mają pancerfausta?” – Gruby się defetyzm, czym irytował Edka. W kółko nadawał, jak podwójny agent. Czerwony wśród białych, jak w książce o Indianach, którą Edek nocami przeglądał z wypiekami na twarzy. „Po co go w ogóle wzięłem?” Grubasy na takich wyprawach zazwyczaj przynoszą pecha, są jak piąte koło u wozu, to od nich zaczynają się wszelkie katastrofy: pierwsi giną, pierwsi wpadają w pułapkę, żadnego z nich pożytku, ruszają się wolno, pocą szybko. Ale było już za późno, żeby cokolwiek zmieniać. Co by nie mówić, Gruby był jednak kompanem, bratem, a braterstwo broni, w ich przypadku proc, było najważniejsze. Czy Szkopy mieli pancerfausta, nie wiadomo, ale nawet gdyby mieli, to przecież zmietliby nim pół cmentarza. A chyba nie po to go pilnowali, żeby wysadzać w powietrze zdobne, okazałe grobowce z kolumnami przy wejściu, takie jak ten rodziny Rose.

A Gruby wciąż nadawał.

Skradając się między grobami, Edek wiedział, że może tu polec, lecz pragnienie zemsty za wszystkie doznane krzywdy było silniejsze. Liczy się prawo pięści – tego nauczył się na tych ziemiach, które czasami nazywano Dzikim Zachodem. Chciał być pięścią, która pokona tych eks-Hitlerjugend. Wcześniej nie miał na to szans, bo zawsze był sam, a oni w grupie, chodzili lasami, kto wie, może nawet utrzymywali kontakty z Wilkołakami. Edek wiedział, że gdzieś tutaj są, ale nie włączał latarki, żeby się nie zdekonspirować.

Nagle usłyszeli szmer. Po nim szybkie kroki w oddali. Tup, tup, tup, tup.

– Słyszycie?! – syknął Edek.

Heniek wyciągnął zza paska procę. Reszta zrobiła to samo. Nagle świst i pach! Gruby krzyknął i upadł. Przyłożył dłoń do czoła, a spomiędzy palców pociekła mu krew.

– Ała, ała!

– Niech to szlag! Szwaaby! – ryknął Edek i naciągnął procę, ale nie wiedział, gdzie strzelać. W tych ciemnościach zupełnie nic nie było widać.

Tup, tup, tup, tup.

I znowu: świst i pach! Tuż za plecami Edka padł Bronek. Chwycił się za oko.

– Ała, ała!

A więc mają proce, a nie pancerfausty. Edek skulił się za przypadkowym grobem. Sięgnął do kieszeni po kamyk. Naciągnął procę, ale przed nim rysowała się tylko ciemność. Tamci byli dla niego zbyt szybcy.

Tup, tup, tup, tup.

– Nie oddam wam mojego adlera!!! – wrzasnął zza grobu, w przypływie paniki. Podniósł się i ruszył przed siebie. – Nie oddam, nie oddam! – łkał, zalewając się łzami.

Pach, pach, pach, pach!

Dostał, ale czuł w sobie taką wściekłość, że nie zważając na nic, biegł dalej, przeskakując nad grobami Müllerów, Kesslerów i Engelsów. Nie myślał o Heńku, Grubym i Bronku, którzy krzyczeli gdzieś z daleka, jakby zza jakiejś kurtyny, z innego świata. Myślał tylko o tym, że nie da się wziąć żywcem. Prędzej padnie przy grobie jakiegoś Niemca, zginie bohaterską śmiercią, jak na żołnierza przystało, bo kto walczył – ten był żołnierzem. I Edek nim był. Miał swój oddział, co prawda już rozbity przez zaprawionych w boju młodych Niemców, ale jednak. I podjął z nimi walkę.

Krzyki tymczasem ustały. Edek leżał między grobami i nasłuchiwał. Nie było już szybkiego tup, tup, tup, tup. Nie było już nic. Udawał martwego. A może naprawdę był martwy? Uszczypnął się. Poczuł ukłucie. Nie, jednak żył, martwi byli ci wszyscy wokół, leżący w grobach, nie on. Ale nie poruszył się. Wszędzie ciemność. Jedynie wątle światło księżyca.

Nagle zamiast świstu usłyszał strzał.

Jeden.

Drugi.

Trzeci.

Tratatatata.

Jeszcze mocniej przylgnął do ziemi. Zaciśnął palce na kępkach trawy. Postanowił się ich trzymać ze wszystkich sił. Chciał żyć.

Tymczasem wokół niego znów zaczął się ruch. I znowu strzały, krzyki.

Tup, tup, tup.

Kroki zaczęły szybko oddalać się w stronę lasu.

Inne za nimi.

Tup, tup, tup.

I znowu strzał. Jeden, drugi, trzeci.

Tratatatata.

Edek zamknął oczy. „Przeżyć, tylko przeżyć”.

„Za nimi!” – usłyszał po polsku, całkiem blisko, ale nie był to głos Heńka, Bronka czy tym bardziej Grubego. To był głos kogoś, kto przyszedł tu na szaber, spragniony łupów, a napotkał niemiecką bandę spragnioną krwi Edka i jego kompanów. Kiedy Edek, zestrachany, jak tylko może być zestrachany dzieciak w nocy na cmentarzu, zdał sobie sprawę, że w ciemnościach, wśród grobów i pod ostrzałem, pozostał niezauważony przez szabrowników, uznał, że to dobry moment na ucieczkę. A raczej na powolne wycofanie się z linii frontu. Przypominało to wspinanie się po skałach, tyle że w odwrotnym kierunku.

Jedna kępka trawy.

Druga.

Trzecia.

Teraz należało policzyć ofiary. Grubego, jęczącego gdzieś pod płotem, nie liczył, on zawsze był ofiarą, ofiarą losu. Ale Heniek i Bronek? Co się z nimi stało? Bał się krzyżeć, żeby nie wywołać tamtych z lasu, skąd zresztą zaczęło dochodzić teraz wycie przypominające wycie zarzynanej zwierzyny. Szkopy? A może szabrownik, który wpadł w zasadzkę? Wycie nie ustawało. Czyżby to duchy jego poległych kompanów? Jeśli tak, to gdzie ich ciała?

„Latarka, gdzie jest latarka?” Pomacał się po kieszeniach spodni, ale jej nie wy czuł. Została jeszcze jedną ofiarą nocy, która okazała się zdecydowanie za długa. Zwłaszcza dla tych, którzy powinni chodzić spać zdecydowanie wcześniej.

41.

Staś Kowalik, który dzięki ojcu dostał w końcu pracę na polu „Piast”, lubił chodzić ulicami Nowej Rudy. Mimo że mieszkał tutaj już trochę, wciąż wydawała mu się nie do końca poznana. Spacerować to był jego sposób na oswojenie się z tym miastem. Z kilkoma ulicami na krzyż, z mostkami niedbale przerzuconymi na drugą stronę Włodzicy. Na wiosce lubił chodzić nad Wartę, opodał młyna, gdzie zawsze znajdował ślimaki w muszlach na kamienistym brzegu. I fajnie było puszczać wtedy kaczki po tafli wody, jeden plusk, drugi, trzeci i siup – kamień w wodę, przepadał na zawsze, jak Staś. Tam zniknął, a wypłynął tutaj.

Przed wyjazdem, wraz z chłopakami z okolicznych gospodarstw, często brał udział w zawodach w puszczaniu kaczek, które organizowano zwykle latem, kiedy z miasta przyjeżdżało na wakacje kilku takich, co to zadzierali nosa i uganiali się za ich dziewczuchami, próbując stukać laseczkami po okolicznym błotku. Ale weź takiemu paniczowi skop tyłek. Zrobi się potem problem od chałupy Wolasa do chałupy Kulasa, na którą listonosz Miziurek zawsze kłął, bo już bardziej na uboczu chyba nie dało się gospodarować. A Staś po prostu chciał mieć święty spokój, kiedy szedł nad rzekę i spoglądał na młyn z naprzeciwka, mijając po drodze rozpołowione drzewo, w które kiedyś uderzył piorun, ale wbudowana w pień kapliczka pozostała nietknięta. Cud, boski znak, dlatego Staś zawsze pamiętał, żeby się przeżegnać, kiedy ją mijał.

Teraz mijał pomnik świętego Jana Nepomucena stojący przy zbiegu ulic Spacerowej i Fredry. Ale się nie przeżegnał. Bo to był niemiecki pomnik, jakiś obcy święty, a Staś kłaniał się tylko tym świętym, których znał. Dlatego nie czuł wyrzutów sumienia. Jak wtedy, kiedy ostatni raz przyszedł nad rzekę i dopiero na miejscu uświadomił sobie, że zapomniał się przeżegnać przy kapliczce. A że już rozłożył się na brzegu, to nie chciało mu się wracać. Chyba Najświętsza Panienka nie obrazi się na niego za ten jeden jedyny raz? Potem, spoglądając na drugi brzeg Warty, pomyślał, że dobrze byłoby w przyszłości zaczepić się u młynarza. Ale następnego ranka wybuchła wojna, a on miał czternaście lat i musiał chować się w polu ziemniaków, kiedy nadleciały sztukasy i to ich straszne wycie, jakby coś się pomieszało na bożym świecie i zamiast Chrystusa sam diabeł zstąpił na ziemię. I wtedy, w tych ziemniakach, zaświtała mu myśl, że ten cały ambaras, cała ta wojna – to przez niego, bo dzień wcześniej ten jeden jedyny raz zapomniał się przeżegnać.

Dobrze pamiętał samoloty. Nadlatywały każdego dnia i zadawały coraz więcej strat. Nawet w dom Kulasa uderzyła zbłąkana bomba i co poniektórzy, z Kulasami mający na pieńku z dziada pradziada, szeptali, że to kara boska za jego wycofanie, gospodarzenie i gromadzenie majątku na uboczu. A patrząc na spalony dom i stodołę, i Kulasa, który biegał jak oszalały, depcząc zwęglone ciała świń, dodawali, że to sam Bóg zesłał na niego piorun, coby pokazać ludziom, że dom Kulasa to nie kapliczka i że wobec ognia z nieba wszyscy są równi. A Kulas dopuścił się bluźnierstwa, chwając się właśnie kiedyś, że jego chałupa jest jak ta kapliczka – przetrzyma wszystko. Lecz nie można wystawiać Stwórcy na próbę, nawet jeśli wchodzi on w skórę samego diabła: Niemca. Dlatego co bardziej gorliwi zachodzili do księdza Stopy i prosili o radę: co zrobić, aby zdjąć klątwę Kulasa z wioski? Ksiądz Stopa nakazał im wracać do domów, pokutować grzechy całego życia i prosić Boga o przebaczenie. Może dobry Bóg zlituje się nad grzesznikami i przepędzi niemieckie samoloty na cztery wiatry.

I rzeczywiście, trzeciego dnia września niebo jakby zrobiło się spokojniejsze. Mieszkańcy niepewnie wyszli z chałup i Staś, wciąż targany wyrzutami sumienia, ujrzał na niebie jedynie klucz ptaków. Myślano, że Bóg wysłuchał ich prośb, i mieszkańcy czuli nawet dumę z tego, że okazali się dla Stwórcy tacy ważni. I kiedy już mieli brać się za naprawianie szkód i wracać do swojego zwykłego wiejskiego życia, na drodze pojawił się listonosz Miziurek. Przynosił wieści, że Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę i od teraz wszystko zmierza ku lepszemu. Omal go, zdziwionego, nie opluto, aż biedny musiał zasłaniać twarz czapką. Nie będzie im tu umniejszał ich roli w zmianie dziejów, niech Anglia i Francja nie mieszają się w nie swoje sprawy, bo to tutejsi mieszkańcy wymodlili koniec wojny, więc niech tamci nie mącą spokoju, który oni dopiero co przywrócili na niebie i ziemi. Listonosz Miziurek popukał się w czoło i już miał czym prędzej czmychnąć przed narastającym gniewem ludu, kiedy na niebie pojawił się pojedynczy samolot. Ktoś z tłumu, chyba Pałuk, wskazał nań palcem i krzyknął: „Anglik, Anglik!”. Ale „Anglik” raptem obniżył pułap i zaczął w nich pruć serią. Staś rzucił się na ziemię. Miał już dość, nie spodziewał się, że Maryja Panna może być aż tak mściwa. I ten „Anglik”, który coraz bardziej przypominał Niemca... też był jakiś mściwy, zawzięty. Krążył nad nimi jak wygłodniały ptak. Niemożliwe jednak, żeby tam, w tej Anglii, tak szybko usłyszeli o ich wyzwiskach i groźbach. Cóż za przerażająca cywilizacja, coś za przerażająca technika, która coraz częściej wprowadza zamęt w okolicy, a teraz przynosi im jeszcze kolejną wojnę. „Co żeśmy zrobili...” – załkała Pałukowa i zerwała się na równe nogi, by w jakimś ofiarnym geście wystawić gołą pierś na kolejną serię, ale Pałuk syknął: „Leżyć, stara!” i szarpnął ją za kostki, tak że kobieta znów padła plackiem na ziemię. A Niemiec krążył. W pewnej chwili Lusia, którą Staś uczył puszczać kaczki, kiedy siadali czasem nad brzegiem Warty, nie wytrzymała. Wstała i krzycząc w stronę samolotu, zaciskała chude pięstki i tupała bosą stopą, jakby wygrażała Bogu. Zanim jednak ktokolwiek sprowadził ją na ziemię, zaczęła biegać wkoło, jak oszalała Kulas, gdy zorientował się, że wszystko stracił. Staś zrozumiał, że jeszcze chwila i może stracić Lusie, ruszył więc za nią pośród krzyków i nawoływań przerażonych mieszkańców wioski. Dla niemieckiego pilota, który ponownie obniżał lot i pruć serią, był to zabawny widok. Jakby ganiały się dwa kurczaki. Ostatecznie wziął na cel Lusie.

Kiedy Staś zaszedł na podwórko przy ulicy Piastów i ujrzał stary kamienny wychodek, wszystko sobie przypomniawszy. Lusie stojąca na linii strzału. On krzyczący: „Ciekaj!”. Lusie, jakby nagle wyrwana z obłądu, oprzytomniała i pędem rzucającą się w stronę wychodka. Naboje rozpryskujące się po ziemi jak kaczki na wodzie. „Ciekaj!” I znów Lusie, która potyka się i upada przed wychodkiem. Seria

puszczona z samolotu i trafiająca ją w plecy. Te przez chwilę poruszają się dziwnie, gwałtownie w górę i w dół. Samolot odlatuje. Tłum ludzi wokół martwej Lusi, coraz większa kałuża krwi. I Staś stojący nieruchomo, jakby trafił go piorun, pośród zawodzeń i lamentu bab.

Teraz był już jednak zupełnie gdzie indziej, w innym czasie. Stał przed innym wychodkiem, murowanym, lepszym. Snuł się ulicami Nowej Rudy, żeby wreszcie odnaleźć sens. Codziennie udawał się na spacer, który nierzadko kończył się w Słoneczku, a tam Maniek, Franek i Czarny Olo brali go w obroty, przez co później wychodził wężykiem.

Teraz jednak szedł prosto ulicą Obrońców Stalingradu, z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Kiedy uniósł głowę, zobaczył przed sobą młodą kobietę. Miała na rękawie białą opaskę, ciągnęła mały wózek. Stanęli naprzeciw siebie, zakłopotani. Niemka patrzyła to w prawo, to w lewo, jakby zastanawiając się, w którą stronę najlepiej uciec przed jego wzrokiem. Staś ruszył w lewo, ale Niemka tak samo. Staś wybrał więc prawą stronę, ale młoda Niemka znów zgrała się z jego ciałem. Oboje poczuli irytację, lecz żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Krzywe kółka wózka zaskrzypiały na nierównej kostce. Niemka szarpnęła nim i szybko przeszła na drugą stronę, przenosząc wózek nad ulicą. Były w tym pośpiech, nerwowość i chęć uniknięcia bliższego kontaktu. Staś ruszył przed siebie. Obejrzał się jeszcze za nią i pomyślał o Lusi, której – w przeciwieństwie do Niemki – nie udało się umknąć. Przyspieszył kroku. W kieszeniach mocniej zaciśnął pięści. Dlaczego właściwie pomógł tamtym dzieciakom?

(fragmenty powieści Land, wydawnictwo j, Wrocław 2022)



Jan Sawka, Okładka jednorazowego okazjonalnego wydania periodyku KONFRONTACJE, Konfrontacje Literackie, 1974 (czyt. s. 184)

tysiąc genialnych galaktyk

mam tysiąc genialnych galaktyk w głowie
albo jedną najważniejszą na świecie obsesję
jak Lucjan Łągiewka
a ty mnie słuchasz tylko w połowie
albo w ogóle nie wierzysz
a przecież:

kroki mam jedynie słuszne
płacze bezszelestne
odezwij na wszystko

noc sprzyja i czesze

zgrzyty nadal będą
tylko zmieniają nas w żarty
jeśli nawet pół kogoś we mnie wierzy
nie zgasnę

brzydkie miasto

wiatr biegnie od lasu nie jest popielaty
poprzedniego dnia miałam w płucach
powstanie warszawskie a dziś ani śladu

mówisz że wystarczy kartka rondo kapelusza brzeg rzeki
a tyle można obliczyć że kto by się spodziewał
nabieram kompleksów

mój najlepszy wiersz powstaje tak długo
jak ta biedna Warszawa a potem jak ciotka Zośka
na trzech ceglach szuka zdrowych zmysłów

doświadczalna hodowla piranii

las nie łąka a pra
moi przodkowie nie zapuszczali puszczy
a ja puszczam się z tobą po duktach
jezioro przyciąga deszcz
Bóg tylko czeka z wiadrami
kap kap z kajaków

po Praniu zostało zalesienie
i zamknięte po siedemnastej
więc osiemnastą puszczamy się bokiem na pomost
spokój trzeszczy

z pieniędzy zostały nam tylko pomidory i zdjęcia
puszczamy bańki
setka kajaków dławi Krutynię
a my pryszczaci i brzydcy umykamy
przed złamaniem

nie puentuj proszę
leśniczy milczy o piraniach
zimno po zmroku

rozkładówka

*cała twoja nerwowość zakłada jazdę
więc jazda*

sen mówi że o groby trzeba dbać
grunt to dobrze wzięty zakręt
wszystko mieści się w szybkości
w małej plamce która zostaje po słońcu nad lasem
tło mży
ani mi się śni wizyta na cmentarzu
od tego dostaje się czerwonych robaków
które drażnią sumienie

zza szyb samochodu groby wyglądają schludnie
za to dziś Matki Boskiej Zielnej
ekrany pełne wojska polskiego
na szczęście nie ma innego wojska
nie ma innych grobów
tylko nadmiar powietrza

**podróż jest wpisana nawet w życie tych
którzy nie ruszają się z miejsca**

*Boże stwórz wojnę albo ucieczkę
albo udawaj że cię w ogóle nie ma
we wszystko uwierzę*

kiedy jest ciemno
świat stoi w miejscu
jak listopad
powiększam niektóre słowa
do rozmiaru twarzy
brzmia obco
i żadne z nich nie wyjaśnia
swojego znaczenia
życie nie jest matematyką
bo niby jak wyznaczyć połowę
i udowodnić że się nie pomylisz
wszystko inne nią jest
i niesie pewność
którą masz w sobie od dziecka

nieotwarte drzwi
wyświechtane przejścia
rysunki bez kolorów
fontanny bez wody
słowa spotkane w tramwaju

dorzecze – kamuflaż

Klarze Nowakowskiej

czytam bardzo blisko twojego wiersza
wybrukowanego przed wietnamskim barem
w którym tłuszcz na stolikach
jest twardszy od spiżu

składałam litery w pierwsze
pocztówki dzieciaków
pozdrowienia z szemranej dzielnicy
o nowej lepszej twarzy

choć nadal życie kapie tu
raz krwią raz mazutem
i osiada na półpiętrze

wierzę twoim słowom
bo prawie każde jest
kołem ratunkowym

Nadodrze, czerwiec 2017

Z przygotowanego do wydania w Bibliotece wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zbioru wierszy pt. „Tysiąc genialnych galaktyk”.

Zakopany

Było to gdzieś zaraz po emisji ostatniego seansu z Kaszpirowskim. Kiedy siedział i wpatrywał się nieruchomo w ekran, hipnotyzując naszych sąsiadów, my naprzeciw nieużywanego od dawna trzepaka kopaliśmy właśnie dużą dziurę w ziemi. Chodziło o zakład, taki na wpół dziecinny, zawarty przy murze poniemieckiego cmentarza, że jeden z nas, czyli ja, Swen, Sztajn, syn Anny, przeleżę w tym dole przez 24 godziny lub dłużej. A jak będzie to więcej niż 48 godzin, to zostanę przeniesiony na ramionach kolegów przez całą Przodowników Pracy, a może nawet Aleję Pracy... aż do szkoły.

W którymś z numerów „Panoramy Północy”, w rubryce „Ze świata” przeczytałem, że pewien Hindus pobił rekord świata w odosobnieniu, leżąc zakopany w grobie. Czując się i tak w naszej paczce, szkole, jak i dzielnicy od lat odosobniony, marzyłem, żeby spróbować pobić rekord tego nieznanego Hindusa. Próbowałem wielokrotnie tego we śnie, lecz najczęściej budziłem się cały zlany potem, łapiąc powietrze niczym ryba. Domyśliłem się, że nie jest to takie proste. Zacząłem więc ćwiczyć oddechy; wpierw przez lustrem. Zaciskałem nos i odliczałem czas, potem zanurzałem głowę w wodzie i liczyłem bąbelki powietrza.

Na początku robiłem się czerwony jak rak, później krztusiłem się i, chcąc nie chcąc, musiałem dać za wygraną. Ale po pewnym czasie zaobserwowałem, że oswajam się z wodą jak ryba; bąbelki powietrza obsiadały moją twarz tak, iż podobny byłem do wodnego glonu, który trzymał w akwarium ojciec Rudka. Któregoś dnia nabrałem w płuca tyle powietrza, że geranium pozwijało liście, a nasz udomowiony pająk zniknął w kulce pajęczyny. Liczyłem minuty... raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... potem straciłem rachubę, ale nie przytomność. Wirowały mi przed oczami mroczki i szumiało w głowie, ale po przeżyciu krytycznego momentu mogłem nie oddychać, ile tylko chciałem. To znaczy oddychałem, ale takimi małymi haustami, iż prawie tego nie czułem. Serce zwalniało jak ja na ostrych zakrętach, ale czułem, że jednak żyję.

Dół czekał już na mnie wykopany, a chłopaki z niecierpliwością przebierali nogami, kiedy to będą mogli mnie w nim zasypać. Sąsiedzi patrzyli na to podejrzliwie, ale nie mieli odwagi spytać, po co nam ta głęboka jama. Jedynie Pierwienic, pół Ukrainiec, pół Białorusin, przynoszący ludziom w workach na plecach ziemniaki na zimę, spytał:

– Co to, chłopcy, będziecie kompostować?

Zaraz, zaraz, pomyślałem, jak się zakładaliśmy, to nie było mowy o żadnym kompostowaniu, nie mam zamiaru „robić” za warzywo.

– Ee, nic takiego, odparł flegmatycznie Gruby, to tylko dół na glisty, jak spadnie deszcz, to same wyjdą...

Zawsze nam imponował swoim gadaniem, potrafił, jak to mówiła moja mama, „oczadzić” nawet księdza proboszcza.

– Nuuuu, zaciągał, to ciekawe, ja o tym wcześniej nie słyszałem.

– My też nie, to podobno mąż pani Kupińskiej powiedział to p. Karolowi, a on jest wędkarzem, stwierdziłem, łącząc w żywe oczy co do tego, że mąż pani Kupińskiej mógł coś komuś powiedzieć, przecież w naszej dzielnicy miał przydomek „Milczek”. Pierwieniec podrapał się po brodzie i kiwając głową w rytm słów *Czego to człowiek nie wymyśli*, wszedł do piwnicy.

Ustaliłem z chłopakami, że wchodzę do dołu, z dwulitrową butelką wody, z preclami na sznurku i enerdownym podświetlanym zegarkiem na baterię. Zgodzili się bez mrugnięcia okiem, bo co im innego pozostawało. I tak mi nie wierzyli, czułem to przez skórę; ciągle swędział mnie lewy łokieć.

Jak to mówią – „klamka zapadła”, nie miałem już odwrotu. Nie byłem tchórzem, ale straceńcem też nie. Dlatego oprócz przygotowania fizycznego, medytowałem, siedząc w piwnicy, potem szedłem na cmentarz i leżałem w poniemieckich zapadniętych grobach. Później wymyślałem się po kryjomu do ogródka p. Kronoskiego i w jego ciasnej ziemiance siedziałem do późnej nocy z podkurczonymi nogami, powstrzymując się od oddychania.

Nie bałem się już ciasnoty, ciemności ani też zapachu ziemi. Ubrałem się w dresy, ortalion przeciwdeszczowy, tak jakbym podświadomie bał się żył wodnych czy podziemnych źródeł.

Był wieczór, gdzieś zaraz po nocy świętojańskiej. Dzień był o kilka minut krótszy od najdłuższego. Otoczyli mnie Rudek, Gruby, Cylas, Mały, Lutek i „Olik”, tak przezywaliśmy Alka o lekko wydłużonej głowie. Zgodnie z naszym wcześniejszym zakładem chcieli być świadkami od dawna oczekiwanej sceny, gdy w końcu zamkną się za mną ziemskie katakumby. To znaczy przesadziłem, bardziej chodziło o wieko wykonane przez ojca Lutka, z drzwi od szafy, które miało przykryć płytki dół. A miałem w nim jak podwórkowy fakir spędzić najbliższe dwadzieścia cztery godziny.

Byłem gotowy fizycznie i duchowo stawić czoła zaistniałej sytuacji. Żałowałem tylko, że leżąc tak beczynnie, nie będę mógł pod ziemią biegać. To znaczy mogłem przebierać nogami, po to, by nie zdrętwiały, ale ogólnie to było cholernie ciasno... no i dziwiłem się trochę zmarłym, że pewnie musi im się nudzić, ciągle w tej jednej pozycji.

Koledzy otaczający mnie wianuszkami pomogli mi rozesać na ziemi plastikowy podkład. Teraz wystarczyło tylko ułożyć się w nim wygodnie i za chwilę Lutek i Cylas mogli zatrzaskać za mną wieko ziemnej skrzyni. Ale zanim to nastąpiło, przyklękli nade mną i unosząc do góry palce oraz krzyżując je, przysięgli na wszystko, co było im najdroższe, że nie otworzą wieka wcześniej niż przed upływem dwudziestu czterech godzin. Nawet jeśli będą zżerać ich na przemian wyrzuty sumienia, wątpliwości lub strach.

– Tak przysięgamy, wykrztusili prawie jednocześnie, łącząc skrzyżowane palce nad wykopanym dołem, który za chwilę miał się stać moim drugim domem. Wokół było pusto.

Dzień był wyjątkowo szary. Właśnie w tym samym momencie, kiedy to zauważyliśmy, rozglądając się czujnie dookoła, na ekranach telewizorów odbitych w szybach leciały wiadomości sportowe. W tamtych czasach przykuwały one do siebie całe rodziny.

Jak tylko mogłem, ułożyłem się wygodnie, podkładając sobie pod głowę niewielki wałek, który matka i tak chciała wyrzucić, więc pewnie nie zauważy jego braku. A oficjalna wersja mojej nieobecności brzmiała „pojechał z grupą wylosowaną z naszej szkoły na »Nieobozowe lato«, przecież wszyscy w dzielnicy i tak widzieli, że jestem warty i chorowity.

Lutek z Małym i Olikiem zatrzasnęli za mną drewniane wieko, a Gruby z Rudkiem zaczęli zasypywać je ziemią. I w końcu zostałem sam.

Dochodziło do mnie coraz mniej światła, aż w końcu zapanowała zupełna ciemność. Dopiero teraz doszło do mnie, iż jestem od tej chwili zdany na samego siebie. Zgodnie z umową, jeden z nich co sześć godzin miał zastukać w ziemię i sprawdzić, czy jeszcze żyję, a ja, jeśli byłbym jeszcze żywy, miałem mu odstukać.

Leżenie w wykopanej jamie czy grobie samo w sobie nie wydawało mi się jakimś nadzwyczajnym wyczynem. Widziałem moją piastunkę p. Podoską w otwartej trumnie, była bardzo spokojna, leżała ze złączonymi dłońmi, w których trzymała różaniec.

Prawdziwym wyzwaniem było opanowanie strachu oraz oswojenie się z ciemnością i wszechwładną ciszą.

Już po pierwszym kwadransie zupełnie pogubiłem się w czasie. Byłem przekonany, że leżę tu już cały dzień, a może dłużej. Ale zaraz, przecież jeszcze słyszałem głosy, chyba Lutka albo Cylka, którzy stali nade mną i rozmawiali:

- Ciekawe, czy mu się uda? Ja bym się tam za żadne skarby nie zakładał.
- Leżeć pod ziemią w ciemności, też mi zabawa, wyznał Cylas.
- A jak mu się uda, to będzie pierwszym z nas, który przejdzie przez taką próbę i pewnie zostanie szefem naszej paczki, stwierdził Lutek.

– Pewnie tak, chociaż każdy z nas może być szefem, jeśli tylko ma jakiś odjazdowy pomysł na zabawę. Tak wszyscy ustaliliśmy, pamiętasz, spytał Cylas.

– Pamiętam, ale to leżenie pod ziemią jest więcej niż tylko pomysłem na sprawdzenie odwagi, oznajmił poważnie Lutek.

Powoli odchodzili, ich głosy były coraz cichsze, tu pod ziemią nie słyszałem już ich kroków. Zapadła kompletna cisza. Jakby ktoś makiem zasiał, jak mówiła babcia.

Jeśli na górze było całkiem białe, to tu pod ziemią było zupełnie czarno, jak w piekarniku mojej matki. Teraz tylko ziemia, no i ja – całkowicie sam. Dopiero po chwili przypomniałem sobie o tym, że mam ze sobą na czarną godzinę latarkę. Włączyłem ją. Światło, które zawsze rachitycznie mrugało, jakby od razu przyzwyczało się do tej niecodziennej sytuacji i zaczęło pełnym blaskiem oświetlać tę moją ziemną trumnę. Dostrzegłem korzenie traw, przebiegające w popłochu mrówki i jakieś opancerzone robaki gramolące się usilnie na moje nogi, jakby chciały zabrać mnie do swoich podziemi. Po raz pierwszy poczułem strach. Jedynie deski nad moją głową pachnące żywicą przypominały, iż należę jeszcze do materialnego świata żywych.

Po pewnym czasie, nie wiem tak naprawdę, ile minęło minut, godzin lub dni, oswoiłem się z moim nowym lokum. Leżałem tak, jakbym co najmniej był na jakichś wagarach. Nie musiałem iść do szkoły, nie musiałem myć zębów i pastować butów. Wokół mnie rozpościerało się wnętrze ziemi, takie, jakiego nawet w najśmielszych snach nie mógłbym sobie wyobrazić. Nie dotykając mnie najmniejszą nawet grudką, prawie się przede mną rozstało, traktując mnie jak własne dziecko.

Mój wzrok przywykł do ciemności. O dziwo, nie była ona całkiem czarna; miała tyle odcieni, o które nigdy bym jej nie podejrzewał. A przy okazji posiadała swoje własne życie, rozbiegane setkami małych żyjątek przechodzących po mnie jak po zwodzonym moście. Nie wiem, ile czasu minęło od momentu mego „zakopania”, ale nie czułem już żadnej różnicy między dołem i górą, tak jakbym się kompletnie zapadł w siebie.

Oczy przyzwyczajone do ciemności wyławiały z niej nawet najcieńsze pasemka szarości. Korzenie krzewów i drzew przeciskały się przeze mnie niczym kurz przez dywan. Od niedawna wydawało mi się, że słyszę, jak rośnie trawa. Tutaj dopiero poczułem smak deszczu; przefiltrowany przez warstwę ziemi rozpyływał się w ustach. Za to zapach mokrej ziemi przypominał mi nasze nocne eskapady na Górkę Blacharską, kiedy czekając na pełnię księżyca, zasypialiśmy z głowami zanurzonymi w mokrej trawie. Czułem się teraz tak, jakbym leżał pod nią i oglądał nasze zabawy od spodu. *Wybieranie biedronek, chrząszczy i żuków wymagało*

od nas isticie stoickiego spokoju i ekwilibrystycznych uzdolnień. Trzeba było zamienić się prawie w posąg, wstrzymywać oddech, tak by nie odleciały, i delikatnie rozplątywać patykami gąszcze traw, a potem szybko wsunąć je do pudełka od zapalek...

Kiedy urwała się moja podziemna retrospekcja, próbowałem mimowolnie wstać, aby dogonić ostatnie uciekające obrazy. Uderzyłem jednak głową o deski, posypała się ziemia i momentalnie wróciła do mnie wiedza o tym, gdzie jestem. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nikt się o mnie nie upomina, nie słyszałem, aby koledzy stukali w moje ziemne wieko. Z tego wszystkiego nie czułem głodu, chociaż miałem kanapkę, dwa jabłka i butelkę wody. Próbowałem nawet żuć białe korzenie wyrastające dookoła mnie. Było ich coraz więcej. Łączyły mnie z powierzchnią ziemi jak anteny. Słyszałem dzięki nim szmery ludzkich głosów oraz dźwięki stawianych kroków. Ludzkie głosy były ledwo słyszalne; zdawało mi się, jakby filtrowano je przez mnóstwo ustawionych wokół mnie parawanów. Kiedyś pewnie bym wpadł w panikę i zaczął krzyczeć, teraz czułem się w tej sytuacji kompletnie zakopany. Dół, w którym teraz leżałem, stał się w końcu moim drugim domem.

Zagubione świetliki w otaczającej mnie ciemności otwierały lunarne ścieżki, którymi przesączało się blade światło. Z osypującej się ziemi uformowałem podgłówek, splątane korzenie utworzyły wokół mnie rodzaj ochronnego kokonu. Nic mi nie zagrażało oprócz obłych wilgotnych dżdżownic, które podczas deszczu bezceremonialnie przeciskały się przeze mnie na powierzchnię. Zazdrościłem im. Wracały z mego świata dostojne i milczące, podobne do tych prehistorycznych stworów, o których uczyliśmy się w szkole.

Nie wiem, ile ponownie upłynęło czasu. Teraz byłem już całkowicie pewny, że wszyscy: matka, koledzy, sąsiedzi i szkoła po prostu o mnie zapomnieli, jak na przykład zapomina się o zgubionych kluczach. Utwierdziły mnie w tym odgłosy sadzonych na mnie krzewów. Ich korzenie leniwie zwiły się wokół, kreśląc przede mną wizję tego, co zostawiłem tam na górze: rodzinny dom, Górkę Blacharską, ścieżki w Parku Tysiąclecia, poniemieckie krematorium i cmentarz oraz moją klasę. Ich opowieści były rozwlekłe, pokrętne i nigdy nie wiedziałem, czy żartują ze mnie, czy pokazują prawdę, taką jaką zapamiętałem sprzed mego zakopania.

Któregoś dnia usłyszałem donośny odgłos kosiarki i przekrzykujące się chropawe ludzkie głosy.

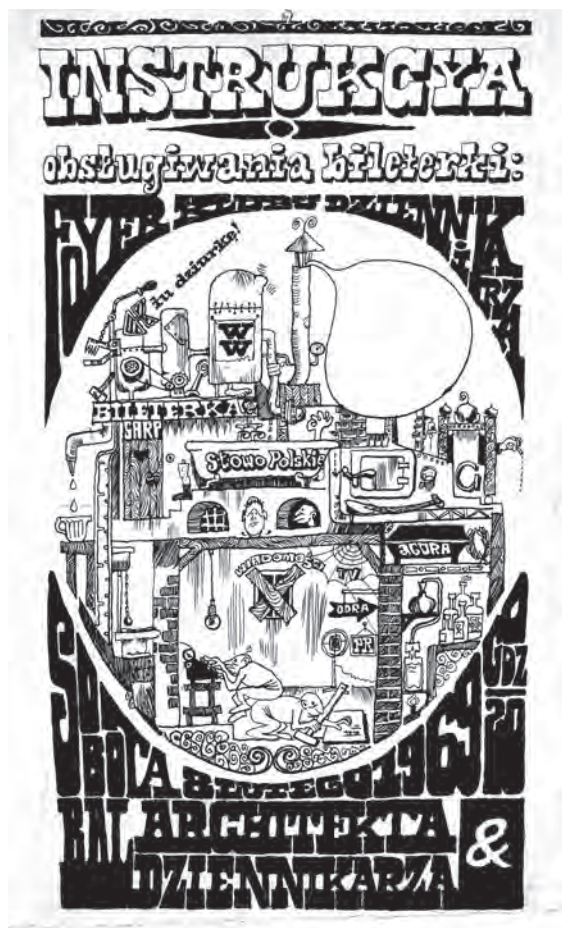
– Szefie, tu możemy wbić tablicę z napisem „Nie deptać trawników”.

W tym samym momencie poczułem głuchy trzask i przed moimi oczami ukażała się zaostroma żerdź, która o milimetry zatrzymała się przed moją klatką piersiową, wbijając się w splot otaczających mnie korzeni. Ktoś kręcił nią tam na

górze, to w lewo, to w prawo. Wstrzymałem oddech. Byłem spanikowany. Nie wiedziałem, co mam robić: krzyczeć, uderzać kolanami w wieko mojego ziemnego lokum czy maksymalnie skurczyć się w sobie i udawać, że mnie tutaj nie ma?

Harmider w końcu ustał, znowu zostałem sam. Po jakimś czasie wzdłuż drewnianej żerdzi urządziły sobie ścieżkę spacerową mrówki, tocząc tam i z powrotem grudki białego piasku. Cały mój podziemny świat pracował tu dzień i noc. Zdawało się, jakby wszelkie żyjące tu stworzenia nigdy nie odczuwały potrzeby snu.

W końcu wszystko to razem spowodowało, iż wtapiając się w tę żywą scenografię, całkowicie zapomniałem o bożym świecie. I o tym, że jeszcze cokolwiek dzieje się tam na górze.



Jan Sawka, *Bal Architekta i Dziennikarza*, 1969, rysunek tuszem, ze zbiorów Jerzego Jerycha (czyt. s. 184)

W Stronę Schwo

Poezja wcześniej czy później będzie jedyną drogą porozumienia

Net parkuje samochód na Komandorskiej w pobliżu słynnej lodziarni. Wysiada. Przypomina sobie, ile razy tędy przechodził, i nie potrafi tego ogarnąć. Odczuwa „coś martwego”. To, co wczoraj było Breakoutem, teraz jest Houellebecqiem. Pomyślał, że to dobry moment, aby zadzwonić do Jezui. Wyjmuje telefon. Jest godzina jedenasta jedenaście. Numer wybiera z kontaktów (Jezua ma ikonkę z autoportretem Jacka Malczewskiego jako Jezusa). Czule klika palcem wskazującym (istotny palec Pantokratora). Pisze: „Wystarczy abyś skinął ręką. Wystarczy jedna Twoja myśl, a zacznę życie swoje jeszcze raz, więc o Boski błagam gest”¹. Wysyła.

Teraz chciałby usiąść. Rozgląda się.

Kiedyś był tu skwer przed kinem „Śląsk” i ławeczki. Trudno, postoję, postanawia. Rozlega się tam-tam przychodzącego SMS-a. Net dotyka ikonki. Czyta jednym tchem:

„Hej, tu Jezua. Dziękuję za wiadomość. Aktualnie przebywam w zaświatach. Po powrocie oddzwonię”.

Net czuje, jak serce podchodzi mu do gardła. Naprawdę musi usiąść. Opiera się o pojemnik na odpady. Zaczyna wiercić dziury. To zdrowy odruch dla tropiciela. Po prostu wierci tam, gdzie jeszcze nie wiercono. Doskwiera mu podstopie, zgodnie z katechizmem dreptaka, który powiada: Nigdy nie stawiaj stóp byle jak. Nigdy byle do przodu. Nigdy dwa kroki na przód, jeden do tyłu. Dreptak drecze powoli i raczej się cofa.

Net namiętnie wierci dziury. Wierci i dowierca się. Wychodzą wszelkie słabości i zaniedbania. Wychodzą nieoficjalne i niegodne niedoróbki.

Net wierci i zagląda.

Kubistyczny olbrzym siada na dachach. Kino „Śląsk” wysyła widokówki z Nowego Yorku. Net ogląda trailery na ścianie, nad oknem biura turystycznego „Orbis”. Robert de Niro za kierownicą taksówki.

1 Bogdan Loeb, *Modlitwa*, fragment piosenki zespołu Breakout w wykonaniu Tadeusza Nalepy z albumu *Kamienie*, wydany w 1974.

Pęknięcia i ubytki w trotuarze, po którym przeszły tłumy niezliczone, są w jego podstopniu wyczuwalne w formie wzgórków, pochyleń, nierówności i dziur w nawierzchni, które narażają na szwank podstopie, mogą doprowadzić do upadku, zwłaszcza gdy na przeszkodzie stanie krawężnik. Neta odróżnia wiele czynników psychofizycznych. Odróżnia od większości, która, nie tak jak on, wypatruje i wsadza nos. Gdyby mógł, to byłby wścibską żyrafą z głową w oknach, z nosem na balkonach, z szyją sięgającą na dach, gdzie lukarny i obeliski, rynny, anteny i kominy, gdzie żywiołka skrzydlata zagnieżdża się i zasmradza, gdzie guanem znaczone są ptasie rewiry. Mógłby skorzystać z letniej aury i poprzez uchylone drzwi na balkon zajrzeć do środka, do wnętrza, gdzie pije się wino, układa dziecko do snu albo pisze się wiersz na laptopie, popijając czerwone wino z wielkiej, szklanej lampki na cieniutkiej nóżce.

Net drepcze ulicą Marszałka Józefa Piłsudskiego.

To sprawdzony i przedreptany wielokrotnie – w te i nazad – szlak z dworca głównego do skrzyżowania ze Świdnicką. Koniecznie pieszo. Nigdy samochodem ani tramwajem.

Koniecznie chodnikiem.

(Niepokój z wyborem techniki poruszania może dotyczyć zjawisk atmosferycznych, stanowiących – niekiedy – istotny powód do rezygnacji z wersji pieszej).

Ulica Piłsudskiego nie jest tym, czym się wydaje. To przestrzeń wyróżnienia. Miejsce, gdzie dochodzi do zatrzymania, gdzie krzyżują się arterie. Krzyż ukrywa się na Piłsudskiego. Czołowa jest funkcja komunikacyjno-urbanistyczna tej ulicy. Jednak bez historii konstatacja jest niepełna. W zasadzie obojętnie, czy idziemy po stronie niezmordowanych atlantów z fasady pałacu NOT, czy – preferowaną przez Neta – lewą stroną: z prostopadłościenną bryłą ekskluzywnego schronu przeciwatomowego w stylu (zrekonstruowanego) art déco, mieszczącego Teatr Capitol.

Net – poprzez przedsionek z widokiem na hall teatru: z kanapami i kasami wśród palm, wychodzi na otwartą przestrzeń placu. Dzieciaki na deskorolkach w powietrznych akrobacjach, oddają się kultowi gigantycznego Arlekina, wystawionego tu przez Allesandra Mendiniego z Mediolanu w dowód serdecznych relacji łączących Włocha z Wrocławiem. Arlekin popisuje się ekscentrycznym odzieniem z kolorowych rombów i trójkątów, nic sobie nie robiąc z mobili Caldera ani z *Jedynych kształtów ciągłości w przestrzeni* Umberta Boccioniego, tylko woła ciao! do Neta, który mija go, przesyłając mu uśmiech, i skręca w prawo w stronę przejścia dla pieszych na drugą stronę Piłsudskiego.

Zatrzymuje go czerwone świecące kółko. Przed nim szeroka, ruchliwa ulica, przecięta bieżnikiem zwanym zebra, czyli ciągiem białych, poziomych prostokątów na ciemnym tle jezdni. Zatrzymanie jest wynikiem czekania na zielone

światło. Istotna przerwa w ruchu. Czas, który Net dostaje mimo woli. Czas, aby powstrzymać kłus i pociągnąć za cugle. Jezdnia jest środowiskiem hybryd mobilnych. Na przejściu odbywa się wymiana przechodniów i pojazdów. Wymiana rejestrowana w porozumieniu z sygnalizacją świetlną, która symbolizuje, posługując się barwnymi światłami: zielenią – barwą uwolnienia, czerwienią – barwą heroiczną i żółtą – barwą melancholiczną. Zatrzymanie jako przejaw, albowiem „płyty chodnika zbliżają się do mojej głowy, czuję się jak kret, który zdycha w pełnym słońcu”². Zatrzymanie jako wytrącenie i pobudzenie. Pobudzenie podchodzące. Pracuje wrażliwość. Nerwy przenoszą pobudzenia wizualno-światłne do ośrodków stymulujących. Następuje konkretyzacja. Net zbiera i segreguje bodźce, analizuje emocje. Persefona może się nie trudzić, Hades ma własnego bloga i nic od niej nie chce. Orfeusz uczy się wiersza Houellebecq na pamięć: „Coś martwego jest we mnie, gdzieś tam w głębi duszy, / Brak mi radości, coś mnie jakby trupem czyni”³. Reakcja na zielone przynosi ruch do przodu. Net przechodzi przez ulicę. (Doznanie miasta w jego krzyżu – w jego splocie słonecznym).

Zebra kończy się i następuje zbliżanie.

Net (nie bez tremy) wchodzi między Nich. Wstępuje w kompozycję przestrzenną z przejściem dla pieszych. To sytuacja uliczna. Net wchodzi w układ. Sytuacja uliczna zostaje zweryfikowana. Net zauważa figurację. Figuracja zauważa Neta. Nie pierwszy, lecz kolejny raz, następuje zbliżenie do szarych, nieruchomych postaci.

Net zatrzymuje się.

Oto czternaście wcieleń anonimowego przechodnia. Podążają „wskutek zamknięcia w ciemnych i nie przewietrzanych pomieszczeniach twarze ich zostały dokładnie przenicowane”⁴. Nie potrafią mówić. Usta ich wchłonięte, trwają nieme. W przedsionku skamieniałej, ludzkiej ciżby przebywa siedem statui w różnych stadiach widoczności. Są symptomem nieoczywistości w przestrzeni publicznej. Epatują ciszą, gdy „klaksony samochodów, krew na pasach i nie ma Cię Jeruzalem, moja radości, moja prawa ręko, moja złupiona miłości, utracone miasto”⁵. Ich przekaz niesie wezwanie do dociekania.

Net ulega przymusowi dociekania.

Są na wyciągnięcie ręki. W jakimś sensie, to przedstawiciele *Mieszczan z Calais*. Rozczłonkowani, uwolnieni z płyt chodnikowych, z rozpadlin, zdają się marudzić: „jesteśmy w szczurzym zaułku / Gdzie zmarli ludzie pogubili kości”⁶.

2 Waldemar Okoń, *Niebezpieczne małe prozy*, s. 77.

3 Michel Houellebecq, *Świat zewnętrzny*.

4 Zbigniew Herbert, Umarli [w:] tegoż, *Wiersze zebrane*, Kraków 2008, s. 183.

5 Anna Piwkowska, *Jechać do wilka*, 15 Palimpsest Zeszytów Literackich – pożegnanie [online].
Dostępny: www.ksiazka.net.pl/15-zl-pozegnanie.

6 Thomas Stearns Eliot, *Ziemia jałowa*, „Literatura na Świecie” 1988, nr 5, s. 309.

Naturalistyczne odwzorowanie kobiet i mężczyzn z dokładnością do: sznurówek w butach, okularów, walizek, pasków, teczek wraz z wózkiem dziecięcym i siatką z zakupami w jednolitej barwie szarosrebrnego metalu.

Net jako odmieniec spośród przechodzących i przejeżdżających ma świadomość ich pochodzenia, dzięki reaktywacji *Pomnika Anonimowego Przechodnia*, dzieła rzeźbiarskiego Jerzego Kaliny, instalacji przybyłej na peerelowski świat w Warszawie, która odrodziła się we Wrocławiu po latach od ich stworzenia (figury przycupnęły na jakiś czas w Muzeum Narodowym i w Pawilonie Czterech Kopuł). U ich zarania był opłatkowy happening Jerzego Kaliny. Moment interwencji w ubogą codzienność. Przejście jest wyrazem kontynuacji poszukiwań Kaliny: od pierwszych atrap ludzkich na ławkach warszawskiej akademii. Swego czasu Jerzy Kalina zaanektował każdą liczącą się arterię w Warszawie. Podporządkował sobie ulice, place, skwery, kościoły, pałac kultury, dworzec główny. „Sztuka, którą obecnie proponujemy światu – powiedział w wywiadzie – nie ma szans na przetrwanie”⁷. „Interesuje go człowiek – pisze o Jerzym Kalinie Bożena Kowalska – z punktu widzenia jego społecznych uwarunkowań, uformowania jego sposobu myślenia, odczuwania i postępowania wedle przyjętych w społeczeństwie modeli [...] ludzie jako zbiorowość, i to anonimowa i przypadkowa”⁸. Stąd ich nazwa: „anonimowi przechodnie”, a oficjalnie: „Pomnik Anonimowego Przechodnia”.

Net pośród Nich to obcowanie poruszające i odkrywcz. Na początku nieśmiałe, krótkotrwałe, przelotne. Net dysponuje poetyckim kodem dostępu: „Przechodzimy obok siebie nie zauważając, że zamieniamy się w profile pełne powietrza powiększającego dystans między nami. Niekiedy może się w nich pomieścić całe miasto (...) czasami odległość ta zmienia się w przenikanie wypełnionego nami ciała”⁹.

To nie są przerośnięte krasnale ani rodzina Kiepskich w drodze do pośredniaka. Naturalizm umiarkowany. Wtapiają się – mimo że przybyli z peerelowskiego panopticum. Stwierdzenie „rzeźby” czy „sztuka” są zagmatwaniem. Chcąc nie chcąc, są „między”. Idą, nie ruszając się z miejsca. Przechodzą, trwając w zagadkowym bezruchu. Całość rozczłonkowanej grupy milczy. Nie chcą być tacy jak wszyscy? Nie chcą czy nie potrafią mrugnąć okiem, westchnąć, odkaślać? Zwróćcie uwagę, są „jak żywi”. Mają anatomiczną poprawność *homo sapiens*, a ich ubrania osłaniają ciała kobiet i mężczyzn *en vogue* wedle „Mody Polskiej”, niby monochromatyczna kolekcja *les grand couturière* Grażyny Hase. Net pamięta

7 *Wokół akcji*, rozmowa Jerzego Kaliny ze Zbigniewem Taranienko [w:] *Jerzy Kalina* [online].

Dostępny w Internecie: www.jerzykalina.pl/teksty.

8 Bożena Kowalska, Jerzy Kalina [w:] *Twórcy-Postawy*, Kraków 1981, s. 206.

9 Waldemar Okoń, dz. cyt., s. 29.

krytyczne uwagi na ich temat: „bywalcy peerelowskich salonów”, „bezpłciowe manekiny”, „wrażliwcy pod maskami obojętności”, „ekstrakty oporu”.

Dotknijcie ich dłoni. Spróbujcie objąć ramieniem. Pomóżcie matce z wózkiem, aby kamienie nie obaliły kół, na których wieziona jest dziecina. Niektórzy już zapadają się w rozpadlinach. Czy odpowiedzą na wasz gest? Czy chcą coś przekazać? Coś się święci? Coś wisi w powietrzu? Co miał na myśli Jerzy Kalina, mówiąc: „Każdy istnieje poprzez innych ludzi i należy do tego samego gatunku”¹⁰. Net zastanawia się, może powinny się pojawić dodatkowe tabliczki z informacją „Uprasza się dotykać i nawiązywać”. Podobno to jedna z dziesięciu największych atrakcji tego rodzaju na świecie, lecz tabliczka z plexiglasu nie rzuca się w oczy. Jej treść jest sucha jak blat hotelowej recepcji.

Czytelnik – jeśli zechce – stanie się podobny do Neta. Sam zacznie niuchać. Niewątpliwie poczuje frajdę. Odkryje przyjemność, jaką daje obcowanie ze sztuką. Dodatkowo może dotykać!

Net jest zaawansowany.

Net między nimi ma wrażenie, że się upodabnia.

Jego głowa sięga bruku. Jego głowa obraca się wokół osi. W mechanizmie głowkowania mógłby się oddalić i zapomnieć.

Od kilkunastu lat – dokładnie od grudniowej nocy z dwunastego na trzynastego, 2005 roku, przyciągają uwagę i powodują, że przechodnie idący pod arkadami od strony placu Kościuszki przyspieszają kroku. Ba, użytkownicy Google’a nie zadowolają się fotkami i materiałami info, przybywają do Wrocławia, żeby sprawdzić, przekonać się na własne oczy, a następnie zrobić sobie selfie.

A wygląd ich raczej nikczemny, obozowy, wytykany, niby wszetecznym szlamem wytrawiony. Smutne towarzystwo. A jednak pociągające. Nawet zabawne.

Może zagadać? – zastanawia się Net. Może coś znaleźć? Może coś widzieli? OK, jeżeli wiedzą, to i tak nie powiedzą, bo jak? Ale trzeba spróbować. Net zamierza „pogadać”, wejść z nimi w relację. Szuka sposobu. Udawać czekanie? Będzie udawał, że czeka na kogoś. Będzie miarkował randkowo. Wtopi się w przechodniów. Co jakiś czas będzie przechodził na światłach. Będzie przepuszczał przechodniów grzecznie „proszę bardzo, ja zaczekam”. Przepuszczanie na zebrać jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Niech przechodzą – ja poczekam. Ale powinienem – stwierdza Net – co jakiś czas zagadać po tej i po tamtej stronie przejścia. Powinienem nadstawić ucha.

Obok Neta tłumek drepcze i przebiera jak na starcie biegu ulicznego. Gotowi? Start! Tłumek rusza z kopyta, wstrząsany drgawkami pojazdów szynowych. Drży ziemia.

¹⁰ *Wokół akcji*, dz. cyt.

A Tamci? – Net docieka. Wygląda na to – zauważa – że istnieje podziemne przejście dla wybranych przechodniów, którzy – jeden za drugim, łapka w łapkę – zapadają się z tej, a wychylają z tamtej strony ulicy, jakby „podziemne ulice nie zostały jeszcze odkryte, a my możemy przechodzić na zielonym świetle”¹¹. Tłum wszelako rośnie, po czym – jak na komendę – rusza, a samochody umykają. Niektórzy kierowcy – zauważa Net – mają obrotowe głowy, dzięki temu nie myli im się tył z przodem i góra z dołem. Nie powinien się niepokoić, a jednak sprawdza kieszenie. Wszystko gra. Wyjmuje gumę do żucia. Wybiera jeden z pięciu opakowanych w srebrną, błyszczącą folię listków o smaku miętowym i wkłada do ust. Zewnętrzne okoliczności zmieniają się jak w tele-dysku. Żywiół wiatro-pierza zasysa mu policzki. Czuje zapach kremu nivea położony pod oczami. W dalszym ciągu nie przewiduje zagrożenia. Nie jest w Gdańsku, gdzie tramwaj zabił szefa Solidarności, ani w Barcelonie, gdzie podobny pojazd pozbawił życia Antoniego Gaudiego. Prędeż mu do obaw pana Blooma. Lecz nie jest w Dublinie, a hamulec tramwaju nie zazgrzytał, gdy pan Bloom w ostatniej chwili odskoczył, stwierdzając: „Nie można przejść. O mały włos”.

Przejście jest zaułkiem spotkań, „jest jak osiadłe tu na stałe powietrze – gęste od znaczeń”¹². Gęste od znaczeń powietrze powoduje, że Net zobaczył siebie jako sześciolatniego chłopca, idącego z mamą ulicą Piłsudskiego obok siedziby NOT.

Pojadą do Wyższej Szkoły Ekonomicznej, gdzie mama ma ważne spotkanie z dziekanem. – Usiądź na tej ławce i zaczekaj na mnie – powiedziała mama. – Jak policzysz do tysiąca, wróć. Siedząc na drewnianej ławce pod ścianą, będzie liczył do tysiąca (niewiarygodne, jakie to trudne), czekając, właściwie lewitując z zamkniętymi oczami, osiągnie „trzysta dziewięćdziesiąt osiem”.

Mama Neta pojawi się niejednokrotnie na Przejściu. Kiedyś zobaczył ją wśród wychodzących spod chodnika, mówiącą własny wiersz: „O Panie, usłysz prośby nasze, wysłuchaj nasz tułaczy śpiew znad Wilii, Niemna, Bugu, Sanu męczeńska do Cię woła krew”¹³.

Pojechał z mamą do Wilna, chłonąc wzruszenia połączone z podnieceniem ogarniającym pasażerów przylepionych do okien pociągu. Rozległy się pełne entuzjazmu okrzyki. A potem śpiewanie – przez okna otwarte – na migające pagórki, oczka jezior, wstęgi strumieni, na wsie i pola malowane zbożem rozmaitym, dojrzewającym w zamglonym słońcu. Płynące z krajobrazu powietrze było gęste od znaczeń. A gdy zobaczono Górę Zamkową i białe wieże kościołów, pieśń wyrwała się

11 Waldemar Okoń, dz. cyt., s. 18.

12 Andrzej Saj, *Gest Orfeusza*, s. 66.

13 Fragment *Modlitwy Armii Krajowej* do słów i muzyki Adama Kowalskiego [w:] Teodozja Piaskowska, *Serce zostało w Wilnie*, Wrocław–Legnica 1995, s. 110.

spontanicznie, pełna gęstniejącego czasu, pełna nadzwyczajnego szlochu. W końcu „przyszedłeś na świat nie po to aby się bać, lecz aby pamiętać”¹⁴.

Jest problem z „przejściem, w któreśmy sami nie wchodzili nigdy, ku drzwiom zamkniętym, których nie otwieraliśmy nigdy”¹⁵. Net potrzebuje Eliota, kiedy przychodzi czas zapadania, czas moszczenia w rozpadlinie chodnika. To, co widzi, nie jest do przetrwania bez jego pomocy. Net widzi tors, głowę: „Zejdź niżej, zejdź tylko w świat nieustającej samotności”¹⁶. Gadanie wewnętrzne jest w stanie prowokować sytuacje, które stają się tworzywem literackim i często trafiają na kartki Wziernika. W musicalu „Janowska” Net dopatrzył się Przejścia w krótkim fragmencie piosenki: „Wszyscy znikamy. Samochody jadą, samochody jadą. Wszyscy znikamy. Jeszcze Polska nie zginęła, a my nie żyjemy. Jeszcze nie zginęła, a my nie żyjemy. Wszyscy znikamy”¹⁷.

Sensy zawarte w Przejściu: sytuacja i status tego miejsca doprowadzają Neta do kontaktu z poetą Efraínem Huertą, który w niepowtarzalny sposób, najszybciej i skutecznie podsuwa mu poetycki komentarz: „Odpoczywam na skraju przepaści, u stóp zawrotnego morza, zatopiony w ogromnej rzece bolesnych paproci. Mogę przeciąć moje myśli ostrzem kłosa, głos przeciąć szlochem albo jedną łzą, przespąć nieskończony ból”¹⁸. Mało tego, Efraín kreuje sytuacje nadzwyczajne. Odchodzi poza zasięg wzroku, wchodzi pod przejście, pod zebkę, i jest w stanie wysłać stamtąd niesamowitą korespondencję: „Wszystko tutaj ma skórę zaległej ciszy, zwilgłej samotności, posiekanego czasu: wszystko jest bólem”¹⁹. Net zastanawia się, którego poetę bardziej ceni w sytuacjach bezsłowa. Huerta jest okej – stwierdza – ułatwia zbliżenie, gdy otaczają go postacie, które stara się zrozumieć, lecz Labastida podaje (pasujący jak ułał) wytrawny „rysopis”: „Otom zamieniony w gipsowy odlew” – pochodzący z czczonego przez Neta, nieskończenie tajemniczego wiersza *W mieście zakwita anioł*²⁰.

Net posiadał nieuświadomione do końca specyficzne zdolności. Miał talent, który nie przynosił mu żadnych korzyści, nie dawał namacalnych efektów w jakiegokolwiek walucie. Jego „dar boży” polegał na swobodnym zapamiętywaniu, a następnie wykorzystywaniu w pracy twórczej cytatów, niedużych fragmentów utworów, którymi się zachwyił. W odpowiednim momencie jego talent iskrzył bez zbędnych wysiłków i pomocy wyszukiwarki Google. Net ma

14 William Shakespeare, *Ryszard III*.

15 Thomas Stearns Eliot, dz. cyt., s. 181.

16 Tamże, s. 184.

17 Michał Zabłocki, fragment piosenki z musicalu *Janowska*.

18 Efraín Huerta, *El Tajin*, „Literatura na Świecie” 1975, nr 12, s. 129.

19 Tamże, s. 128.

20 Jaime Labastida, *W mieście zakwita anioł*, s. 177.

świadomość, że trzyma w garści poetycki kompas, na którym może polegać. Przykładem jest Ezra Pound. Co prawda amerykański poeta znał Wrocław po-bieżnie, a nawet jeszcze słabiej, bo w ogóle nie widział Wrocławia (z tej straty nie zdawał sobie sprawy), to jednak „fungował” i Net poddał się bez warunków wstępnych jego opisowi: „My City, my beloved, my white!” – pisze Pound. „Ah, slender, Listen! Listen to me, and I will breathe into thee a soul. Delicately upon the reed, attend me!”

Net uznał wyznanie Ezry za odkrywcze i odpowiednie. Miał w ręku poetycki kompas. Chcąc nie chcąc, otrzymał prezenty od cenionych pisarzy. Jaime Labastida poczęstował go genialnym utworem *W mieście zakwita anioł*. Jakimś sposobem trafił w czułe miejsce. Net zabiera go ze sobą, chodzi z aniołem Labastidy. Karmi miasto strofami Labastidy.

Kiedy przyszło letnie przesilenie 21 czerwca, a superksiężyc męczy Neta – nie pozwala zasnąć, obezwładnia i dławi oddech, Jaime podsuwa mu antidotum, wyjaśnia w odpowiednim momencie, że to kwestia magii Wrocławia i jego fluidów i że ma stosowny tekst diagnozujący: „Jestem miastem nieczystym, które walczy ciało przy ciele, wraz z tobą, kobieto o skórze z wibrującego marmuru”²¹. Net nie zna „kobiety o skórze z wibrującego marmuru” – ale jest podekscytowany. Kolega poeta z Meksyku przysłał mu klucz do kodu Wrocławia, europejskiej stolicy kultury, sugerując, nie bez racji, że poprzez sztukę objawia się dusza miasta, która wyznaje, która prosi, która sięga do początków Wrocławia.

Czy kobieta „o skórze z wibrującego marmuru” jest fatum? Czy może jest kobietą fatalną? Jak ją rozpoznać?

Piękna, podstępna, z bogatego domu, nieuchwytna, niezamężna, zdolna zabić zakochanego w niej mężczyznę. Jest sprawczynią okrutnego czynu, który ma być królewską rozrywką. Jest nieobecną winowajczynią herbu Wrocławia. Miasto szczyli się herbem z jego głową. Jest patronem. W herbie pokazuje samą głowę w nimbie świętości, podaną na okrągłej tacy biesiadnej przez supertancerkę o imieniu z wizytówki, zatkniętej za wycieraczkę samochodu: „Salome Ewery Mans Desire”. Jej imię wszyscy znają! Salcie ją wołają.

Net jest wielbicielem „Salome” Oskara Wilde’a, zwłaszcza wydawnictwa z ilustracjami anemicznego geniusza, Aubreya Beardsleya. To ona – na obrazie Bartłomieja Strobla z Prado, tanecznym krokiem wkracza na bankiet, między uczujących i rozbawionych gości króla Heroda. Przy dźwiękach muzyki wnosi na tacy – przed chwilą obciętą przez kata, jeszcze ociekającą krwią – brodatą i długowłosą głowę Jana Chrzciciela. Głowa świętego w okrągłym polu stanie się herbem, a nimb świętości otoczy ją na wieczność. Idzie za nią cień tańczącej Salome, cień ciągle obecny.

21 Tamże, s. 177.

Net z uprzejmym uśmiechem, aby zatuszować treść przed wypowiedzeniem pierwszych słów (po dłuższym okresie milczenia), decyduje się zagadnąć mężczyznę w kombinezonie robotnika osypanego (jak zauważa metaforycznie) „pyłem przemijalności”. Pyta go, czy pod ziemią widział ładną dziewczynę, z którą się umówił.

– Chyba jest jeszcze na dole – odpowiada bez wahania mężczyzna w kombinezonie. – Ale mogła zabłądzić – dodaje, wyjmując z kieszeni srebrny medalik z piersiem promienistej Madonny bez Dzieciątka, po czy składa na nim ostentacyjny pocałunek. Net uświadamia sobie niedorzeczność swojego pytania, ale – co miłe – poczuł sympatię do mężczyzny w kombinezonie.

Skoro Maja była widziana w swojej cielesnej postaci, to znaczy, że prawda o jej zniknięciu jest przesadzona. Nie wyszła teraz z sobie wiadomych powodów – tłumaczy – to znaczy, że wyjdzie w odpowiedniej dla niej porze. Wyjdzie, być może z opóźnieniem – konkluduje. W końcu wszyscy kiedyś wyjdą na wierzch. Aby jednak ubłagać Hadesa i umożliwić Mai ewentualne wyjście z psychodelicznego podziemia, Net podejmuje stosowne kroki poetyckie.

Po pierwsze: Charles Reznikoff nie będzie pominięty, zwłaszcza za bliskie mu postanowienie: „Będę pisał przeciw wam, wrogowie mego ludu; obrzucę was uskrzydłonymi nasionami mleczu; wystawię przeciw wam świetliki zmierzchu”²².

Po drugie: Jorge Luis Borges, który przyniósł mu nadzieję i wytyczył sens oczekiwania w słowach proroczych: „Znowu poczęty będziesz z czyjegós łona, znowu urośnie twój szkielet, znowu ta sama strona trafi do rąk twoich, tych samych, znowu przeżyjesz wszystkie godziny, aż po godzinę twojej niewiarygodnej śmierci”²³.

Po trzecie: Nawiąże kontakt z miejscami przemieszczania Mai, korzystając ze wskazówek Bengta Emila Johnsona: „Tutaj przybyłem, z urywających się nagle kierunków, unoszony wiatrem / wchłaniam czas. Przeciekam w niekończących się uliczkach powrotu. Porzucam siebie bez żalu, w stadium powracania, w punkcie rozwidlenia nadziei”²⁴.

Po czwarte: Przyda się energetyczny Horacy i jego budująca myśl, dobra na niepogodę i zwątpienie: „Ani mordercze ulewy, ani mroźne wiatry północy nie zdołają go skruszyć, ani niezliczony szereg lat, ani bieg historii. Ja nie umrę cały; znaczna część ze mnie ocaleje, przetrwa”²⁵.

Po piąte: Codzienna mądrość matki, wzywającej do działania, nakazującej wytrwałość „w tym mieście bez imienia jest góra w krzyżowej bieli i niepojęty los

22 Charles Reznikoff, *Będę pisał pieśni przeciw wam*, „Literatura na Świecie” 1980, nr 4, s. 318.

23 Jorge Luis Borges, *Doktryna czasu cyklicznego*, „Literatura na Świecie” 1988, nr 12, s. 248.

24 Bengt Emil Johnson, *Wiersze poetów szwedzkich*, „Literatura na Świecie” 1984, nr 3, s. 249-267.

25 Horacy, *Oda XXX*.

człowieczy²⁶. Matka inspirująca i nietracąca nadziei: „Wciąż szukam miejsca, gdzie pod spalonymi mostami płynie moja rzeka²⁷”.

W podsumowaniu Net umieścił PRZYRZECZENIE: Choćby się zawarło jądro ciemności, choćby święte Jeruzalem rozlało wojska swe, a na spotkanie zamiast Mai wyszedł karzeł historii, będę wierny moim „pięciu punktom”.

Net troszczy się o swoich poetyckich doradców. Dbą o poprawność przypisów. Chce im podziękować w specyficzny sposób, włączając do swoich skrytości. Ukrywa, że puentowanie to rodzaj nasycenia. Dzieli się nasyceniem. W skrytości chce podziękować. Pomagają mu dzielić się. Przyjaźnią się z nim od dawna, lecz dotąd nie szukał ich pomocy, aż tak dramatycznie, aż tak ostentacyjnie.

Zaczął się, gdy Maję począł widywać w sposób irracjonalny. Poczuł to, gdy zabrakło mu słów, gdy nadmiar myśli wielokrotnie zmieszanych, zatrutych i żarliwych wyrzucił go wymiętego i pustego. Słowa napierając na siebie, mnożyły się jak kijanki w stawie. Nie ogarniał. Doszło do marazmu. A nie jest łatwo żyć z językiem uwięzionym w wacie, językiem naćpanym i bełkocącym: pamiętam, nie pamiętam, przemijam, memento mori, wszystko umiera, pamiętaj i zapisuj, spiesz się, bądź jak Fellini, pisz „amarcord”.

Nie jest łatwo, gdy „jej oczy wpatrywały się w nicość²⁸”, a śmiertelny sen otwiera oko, gdy opuchnięte stopy topnieją w dłoniach, pozostawiając ciepło pulsującej krwi. Nie jest zwyczajnie, gdy umierasz razem z nią: z jej ciałem i krwią, a jedyne, na co możesz liczyć, to: „Pozostały kamienie, na których woda requiem pisze²⁹”.

Ale to *El Tajin* staje się osobiwy i natarczywy. Net czytając kolejny raz, zatrzymuje się na wersach, które niczego nie oferują, smakuje ich brzmienie. I jest to smak pozbawiony przypodobania. Nie wyznaje melancholii, nie bada rozstania, a przemoc i przerażenie trwają w należytej skali.

Przez *El Tajin* zdał sobie sprawę, że stał się kimś w rodzaju depozytariusza dzieła, które niczego nie obiecuje i w niczym nie pomaga, podobnie jak cytat z Eliota, którego nie zastosuje, mimo że zjawiał się w odpowiednim momencie, gdy był na Przejściu między nimi. Dzięki Eliotowi zobaczył skupienie „na twarzach napiętych, skażonych przez czas³⁰”.

To było jak skok w nieruchomą, lustrzaną taflę basenu: SPLASH!!!

Poczuł, że nie może poprzestać, że muszą go zrozumieć i wysłuchać poeci najbliżsi, wybrani, na których może polegać. Wie, gdzie ich szukać, zna ich teksty, ma je w swojej bibliotece.

26 Teodozja Piaskowska, *Do Poety, Pamiętam*, Legnica 1993, s. 4.

27 Teodozja Piaskowska, *Granice pamięci* [w:] tegoż, *Granice pamięci*, Legnica 1987, s. 1.

28 Ewa Błaszczuk w monodramie *Oriana Fallaci. Chwila*, w której umarłam, TVP Kultura, 2019 r.

29 Teodozja Piaskowska, *Requiem dla plaży*.

30 Thomas Stearns Eliot, *Burnt Norton* [w:] Czesław Miłosz, *Mowa wiązana*, Warszawa 1986, s. 184.

Czy rzeczywiście literatura musi być uwikłana w zależności edytorskie? Czy forma noweli pozwoli uniknąć koszmaru wielogodzinnych operacji: wytnij, wklej? Czy Wyrocznia Świdnicka musi tolerować neurastenika, który pyta ulicę o sens szpiegowania? Komu ma być zobowiązany? Wyroczni? A może Jerzemu Pilchowi? „Dalej jest jak dwadzieścia lat temu dlatego, że literatura ma moc wskrzeszania zmarłych”³¹.

Najszybciej zareagował Efraín Huerta. Zaraz po otwarciu odłożonego numeru „Literatury na Świecie” podał mu mrożony peppermint. Nie upił się od razu, a mógł z przekonaniem, iż: „Nie ma imperium i nie ma królestwa. Może tylko te kroki po swym własnym cieniu, po trupie samego siebie”³². Gorzka porcja prawdy zaczyna smakować. Przesadne stosowanie erudycji staje się nudne i nie działa na emocje. Kto podziwia erudycję, ten drwi z niedoskonałości czyjegoś ciała.

Net doszedł do czujnej i wrażliwej skrytości. Okazało się, że można wyłuskać, wyodrębnić i ocalić własne przeżycia, myśli, emocje, dzięki doświadczeniu innych wrażliwców. Znalazł orientację! Ukrywając siebie, wyodrębnił istotę swojego „widzi mi się”. I potoczyło się. „Ucieczka w cudze słowa też jest formą słowa” pisze w „Dniewniku” Waldemar Okoń.

Wersy migają. Kaskady myśli perlą się i pienią! Cytaty podsunięte i podarowane rosną i pięknieją w nowych kontekstach. Zdarza się, iż wyskakują jak propagandowe hasła! Wzmacniają efekt jak mistrzowskie bliki. Ożywiają skrywane namietności czule i bez pośpiechu, są jak muzyka violi da gamba, przenikająca sfumato wieczoru w czasie przechadzki bez celu.

Istnieje Wrocław poetów spotykanych w drodze, samotnie penetrujących miasto na własną odpowiedzialność. Wrocław poetów wędrujących z chlebakiem na ramieniu, którzy „idą dokąd ich prowadzi ślepy traf – w nadziei przetrwania”³³.

Poeci cierpią w skrytości. Poeci triumfują w skrytości. Nie służy im ostentacja. Niedobrze skrytemu w natłoku spraw. Licho czyha na ostentację i potrafi zaskoczyć żartem z fałszywą klepsydą. Poeci niechętnie schodzą, ale w skrytości lubią grać w chowanego.

Wizerunek Mai nie dotyczy sublimacji obrazów z przeszłości, które Net usiłuje zebrać, posklejać. Nie chce i nie zamierza inkorporować kolejnego Orfeusza. Jeżeli już mitycznie, to nie na siłę i nie akademicko, bardziej przytulić marginalizowaną Eurydykę. Gabor Garai ją przytulił i powiedział o tym Netowi: „Był to śpiew Eurydyki, który, kto wie, żył we mnie od zarania dziejów”. Garai wielką uczynił Netowi przysługę, wielką namaścił go nadzieją. Net dzięki niemu odzyskał kapitał

31 Jerzy Pilch, *Miasto utrapienia*.

32 Efraín Huerta, dz. cyt., s. 129.

33 Andrzej Saj, *Ślepcy [w:] Stare zwyczaje młode nawyki*, Wrocław 2021, s. 22.

początkowy. Dał Netowi wytyczne i wskazał metodę, mógł za nim powtórzyć z całym przekonaniem: „A jednak zawsze szedłem wiernie za nią. Kiedy jej ślady na ziemi zgubiłem, podjąłem drogę w zaświaty. Znowu odkryłem Eurydykę: wyglądała jak żywa i być może żyła naprawdę!”³⁴. Być może Maja żyje naprawdę!

Net rysuje profil Mai/Eurydyce.

Na czarnej, pokrytej szadzią szybie, prowadzi dukt pędzla. Wchodzi w rękę Telemacha Pilitsidisa. Usiłuje odtworzyć z pamięci obraz Telemacha. Zatrważające i porażające znieruchomienie wyniosłej głowy z profilu na długiej szyi, z kokiem ochlapanych rdzą włosów. Jej spojrzenie wibruje w chaosie piekielnych konfetti. Wzrok ma wbity w idącego przodem Orfeusza. Z jej ust pada tragiczne wezwanie: „Nie odwracaj się, mój kochany!”. To pomaga. Sztuka jest sposobem, sztuka jest metodą przetrwania. „Dotrzeć do tej granicy, spoza której docierają cienie, tylko przebłyśki wieści o tym, co tam złożone zostało na wieczne przetrwanie”³⁵.

Wypatrując Mai, Net podąża w kierunku onirycznych przedmieść. Zapuszcza się w dziki wschód Księża Małego, w beztroskę nieużytków spalonych żarem letniej piekoty. Podąża pustynnym korytem wyschniętej rzeki nadziei, szuka śladów pośród suchych badyli, między kępami traw wypalonych słońcem, litując się nad dogorywającymi kwiatostanami krwawników.

Gumowe ucho i trzecie oko

Net nie zapomina, po co tu jest – setny, co tam setny, bodaj dwusetny raz. Wiadomo szuka. Wiadomo docieka. Wiadomo wypatruje. Wiadomo nawiązuje. Czasami myśli surrealistycznie. Wzoruje się. Ukrywa w zanadrzu Nadie, udostępnioną przez André Bretona na czas nieokreślony.

– Kto to powiedział? – zwraca się do Neta mężczyzna z walizką, w długim płaszczu, w koszuli rozpiętej pod szyją, w prostych spodniach bez kantów, o zalizanej fryzurze, z lekkim wąsem, o nieobecny spojrzeniu. Mężczyzna uniósł prawą nogę i natychmiast znieruchomiał, całą energię kierując w stronę Neta, który – jakimś cudem – usłyszał pytanie. Zaskakujące doznanie, zważywszy, że facet milczy jak najęty. Nie powinien dorosły mężczyzna bać się kontaktu z nieznanym czubkiem, nawet za cenę niepokoju, za cenę nieprzewidzianego, strasznego czynu, zbierającego się w niepojętym, nawiedzonym, szalonym orzechu czuba. A może mu wstyd? Jeśli jemu jest nie po drodze? A już chciał odpowiedzieć, lecz powstrzymał się: statuy nie mówią. Ale chyba usłyszałem? (Net jest zakłopotany). Niemożliwe. Ich milczenie jest kluczowe. Milczenie na swój sposób protestujące (Net myśli racjonalnie). A jeżeli chcą się dogadać?

Net nie może liczyć na stan badań. Wątpliwe, żeby ktokolwiek szukał i próbował

34 Gabor Garai, *Przemiany Orfeusza*, „Nowy Wyraz” 12/1979.

35 Andrzej Saj, *Gest Orfeusza*, s. 70.

dociec, usiłował powiązać, robić analogie i paralele. Dziewicza sytuacja. Równie elokwentne są rzeczy im towarzyszące. Net doszukuje się symboli. Oczywiście, chciałby wiedzieć. Na przykład walizka w ręku mężczyzny. Takich już nie zobaczycie! Kto pamięta na ogół, iż walizki noszono w rękach, trzymano za rączkę, zmieniając zmęczone dźwiganiem ręce, wyczerpane niesieniem niejednokrotnie dobytku całego życia w jednej walizce. Prostopadłościenne pudło, obite metalem narożniki, wzmocnione nitami, dwa zameczki z okrągłym wejściem na kluczyk.

– To jak z tym przechodzeniem? – pyta kobieta pod parasolem w wielkich, ciemnych okularach. Jej sylwetka – na tle ulicy daje obrys czegoś pierzastego. To kobieta sędziwa, wsparta na lasce, ulokowana w atolu ulicy Marszałka Józefa Piłsudskiego. Net (zanurzony w analogiach) widzi to miejsce przez pryzmat. Tu zdarzały się pokuszenia własne i dzielone. Ale jest zainteresowany kolejnym pokuszeniem, więc nawiązuje do pytania.

– Przechodzeniem? – Net udaje zdziwionego.

– Na drugą stronę – wyjaśnia Sędziwa.

– Mam nadzieję, że w końcu będzie zielone – odpowiada Net, patrząc w matowe szkła jej okularów.

– Warto zaczekać z przejściem na drugą stronę – odpowiada Sędziwa.

Net przygląda się kobiecie. To laskonoga olbrzymka, niby szalona Gocha, wariatka w zbroi z koszykiem i mieczem, może sama Matka Courage, wypożyczona ze sztuki Bertolta Brechta. W każdym razie jest na przedzie. Prowadzi trzynaścioro ku Nowej Ziemi. Jej głos przebija się przez akustykę ruchliwego skrzyżowania. Przechodzenie jest utrudnione, bowiem gapiów, aktywistów i tajnych agentów szpaler gęstnieje. Sędziwa widząc wpatrzone w nią twarze, zaczyna przemawiać, a Netowi przychodzi na myśl „Dies Irae”.

Barbarzyńcy kołaczą u bram! Ich czyny ze złem się przymierzają! – grzmi pełna gębą Sędziwa. – Ach, płaczą swych lat, którzy z mędrca kpią rad³⁶. Czeką nas przyszłość wstrząsana i zmieszana. Każdy otrzyma tyle szczęścia, na ile zasługuje. – Sędziwa podnosi laskę i wywija nią nad głową, pokrzykując: – Idzie, o hej! Idzie, że ha!

Net stoi jak zahipnotyzowany: „W jej oczach jest wyraz / którego nie odda / żaden malarz rozbitych dzbanów”³⁷. Obok niego mężczyzna z wąsami jak Waleśa kiwa głową:

– Powiesz, starucha o trzech nogach, lecz ona jest nie do powstrzymania.

Net przeżywa konsternację i uruchamia adekwatny cytat opisujący starą:

36 Bertolt Brecht, *Matka Courage* [w:] Lech Eustachiewicz, *Wypisy z literatury powszechnej*, Warszawa 1970, s. 350.

37 Zbigniew Herbert, *Sól ziemi* [w:] tegoż, *Wiersze zebrane*, Kraków 2008, s. 70.

„z uchylonymi ustami przysłuchuje się zachodom słońca w swoim łonie”³⁸. Sędziwa wywołuje falę komentarzy. Rozlegają się głosy:

– Matka Polka z domu Baby Jagi – mówi kąśliwie mężczyzna w modnym, białym prochowcu, który przypomina Netowi Alaina Delona z filmu „Borsalino”. Mężczyzna nie waha się gwizdać przez zęby i wygłasza zastanawiający komentarz:

– Babcię zdesperowany wilk uwodzi, nie z głodu, ale z nienawiści klasowej. Z nienawiści do bestii.

– Popatrzcie wokół! Podejdźcie! – Sędziwa peroruje z werwą trybuna ludowego. – Zatrzymajcie się! Rozejrzyjcie się! Popatrzcie na podziemnych! Brud, malunki, bohomy, wandalizm, niedopałki, a nawet ptasie odchody! Spójrzcie na nich! Ani pisać! Ani skargi, ani złorzeczeń.

Net potwierdza spostrzeżenia Sędziwej. Brakuje mopa i ściery. Niektóre twarze cierpią pomazane, porysowane z domalowanymi oczami, brodą, okrągłymi okularami. Sędziwa ponownie unosi laskę i zatacza nią kręgi nad głową.

– Potrzebne jest wejrzenie. Wejrzenie w istotę rzeczy. Chcecie się oczyścić? Za czym gonicie? Zgubiliście coś? Może zgubiliście samych siebie!

Nagle rozstępują się płyty chodnika i spod ziemi wychodzi młody mężczyzna w roboczej bluzie, wpuszczonej w spodnie, z dwoma kieszeniami na piersiach. Kołnierz bluzy jest rozpięty i widać podkoszulek. Na głowie ma czapkę. Jego lewa dłoń zaciska się w pięść.

– Jestem Dawidek Procarz – przedstawia się. – Przybywam prosto ze wzgórz Golan. Mam pięć milionów fanów na Facebooku! Możecie mi zaufać. Tak, ludzie! Mi się chce pracować (rozgląda się zaciekawiony). – Nie ma piasku ani wielbłądów? Jesteście smutni, ale nie wyglądacie na biednych. Chciałem zaproponować trochę luzu. Nie chcę, żeby mnie uważano za playboya. Przeciska się przez tłum i podchodzi do Sędziwej. – Kwestie wyboru drogi? Zwraca się do starej, która ostrze laski kieruje w jego stronę. – Owszem każdy powinien wyjść na swoje. A ty? Stara Kobieto! (podnosi głos) Świeco wyposzczona, opięta bielizną z mieszkowej kądzieli. Twoje piersi dzwonią, twoje ciało jest suche, skóra w zaniku, rysunek kościany warg, krok posuwisty, niepowstrzymany. Senecia! Lala w trzy de! Przemawiasz? Przemawiaj. I tak przeminiesz jak dym! No zgadnij, co trzymam w garści? (podsuwa pięść pod nos Sędziwej). – Uporządkowanie świata nie jest możliwe, dopóki istnieje Rosja. Macie marzenia? Na pewno macie, ale ja marzę nie w swoim imieniu. Moje marzenie to uwolnić świat od Rosji. Widzę odrodzenie ludzkości po zniknięciu Rosji! Rozlegają się gwizdy i oklaski. Sędziwa podnosi laskę: – Znamy cię, byłeś już wszędzie, nawet w piekle. Może najwyższy czas, żebyś pogodził się z myślą, że nie jesteś gejem i nie masz żydowskich przodków,

38 Craig Raine, *Stara kobieta podczas śniadania*, „Literatura na Świecie” 1980, nr 4, s. 340.

a jarmułki nie znajdziesz w kufrze po dziadku. Musisz sobie kupić nową tożsamość! Twój wkład w rozwój ludzkości ogranicza się do zrzutki na terapię zajęciową dla ostatecznych ćpunów. (Sędziwa wyciąga rękę do Dawidka) – Witaj wśród wiecznie zagubionych! (Dawidek energicznie ściska dłoń Sędziwej) – Żyjemy wśród chorych i umierających – kontynuuje Sędziwa. – Po co epatować dobrym zdrowiem, narcystycznym zachwytem bycia kimś nadwrażliwym, zdolnym do estetycznych produkcji? Twój performance nie obudzi mędrców Syjonu. – W takim razie mam dowód na istnienie czarów – mówi Dawidek i otwiera pięść, z której wyskakuje okazała ropucha i siada na parasolu. Stara Kobieta macha ręką z rezygnacją. – Mojżesz, którego spotkałem w Ramallah – kontynuuje Dawidek – istnieje! Jest nie tylko siłaczem z magiczną brodą i wyrastają mu rogi gniewu, ale jest moim dowódcą... Net zauważa, że ropucha zareagowała na dzwonek telefonu i nagle skoczyła wprost na głowę Sędziwej, po czym odbiła się tylnymi odnóżami i zniknęła. Sędziwa rozgląda się pod nogami, a jej telefon zaczyna rechotać jak żaba w stawie. Sędziwa gwałtownie uderza laską w telefon, który wypada jej z dłoni i skacząc niby żaba, znika między nogami przechodniów. Szeregi gapiów załamują się i cofają ku przejściu, gdzie zapala się zielone światło.

Sytuacja na rogu Świdnickiej i Piłsudskiego klaruje się, nabiera scenicznej ogłady. Net absorbuje i filtruje dalsze i bliższe wypowiedzi przechodniów w ciągle zmieniającym się audytorium Sędziwej. Dawidek Procarz stoi przed nią ze spuszczoną głową. Sędziwa mówi do niego łagodnym, matczynym głosem: – Idź, chłopaku, drogą przeznaczenia. Wybierz jeden z dwóch kierunków. Droga na prawo, to żywot pieski-niebieski. Droga w lewo – odzyskasz ciało młode, jędrne, bezczelne... Net zbliżył się do Sędziwej, zaglądając przez ramię jakiemuś chudemu brodaczkowi z krzyżem wyszywanym na plecach skórzanej kurtki, jest przekonany, że Sędziwa nie może go widzieć, a jednak ma wrażenie, że jest obserwowany. Sędziwa żegna się z Dawidkiem: – Nie warto „iść na oślep, w umęczeniu ciszy, gdy nic się nie rodzi, nic nie żyje, zmarli oddali życie zmarłym”³⁹. God bless you. Dawidek ze spuszczoną głową, zaciskając obie dłonie w pięści, odchodzi bez słowa.

Pojawia się mężczyzna w stroju Arlekina, w czerwonych damskich butach na wysokim obcasie. Mężczyzna opróżnił pudełko z sandwiczami i wyjął spod ogromnej jak biała kapusta poszatkowanej krynoliny ćwiartkę wódki z czerwoną zakrętką, ale bez etykiety. Pociągnął z gwinta i oddał butelkę mężczyźnie dźwigającemu oponę marki Continental przewieszoną przez ramię, który błyskawicznie przyssał się do podanej mu flaszki. Arlekin poczuł się zmęczony i usiadł. Oparł się plecami o drzwi sklepu Steni Palczewskiej z damskimi torebkami, najlepszych marek włoskich. Net – targany nagłym niepokojem – nerwowo sprawdził zawartość

39 Efraín Huerta, dz. cyt.

kieszeni z dokumentami płatniczymi i kluczami samochodowo-domowymi, po czym (uspokojony) zbliżył się do Arlekina, który – zacierając dłonie, powiedział:

– Słyszałeś? No, powiedz, czy dobrze poszło? Przeszedł bez ceregieli na „ty” z Netem, który ma wrażenie, że Arlekin bierze go za znajomego. Arlekin zdejmuje damski but. Z ulgą prostuje nogę, odzianą w białe rajtuzy. Zaczyna masować stopę. – Nie spełnią wymogów konserwatorskich. – Kto? – zaciekał się Net. – No, oni, anonimowi. Zabierają ich stąd, dlatego protestujemy. Myślałem, że ty też protestujesz... Nie pozwolimy!

– Proszę państwa! – nawołuje donośnie Sędziwa, korzystając z podanego jej megafonu. Znowu przyciąga i gromadzi wokół siebie przechodniów. Łysy mężczyzna w garniturze i białej koszuli z długą, gęstą, czarną brodą, który robi zdjęcia złotym smartfonem, włącza się i wyjaśnia: – Będzie tu przystanek metra.

Net – coraz bardziej wciągnięty w sprawę, dopytuje się: – Zabierają ich? Te rzeźby? To znaczy... dokąd? Sędziwa bierze do ręki – podsuwany jej przez dziewczynę w opasce – megafon: – Nie pozwolimy! Łysy mężczyzna wraca do rozmowy z Netem: – Takie mają plany w magistracie – wyjaśnia. – Przyszli. Zmierzyli. Poroobili zdjęcia. Znamy już mniej więcej czas wywózki. – Z drugiej strony – wtrąca się Net, pokazując ręką na rzeźby – widać brak troski, zaniedbanie, śmieci, porzucone winogrona. – Zaniedbanie jest celowe, kiwa głową łysy brodacze – wskazuje na przygotowanie do wywózki. Zrobią – w cudzysłowie, porządek. Przeprowadzą społeczne konsultacje, aby było in lege artis. Pochwala się troską obywatelską, dbałością. – Raczej niedbałością! – wybucha nastolatka z tęczowymi włosami w okularach o gwiazdzistych niebieskich oprawkach Zeyar (dawniej Elton John). – Ale lada dzień stanie się – burczy ponuro Arlekin, przebierając w miejscu bosymi stopami. – Uff! – co za ulga – dodaje, odstawiając czerwone buty na wysokim obcasie. – Muszę kucnąć. – M-m-m-m – z trudem pokonując jąkanie, odzywa się chłopiec na wózkach z tabletem na kolanach, z którego rozlegają się odgłosy wybuchów i strzelaniny. – Maaa-ją tu staaa-sta-cję kolejki podziemnej zbu... zbuuu... dować. – Przystanek będzie się nazywał Capitol – od teatru – informuje łysy i dodaje z wrednym uśmieszkiem: – Będzie jak w Rzymie. – Rzeźby na złom? – Net angażuje się i pobudza. – To jest sławne miejsce w świecie. W tym miejscu uświęconym tradycją, sztuka polska... (Net musi złapać głęboki oddech)... sztukę polską trzeba chronić, pielęgnować! – Chronić przed złomiarzami! – rozlega się wołanie z dołu, gdzieś z powierzchni chodnika. Net próbuje zapanować nad nerwami. Zwłaszcza że niezidentyfikowany głos z dołu, z poziomu zero, wydobywa się spod jego dessous i jest natarczywie piskliwy. – A pan skąd są? Z Osobowic? – głos wydobywa się z pomarańczowej istoty, którą we Wrocławiu wszyscy nazywają „krasnalami”. – Z Nekrofili! – zarechotał łysy brodacze, uderzając się dłońmi po spasionych udach,

odzianych w pustynne bojówki. Krasnal zapiszczał i wymamrotał coś, z czego brodacz usłyszał: „Nie mówi się nekrofilia, tylko nekropolia”, a przy tym dorwał się do sznurówek z reeboków Neta i zaczął się po nich wspinać. Net zorientował się w zamiarach kurdupla i silnym kopem strząsnął krasnała, który wzbił się wysoko, machając łapkami, i wpadł do torby wiszącej na ramieniu tajemniczej, wysokiej i prostej jak kariatyda kobiety w tęczowym zawoju na głowie i w „dzwonach” koloru lnu.

Do przejścia podeszła młoda kobieta (powinniśmy powiedzieć, młoda matka) pchająca wózek z dzieckiem. Z jej głowy zsunęła się haftowana w kurpiowskie wzory chusta, odsłaniając ładne, krucze, sfalowane włosy. Wózek napotkał przeszkodę w wybrzuszanej nawierzchni, pokonaną w marszu przez dzielną mamę, jedynie chusta, którą miała okryte ramiona, zsunęła się i opadła na trotuar. Net podniósł chustę i podał kobiecie, która uśmiechnęła się, mówiąc „dziękuję”. Net z właściwą sobie spostrzegawczością zauważył staromodną siatkę na zakupy, a w niej butelki z mlekiem, jakie uczniowie oglądają w muzeum PRL-u. Kobieta w rozpiętym płaszczu, ma na sobie sukienkę zapinaną z przodu na małe guziki, a na nogach wysokie buty typu „kozaki”. Jej prawa noga zapadła się w chodniku, lecz ona uwolniła się i popchnęła wózek do przodu. Obok sztywniak w płaszczyku, z teczką pod pachą, wyprostowany „na baczność”, w kapelusiku na głowie z piórkiem i w sznurowanych skórzanych półbutach, odezwał się do Neta, kierując uwagę na wątek złomiarzy: – Złomiarze z Karłowic będą szybsi. Kobieta z wózkiem potwierdza: – Już próbowali. Proszę zobaczyć. Mam ranę... o tu, nad kostką... Zaskoczył mnie... Mają laserowe pilniki. Takie małe, jak pilniczki do paznokci. – Złomiarze są jak hieny – kontynuuje Sztywniak – wyczuli, że mają zdemontować te postacie z brązu i poczuli świeżą krew. Za jeden kilogram takiego surowca dają w skupie ze stówę. A ile waży taka damulka? Z pięćdziesiąt kilo. – W nocy przyłąż – potwierdza mężczyzna z oponą. – Jak to hieny – wtrąca łysy brodac. – Chcieli mi odciąć rękę wczoraj w nocy – skarży się mężczyzna z oponą. – Ukraińiec poszczuł ich psem i odeszli. Ale wrócą i to przed urzędnikami. Temat hien-złomiarzy przykuwa uwagę. – Tu wszędzie są kamery, monitoring, złapią ich – uspokaja Arlekin i wyjmując zza krynoliny zmietoszoną paczkę papierosów. Kobieta z wózkiem (jak zauważył Net szczególnie zasłoniętym, ukrywającym swoją zawartość) wchodzi w detale: – Wszyscy w maskach... Są zamaskowani i mówią w różnych językach. Dowiedzieli się, zobaczyli w internecie, że policja nie wyrabia się, ledwo dają radę, bo robią na granicy z uchodźcami. Mój mąż broni Lwowa. Muszę czekać i nie wiem, jak długo. On wie, że tu czekam na niego. – Jak to wrocławiak! – wesoło zabrzmiał głos skądś, a mężczyzna z oponą dodał: – Pani, do Lwowa, to już wszyscy poszli, znaczy się młodzi. Kobieta z wózkiem uśmiecha się do Neta i wyjmując z siatki butelkę

z mlekiem. – Proszę, świeże, prosto z lodówki. – Mówi się prosto od krowy – prostuje ją Arlekin. Net poczuł matczyne ciepło bijące od kobiety oraz ciepło butelki, która wprost grzeje mu dłoń. – Jakie ciepłe? – zdziwił się. Otworzył butelkę i pociągnął dwa łyki słodkiego mleka. – Może nie smakuje? – pyta kobieta. – Pycha! Net uśmiecha się i oddaje butelkę. Sztywniak ponuro do Neta, głosem śpiewnym i jasnym: – Kogo pan szuka? Może pomogę? – W pewnym sensie umówiłem się – odpowiada Net, czując, że mleko grzeje w brzuchu, jak alkohol. Kobieta z wózkiem zaciekała się: – Co, nie przyszła? – Chyba się spóźniłem – odpowiada Net i pomaga kobiecie wyprowadzić wózek z dziurawego chodnika. – Przyjdzie. Tu wszyscy przychodzą – pociesza go kobieta. – Jedni to nawet zostają. Przychodzą i zostają. – A ten, to chyba z podziemia wyszedł – mężczyzna z oponą zmienia temat i kieruje zainteresowanie na Dawidka Procarza, zajętego zaciskaniem pięści. – Eee, a może szpion? Agent Mosadu! – Arlekin wybucha śmiechem. Facet z oponą kiwa głową z politowaniem: – Pod Świdnicką Si-Aj-Ej! Pojawia się mężczyzna w marynarce z płaszczem przewieszonym przez rękę, w czapce z daszkiem. Rozgląda się, machając kagańcem. Zaczyna gwizdać. Na jego widok, a zwłaszcza z powodu kagańca, Net pomyślał o Sabie Mai, ale jakimś trafem skojarzył mężczyznę z właścicielem psa Łajka, która nigdy nie wróci do swojego pana. – Proszę pana – mężczyzna zwraca się do Neta, podnosząc rękę z kagańcem. – Ja też zatrzymywałem się, wahałem, czekałem, potem wracałem i dalej czekam. Czekanie to nadzieja. Obserwuję pana. Przychodzi pan tu i tam. Na drugą stronę. Gada pan do siebie... Pan też czeka. Szuka pan kogoś? Nagle pod drogowskazem z tabliczką „Świdnicka” – mężczyzna w marynarce, w golfie i w kapeluszu zaczyna zapadać się pod ziemię. Coś go wciąga. Mężczyzna stawia opór, broni się, choć ręce ma już po łokcie w ziemi. Net wraz z dziewczyną w okularach à la Elton John podbiega do mężczyzny. Chwytają go pod ramiona i wyciągają z zapadliska. Mężczyzna słania się na nogach, łapie się oburącz słupa i opiera całym ciałem o drogowskaz. – Boję się płaczu na starość... Boję się rozpaczy – żali się mężczyzna. Zdejmuje kapelusz i wyciera dłonią czoło, po czym gwałtownie zaciska dłonie na twarzy. – Nikt nie pojmie rozpaczy starego człowieka! Raptownie odsłania twarz, prostuje się i uśmiecha półgębkiem – z błyskiem szaleństwa w oku. – A jeśli się podpale, he!? Nikogo nie obchodzi... Nikt do mnie nie wpada, jak kiedyś, przestałem istnieć, jestem bezużyteczny, nic nie mam. Jedynie moje samospalenie może się komu przydać. Może tym rzeźbom? Samospalenie to jest coś! Siada w kucki, przybierając pozę buddyjskiego mnicha. Zbliżają się dwaj strażnicy miejscy. Obaj gadają do słuchawek w oderwaniu od rozgrywających się scen. Podchodzą do siedzącego mężczyzny. – Aaa! Budda na stanowisku – mówi starszy, różowiutki. – Żadnych fajerwerków, zrozumiano! Najlepiej – pochyła się nad siedzącym mężczyzną – jazda stąd! Żadnych podpaień.

Obiecujesz? Mężczyzna zamyka oczy i kiwa głową. – Żadnej przemocy! – rozkazuje drugi, bardziej tłusty, robiąc mu zdjęcie telefonem. – Nie ma zgody. Nie pozwolimy, żeby pan zrobił sobie krzywdę, nawet w słusznej sprawie. Mężczyzna otwiera oczy. Net spostrzega wylew krwi w jego prawym oku. – Nikt nie będzie mi mówił, co mam zrobić z własnym życiem! Net wycofuje się szybkim krokiem. Przeskakując śpiwór, skąd patrzą na niego małe, czarne węgielki oczu. Potrąca radioodbiornik z anteną, z którego wypada kaseta. – Przepraszam – bąka. Omija wstających z ziemi ludzi w strojach biednych i zużytych, jak ich wyniszczone, zmęczone twarze. – Pan nie wie – odzywa się do niego starszy mężczyzna, odsłaniając w uśmiechu białe, zdrowe zęby. – Nie jesteśmy bezdomni. Jesteśmy uchodźcami ze Stryja. Chcemy do Kanady...

Fragment powieści „Cztery Plus Jeden”



Jerzy Kalina, *Pomnik Anonimowego Przechodnia*, 2005, Wrocław, fragment, fot. Przemek Piwowski



Jerzy Kalina, *Pomnik Anonimowego Przechodnia*, 2005, Wrocław, fragment, fot. Krzysztof Saj

I

pani kleopatra
tak nazywał ją tato wychodzi do ogródka
przystaje po chwili wraca i na powrót
wychodzi
widzę to z tarasu
czarna jest pani kleopatra
a ja muszę jeszcze ćwiczyć odrobić na jutro lekcje
zimno zmierzch już zapada nie wraca tata
mama woła kolacja kolacja dziś
chleb z masłem pomidorem szczypiorkiem i nie wiem
nie wiem czy to właśnie wtedy
stało stało się to
w czerwcu czereśnie czerwone
czerwieniły się porzeczki poziomki
truskawki maki maliny morwy morele

III

ciemno wokół cisza
czyżby to wtedy właśnie
stało stało się coś takiego że
w kuchni grało radio szumiął pociąg
pan podolny umarł a ja no cóż
musałem dużo ćwiczyć
ciągle ćwiczyć ćwiczyć odrabiać lekcje bałem się
dwójki z geometrii jeśli nie skleję stożka i że też kiedyś
pewnie umrze
mama

VII

gdzie jesteś franiu
czy zebrałeś porzeczki
jak cię prosiłam synku czy
zaniósłeś do szewca kozaczki
zobacz może wróciła już ela paulinka
z gąską kasią stefcią stasią skacze w gumę
jutro ma egzamin
a tato stał u dołu schodów
czy ja tu kiedyś jeszcze wrócę mówi
czy wrócę

XXXVIII

kim jest ten który
jest tam stoi przy oknie
patrzy
na końcu korytarza tu w tym pokoju
tyłem do lustra przodem
na progu drzwi
stoi oparty o ścianę tuż obok przy wannie
grzebieniem dłoni wyczesuje wybiera
prędko połyka pochłania pożera
porzeczki

XL

jestem małym pisarczykiem z florencji
w drodze przez apeniny
nocą ciemną
jak oko płonie
pełny płynie księżyc szkli się
chłodno czarne czarne świeci morze
traw łąn wznosi się jak fala opada drży w oddali
naga skała lśni we mgle błyszczy
nieodgadniona kuka
wyspa widmo
ciemności bańka błada

jak biały balon w wietrznej ciszy
wzlatuje ulatuje leci leci maleje karleje zanika
ginie przepada w otchłani milczy
czuwa kapitan nemo

LVIII

już czas
dziś
ścięto jabłonie

Z przygotowanego do wydania w Bibliotece wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zbioru wierszy pt. „Porzeczki”.

Kawa czy herbata?

Jest jeszcze bardzo wcześnie. Nie patrzę na zegarek, ale wiem, że jest bardzo wcześnie, do świtu będzie co najmniej godzina. Wchodzę na schody, które tak dobrze znam, chociaż widziałem je... Mniejsza o to, kiedy je ostatnio widziałem. W końcu kogo to obchodzi... Sam przed sobą nie potrafię się przyznać, że nie pamiętam. Dużo łatwiej jest sobie powiedzieć, że to nieważne. Jak człowiek nie pamięta czegoś istotnego, ma poczucie straty i zaczyna czuć się niedowartościowany. Co innego, kiedy oczyszcza pamięć z rzeczy nieważnych i wie, że robi miejsce dla tych, które są istotne. Pokrzepiony tą myślą wspinam się na pierwsze piętro. Drzwi ze staroświecką wizytówką. Prawie nikt już nie ma wizytówek, ale tu, w tym na poły umarłym mieście wciąż praktykuje się dawny zwyczaj podpisywania drzwi. Państwo tacy a tacy, inżynier B., Ewelina R. i tak dalej. Dzięki tym małym tabliczkom ludzie mają poczucie, że tworzą swój własny wszechświat, gdzie są bogami decydującymi o wszystkim. Nie numerami na drzwiach, ale osobami, świadomymi, aktywnymi i ze swej natury nieprzewidywalnymi podmiotami wydarzeń. To dlatego starożytni Izraelici nie chcieli, żeby ich policzyli rzymscy okupanci. Policzone znaczy skazane i skończone jak w tej dziwacznej historii z królem Baltazarem i tajemniczą ręką. *Mene, tekel, peres* czy jakoś tak. Mentalność księgowego, który liczbą zamyka bilans i ogłasza końcowy wynik, wypadkową inwestycji, kosztów, zysków i strat. Liczba zawsze ma w sobie coś zamykającego, ostatecznego jak wyrok, a imię jest jak otwarta książka, którą można czytać na kolejnych stronach na razie jeszcze niewidocznych, ale przecież wiemy, że one istnieją. Zawsze można przewrócić kartkę i dowiedzieć się czegoś, co w tej chwili jest jeszcze ukryte. Drzwi z numerem 7 nic nie mówią, ale te same drzwi z nazwiskiem, moim nazwiskiem, to coś więcej. Wsuwam klucz do zamka, który pamięta zdecydowanie lepsze, ale już nieodwołalnie minione czasy. Mimo wyczuwalnych wewnętrznych oporów i lekkiego chrobotu mechanizm posłusznie poddaje się ruchowi ręki i już mogę nacisnąć klamkę wyświeconą od setek, a może i tysięcy dotknięć. Jestem zdumiony, jak automatycznie moja dłoń wślizguje się do wnętrza, a palec bezbłędnie odnajduje włącznik. Gdybym miał świadomie powiedzieć, gdzie jest ten włącznik, musiałbym się zastanowić, a moja ręka wie sama. Stawiam walizkę przy drzwiach. W końcu nie jestem tu na długo. Wszystko

ma się zamknąć w ciągu trzech dni i wracam do siebie. Uśmiecham się, kiedy dociera do mnie ukryte znaczenie kolejnej liczby. Trzy to początek, szczyt i koniec, to zejście do piekieł i powrót. W takim razie jestem u początku, a na końcu będę znów u siebie. To tylko trzy dni.

Niezbyt czysty żyrandol oświetla wnętrze, które powoli rozpoznaję jako moje. Pod nogami mam dywan przykrywający linoleum. Tu nigdy nie było parkietu. Chyba chodziło o oszczędność? Podchodzę do ściany, żeby przyjrzeć się staremu zdjęciu. No tak. Poznaję. To przecież Borówno. Stoimy na tle lasu i leśniczówki. Wszyscy wpatrzeni w obiektyw aparatu. Widać, że każdy stara się upożycować w taki sposób, jak mu się wydaje, że wygląda naturalnie, i oczywiście nic z tego nie wychodzi. Wyjątkiem są dwa psy, które za nic mają ważność chwili. Nie doceniają znaczenia fotografii i najwyraźniej chcą już gdzieś pobiec za swoimi psimi sprawami, a ludzie każą im jeszcze tkwić w jednym miejscu. Uśmiecham się na wspomnienie tych psów. Tutaj siedzą, ale one są wciąż rozbiegane. Kajtek i Pimpek. Jest jeszcze Mruczek zwany Murkiem, chociaż nie ma go na zdjęciu. Szara, pręgowana łagodna bestia, która pojawia się, kiedy chce, pozwala się pogłaskać tylko wybranym szczęśliwcom... Kiedy wychodzi na wiejską drogę, żaden pies go nie zaczepia. To raczej Murek potrafi zaczepić i biada zaczepionemu. Dla postronnych oczywiście nie ma go na fotografii, ale ja dobrze wiem, że on tam jest dużo bardziej niż te roześmiane psy. Prawdę mówiąc nie zdziwiłbym się, gdybym któregoś dnia odkrył Murkową twarz czy choćby łapę gdzieś pośród tych paru osób. Zawsze, kiedy patrzę na tę fotografię, szukam kociej łapy. Na razie wciąż bez sukcesu, ale nie tracę nadziei, bo przecież nie jest możliwe, by wszyscy na zdjęciu byli, a nie było Murka, skoro wiem, że on tam być musi.

– No, nareszcie jesteś. – Ojciec jak zwykle wychodzi z kuchni. On wiecznie wychodzi z kuchni.

– Co u ciebie? Nie piszesz, nie odzywasz się. Dobrze, że czasami chociaż dzwoniś – gderając, zmierza w moją stronę.

Nie witamy się, padając sobie w ramiona. To nie w naszym stylu. Ojciec zawsze wychodzi z kuchni i mówi to swoje no nareszcie jesteś, a ja...

– W porządku. Jest dobrze.

– Tak tylko mówisz, żeby mnie zbyć. Myślisz, że jak ojciec jest stary, to można go zbyć byle czym. Powiesz jakiś ogólnik i to ma mi wystarczyć. Powiedz coś więcej. Nigdy nic mi nie mówisz – nagle poskarżył się jak dziecko.

A ja myślę (wyłącznie na własny użytek), że faktycznie niczego mu nie mówię. Czuję narastającą suchość w gardle, chociaż jeszcze nie chce mi się pić. Nigdy mu nie opowiadam, bo mam podejrzenie, że on wcale tego nie pragnie. Pyta, bo pytać wypada, albo on myśli, że tak wypada, ale nie słucha, kiedy próbuję przybliżyć

mu swoje życie. Wiem, że nie rozumie i coraz bardziej nie chce rozumieć, jak ja żyję. On nie chce słuchać, a ja nie chcę mu opowiadać. Chyba dlatego, żeby nie tracić siebie, nie rozmyć się w tym miasteczku otoczonym zewsząd górami, właściwie wkopanym w góry, wgryzionym we wnętrze tych gór jak robak w jabłko. Boję się, że ja też tu się wgryzę i tak już zostanę. Nie chcę mieszać gór swojej młodości z zewnętrznym światem mojej dorosłości.

– Pracuję w kopalni. – Ojciec kiwa głową na znak, że to wie od zawsze. – Szukam ropy, ale nie pod ziemią. Wysyłam drony i latam helikopterem nad pustynią. Wiesz, tak jest w Teksasie. Tam jest trochę inaczej.

– Inaczej, inaczej. Wszędzie jest tak samo! – Ojciec rozpaczliwie chce się zmierzyć z tą nieznaną mu, obcą innością. – W tym twoim Teksasie ropa jest pod ziemią, no nie? A w Sudetach to myślisz, że nie jest pod ziemią?

– Tak myślę – odpowiadam bez satysfakcji.

– No tak, tu nie ma ropy. Ale jest tyle innych bogactw... – mruczy. – Pod ziemią – dodaje po sekundzie. – Hitler, a potem Ruscy chcieli nawet zbudować bombę atomową z naszego uranu.

Milczę, żeby nie powiedzieć, że ten uran nie za bardzo był nasz, Niemcy w końcu tej bomby nie zbudowali, a Sowieci użyli uranu z Uralu, bo tego „naszego” z Sudetów było za mało. Śmieszna gra słów uran-Ural.

– Oglądam z góry teren – opowiadam – ciekawsze miejsca fotografuję, a najbardziej obiecujące...

– Napijesz się herbaty? – Ojciec już ma dosyć Teksasu, helikopterów, dronów, kopalni bez podziemnych korytarzy.

– Chętnie.

Nieśmiertelna herbata jest jak koło ratunkowe. Dobrze znana, niewymagająca helikopterów. Zawsze go ratuje. Również przede mną. A ja nie chcę być konkurentem dla herbaty, więc milczę, patrząc, jak powoli podnosi się od stołu. W zasadzie to ja powinienem pójść teraz do kuchni, lecz wiem, że tego nie mogę zrobić. To jest jego zadanie. Powoli idzie w stronę tej swojej twierdzy. Dostrzegam jego skrywany wysiłek, żeby wyglądać sprężysto i energicznie. Słyszę, jak nalewa wody do czajnika, zapala gaz. O, teraz znajomo skrzypnęła szafka. To ta nad kuchenką. Zawsze skrzypi.

– Nadal nie słodzisz?

– Nie słodzę – odkrzykuję trochę za głośno, bo wiem, że ostatnio gorzej słyszy.

To jest pytanie należące do rytuału. On słodzi, ja nie. Obaj to wiemy, ale cukier jest doskonałym słodzikiem naszych rozmów, kiedy już nie możemy rozmawiać ani o Teksasie, ani o kowarskim uranie. Nie potrafię wyjść poza tę formułę. Przemyka mi przez głowę niedorzeczna myśl, żeby opowiedzieć mu o mojej ostatniej podróży do...

– Proszę – mówi, stając przede mną z tą swoją szklanką – woda zaraz zawrze. Nieśmiało, jakby zakłopotanym gestem stawia szklankę na stole i po blacie ostrożnie przesuwając w moją stronę. To zawsze mnie deprymuje i działa mi na nerwy. Dlaczego jest taki niezgrabnie usłużny? Mam ręce i sam mogę sięgnąć po tę nieszczęsną szklankę.

Wkłada do szklanki woreczek z herbatą.

– Zaraz będzie.

– Tata – chcę czymś wypełnić pogłębiającą się przepaść między nami – a co właściwie stało się z medalionem?

– Jakim medalionem? – pyta chyba tylko po to, żeby się trochę podroczyć.

– Tym jednostronnym. Znalazłeś go w kopalni...

– A tak, medalion – uśmiecha się zadowolony, że pytam o coś, co dobrze zna, w czym będzie lepszy ode mnie, znów będzie ojcem-przewodnikiem, który wie lepiej. – Myślałem, że zapomniałeś. Chcesz go zabrać?

Jego oczy śmieją się, wyrażając radość, że ma coś, czego ja potrzebuję albo przynajmniej czym się interesuję. Zawsze bardzo go boli, że niczego od niego nie chcę, że jest mi niepotrzebny, że żyję tak bardzo inaczej, jak tylko się da. A to przecież nie do końca jest prawdą. Żyję inaczej, ale on jest mi w pewien sposób potrzebny, chociaż nie potrafię tego okazać. Jesteśmy jak mieszkańcy nie dwóch różnych kontynentów, ale dwóch różnych planet. Wysyłamy do siebie konwencjonalne sygnały, lecz obaj aż nazbyt dobrze wiemy, że to tylko zewnętrzna powłoka, a właściwy sens pozostaje nieprzekazywalny.

– Dlaczego miałbym go zabierać? Przecież jest twój – stwierdzam.

Patrzy na mnie uważnie. Medalion to coś, co nas łączy w sposób absolutnie bezdyskusyjny i on to rozumie. Całe moje życie jest zaprzeczeniem ojca, jestem jego antytezą, lecz ten medalion to punkt styczny. Wiemy o nim tylko my dwaj. Nikt na świecie nie mógłby powiedzieć, że medalion...

– O, jest woda. – Podrywa się na dźwięk gwizdka i spiesźnie dreczce do kuchni.

Czajnik z gwizdkiem jest dla mnie synonimem tego domu. Ja sam nie używam takiego czajnika, bo drażni mnie ten dźwięk. Ale nie tutaj. Czajnik ogłaszający, że woda zawrzała, jest częścią mojego ojca i częścią tego miejsca. Prawdę mówiąc, byłbym głęboko rozczarowany, gdyby ojciec któregoś razu zrezygnował z tego gwizdka.

– Dzień dobry!

Podnoszę głowę znad stołu.

– Dzień dobry – wstaję z ręką wyciągniętą do powitania – witam, panie Ludwiku!

– Tak myślałem, że dzisiaj przyjedziesz. – Poorana twarz pana Ludwika wyraża

szczerą radość. Ma na sobie spodnie w kancik z bardzo wysokim stanem, jakie można oglądać na starych filmach, nieodłączną koszulę w drobną kratę i kamizelkę bez rękawów. To jest właśnie pan Ludwik. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek pojawił się bez kamizelki.

– Próbowałem dotrzeć tu wczoraj, ale nie było lotów na już. Złapałem samolot z Bostonu do Frankfurtu, a potem pociągiem do Wrocławia no i tam utknąłem. Pół nocy zajęło mi przejechanie tych stu kilkudziesięciu kilometrów.

Pan Ludwik kiwa głową, żeby podkreślić, że to wszystko rozumie, a po trosze żeby wyrazić swoją dezaprobatę dla istniejącego stanu rzeczy.

– Trudno, żeby tutaj latały samoloty z Wrocławia – uśmiecham się do starszego pana.

Uprzedzam w ten sposób spodziewany ciąg narzekań na komunikację, na nowe czasy, na... właściwie na wszystko. Na cały ten świat, który coraz szybciej schodzi na psy, stacza się do stanu kompletnego chaosu, kiedy już nic nie będzie miało sensu. Tylko pan Ludwik w spodniach z zaprasowanymi kantami jest gwarancją, że jeszcze nie wszystko się skiepsciło.

To on zatelefonował do mnie przedwczoraj. Opowiedział wszystko ze szczegółami, a potem uruchomił konieczne biurokratyczne mechanizmy. Jestem mu za to niezmiernie wdzięczny. Patrzę w oczy pana Ludwika i znowu widzę, jak z ojcem idą przez bukowy, górski las. Biegnę za nimi, ale nie nadążam, aż wchodzimy na polanę, gdzie pan Ludwik ma maleńki szałas. Tam przystają, a ja wreszcie ich dopadam, wbijam się do szałasu i dumny krzyczę, że jestem pierwszy. Potem palimy ognisko, pieczemy ziemniaki, robimy jeszcze jakże ryzykowną ekspedycję w głąb lasu. A wieczorem, kiedy już teoretycznie śpię, oni siadają przy ogniu i piją wódkę przekonani, że ja tego nie widzę. Zresztą, może nie do końca są tego pewni, bo mam nie mówić mamie. I nigdy nie mówię, to w końcu nasze męskie sprawy.

Pan Ludwik rozgląda się po pokoju, jakby tu był pierwszy raz, chociaż zna ten dom lepiej niż ktokolwiek inny. Uśmiecha się nieco dziwnie.

– Wygląda na to, że nic się nie zmieniło – stwierdza, a w głosie chyba słyszę żal, jakby oczekiwał, że coś lub ktoś powinien zadbać o podkreślenie przełomu. Był tu dwa dni temu i teraz jest tak samo jak wtedy, chociaż nic już nie jest takie samo.

– A co miało się zmienić? – Wzruszam ramionami i niemal natychmiast czuję, jak bardzo te słowa i ten lekceważący ruch są nie na miejscu.

– Wszystko jest jak zawsze – trochę wbrew sobie uparcie brnę w beznadziejną próbę racjonalizacji tego, co się dzieje.

Pan Ludwik jednak nie odpowiada na jawną zaczepkę i znowu mam za co być mu wdzięczny. To bardzo mądry człowiek. Na pierwszy rzut oka zwykły górnik, prosty robotnik bez specjalnego wykształcenia czy wyjątkowych uzdolnień.

A jednak zawsze potrafi nadać sens pozornie bezsensownym przypadkom tego świata.

– Tutaj masz dokumenty. – Kładzie na stole kilka zadrukowanych kartek w plastikowej koszulce.

– Wszystko już załatwione. Firma nazywa się Agharta. Tu jest adres.

Rzucam okiem na papier: Złotnicza...

– A bliżej nie było...?

– Nie było – przerywa mi z widoczną złością.

Przyglądam się panu Ludwikowi, nie bardzo rozumiejąc, skąd ten nagły wybuch, ale nie ośmielam się zapytać wprost. Liczę, że sam mi powie lub ewentualnie przejdzie mu atak złego humoru. W końcu do mnie dociera – przecież nie codziennie załatwia się formalności pogrzebowe. On może być podenerwowany, a ja w żadnym razie nie mam prawa go oceniać.

– Przepraszam – mówię.

Teraz to on wydaje się zdziwiony. Chyba nie rozumie, za co przepraszam.

– Kremacja odbędzie się jutro – mówi. – Msza i ceremonia są umówione na pojutrze.

Pan Ludwik patrzy na mnie nieco wyzywająco i ja doskonale wiem, o co mu chodzi. Obaj wiemy. Pogrzeb będzie miał charakter religijny, a moja rodzina religijna nie jest. To jest ten moment, kiedy poglądy ojca i moje oraz pana Ludwika są całkowicie rozbieżne. Pan Ludwik zdaje sobie z tego sprawę, ale nie potrafi odpuścić. Wbrew nam, to znaczy ojcu i mnie, niejako wykorzystuje sytuację, żeby zorganizować ten pogrzeb zgodnie ze swoimi wyobrażeniami... Zaglądam do dokumentów. Msza żałobna ma się odbyć w kościele pod wezwaniem świętych Piotra i Pawła, a urna spocznie...

– Panie Ludwiku, dlaczego akurat tam? Czy nie byłoby lepiej u nas?

– Tu wszyscy się znają i proboszcz powiedział, że on się nie zgodzi.

– Nawet za dodatkową opłatą?

– Nawet – obrażonym tonem odpowiada pan Ludwik i ucina rozmowę w taki sposób, że boję się dalej ciągnąć ten temat. Zresztą nie mam siły ani ochoty z nim dyskutować. W końcu to tylko trzy dni, a pojutrze wracam do siebie. Nie ma o co kruszyć kopii.

Pan Ludwik wygrywa tę rundę. Jeszcze raz omiata wzrokiem całe wnętrze.

– No nic, chyba wszystko już wiesz. Odetchnij po podróży, może nawet napij się czegoś mocniejszego. – Wskazuje szklankę stojącą na stole. – A jakbyś czegoś jeszcze potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać.

Nie odpowiadam, bo faktycznie wiem.

– Do widzenia.

Ma rację, powinienem odpocząć i przygotować się na te trzy, a właściwie już tylko dwa dni, wypakować jakieś rzeczy, szczoteczkę do zębów położyć przy lustrze, a ręcznik powiesić na haczyku przymocowanym do drzwi w łazience. Trzeba wyjąć garnitur. Powinienem to, powinienem tamto... A tymczasem moja walizka wciąż stoi koło drzwi. Patrząc na nią, myślę, że ona też chciałaby już stąd wyjechać.

– Wiesz, woda u nas jest teraz lepsza niż kiedyś. – Głos ojca przywołuje mnie do rzeczywistości.

Nalewa wrzątku do szklanki. Na powierzchni pęcznieje woreczek z herbatą, jakby chciał uniknąć zatopienia, ale w końcu rezygnuje z daremnego oporu i nasiąka wodą. Niechętnie pogrąża się w gorącym płynie. Widzę, jak smugi herbacianego wywaru wydobywają się z woreczka i w łagodnych zawijasach stopniowo, ale nieubłagane ogarniają całą objętość szklanki.

– Pisałem ci, że ten twój kolega nie żyje?

Patrzę na ojca zaskoczony.

– Wiktor... nazwiska nie pamiętam.

– Chyba chodzi ci o Witolda?

– O właśnie.

Z Witkiem byłem w jednej klasie, ale nie nazwałbym go kolegą. Zawsze próbował pokazać swoją wyższość. Był z „lepszej” rodziny, miał lepsze ciuchy. Nie wahał się donosić nauczycielom. Tak przynajmniej myślałem i ja, i co najmniej kilku kolegów, więc coś musiało być na rzeczy, ale za rękę nikt go nie złapał. Poza tym był bardzo zdolny i cholernie ambitny. Został prawnikiem.

– Nie, nie pamiętam, żebym otrzymał od ciebie taki list. Na pewno o tym nie pisałeś.

Widzę, że ojciec chce zaoponować, ale w ostatniej chwili rezygnuje. Wycofuje się do jakiejś zastrzeżonej wewnętrznej enklawy, gdzie nie mogę mu zagrozić. Teraz obaj nie wiemy, co należałoby powiedzieć, żeby rozładować sytuację.

– A co u pana Ludwika? – pytam tylko po to, by nie milczeć. Przecież dobrze wiem, co u pana Ludwika. – Był tu – mówię – ale nie zdążyliśmy pogadać.

– Wiadomo, że był. – Ojciec wzrusza ramionami.

– Co nowego? Chyba nic. Ciągnie to wszystko pomalutku. Czasem oprowadza turystów po sztolniach, ale ostatnio już ma dosyć.

– Zmęczenie?

– Nawet nie to. Tylko, widzisz, turyści chcą sensacji. Najchętniej to by chodzili z licznikami Geigera i słuchali, jak szybko terkoczą. Ludwik mówi, że nie chcą mu wierzyć, że promieniowanie jest niewielkie i nawet dawniej nie było aż tak straszne.

– Jak to nie było? – dziwię się głośno, chociaż z grubsza wiem, o co chodzi. – Przecież górnicy umierali z powodu napromieniowania.

– Kto umierał, ten umierał. Ci zaraz po wojnie, to wszyscy umarli. Ale potem to już tak nie było. Poza tym tam byli też Ruscy. Tych zabrali do Sowietów i kto ich tam wie, jak i kiedy umarli. Na pewno już nie żyją, ale nikt nigdy się nie dowie, że przez uran. Psuliby statystyki.

Patrzę na ojca i myślę, że te sztolnie, zawsze te same opowieści o uranie, górnikach i turystach stanowią sens jego życia. Moją rolą jest tylko słuchać. Co mu tam ropa w tak dalekim, że aż nie wiadomo, czy faktycznie istniejącym Teksasie? Nawet gdy go zapraszałem do siebie, nie chciał przyjechać. Myślę, że to obawa przed nowym.

– A miałeś opowiedzieć o medalionie.

– Rzeczywiście – uśmiecha się z widocznym zadowoleniem. To jest coś, nad czym panuje.

Po raz nie wiadomo już który słucham, jak to znalazł medalion w kopalni. Jak przez lata nosił go potem na szyi i dzięki temu talizmanowi nic mu się nie stało, a przede wszystkim nie imać się go promieniowanie.

– Daję ci go, niech teraz tobie służy. – Zdejmuje przez głowę coś jakby naszyjnik, którego jednak nie widzę, i ostrożnie kładzie na stole.

Trochę to przypomina pchli cyrk, gdzie naiwni widzowie podziwiają kręcące się minikaruzele i maleńkie ruchome huśtawki rzekomo poruszane przez tresowane pchły, których jednak nikt nie dostrzega, bo ich przecież nie ma. Ale ojciec nie ma zacięcia teatralnego. Niczym ślepiec przesuwając palcami wzdłuż niewidocznej nici leżącej na stole do momentu, gdy natrafia na coś grubszego. Przyglądam się, kiedy ujmuje to coś palcami i tuż nad stołem wykonuje ruch, jakby obracał monetę. W jego dłoni nagle pojawia się niewielki miedziany krążek. Medalion jednostronny. Ojciec umieszcza go na stole, żebym mógł swobodnie popatrzeć.

– Zawsze mnie to zadziwia – mówię.

Pochyliłam się nad medalionem, żeby jeszcze raz odczytać znany mi od dzieciństwa napis wybity w metalu pięknymi gotyckimi literami: „Cupri Fodina”.

Z zadumy wyrывa mnie dzwonek do drzwi. To Ilona.

– Słyszałam, że przyjechałeś.

Przez moment zastanawiam się, w jaki sposób rozchodzą się tu wieści.

– Tak, tej nocy.

Przyglądam się jej i widzę, że nadal jest tamtą dziewczyną z liceum.

– Pięknie wyglądasz.

– Pochlebca – lekceważąco śmieje się z komplementu, lecz jej twarz wyraża zadowolenie.

– Wiesz, że Witek nie żyje? – pyta.

– Tak, od ojca.

Ilona potrząsa głową.

– Głupio zginął.

– Co masz na myśli?

– To dziwaczna historia. Nad ranem wpadł pod pociąg na stacji w Karpaczu. Zmasakrowało go tak, że rodzina miała problem z identyfikacją zwłok. Nikt nie wie, czego tam szukał. Podobno nie zamierzał nigdzie jechać. Wiadomo, że lubił wypić – dodaje po chwili.

Wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć, że to wszystko wyjaśnia, chociaż w moim odczuciu nie wyjaśnia niczego.

– Pamiętam, że ty – przez moment waha się – nie lubieś go, prawda?

– Nie przepadałem za nim – przyznaję. – Był zarozumiałym kabotynem.

Ilona uśmiecha się i z lekko złośliwym grymasem mówi, że niechęć była obopólna, bo według niej wynikała z podobieństwa charakterów. Postanawiam nie odpowiadać na tę jawną prowokację. Niech sobie gada.

– Zakładasz tu swoje przedsiębiorstwo? – niby pyta, ale jednocześnie daje mi do zrozumienia, że pytanie jest retoryczne, bo ona wie. Odnoszę wrażenie, że tutaj wszyscy wiedzą i wszyscy mówią o przedsiębiorstwie. Ilona uśmiecha się w ten swój charakterystyczny, ujmujący sposób.

– Przyjechałem na pogrzeb – mówię o pół tonu za głośno.

– Tak, wiem. Przykro mi. Wszyscy, no może prawie wszyscy – poprawia się – będą na uroczystości. W każdym razie ja przyjdę.

Ilona podchodzi do stołu i z zainteresowaniem patrzy na medalion.

– Ładna rzecz – stwierdza.

– To medalion ojca, nic specjalnego – próbuję odwrócić jej uwagę, ale ona zdaje się nie zauważać moich wysiłków.

– Mogę? – Sięga po medalion, kiedy niespodziewanie słyszymy głos kota. To jest tak zaskakujące, że wszystko inne chwilowo schodzi na plan drugi.

Wiedziałem, że na Murka można liczyć. Widzę, jak miniaturowy pręgowany tygrys idzie z gracją po stole do Ilony z wypisanym na twarzy rozkazem: „masz mnie pogłaskać”. Ona oczywiście nie może odmówić, a ja korzystam z dogodnej chwili i ukradkiem chwytam złoto-zielonkawy krążek, żeby go schować do kieszeni. To jest nasza wspólna tajemnica, ojca i moja; nikt nie wie o medalionie i nikt nie może się dowiedzieć. Niestety, zdradza mnie stłumiony metaliczny brzęk, kiedy ta tajemnica niespodziewanie uderza o wytarte linoleum. Bezradnie chwytam się za kieszeń, ale jest już za późno. Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. W jakiś nieprawdopodobny sposób medalion wyslizgnął mi się

z dłoni i wylądował u moich stóp. Ilona odwraca się i widzę, że jest niemile zaskoczona.

– Chciałam go tylko obejrzeć – mówi z pretensją w głosie.

Nagle robi mi się wstyd. Postanawiam, że jednak złamię zasady i pokażę jej ten medalion. Muszę go tylko znaleźć. Patrzę pod nogi.

– Spadł na podłogę – informuję, jakby to było oczywiste – chwileczkę.

Ilona spogląda na pustą podłogę i podnosi wzrok na mnie.

– Dlaczego to robisz? – pyta. – Przecież masz go w kieszeni. Jeżeli nie chcesz mi pokazać tego medalionu, powiedz to otwarcie, ale nie rób ze mnie głupiej.

Bez słowa przyklękam i macając dłońią, próbuję znaleźć ten nieszczęsny przedmiot. Nie wystarczy mi odwagi, żeby jej powiedzieć o rzeczy, która ma tylko jedną stronę. Sam bym w to nie uwierzył. Ilona jeszcze przez chwilę ironicznie przygląda się, jak na oślep oklepuję podłogę wokół siebie. Kiedy odwraca się ode mnie, zauważam, że w oczach ma łzy... tak samo, jak wtedy, gdy było wiadomo, że wyjeżdżam. Ale ja wciąż nie umiem odnaleźć mojego medalionu.

– Coś się zgubiło? Może pomogę?

To głos niewysokiego, dość tęgiego mężczyzny stojącego w drzwiach tuż obok mojej walizki.

– Jak pan tu wszedł? – pytam i zaraz się poprawiam, bo dostrzegam koloratkę. – Jak ksiądz tu wszedł?

– Szczęść Boże – odpowiada. – Drzwi były otwarte, bo tak je zostawiła wychodząca stąd kobieta, więc pozwoliłem sobie wejść. Już całe miasto wie, że jeden z jego mieszkańców wrócił do domu.

– Ksiądz jest tutejszym proboszczem?

– Tak, i właśnie dlatego przychodzę tu zaraz po wieczornej mszy świętej.

Przez chwilę zastanawiam się, co ma do tego msza. Co go do mnie sprowadza? Irytuje mnie, że zjawia się bez zaproszenia i jeszcze przepłoszył Ilonę. Już mam powiedzieć, co o tym myślę, ale wcześniej on przejmuje inicjatywę.

– Skoro wracasz do domu i zakładasz tu swoją firmę, należałoby też zrobić coś dla dobra wspólnego, czyż nie?

Zasadniczo można mu przyznać rację, ale dlaczego moja firma? – myślę.

A poza tym, czy ten dom to dworzec, gdzie każdy może wejść? No i nie za bardzo sobie przypominam, żebym z tym panem przechodził na ty. Złości mnie ten paternalistyczny ton.

– Nasz kościół pilnie potrzebuje nowego dachu, a parafia jest biedna. Chyba zgodzisz się, że ludzie majątni, a zwłaszcza przedsiębiorcy działający na naszym obszarze, powinni dokładać się do spraw wspólnoty?

Wstaję z podłogi, zapominając na chwilę o zagubionym medalionie.

– Pan Ludwik mówił, że ksiądz nie zgodził się na pogrzeb w swojej parafii, więc...

– Pan Ludwik? – Duchowny unosi i szeroko rozkłada obie ręce w dobrze znanym geście. – Najwyraźniej doszło do nieporozumienia. Owszem, twój ojciec nie był człowiekiem głębokiej wiary...

– Był niewierzący – wtrącam.

– Właśnie o tym mówię. Nie był osobą zbyt często odwiedzającą swój kościół. Wiem jednak, że w głębi duszy to był dobry człowiek i na wieczny spoczynek nie musi opuszczać macierzystej parafii. Z otwartymi ramionami przyjmujeśmy wszystkich, którzy pragną pojednania.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Mój ojciec pragnący pojednania? Patrę na niego i zastanawiam się, czy powinienem się odzywać. Czy warto podejmować dyskusję? Przecież pojutrze... Potem nigdy tu nie wrócę...

– ...Amerykańska technologia postawi na nogi naszą gospodarkę – przekonuje mnie niczym specjalista od spraw ekonomicznych i technik górniczych. – Nawet nie wiesz, ilu wspaniałych ludzi stąd wyjeżdża w poszukiwaniu pracy. Widzę to na niedzielnej mszy świętej, a jeszcze bardziej, kiedy chodzę po kołędzie. Dosłownie w każdej rodzinie ktoś wyjechał. Jedni do innych miast w Polsce, niektórzy, jak ty, w szeroki świat. Część domów porzucono i dziś już nikt tam nie mieszka. Nam potrzeba tutaj inwestycji, żeby zatrzymać młodych. Nasza parafia wyludnia się i starzeje.

– Proszę księdza, ja wcale...

– No właśnie, jest oczywiste, że wcale nie chciałeś na zawsze porzucać ojczyzny, ale nie potrzebujesz się tłumaczyć. Najważniejsze, że znów tu jesteś i teraz chcesz budować przyszły rozwój naszego miasta i całego regionu.

Otwieram usta, żeby zasłonić się jakąś ripostą o synu marnotrawnym czy może o pannach mądrych i głupich, ale już nie słyszę swojego głosu. Bezradnie mamrolę coś pod nosem, a przed oczami mam jego twarz i ruchliwe wargi, z których leje się nieprzerwany potok słów. Porzucam w końcu nadzieję, że zdołam cokolwiek wyjaśnić. Postanawiam tylko słuchać i potakiwać. Tak jest bezpieczniej i łatwiej, chociaż to wymaga cierpliwości.

Za oknem mrocznieje.

– No to załatwione, synu. Zgłoś się do kancelarii parafialnej. Dzisiaj już nie zdążysz, bo jest dość późno, ale przyjdź jutro. Z Bogiem.

Odpływa dostojnie jak galeon wyładowany peruwiańskim srebrem.

Przez chwilę patrzę za nim. Wciąż obawiam się, że zawróci lub może ktoś jeszcze zechce mnie odwiedzić i zburzy tak upragnioną ciszę. Jednak mija kilka chwil, a ja nadal cieszę się samotnością. W końcu decyduję, że czas wrócić do

poszukiwania jednostronnego medalionu, co nie powinno być zbyt trudne, bo pokój nie jest duży. Przecież ten krążek gdzieś tu leży. Co prawda nie widać go, bo upadł na niewłaściwą stronę, ale kiedy obmacam całą podłogę, muszę go znaleźć. To oczywiste.

Mija kilka minut daremnego przesuwania dłonią po linoleum i cienkim dywanie. Niespodziewanie uświadamiam sobie, że nawet jeśli natrafię na medalion i go obrócę, nie zdołam niczego zobaczyć w szybko zapadającym mroku. A jeżeli w ciemności przypadkiem znowu go upuszczę, może zawieruszyć się w którymś kącie i potem będzie jeszcze trudniej.

– Nikt go nie widział tyle lat, więc nic się nie stanie, jeżeli niewidziany poleży sobie jeszcze kilka godzin – mówię głośno i na tyle dobitnie, żeby przekonać samego siebie. Wstaję z kolan.

Zabawne, jak wielu ludzi mówi do siebie, kiedy sądzą, że nikt ich nie słyszy. Nie chcemy być sami, ale możemy być sami ze sobą. Jak święty Antoni, który wołał raczej towarzystwo swoich potworów i demonów niż całkowitą samotność.

Powoli przechodzę przez pokój, zapalam światło w kuchni i leję wodę do kawiarki.

– Nie chcesz mojej herbaty? – Głos ojca wyraża lekkie rozczarowanie.

– Przecież wiesz, że wolę kawę.

Przez otwarte drzwi kuchni widzę go stojącego przy stole, na którym wciąż znajduje się pusta szklanka.

– Medalionem się nie przejmuj – mówię – ja też go kiedyś zgubiłem. On zawsze się odnajduje. On wie, że jest tylko nasz i prędzej czy później musi do nas wrócić.

Kawiarka, głośno bulgocąc, triumfalnie oznajmia, że brązowy napój już się przelał. Ujmuję ją za czarny uchwyt i spieszenie idę do pokoju. Mam jeszcze sporo rzeczy do omówienia z ojcem. Dopiero koło stołu uświadamiam sobie, że nie przyniosłem filiżanki ani nawet kubka. Jednak nie chce mi się wracać do kuchni, chociaż nie lubię kawy ze szklanki. Zresztą uchwyt kawiarki wykonany z jakiegoś tworzywa nie za bardzo spełnia swoje zadanie i zakończenia nerwów w mojej dłoni informują, że czas przerwać zbyt gorący kontakt. Nieco pospieszenie wlewam kawę do szklanki i z ulgą odstawiam kawiarkę na stół.

– Tata – mówię – zabrałem ci szklankę. Zaraz przyniosę nową.

On jednak nie odpowiada. Teraz to już ja sam muszę zdecydować, czy pójść po drugą szklankę. Rozglądam się po pokoju pogrążonym w mroku, licząc, że ojciec jednak udzieli mi jakiejś wskazówki, ale nigdzie go nie widzę.

– Ale tu ciemno.

Słyszę lekkie pstryknięcie, które wydaje naciśnięty włącznik. Pokój zalewa mdłe światło płynące z żyrandola nad stołem.

Właścicielem niskiego głosu jest postawny mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku między czterdziestką a sześćdziesiątką. Jeszcze trzyma rękę na włączniku.

– Witam – kontynuuje, jakby nie dostrzegał mojego zdziwienia. – Pan mnie nie zna, ale pan mnie jeszcze pozna – śmieje się z dwuznaczności tego zdania.

Zdecydowanym krokiem przechodzi przez pokój i chwyta moją rękę, a z nim przypływa obłok niezłej wody kolońskiej.

– Jestem Robert Szejnert, burmistrz Szejnert – mówi to tak, jakby mówił „Bond, James Bond”.

Mam wrażenie, że jeszcze chwila, a stracę dłoń – z taką energią pan Szejnert nią potrząsa, chcąc chyba podkreślić, jak bardzo się cieszy i jak niezmiernie wysoko mnie ceni.

– Słyszeliśmy, słyszeliśmy – tubalny głos i protekcyjny ton Szejnerta nie pozostawiają wątpliwości, że to on jest tu samcem alfa. – A więc zakłada pan u nas firmę.

– Nie, nie – unosi dłoń w uspokajającym geście – proszę nie zaprzeczać. Oczywiście rozumiem, że tajemnica handlowa obowiązuje. Konkurencja nie śpi.

Jego dudniące „hu, hu, hu” ma być śmiechem jowialnego faceta, ale jest raczej dźwiękowym wyrazem jego pewności siebie. Może dlatego przypomina pohukiwania jakiejś człekokształtnej małpy ogłaszającej, że dany teren i wszystkie samice są jego.

– Między nami mówiąc – pochyla się w moją stronę i porozumiewawczo mruży jedno oko – ma pan genialny pomysł. Przy pańskiej inteligencji i, co tu dużo mówić, pańskich pieniądzach interes przyniesie krociowe zyski.

Odchyła się do tyłu na krzesło, na którym nie wiem, kiedy zdążył usiąść.

– Niech się pan nie obawia, jak wie Szejnert, to wie tylko Szejnert. A Szejnert wiele może i jest panu ży-czli-wy – wybija ostatnie słowo, dzieląc je na sylaby.

Wciąż nie mogę się nadziwić, jak szybko i w jaki sposób działa miejscowa sieć informacji czy może raczej system rozsiewania plotek. Najbardziej mi to przypomina dziecięcą zabawę w głuchy telefon. Ja szepczę komuś na ucho jakieś słowo lub zdanie, ten ktoś szepcze to następnemu uczestnikowi zabawy, ten kolejnemu i tak dalej. Wreszcie ostatnia osoba mówi głośno, co usłyszała, i rzadko zdarza się, żeby to było zgodne z pierwotnym tekstem.

– Przyjechałem na pogrzeb ojca – mówię, nie licząc na to, że burmistrz da mi spokój. – Pan Ludwik do mnie telefonował z wiadomością o śmierci. On już załatwił wszystkie formalności.

– O tak, pan Ludwik to była solidna firma. Nie zawsze zgadzałem się z jego poglądami, ale jak on coś powiedział, to można mu było zaufać. Wie pan, najgorzej

to było z tymi sztolniami. On chciał je wszystkie zamienić w muzeum, że niby takie wyjątkowe, warte pokazania turystom i tak dalej. A tu trzeba żyć, nie za bardzo oglądając się wstecz. Pan wie, turysta to chce przede wszystkim dobrego żarcia i jakiegoś hotelu, najlepiej z basenem. No i z plażą, chociaż akurat o to u nas trudno. Coś zobaczyć taki turysta oczywiście może, ale nie każdy, niekoniecznie i nie za wiele tego patrzenia. To nie powinno go zmęczyć ani znudzić. A nasz drogi pan Ludwik nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Do końca walczył o te swoje sztolnie.

Milknie i wpatruje się w szklanekę z kawą. Udaję, że nie rozumiem tego spojrzenia. Ani myślę go częstować. Po chwili do Szejnerta dociera, że nie dostanie kawy, więc rezygnuje i wraca do swego monologu, a ja odnotowuję małe zwycięstwo.

– Pan to co innego, człowiek biznesu. Obaj wiemy, że te hałdy zawierają całą tablicę Mendelejewa. Już tu byli tacy, co je chcieli od nas kupić. Dosłownie za bezcen. Ale wie pan, my może jesteśmy prowincjuszami i może mamy problemy ekonomiczne, ale nie jesteśmy głupi. Ja dobrze wiem, ile warte są te hałdy.

– Nie sprzedał ich pan? – pytam tylko po to, żeby nie milczeć, bo odpowiedź przecież znam.

– Nie sprzedałem – mówi z taką emfazą, jakby mówił „no pasarán”.

Powoli zaczynam się domyślać, po co tu przyszedł, ale nie chcę uprzedzać wypadków. Nie chcę ułatwiać mu zadania. Niech się męczy. Z drugiej strony wcale nie jestem zdziwiony, kiedy okazuje się, że pan burmistrz nie zamierza się męczyć. Gładko, żeby nie powiedzieć bezwstydnie lub wręcz bezczelnie, przechodzi do rzeczy.

– Panie kolego, proponuję czysty układ, na którym wszyscy skorzystają.

– A kto straci?

– Mówię, że nikt. Ja daję swoje znajomości, zapewniam obsługę prawną i gwarantuję, że tutaj nikt nie zagrozi inwestycji. Moja w tym głowa. Pan wnosi swoją fachowość, amerykańską technologię i oczywiście pieniądze. Miasto zyskuje nowe przedsiębiorstwo, miejsca pracy i dochody.

– A przyroda swoją dawkę zanieczyszczeń.

– Tu nie ma strat ani przegranych – Szejnert najwyraźniej nie dosłyszał mojej uwagi – co najwyżej w różnym stopniu zyskają różni, że tak powiem, udziałowcy. A pan zyska najwięcej.

– Uczciwy interes w imię dobra wspólnego – mówię.

– Doskonale pan to ujął.

Burmistrz tryska entuzjazmem i już niemal liczy zarobione pieniądze. W tej sytuacji nie mogę mu tak po prostu powiedzieć, że pojutrze wyjeżdżam.

On zaś opacznie pojmuję moje milczenie i przypuszcza drugi atak.

– Niech się pan nie obawia, tu rządę ja i bez mojej wiedzy nic się nie wydarzy. Ba, nawet to, co już się wydarzyło, może czasem okazać się niebyłe, jeżeli to mi nie pasuje. Rozumie mnie pan?

– Nie bardzo...

Znowu wybucha rozgłośnym śmiechem.

– No dobrze, mniejsza o to, czy pan chce zrozumieć, czy nie. Nie naciskam. Niech się pan zastanowi. Jestem pewien, że się dogadamy. Wstępnie myślę o fifty-fifty, ale ja jestem człowiek ugodowy, mogę coś ustąpić... Wiadomo, to pana pieniądze, więc teoretycznie pan najwięcej ryzykuje, ale niech pan pamięta – z Szejnertem jeszcze nikt nie zginął.

Uśmiecha się szeroko. Wstaje.

– I nikt nie wygrał.

Na znak pożegnania podnosi do góry otwartą dłoń z rozcapierzonymi palcami i znika w drzwiach. Zostaje po nim zapach wody kolońskiej.

– Dobrze pomyśl, synu – słyszę za sobą cichy głos – to jeszcze nie koniec.

Tak, wiem – rzecz jest do przemyślenia. Zwłaszcza że mam coraz mniej czasu. Patrzę w okno, za którym przeciera się nowy dzień. Nie lubię tego powiedzenia „co masz zrobić dziś, zrób pojutrze, a będziesz miał dwa dni wolnego”. Według mnie, raczej zmarnuję dwa dni, a i tak to, co muszę zrobić, to muszę. I oto mam swój drugi dzień.

Nagle zaskakuje mnie dźwięk telefonu. O tej porze przyzwoici ludzie jeszcze śpią. Zresztą kto tutaj ma mój numer? No chyba że to z Teksasu. Pospiesznie wygrzebuje komórkę z kieszeni marynarki... Z pewną ulgą stwierdzam, że nie znam tego numeru. A więc to ktoś obcy.

– Cześć, stary byku! – Słyszę.

Nikt tak do mnie nie mówi. W ogóle to określenie brzmi jak nieudolna próba stylizacji. Może kiedyś i może w określonych środowiskach tak mówiono, ale nie za tak zwanych moich czasów i na pewno nie w moich kręgach towarzyskich.

– Nie poznajesz? Okej, wybaczam. Wiadomo, człowiek z wielkiego świata, a tu prowincja. No to ci przypomnę. To ja wykrałem dziennik i połowa klasy dopisała sobie oceny. Kojarzysz?

Milczę, bo sytuacja owszem, jest znajoma, ale za nic nie mogę sobie uświadomić, kto ten dziennik wykrał.

– No... już pamiętasz, prawda?

– Trochę mi głupio – mówię – ale nie bardzo.

– Dobra, masz drugą szansę. – Wyczuwam urazę i zniecierpliwienie. – Nasz polonista Herbut nazywał mnie przyjemniaczkiem i powiedział, że na piersiach powinienem nosić tabliczkę „Uwaga, grozi zawaleniem”.

Śmieję się na wspomnienie tej tabliczki, a w słuchawce wtóruje mi zadowolony rechot.

– Rzeczywiście, tak było! – wołam triumfalnie.

– To rozumiem – słyszę – w takim razie ja mam na imię...

Tamten zawiesza głos, lecz ja, niestety, nadal nie potrafię powiedzieć, jak się nazywa dawny przyjemniaczek.

– Wiesz co – przyjemniaczek niezbyt przyjemnie syczy mi do ucha – zawsze byłeś zarozumiały, ale teraz naprawdę przeginasz. Myślisz, że zapomniałem, jak się zachowałeś z tym dziennikiem? Pamiętaj, że tutaj nie Teksas. Tu może się wiele wydarzyć, a wypadki chodzą po ludziach. Burmistrz Szejnert dużo wie i dużo może. Z nim się nie zadziera.

Nagle ogłuchły telefon nie pozostawia wątpliwości, że przestałem być interesującym rozmówcą. Teraz już wiem, że lokalne wpływy pana Szejnerta sięgają dość daleko, a przynajmniej docierają do takich „przyjemniaczków”.

Przysiadam na krześle, żeby zebrać myśli. Chcę doczekać jasnego dnia. Mam wrażenie, że w świetle dziennym wszystko nabierze innych wymiarów. Chciałbym powiedzieć sam sobie, że rano coś się wyjaśni, chociaż nie bardzo wiem, co by to miało być.

O co mu chodzi z tym dziennikiem? Że wtedy nie dopisałem sobie ocen? Nie byłem dość solidarny z połową klasy? A te wypadki chodzące po ludziach? Czy to groźba czy tylko nieudolna próba przekonania mnie do współpracy z lokalnym kacykiem?

Słyszę ojca krzątającego się w kuchni. Znowu skrzypnięcie szafki, szum nalewanej wody i dźwięk zapalnego gazu. Zaraz będzie mi proponował herbatę. Wstaję i idę do niego, żeby uprzedzić wiecznie to samo pytanie. Wyciągam kawę. Nie raz mi mówił, że to niezdrowo pić tyle kawy. A jego herbata jest niby lepsza? Zresztą badania naukowców... Mniejsza o to.

Z kuchni wywabia mnie ciche miauknięcie. Oto mam kolejny niezbity dowód, że Murek jest na tej fotografii. Trzeba tylko umieć patrzeć. Kot bawi się czymś niedostrzegalnym.

– Oczywiście! – wykrzykuję. – Dziękuję!

Zbliżam się do zwierzaka, a on odsuwa się i niespiesznie odchodzi, żeby przepaść gdzieś za moją walizką. Nagle uświadamiam sobie, że wciąż nie zdążyłem jej rozpakować. Nadal stoi przy drzwiach, gdzie ją postawiłem, kiedy tu wszedłem. Jej obecność zdaje się mówić, że należy się przygotować, rozgościć, umościć. Niczego takiego nie zrobiłem, a jestem tu już drugi dzień.

– Zaraz – mówię chyba do walizki.

Uważnie wpatruję się w miejsce, gdzie przed momentem siedział kot. Widzę

plamkę brudu na linoleum. To jest mój punkt orientacyjny. Nie spuszczać go z oczu, pochylam się i kładę dłoń na podłodze. Nic. Przesuwam troszkę w lewo. Jest!

Palce natrafiają na coś twardego. Biorę to do ręki i ostrożnie obracam, żeby zobaczyć znajome litery po drugiej stronie.

– „Cupri Fodina” – czytam na głos.

W obawie, że znowu zgubię cenny medalion, zakładam go na szyję i obracam tak, by nie był widoczny. Teraz już spokojny mogę pójść po wodę, która musiała tymczasem zawrzeć w kuchni. Nie mam u siebie czajnika z gwizdkiem, bo go nie lubię, ale przemyka mi przez głowę myśl, że tutaj to całkiem sprytnie urządzenie i akurat teraz okazałoby się przydatne. Na miejscu jednak odkrywam, że nie zapaliłem gazu, więc z kawy chwilowo nici. Trochę zirytowany stawiam czajnik na kuchence, w skupieniu uruchamiam elektryczny zapalnik gazu, przekręcam kurek i odnotowuję, że tym razem proces grzania został faktycznie rozpoczęty.

Mogę wreszcie zabrać walizkę spod drzwi. Chcąc mieć oko na bezgwizdkowy czajnik, wracam z nią do kuchni. Mam poczucie, że oto wszystko jest w końcu na swoim miejscu i pod kontrolą. Mogę więc zająć się swoimi rzeczami.

Za oknem już dzień.

Niespodziewany chrobot klucza w zamku odrywa mnie od walizki, zanim zdążyłem ją otworzyć. Wstaję i przez kuchenne drzwi widzę młodego, wysokiego mężczyznę w kolorowej kurtce. Właśnie kładzie na podłodze niewielką, zgrabną torbę podróżną. Borys.

Jeszcze mnie nie widzi, zajęty oglądaniem fotografii na ścianie.

Przez chwilę zastanawiam się, czy dostrzeże kota, którego nikt tam nie zauważa.

Nadal nieświadom mojej obecności omiata wzrokiem całe pomieszczenie. Dłużej zatrzymuje się na szklance stojącej na stole. Wpatruje się w nią przez dobrą chwilę.

– Cieszę się, że jesteś – mówię, wychodząc wreszcie z kuchni.

Witamy się serdecznie, wykonując przepisowego niedźwiedzia. W naszym wydaniu to nie jest tylko pusty gest. Obaj naprawdę się cieszymy.

– Jesteś zmęczony?

– Trochę – odpowiada. – Jadę od wczoraj.

– Kawał drogi. – Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Normalnie to bym poleciał samolotem albo dałbym sobie ze dwa dni na przejazd. Zresztą wiesz, że nie jestem fanem auta. Jak trzeba to trzeba, ale na dłuższe trasy zwykle biorę pociąg czy samolot. A koszt jest właściwie taki sam.

Rzeczowy jak zwykle.

Nawet po zrobieniu prawa jazdy nie jeździł i nie chciał mieć auta, bo, jak mówił, w mieście to tylko kłopot. Poza miasto zaś wyruszał niezbyt często, więc utrzymywanie samochodu nie za bardzo miało sens. Kiedy zaś potrzebował przejechać się naprawdę daleko, auto i tak było zbyt powolne, a podróż okazywała się za długa, nadmiernie męcząca i przez to niebezpieczna.

– Teraz nie miałem czasu na załatwianie jakiegoś biletu – mówi – wszystko już porezerwowane, najbliższy wolny lot jest dopiero jutro, a to za późno.

– A pociąg?

– Teoretycznie to było możliwe, ale musiałbym kilka razy się przesiadać. Łączenie z czasami oczekiwania na kolejne połączenia jechałbym tu czterdzieści siedem godzin, a samochodem dotarłem po osiemnastu.

Roześmiałem się. Cały on – wszystko wyliczone i precyzyjnie zaplanowane.

– Jak jechałeś?

– Na Lyon i Bazyleę, a potem przez Pragę.

– Tak, to rzeczywiście najkrótsza trasa.

Podnoszę się i zmierzam do kuchni, gdzie woda już na pewno zawrzała.

– Co ci zaparzyć – pytam. – Bo chyba nie kawę?

Wiem, że unika kawy.

– Może być zielona. – Słyszę za sobą.

– Zjesz coś?

– Nie, dziękuję. Jadłem po drodze.

Przynoszę czajnik z wodą i dodatkową szklankę dla siebie. Też lubię zieloną herbatę. Nalewam. Dwie dymiące szklanki między nami są jak ognisko, przy którym kiedyś siadali nasi przodkowie.

– Chciałbym ci coś dać – mówię.

Wpatruje się we mnie: on już chyba wie, co chcę mu dać. Próbuje nieskładnie opowiadać o dziadku, kopalni i medalionie, chociaż on to już słyszał. Zadziwiająco nie idzie mi ta opowieść, a przecież nigdy nie miałem problemów z wyrażaniem tego, co myślę. Mam nieodparte wrażenie, że Borys mnie nie słucha. To przykre, bo jak dotąd zwykle dogadywaliśmy się i żaden drugiego nie lekceważył. Zdejmuję z szyi jednostronny medalion i ostrożnie kładę na stole tak, żeby było widać napis.

– Wiesz – mówię – wczoraj go zgubiłem, ale znalazł go... znalazłem go na podłodze. Leżał oczywiście niewidzialną stroną do góry.

Nie odpowiada. Pozornie patrzy na ten kawałek metalu, lecz sprawia wrażenie, jakby zaraz miał zasnąć. Rozumiem, że po takiej podróży jest wykończony. Po cichu wynoszę się z pokoju, żeby mu nie przeszkadzać. Niech odpocznie po tylu godzinach za kierownicą.

Dzwonek do drzwi rozlega się niespodziewanie głośno i natarczywie.

Jestem wściekły, bo na pewno obudził Borysa. Kolejny nieproszony gość, który chce załatwić jakieś sprawy i uznał, że akurat ja mu w tym pomogę. Niech idzie do diabła ze swoim interesem.

Wychodzę z kuchni, gotów przepędzić intruza, dokładnie w tym momencie, gdy młoda, szykowna kobieta wiesza na haczyku niedużą czerwoną torebkę. Przyjechała Nadia.

Oboje witają się i siadają przy stole w kręgu światła lampy. Za oknem panuje już noc i pokój jest pogrążony w półmroku, bo lampa znad stołu ma raczej słabą żarówkę.

– Miałaś być wcześniej, herbata już całkiem wystygła – mówi Borys.

Nadia zawsze się spóźnia, ale robi to z takim wdziękiem, że trudno się na nią gniewać.

– Nie szkodzi. Dzisiaj cały dzień było gorąco, więc wolę chłodną.

Siedzą naprzeciwko siebie i piją z jakimś szczególnym skupieniem. Między nimi leży medalion. Chyba nikt go nie dotykał od momentu, gdy go tam położyłem.

Na mój widok Nadia podrywa się od stołu i padamy sobie w ramiona.

– Cieszę się, że przyjechałaś – mówię.

– Przepraszam za spóźnienie. Autostrada była zapchana, a tutaj wiadomo, góry... – próbuje się tłumaczyć, ale ja tylko macham ręką.

Jak mam jej powiedzieć, że to przecież nieważne. Jestem szczęśliwy, że już dotarła – to mi całkowicie wystarczy.

– Siadaj z nami, zaraz zrobię...

– Nie, nie – przerywam jej – sam sobie zrobię. Woda chyba się właśnie zago-towała. Zresztą wolę kawę. Pogadajcie sobie, za chwilę wracam.

Idę do kuchni, ale z zaskoczeniem odkrywam, że czajnik jest znowu pusty, więc zaczynam wszystko od nowa. Z przyjemnością słucham, jak rozmawiają w pokoju, a tymczasem nalewam wodę, wstawiam na gaz, zapalam, wyciągam paczkę kawy. Otwieram szafkę ze szklankami. Znowu głośno skrzypi.

– To trzeba wreszcie naprawić – mamroczę pod nosem.

Rozmowa przy stole nagle się urywa.

– Tę szafkę trzeba w końcu naprawić. – Słyszę głos Borysa.

– Daj spokój, skrzypi tak od zawsze, a ty akurat teraz chcesz ją naprawiać?

– Chyba masz rację. To już nie ma sensu.

Zaczynają rozmowę o medalionie.

– Boję się go – stwierdza Nadia – co za dziwactwo taki jednostronny medalion.

– Faktycznie to dziwne, ale żeby się tego bać?

– Oczywiście. Czy wiesz, jak to działa? Ktoś to przecież zrobił i po coś to zrobił. No to ja pytam – kto i po co? Nie wiem, do czego to miało służyć, i nie wiem, czy

chcę się dowiedzieć. W każdym razie bardzo wątpię, czy kryją się za tym dobre intencje.

Uśmiecham się do siebie: Nadia rzadko miewa wątpliwości, a jej opinie są z definicji ostateczne. U niej wszystko jest albo białe, albo czarne.

– Może faktycznie to jest trochę niebezpieczne? – zastanawia się Borys.

Postanawiam, że nie wyjdę z kuchni, dopóki ta rozmowa się nie skończy. Nie chcę się wtrącać. Zresztą miło tak ich posłuchać.

– Poczekaj, mam pomysł. – To głos Nadii.

– No?

– Medalion jest z kopalni, prawda?

– Podobno. – Borys jest ostrożny.

– Głupio byłoby go tak po prostu wyrzucić, a do ognia zniszczenia w Mor-dorze też chyba nie zamierzamy iść, co? – W jej głosie wyczuwam uśmiech. – Może więc... kopalnia?

Zapada milczenie.

Wreszcie odzywa się Borys.

– Może to jest rozwiązanie. Nawet nie chodzi o to, że medalion jest niebezpieczny. Prawdę mówiąc, nie sędzę, żeby był. Jednak w domu też nie chcę tego trzymać.

– No to chodźmy. Niech wróci tam, gdzie jego miejsce.

Oszołomiony, a raczej oburzony tym, co usłyszałem, chcę do nich wyjść, żeby powstrzymać szykujące się świętokradztwo. Staję w drzwiach kuchni i mój wzrok pada na stół. Dwie puste szklanki lśnią w jaskrawym porannym słońcu. Nie ma medalionu. Ich też nie ma. Zniknęła torba Borysa spod drzwi i czerwona torebka Nadii wisząca wcześniej na haczyku. Już poszli. Bezradnie rozglądam się po opustoszałym pokoju.

Cisza dzwoni w uszach.

Czuję, że coś powinienem zrobić, ale nie wiem, co by to miało być. Iść do kopalni? Powstrzymać ich? Właściwie po co?

Nagle ku mojemu zaskoczeniu otwierają się drzwi na schody i do mieszkania wpada Borys. Biegnie do krzesła. Dopiero teraz zauważam, że leży tam porzucona komórka i cichą melodyjką domaga się uwagi.

– Borys! – wołam.

On jednak nie zwraca na mnie uwagi. Podnosi telefon do ucha.

– Borys!

Nie zauważa mnie.

– Już jestem – mówi. – Nie, nic się nie stało... zostawiłem telefon. Wszystko tak, jak było umówione. Spotykamy się w domu pogrzebowym o dziesiątej... Tak, zdążę... Siostra już tam powinna być...

W pośpiechu wybiega z mieszkania.

Z pewnym zdziwieniem stwierdzam, że przy drzwiach wciąż stoi moja nierozpakowana walizka. Ale już nie domaga się otwarcia.

W kącie zaś siedzi pręgowany bury kot. Mrużąc żółte ślepia, sennie gapi się na mnie, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czym denerwować. Że pan Ludwik, że Ilona, Szejnert i kopalnie w Teksasie, że wypadek Witka, że medalion, który ma tylko jedną stronę, że wszystko znowu jest w porządku.

HUMPS & WINGS

Polish poetry since '68



Jan Sawka, *Ikar*, grafika (czyt. s. 184)

Bunt mistyki

Poezja podąża wyboistą drogą – niewidzialną. Poeta też znika, istny świetlik, insekt, no, może jak ten świerszcz z baśni Grimmów, co, zawleczony zimą do mrowiska, dawał się skonsumować. O wydanym trzy lata temu zbiorze wierszy Barbary Łuszczyńskiej Andrzej Saj, sam zresztą po późnym ujawnieniu w sobie poety, napisał: *odczuł lekkość, całkowitą niewymuszoność*. Pozostała cisza. Do mnie to wersy dotarły teraz a przypadkiem. Albo wpłynęły same. Jak krowy Marca Chagalla – choćby taka czarno-biała klawiatura:

Kominiarze śpią

Białe szaty śnią

Czarne szaty drą

Kominiarze śnią

Oni płyną po niebie na białych rowerach

Skrzydłami z miotła machają

Białe kruki i wrony

Kołyszają na ramionach

W białe kominy wpadają

Sen, sen kominiarza

Sen, sen kominiarza

Jak puch z poduszki

Jak dotyk wróżki.

Otóż ta książeczka-klawiatura powstawała sobie na przestrzeni czterdziestu lat, od 1970, w łazience i w Parku Południowym. Są w niej fotografie autorki i zminiaturyzowane kolorowe obrazy Alka Mrożka (to zresztą osobny fenomen niewidzialny na mieście poza narkotyczną wystawą w piwnicy rockowo-jazzowego klubu Liverpool, gdzie w czwartkowe noce Mroźek gra na gitarze, zaś w niszy wejścia jedni, odrobinę zawiani, siusiają, a ci, których stać na papieros, kupują go od palących). To prawda, konstelacją metafor i scen dada u Łuszczyńskiej rządzi muzyka faktu, rządzi pantomima, w istocie samo życie, powołany przez nie

Wrocław to kosmos wiotki, dosadny, z kopyta (tak Jerzy Grotowski oddał Orfeuszowi pięknym za nadobne), rozkosznie ziewa, gdy wstaje, gwizdże przy zakładaniu podwiązki do pończoszek, kocha się, kaprysi w ramionach, wariuje przy rocku, bluesie, Jazzie nad Odrą, pisze jesienne listy *do Janiny Bocianiny i Jana Bociana*. Ma apocalipsis cum figuris na co dzień w starych kamieniach, w *szarej pochwie rozkopanych ulic*, gdzie wpływa *sperma kryminalistów rozświetlona ćwiartką księżyca i jedną tylko latarnią*, i ma ją na Ławce Idiotek między wieżami św. Marii Magdaleny. Och, wielu w mieście rozpoznałoby w tym zbiorku ścieżki, gdzie *kulawy diabeł staje na głowie*. Idzie się za nim na czworakach, inaczej uwłaczałoby psychopomposowi, którego *niebiosa starych mistrzów* ślą tym, co zamiast urodzić się w klinice dla bogatych białych, są *dziećmi przydrożnych kamieni i brudnej podłogi*.

Łuszczyńska brew uniesie: niepotrzebne tu poglądy, zwłaszcza słuszne, bo wszelkie Chagallowskie krowy znad dachów będą uściskane, o ile nie mają nic przeciw małej wódeczce i znajdą czas – pieniądz pal sześć. I o ile przezwyciężą swoje krowie ludowe kompleksy i nawet cenionego gniewnego artystę powitają *Mój malarzu bohemiasty / jak twój blejtram jesteś wielki*.

Tomik zamyka wyodrębniony tryptyk Trzech Kolorów, mozaikowych poematów: kolory warte namysłu. Patrzy się na nie po dekadach, przecierając oczy, kolor ujawnia to, co niemożliwe. Zamiast brnąć w słowa, szast-prast, ujawnia i już, i właśnie dlatego Łuszczyńska widzi, że w świecie lat 70. barwił nas kolor *żółty, rdzeń jajka i niedojrzałość umysłu*. Żółć fascynacji kulturami Wschodu, żółć tysięcy egzemplarzy bananów Andy'ego Warhola z kraiku przecież Nikifora i Marii Prymaczenko, do Ameryki płynęła podwodna *Żółta Łódź* ze Słonecznikami van Gogha, a do Wrocławia budyń waniliowy, camele i *bahama yellow*!

Kolor, jaki pokazał Matisse, a we Wrocławiu na swoich obrazach-supłach Leszek Mickoś. Kolor, jaki dla podświadomości oznacza tunel. W czerwień, despotycznie rozkraczoną promocyjną wielką reklamę tandety. Świeci i oślepia na ulicy. Zatem pewnie odziana w same gołęęębie, Łuszczyńska stworzyła, na razie wydane tylko po francusku, bibliofilsko, inne dzieło, kilkoma pieśniami obecne w niniejszych *Słowach wybranych 1970-2010*. I na nim już tutaj się skupię. Bo choć pomysł, aby wyrażać mistykę operą w rytmie rocka, ponadto jeszcze ciężko wielosylabowym polskim językiem, jest ryzykowny i artystycznie, i mistycznie, to powstał poemat świetny do szpiku kości. Pchnął Wróblewskiego do skomponowania partii symfonicznych oraz Mrożka do partii rockowych¹.

1 *Legenda o dziewczynie z brodą czyli opowieść o świętej Wilgefortis; Odsłona Pierwsza*. Libretto – Barbara Łuszczyńska, muzyka i aranżacja – Aleksander Mrozek, (Bazyli) Wróblewski, wykonanie – zespół „Łowcy snów” – stało się możliwe dzięki finansowemu wsparciu Zbigniewa Petrusa. Całość z udziałem orkiestry symfonicznej i chóru nagrano w Dużym Studio Polskiego Radia w listopadzie 2001.

Mocno osadzone w tradycji dzieło – opera! Tyle że przywołując tradycję starą, tradycję rzeczywistych kultur Sudetów, podejmuje z nimi grę – *le second jeu* – Średniowiecze to nasz czas dzieciństwa, to zjazd w dzieciństwo po części toksyczne, po części świeże i cudowne jak to źródło; jednych wakacji tata w przejęciu zabrał mnie do porośłego brzoza, sosenkami i tarką, och, jeszcze pachnącym wrotyczem, parowu na obrzeżu swojej rodzinnej wsi: to był skroplony cud także jego bosonogiego dzieciństwa: wsiowa ziemia, a w źródleku przeczysta, źródłana... Dlatego będę mówić nie o infantylizmie, a o dziecięctwie. Ono oczywiście zdumiewa swobodą w przestrzeni metafizyki otwartej, i to w dobie kostycznego racjonalizmu wiary, rozłoszczonego nawałą idei, które ma za obce – szczególnie tedy zakazane, jak gdyby samo solenne przestrzeganie zakazów rozwiązywało problem zła. W jednym ze swoich szkiców o pantomimie Barbara Łuszczzyńska tak sobie mimochodem rzuciła, że Światło wiekuiste wylaniało się z absolutnej czerni.

Gotyk? Gotyckie katedry zdobiono wizerunkami diabłów i scenami **ich** seksu: miały unaoczniać ohydę, lecz pozwoliły unaoczniać sobie to wszystko, uzmysławiać, może powtarzać w zaciszu alkowy małżeńskiej lub u dziwek; na obrazach Końca Świata widniały grzeszne uczynki potępionych obojga płci: rozpoznawalne portrety możnowładców świeckich oraz duchownych w infułach, z pastorałami bywały bezceremonialną publicystyką obwieszczającą, że pomimo słodkich dźwięków dwornej wysmakowanej muzyki na chrotę, na psalterium, fidele i flety, właśnie w wyniku ich (tu po nazwisku!) podłości i pychy szalały wojny oraz straszne epidemie, i zarosłymi zielskiem ulicami wyludnionego Paryża biegały wilki, sam papież Benedykt XIII przeżył, bo w Awinionie jedli z dworzanami szczury zamkowe.

Christopher Marlowe wołał, że „piekło nie ma granicy, nie jest także ograniczone do jakiegoś miejsca”².

Jednak, choć jeszcze u zarania XIX w. Goya podjął motyw sabatu i choć orzekł, iż w malarstwie nie obowiązują żadne reguły ani normy, podobna szczerość nie mieści się dzisiaj w dekoracji kościoła, nawet falliczność wież, integralna z muzyką dzwonów, została zapomniana. Stajemy raczej wobec dylematu: albo *sacrum*, albo zdesakralizowany świat. Rozum i wiara wydają się mnóstwu ludziom przeciwstawne po usamodzielnieniu się poszczególnych wartości, osobnych już, rozrosłych w języki wzajemnie nieprzetłumaczalne, antagonistyczne. Gdy więc Łuszczzyńska nawiązuje do wrażliwości Franciszka Villona, kleryka i zarazem rzezimieszka, Christophera Marlowe’a zaszytowanego w karczmie, Caravaggia-mordercy, Rosy-szydery, do Goi-rozpustnika darzącego strzelistą miłością damę otoczoną dworem karlic i karłów, to dotyka dawno zatraconej syntezy,

2 Ch. Marlowe, *Tragiczna historia Doktora Fausta*, przeł. J. Kydryński, Kraków 1982.

i tylko nadaje jej formę muzycznie współczesną. Operę tę zainspirowała legenda powtórzona we wczesnej powieści Olgi Tokarczuk *Dom dzienny, dom nocny*, gdzie okazała się najciekawszym z wątków. Jednak opowieść o świętej Wildze, ukrzyżowanej kobiecie z brodą, uderzająco podobnej do Jezusa, jaką czczono w górach śląskich długie wieki po kryjomu, w Portugalii zaś jako patronkę muzyki i śpiewu, u Tokarczuk pozostaje pergaminowa. Drugoplanowa, bezproblemowa.

O ile więc powieściopisarka wniosła do legendy trochę realizmu, skupiając się na archaizowaniu języka³ i na mnichu, który spisał ją, a zatem na Kościele, na beznadziei starań o beatyfikację, o tyle poetka skupiła się na świętej. Dokonała tego już bez samousprawiedliwień, jakie narzuca rozgraniczanie „prawdy” i „mitu”, że nie wspomnę o zbyt poważnym stosunku do rygorów funkcjonowania w literaturze, tj. osobistym ryzyku twórcy naruszającego konwencje. Autorka Świętej z brodą pisze piosenki. Współpracuje z zespołami rockowymi, wydała wiele płyt z rockowymi balladami. W balladzie i pieśni cud to cud, nie ma żadnych „może” ani „chyba”. Każda skrajność musi wystąpić jako oczywistość. Ta Villonowska swoboda ma głębszy sens. Powiedziałby Rilke: „piękno jest tylko przerażenia początkiem”⁴. Piękno jest przewodnikiem duszy na ścieżce strachu.

Góry śląskie? Po wojnie Wrocław dbał raczej o zideologizowany historyzm, powodujący, że wydarzenia zamierają w kolejne narodowo-matejkowskie obrazy. Niejako równolegle poezja – mamy wszak do czynienia z librettem-poematem – stosowała się do kanonu myślowego, także formalnie intelektualizującego każdą emocję, na skutek czego z poezji polskiej zrobiła się trudna do rozróżniania dla nieznawców zbita masa, odstraszała pohukiwaniami za mimowolny nawet odruch tworzenia inaczej. O Villonie zaś pisał jego tłumacz Boy-Żeleński: „...miast dawnej naiwnej, czasem niedołęznej gwary, lub miast kunsztownych formalnych łamańców wyrażających mdłe i konwencjonalne uczucia, mowa Villona płynie wprost z serca, w sercu, we krwi znajduje dla swych uczuć wyraz bezpośredniej prostoty: doskonały, kunsztowny, ale zupełnie innym, głębokim kunsztem”. To właśnie chcę uwypuklić, zestawiając Łuszczynską z Villonem. Także w jej wypadku nie ma mowy o uczuciach konwencjonalnych, a zwłaszcza mdłych. Łuszczynska po prostu zwęszyła w świętej Wildze – zakazanej świętej – swoje własne prawo, aby płynnie, nieważko przeskakiwać w górę i w dół po pięciolinii sakralności. U Tokarczuk materia powieści poświęconej zdawkowo „małej ojczyźnie” zagłusza to niesforne *ja* liryki, wycofuje je w... afektację. W natręctwo wycofywania.

3 Cała niemal polska beletrystyka historyczna ogranicza się do odtwarzania staropolszczyzny i muzealnie udokumentowanej „kultury materialnej”, w jaką sztucznie wprowadza się bądź to współczesny autorowi światopogląd, bądź „urealnia” już przez kronikarzy „obiektywnie” zarysowany typ postaci; stają się one, jak pisano już o Kraszewskim, po prostu typowe.

4 R. M. Rilke, *Elegie duinejskie* [w:] „Zeszyty Literackie” nr 110.

Cóż, dosłowność to właśnie zrozumienie. Cecha pieśniarstwa. Trzeci składnik wrażliwości metafizycznej⁵ – konkret – unika prawdo-podobieństwa, dostosowania do modeli. U Łuszczyńskiej, która czerpie z jarmarcznej, a nie witrażowej kultury Średniowiecza, z Huizingi i Le Goffa, który w pracy *Bóg Średniowiecza* badał, jak czciło ono jedynego Boga, ale w każdej warstwie społecznej był to zgoła inny Bóg, od prawdy ważniejsze jest życie, czysta witalność, i to zwłaszcza kiedy pobożność jarmarczna bywa skandalem i umywamy od niej ręce. Samo dotknięcie jej w *Domu dziennym...* zaniepokoiło kilku prawowiernych krytyków, podejrzewających tu pogaństwo, choć Tokarczuk dopiero na marginesie perypetii okolic Nowej Rudy zamieszcza legendę wyczytaną w tandetnej – co usilnie podkreślała – broszurce kupionej na straganie przykościelnym w Wambierzycach. Tokarczuk najpierw napisała wystylizowaną na patetycznie pokorny żywot prozę o Wildze, po czym pocięła ją na epizody, wymieszała z historią kilku podręcznikowo „toksycznych” urazów z dzieciństwa zakonnego skryby oraz kłopotliwych perypetii późniejszego życia intymnego, pod gust ewentualnego czytelnika dzisiaj, wyzwolonych LGBT, ale i pani Krysi z Wałbrzycha, wrywkowymi obrazkami żeglowania po Internecie, a jeszcze pogaduszkami z sąsiadką. Dodała wreszcie ewenty zgoła jak z dziennika GOPR-u względnie poradni zdrowia psychicznego oraz urokliwy przepis na muchomora sromotnika, bez wgłębiania się w sens *sromu*. Budowała w ten sposób dystans: do zabobonu, do chrześcijaństwa naiwnego, do erosa. Łuszczyńska tymczasem nadaje Wildze rangę samowystarczalnego tematu. Nie próbowała rozumnie objaśnić Wilgi. Odkrywała ją w samej sobie, świadomie ciskając w rockowy nurt uznawany za kulturowo-alternatywny.

Historia Wilgi-Kummernis-Wilgefortis opowiada więc o butnym baronie, który żył na zamku Schonau, znajdującym się dzisiaj w Czechach, na jednej z dostojnie zalesionych gór. Rycerz ten po powrocie z krucjaty postanowił oddać najmłodszą z córek towarzysowi broni. Odjeżdżając, w *męskiej rozpacz*y zostawił ją w klasztorze, gdzie odczuła jednak powołanie, by pozostać mniszką. I chociaż

Była różą klasztoru
Przez siostry umiłowana
I była lustrem Jezusa
I była lustrem dla Pana,

to drewniany klasztor nie da jej schronienia. Ojciec zjawi się oczywiście nocą, w czas burzy, zapowiedziany błyskawicą i zapachem siarki! Wilga

5 *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*, wyboru dokonał, przeł., wstępem opatrzył i oprac. Stanisław Barańczak, Warszawa 1982, s. 11.

ucieka więc, żyje na pustkowiu. Rozwścieczony, *bluźnierstwem opętany* ojciec nigdy by jej nie odszukał, gdyby po okolicy nie rozniosła się wieść o cudownych uzdrowieniach za sprawą pięknej pustelnicy, u której stóp nawet zimą rozkwitają narcyzy. Wypatrzyło ją zdradzieckie ptaszysko, które wykrakało sekret do ucha barona. Tak oto Wilgefortis zostaje schwytana i dostarczona na zamek. Jeżeli nie ulegnie, narzeczony weźmie ją gwałtem.

*Zdzieraj ten habit
Wnet cię ukorzę
Przedemną będziesz
Kłęzcę w pokorze
(...)
Jesteś zwierzyną
Jesteś już moja
Jesteś sprzedana
Jesteś skalana
Będę zapładniał.*

Ojciec na to zezwoli, bo kamrat z krucjaty *jest mu bliski jak miecz*. By ostatecznie skruszyć jej opór, rozkazuje zamknąć w celi. Mija czas. Kummernis pozostawiona samej sobie modli się gorąco o cud, jaki by pozwolił jej pozostać spragnioną oblubienicą Chrystusa. Jest to długa pieśń, *Pieśń miłości*, o wielu stancach, końcówką wokalną przechodzącą do *Pieśni oblicza*, lecz przerywana *Pieśnią orgii*. Orgia trwa za ścianą, po znamiennej Drugiej Stronie – właśnie dlatego jak najbardziej obecna w przestrzeni znaczeń, wraz z bluźnierczymi bachicznymi zawołaniami

*Noc rozkoszy się zaczyna
Chwała orgii, orgii chwała!
Tutaj nie ma Ciebie Boże!*

ponieważ chodzi o czas, kiedy, jak w Wielki Piątek, Bóg żyje, a zarazem umiera, i kiedy przypadająca na Boży stan śmierci liturgia nakazuje wypowiedzieć słowa: „Błogosławiony grzech, który daje nam takiego Zbawiciela!”. Gwałtowny wiersz Łuszczyńskiej sięgnął też w rewiry pulsującej erotyki „poślubienia Chrystusa”, w symbolizujące akt seksualny nasuwanie obrączki na palec tak pannie młodej, jak zakonniczcy. Zresztą obie są w wiankach. W nadziei wywołania ekstazy stosowano pokutne flagellacje, choćby w karmelu. Zygmunt Krasiński napisał głosem błagającej o to, o powtórzenie „tego”, Teresy z Ávili:

*...Żądam bez miary, miłuję bez granic –
Miłość i żądza nie zdały się na nic –
Zmienionam cała w jedno upragnienie (...)*

– jedno z najbardziej przejmujących wyznań miłosnych kobiety w naszej literaturze, ponadto włożoną w usta Teresie głosę św. Jana od Krzyża *que muero porque no muero*, refren u Krasińskiego. Ten jednak aspekt Tokarczuk unicestwiła motywem pospolitej pokątnej erotyki mnicha (motyw gejowski jest u nas nie-oswojony, kulturowo nieoczywisty, toteż oddany ze szczegółami, rozwleczony po książce, zdominował obraz i spłynął po zagubieniu symboliki tak płci odmiennych, jak i Androgyna, a brak mu autonomii i odwagi *Lubiewa* Michała Witkowskiego). Poza wszystkim zaś skryba nie przeżył powołania ani też wielkiej miłości, a tylko ulegał żądom innych, ojciec oddał go w mnichy – **on w przeciwieństwie do Wilgi ojcu się nie zbuntował**, opisując bunt Wilgi, korzysta ze schematów buntowniczo-miłosnych, zamiast autopsji z kulturowych przetworzeń stanu zakazanego, dostosowanych tak, aby zadowalały czytelnika – właśnie jak u Tokarczuk, przesuwającej wysokie C psychiki w sfery legendarne, sfery przypuszczeń. Łuszczynska natomiast wdycha wielki romantyzm, bliski wzlotom hiszpańskiego mistycznego baroku, ekscytuje jednak nie z pomocą mechanicznej ars amandi, lecz gra na zmyśle szóstym – genialnym chwilami rytmem clavinovy i perkusji do rapującej melorecytacji; tutaj seks przemawia radosną, niesforną, samego dziecięcia Eros energią rytmu:

*Pan w mojej piersi
Pan w moim łonie
On mym kochankiem
Dla niego płonę...*

Wildze nie chodzi o wygaszenie libido, o praktykowanie świętości poprzez uwiad jakichkolwiek sfer – i zwłaszcza **tej**, a przeciwnie – o wyostrenie zmysłowości. „Duszy pełnej słodkiej rozkoszy nie można zbrukać”⁶. Zbrukać naturalnością? Moralne oceny dzieła Boga, jakim jest natura, oblepiają nas jak larwy zdrowe liście⁷. Wierność Bogu to jak w zakochaniu: ten albo żaden. Tylko powołania wymuszone albo urojone wytworzyły posępny obraz aseksualnej „czystości” zakonnic. Przy czym scena orgii to dionizyjskie misterium. Wino pite aż do dna

6 W. Blake, *Małżeństwo nieba i piekła*, przekł. Franek Wygoda, Wrocław 2002, s. 41.

7 Tamże.

jest w porządku dionizyjskim eliksirem świętej wiedzy. Uczestnicy orgii kończą *Pieśń oblicza*, w jakiej ukazuje się Wilga brodata, niczym wizerunek Chrystusa:

Nie może to być...

Nie może to być...

To pewnie od wina omamy.

Bachanalia godzą sprzeczność omamu i objawienia, i tak pojmują je tantrycy, będący przecież ascetami. Łuszczczyńska nawiązała do dionizyjskiej treści wina w Kanie Galilejskiej i faktu, iż rytuał mszalny usytuował wino w momencie najświętszym. Napotykam dwie równoległe przemiany: wody w wino, po czym wina w Krew, czyniące z mszy Uctę, Ostatnią i weselną, oraz przemianę twarzy dziewczyny tak jak panny młodej w kobietę. Widząc tę jednię, pijani rozpustnicy uciekają, wołając:

Niech celi zasklepią się ściany

– celi jako błony dziewictwa, jako skarbcza, oczywiście z niedostępną już na zawsze przemienioną Wilgą jako skarbem. Bowiem kiedy zniecierpliwieni, rozdżani z szat rycerze burzą mur jej celi, aby ją zawlec do ołtarza czy raczej łoża, czy raczej plugawego barłogu, po drugiej stronie jednak znajdują potwora; Łuszczczyńska akcentuje ich doznanie właśnie „ohydy”. Wilga ma bowiem bujną, długą brodę. A na domiar wszystkiego jej twarz stała się wizerunkiem Chrystusa. Przemiana ma tak bezsprzeczne cechy profanacji, że rycerze, nie tylko zranieni w swej próżności, ale i przerażeni, uczepieni histerycznej prawowierności, są w szoku. Narzeczony odjeżdża. Ojciec zaś rozkazuje córkę ukrzyżować za przedrzeźnianie Zbawiciela. Brodatą dziewczynę zamęczono.

Ukrzyżowana kobieta jest tematem co najmniej od św. Agaty w II w., wystawianej na widok publiczny z rozciągniętymi ramionami, podczas gdy dwaj kaci długimi szczypcami ucinają jej piersi za odmowę poślubienia jakiegoś katańskiego możnowładcy (te piersi potem w legendzie ponownie odrosły i są aż do dzisiaj przedmiotem specyficznego kultu – *minni di virgini*), i św. Julii w V w. Widnieje tedy Julia na tryptyku Hieronima Boscha, aczkolwiek przystojnie odziana. Ba, w czerwień, jak panna młoda w papieskim Rzymie. Malował ją też Max, kopiował ten obraz Juliusz Kossak a Jan Styfi sporządził rycinę (dziwnym trafem drzeworytnik rytował także klasztor-egzorcyzm na Łysej Górze, a osobno podobne do śłęzańskich kamienne rzeźby łysogórskie). U stóp ukrzyżowanej Julii

(gibka talia i rozchylone uda) klęczy z głową na wysokości jej podołka zrozpaczony młodzieniec. Mógłby być narzeczonym Wilgi. Wildze Łuszczzyńska „przyporządkowała” rówieśnika ojca, tworząc kontrast wiekowy młodzieńca (Chrystusa) ze „staruchem”, jakiego kobiety dopuszczają do siebie tylko interesownie. Przy wymienionych świętych męczennicach Wilga-Kummernis-Wilgefortis wyglądałaby identycznie na dolnośląskich ołtarzach, tak gotyckich, jak barokowych, gdyby nie owa broda nieszczęsna. Dlatego *Pieśń bluźniercza II* pokazuje zbiegowisko ludu pod zamkiem Schonau:

*Jak małpę ciągnąć ją na sznurze
Na żebry pośłać
Niech zdycha wolno w norze szczurzej
Odmieńcza postać
(...)
Niech chodzi w jarzmie
Przy wozie z gnojem
Niechaj się żywi łajnem krowim
Niech żyje znojem
(...)
I fetor nienawiści
Nad zgrają się unosił
Na trąbach karły grały
A szatan wino nosił.*

Lecz jałowe są wysiłki szatana z szyderczym kielichem, odwodzącego prosty lud od zbawienia. Rzecz w tym, iż w okolicach Wambierzyc zaczął szerzyć się jej kult. I trwa, po swojemu, gdy

*Sarna tuli trawę
Niewinności czas
A dziewczyny zjawia
Płynie poprze las*

jak to oddał muzycznie Mrozek najpierw klarnetem i gitarą, wreszcie pełnią symfonii i na sam koniec wokalizą.

Zespolona z pustką sudecką Wilga? Z bez-ludziem? Napłynęła nowa fala etniczna, o innej sakralnej pamięci. Kresy, skąd ci nowi mieszkańcy przybyli, oswojone były z judaizmem mistycznym, z chasydami i ich poprzednikami, sabataistami

z Bliskiego Wschodu, głoszącymi surową ascezę przy jednoczesnej radości życia, odrzucającymi praktyki, bo od ortodoksji woleli trans. Możliwe, że znajdują ten dzisiejszy kult Wilgefortis, w jego przeczuwanej potencjalności, bliskim tego, co w judaizmie nosi nazwę emuna – od „wierzyć”, „zaufać” i „amen”; chodzi o ufność bezgraniczną, w cud, a nie „prawdy”, w jakich funkcjonuje instytucja kościoła czy kahału, ponieważ kiedy wojna, hajdamaczyzna, rugi i bandytyzm targają życiem. Gdy wszystko drży, wszelkie struktury muszą być giętkie, elastyczne jak budownictwo na obszarach częstych trzęsień ziemi. Tam każdy włącznie z dzieciarnią umie wznieść domek z bambusa, a kiedy zabrzęczą talerze w kredensie, ma wyćwiczony odruch wsuwania się pod stół. Jego obniżony tak, aż nie pozwala prosto wstać, pułap duchowy jest w zawalonym gmachu deską ocalenia.

Na marginesie dodam: to przedziwny most: judaistyczny, między Kresami a Sudetami.

Jak wspomniałam, pomimo licznych cudów księża na polecenie biskupów odcinali się od Świętej Wilgi, lud jednak stawiał jej kapliczki, jakie przetrwały w sudeckich ustroniach, i legenda żyje pomimo wszystkich przemian kulturowych regionu. Czas nazizmu to biała plama – czy wtedy natężyła się pobożność tutejsza? Czy ezoteryczne wątki nazizmu, o jakich próbował wszcząć rozmowę Marek Tabor, czerpały jakieś inspiracje ze specyficznie sudeckich pokładów i, nienawidząc Entartete Kunst, tworzyli naziści Entartete Mystik? U Tokarczuk znajdziemy jedynie przykłady tego, że instytucja Kościoła bywa problematyczna, że jest swoistym labiryntem **procedury**, o czym przekonał się jej kronikarz Paschalis, widząc życie klasztorne od środka. Wszakże są to egzemplarze krytyki wyrozumiałej i oględnej.

Łuszczyńska nie rozcieńczyła emuna na tym poziomie, poziomie zasadności kanonizacji, wyrozumiałości dla wiary. Ona wyśpiewuje emuna! Wspomaga ją muzyczność, wspomaga w stopniu bliskim oszołomienia. I są te dźwięki owocem doświadczenia współpracy Mrożka z Teatrem Pantomimy Henryka Tomaszewskiego oraz Teatrem Laboratorium, a także z tantrycznymi medytacjami; założył z Kazimierzem Cwynarem zespół Pańcza Tantra, gdzie na sitarze grał psychodelic, fusion i hard rocka, co w 1971 roku dało początek legendarnej formacji Nurt. Jedną z wyróżnionych wtedy kompozycji nosiła tytuł *Syn strachu*; w 1994 stworzył Mroźek muzykę do spektaklu TVP *Madame De Sade*. Sopran wtedy Anny Majkut jako Wilgi. Sambor Dudziński śpiewa partię Rycerza i gra na dętym instrumentach. Są basowe gitary, jest trąbka Artura Erenfelda (a w Polskim Radiu pod dyktando chóru Kacpra Opolskiego, z akordeonem Igora Cacoho, Polaka z Królewskiej Orkiestry Filharmonicznej w Londynie).

Bo ten osobliwy „pikardzki pacierz” (modlitwa niedowiarka-prześmiewcy; niedowiarek wszak, podobnie jak zwierzę, nie jest w stanie zgrzeszyć!)

oraz wyzwolenie z pólśrodków obliczonych na szerszy odbiór ożywiają triadę miłości, władzy i obłąd. Co czyni ta muzyka? Uprawnia tematy. Udobitnia nazywanie po imieniu. Wlewa się i wnika w ciało słuchacza, i omija nasze bariery czucia pewnych spraw. Dźwięki wiedzą swoje. Dają pogodną, acz groźną wolność.

Pobieżne streszczenie nie zdoła oddać uroku poematu, jakiego tak po prawdzie – powtórzę – nie było w Polsce. Jego mistyka obywatela się bez teologii, bez historyzmu, jest bowiem zmysłowy bez podniet, budowany z różnorodnych tonacji kolejnych pieśni, uwolniony od intelektualnych protez, jakie często stawały się namiastką piękna. Ma ponadto, przyznam, jestem urzeczona, zwykłe dla poezji ludu paradoksy i paralelizmy (ich wielką wagę dla filozofii rozważał Tymoteusz Karpowicz w *Poezji niemożliwej*). Stosuje wreszcie grę refrenami, sprawiając, że walka kobiety z ojcem i bezdusznym, mechanicznym autorytetem, bunt i odmienna od potocznych standardów wiara-emuna sytuują przywoływane wydarzenia w bardzo już aktualnych obszarach, poczynając od nietolerancji, a kończąc na prawie kobiety do kapłaństwa, gdyż i takie sugestie dadzą się odczytać w *Pieśni o kobiecie z brodą*. Łuszczczyńska dała głos samorodnym modulacjom legendy i zdaje się honorować obie walczące w poemacie strony konfliktu. Modny wątek jest wprawdzie oczywisty (o ile mi wiadomo, na wrocławskiej polonistyce jedna z feministycznych prac magisterskich podkpiwała, iż Wilgefortis podniesiona zostaje do rangi aż mężczyzny, a jej cnoty doczekały się nagrody w postaci otrzymania aż męskiego oblicza), ale trudno przeczyć, że legenda objawia także i androginiczny aspekt Chrystusa, aspekt cechujący na głębszym poziomie każde z wielkich bóstw, zawsze związanych z górami, z tym stanem ducha, który Łuszczczyńska nazwała *męską rozpaczą*.

Pamiętajmy, jesteśmy pośród gór. W Sudetach, tak jak w Taurusie, Libanie czy Andach, „wierzchołek jest miejscem świętym. Strzegą go przed ludźmi boskie moce. Ten, kto postawi na nim swą śmiertelną stopę, może ujrzeć bóstwo, a wówczas grozi mu ślepotą lub obłąd”⁸. Jeżeli męska płęć chrześcijańskiego Boga w oczach feministek ogranicza (albo i unieważnia) jego sakralną uniwersalność, jeśli doświadczenie rozpacz sprowadzałoby mężczyzn do *machos*, to warto pamiętać, że Duch Święty jest jednak zawsze Gołębicą, nie gołębiem, i tak jak pradawna kananejska bogini, Jahu, przedstawiana pod postacią gołębicę (semicka pisownia jej imienia była identyczna z pisownią imienia Najwyższego; na Peloponezie odpowiada Pandorze dawczyni Wszystkiego, tożsamej z Eurynome, Gają, Nyx, Reą, Artemidą i puszczami Arkadii, pełnymi zwierza), unosi się nad żeńskim żywiołem praoceanu jak mężczyzna nad kobietą podczas aktu. Wszakże jest przerażająco brutalna, niszczycielska.

8 J.L. Borges, *Błękitne tygrysy* [w:] *Pamięć Szekspira*, przekł. D. i A. Elbanowsky, Warszawa 2001.

Wilgefortis to żeński Chrystus. Wspomniane sudeckie figurki to właśnie krucyfiksy z ciałem kobiety. Nastąpiło zlanie się ciał Ukrzyżowanego z ukrzyżowaną zgoła jak w marzeniu Teresy z Ávili, nazywanej patronką wędrowców, która odnowiła mistykę góry (Karmel, czczonej już w neolicie a zapewne grubo wcześniej), wskrzesiła żeńską mistykę. Oddanie Jemu wyrazić należy już nie czasownikiem *carity*, ale *love*. Ba, Ávila to miasto w rejonie Gór Kastylijskich, ze 200 m wyżej od Zakopanego, z niekończącymi się widokami. Góry, warto mieć wciąż na uwadze, są ścieżkami wtajemniczenia, są wcielonym horyzontem. Jam jest Drogą. Jam jest Horyzontem. I mogą być wyklęte – Sudety na pewno, jeśli zaufać esejom Wojciecha Browarnego.

Bez złości ojca nie byłoby chwalebnej przemiany Wilgi... W opowieści o Wildze także on jest swoistym przetworzeniem Jezusa – w Chrystusa mrocznego. Grecy nazwaliby go może Chthoniose, Podziemnym, samo imię Chrystus, właśnie greckie, pochodzi od wyrazu „plama”, zawartego w wyrazie „pomazaniec”; plama stanowi **znak**. Niezatarty. To cień „wszystkiego”, jaki przeobraził się z matrycy obrazu w element definiujący jego głębię, a w niej przecucie blasku – pojęcia, które nie mogło być utożsamione ze światłem. Kwintesencją blasku jest kontrastu zbędność! Może tedy „męska rozpacz” Ojca pochodzi ze źródeł mroczniejszych niż wojna i niż ojcowska pycha. W poemacie wkracza ze sztandarem, który *naznaczył mu czarci młot* – właśnie o tę szczególną plamę mi chodzi. Mesjasz to ktoś, kto, wedle Izajasza, budzi odrazę, kto po śmierci wznosi się wcale nie do nieba, ale zstąpi do piekieł. Jako Zbawiciel ogarnia całą skalę grzechu, ogarnia ją od bieguna do bieguna, samym sobą. Wie o jej mrocznych zakątkach nie z drugiej ręki, nie z traktatów moralnych, lecz z autopsji.

Poemat Łuszczczyńskiej cały czas operuje blaskiem ciszy „naturalnej natury” i mrokiem hałaśliwego, ordynarnego człowieka, czy to pod postacią łośnicy, czy tyrana, człowieka pojętego jako figura antropocentrycznej, bezsilnej, umaszynowanej na domiar pobożności, istoty mnożącej się lub rezygnującej z tego na czyjeś polecenie („ojca” względnie aktualnie panującego obyczaju, jego odpowiednika), który to właśnie fakt, a nie sama biernie przyjęta doktryna moralna, perswadująca lubieżność, wygnał doświadczenia ekstazy miłosnej w zakres „zwykłego społeczeństwa”, od jakiego odsuwa się „powołany”. Podam, skoro legenda balansuje pomiędzy ciałem a Chrystusem, przykład pozornie odległy. W przestrzeni sakralnej kultury Zachodu zniknął taniec. Znikł, choć Słowo Boże zachęca doń, przez całe wieki przed Przenajświętszym Sakramentem tańczono, w dniu Bożego Ciała tańczono zaś okazale. W Sewilli, gdzie stworzono rodzaj świętego baletu, po zakazie przez arcybiskupa Juana de Palafox y Mendozę chór z dyrygentem

pojechał do Rzymu, odtańczył swój spektakl przed papieżem Eugeniuszem IV i otrzymał autoryzację na wykonywanie go nadal. Do dziś zresztą w klasztorach i kościołach tańczy się tam tzw. *farsas santas y piadosas* (obchody święte i pobożne). Granica ortodoksji i herezji jest zawsze wieloznaczna, bo z korowodów Bożego Ciała powstały pochody biczowników, danse macabre oraz tańce świętojańskie: to do nich najpodobniejsza jest Łuszczyńskiej *Kobieta z brodą*. Natomiast tajemniczość wigilii Bożego Ciała, czyli cielesności Zbawienia, da się zilustrować tym, jak faun – podczas spektakli na dworze księcia Urbino – na skrzydlatym koniu wjeżdżał na czele grupy rycerzy odzianych w zbroje; za nimi księżę i księżna Sewilli na dwóch osiołkach; dalej grupa postaci mitologicznych, Minerwa, Mars, Pan, Selene, Pluton, Prozerpina, otoczeni tańczącymi faunami, nimfami i trytonami, grającymi na fletach, piszczałkach i tamburynach; zamykał pierwszą część orszaku wóz olimpijski z Jowiszem, Junoną, Wenerą, Amorem i Parkami. W drugiej części maszerowali Żydzi tańczący dookoła Złotego Cielca, królowa Saba z dworem, Magowie podążający za gwiazdą na długiej tyczce, wreszcie postacie odtwarzające rzeź niewiniątek. Po nich wkraczały postacie z Nowego Testamentu, Jezus z krzyżem na plecach w towarzystwie Apostołów, tancerzy i żołdaków, Maryje i na końcu Śmierć z ogromnym sierpem, która przegania wszystkich. Trzonym uroczystości są procesje, a raczej tańce z tymi postaciami, z dźwiganymi figurami. Podaję te szczegóły, aby jaśniej ukazać pole, na jakim karczowana była spontaniczna pobożność. Teresę z Ávili nazywano Przekłątą Świętą. Gdyż nawet powołania zakonne miały pozostać tylko opuszczeniem jednej zorganizowanej społeczności na rzecz innej zorganizowanej społeczności. Odsunięcie się od dozwolonej sztampy ściągą wykluczenie.

Pieśń o kobiecie z brodą obnażyła, by tak rzec, że dobro i zło są smakiem – smakiem, ale wciąż jednego tylko owocu. Łuszczyńska tedy nie wnika, **dlaczego** właśnie tak, a nie inaczej potoczyły się dzieje Wilgi i jej kultu lub **dlaczego** właśnie tak je spisano. Ani czym jest sama ta idea. Czy podlegała zmianom? Ustami Ojca, lży Wilgę zawołaniem święta diabolic! – jak Mickiewicz w pierwotnej *Dziadów* wersji *kobieto, boski diable!* Chodzi właśnie o ten, akurat ten oksymoron. Jeszcze jedno: mit to **forma pieśni**, ale nie opowieść; jest **uczestniczeniem** w opowieści, istnieniem w sposób w ogóle niemożliwy, jeśli rozum kombinatoryczny próbuje odtwarzać aktualne pewniki zamiast obnażać ich „drugą twarz” – twarz „brodatą”.

Ale muzyka to także, po prostu, ciemność, negatyw istnienia. Inaczej odbiorca, stojąc wobec przedmiotu niepewnego, o mgliście rysowanych konturach, musiałby zapożyczać metody ze „wszystkich stron” – łamiąc obyczaj, aczkolwiek zalecił to naukom Foucault, ku mojej uldze.

Forma nokturnowego poematu śpiewanego, rozpisanego na chropowate

barytony i jedwabiste soprały, wydaje się najwłaściwszą dla utrzymania groteskowych kontrastów osobowości bohaterów. Tu dodam, że Tokarczuk również uprawniała tę hagiograficzną „niesprawiedliwość”, choć tylko na prawie niepokojącej maskotki z dewocyjnych Wambierzyc, niemniej przywołane przez Łuszczyńską bogactwo środków, w tym środków związanych z inscenizacją i oprawą muzyczną, wreszcie sam rock, tkwiący w kulturze faktycznej, duszonej przez kulturę masową, już wnosi własną energię, odwołuje się do słabo jeszcze uświadamianych ukierunkowań współczesnej wrażliwości.

Opowieść o brodatej Bożej Kochance wydaje się równie wyrazista, jak kiedy powstała. Bo mamy tu do czynienia z buntem mistyki trwającym może tyle co chrześcijaństwo. Albo wręcz od intelektualizmu klasycznej Grecji, czyli ujęcia myślenia intuicyjnego w rygory podporządkowane wymogom polis. Trwalszym zresztą niż kolejne kultury na Śląsku osadzone w trybie decyzji politycznych – chrześcijaństwo jest właśnie jedną z nich: jak Łuszczyńska nuciła wierszykiem do muzyki Mrożka:

*Mieszkają w nas duchy o duszach
Złamanych.*

Źródełko? Wojciech Pilecki w miesięczniku „Odra” 7-8 1993 nazwał Barbarę Łuszczyńską wrocławską Egerą. A mityczna Egera po śmierci ukochanego zrozpaczona udała się do świętego gaju Diany w Arycji, gdzie została zamieniona w źródło, Lustró Diany.

W niniejszej książeczce, na wystylizowanym przez Barbarę zdjęciu Jacka Wolfa, widzę plakat z 28. Festiwalu Jazz nad Odrą, ona sama siedzi nagusieńko w wannie, cała w pianie, na fujarce towarzysząc Piotrowi Baronowi z synkiem.

Po śladach

Ten tekst wyłania się jakby z mgły. Nie chcąc brnąć w literackie okресy zdaniowe, posłużę się najpierw prostymi faktami, z których wynika znacznie więcej niż to, czym naprawdę są. Powinienem zacząć od przemijania wszystkiego, ale i w tym wypadku za dużo byłoby powiedziane. Bo – generalnie – i ten temat został literacko wyczerpany. Zresztą – jak wiele innych: wschody i zachody słońca, księżyc w pełni, serce wyryte na pniu drzewa, rozdarta brzoza etc. A może za ciasno już jest w naszej wyobraźni symbolicznej, bo zanadto obciążyliśmy ją literaturą i sztuką? Jak pisał gdzieś w swych dziennikach Tołstoj: za słodkie słodycze, za dużo sosów i przypraw do dań, a od siebie dodajmy – za dużo literatury w literaturze. Język zadusił chyba siebie, więc może trzeba przejść przez terapię milczenia?

Naprawdę trzeba skupić się na tym, co jest. Ale wtedy wracają obrazy minionego czasu i miejsc, przez które się przechodziło. Tak było czy nie było? Tam czy gdzie indziej? Wtedy, a może nigdy? Gdzieś, a może nigdzie?

I być może właśnie dlatego, nagle pewnego dnia postanowiłem kupić opuszczoną boudę na stromym stoku w górach, po czeskiej stronie, na samym szczycie zbocza Doliny zwanej Lwią, i raz jeszcze rozważyć stary paradoks o aktorze w teatrze dnia powszedniego. Bo i ja nim dotąd byłem. Nawet prąd tu nie dociera, a coraz rzadziej ludzie. Bo powtarzają jak mantrę, że ciężko tu żyć – bo życia tu w gruncie rzeczy nie ma. Im mniej go tutaj, tym więcej szans na zbawienie – pomyślałem sobie i raz jeszcze z namaszczeniem dotknąłem suchej trawy na zboczu. Od kiedy tu rzeczywiście zamieszkałem, to zauważyłem, że zacząłem nie tylko mniej mówić, ale i mniej zwykłych ruchów robić na co dzień; wszystko dzieje się znacznie wolniej i jeszcze wolniej, ale za to świadom jestem każdego gestu i najdrobniejszego słowa. Dzieje się jakby samo i bez pośpiechu, ale za to według własnego rytmu. Moja uwaga – po kilku latach – wyostrzyła się tak bardzo, że mogę nią razić nawet diabła, który od razu cofnął się za wierzchołek góry, tam, gdzie jest więcej światła, głosów i innych działań, życiem dyktowanych. Tylko ich niepozorne odbłaski od czasu do czasu, niczym powidoki jakiegoś gigantycznego kalejdoskopu, przedostają się przez grań szczytu, ale zupełnie nie trafiają tutaj do mnie i do mojej boudy, lecz jakby unoszą się w górę, błędąc

i cichnąc, im wyżej wzlatują. Aż w końcu giną zupełnie. Widzę to nieraz z moich okien i rozumiem. Trochę to przypomina iskry unoszące się nocą nad ogniskiem, które najpierw gwałtownie strzelają w górę, ale potem gasną i nikną w ciemnościach. A więc piszę. I doskonale rozumiem to stare porzekadło, że kto się spieszy, ten grzeszy, a więc pielęgnuję z najwyższą uwagą każdy pojedynczy gest i potrafię wzruszyć się wirującym w powietrzu listkiem brzozy, który również niespiesznie opada. Krótko mówiąc, dochodzę do siebie na zboczu mojej Lwiej Doliny. Bo rzeczywiście grzeszyłem – brakiem uwagi.

A więc – co się zdarzyło?

Czas.

Nigdy nie przywiązywałem wagi do biografii – czyjejkolwiek, a własnej w szczególności. Mieć biografię – nie mieć biografii: jakie to życiem wypełnione określenia! Co to w ogóle tak naprawdę znaczy? Co to znaczy zwłaszcza wtedy, kiedy całe życie biorę w nawias, ale przewijam je jak film oglądany od końca. I to także wydaje się banalne, i wstydzę się tych słów. Nie stać mnie na nic innego?

Prawda jest taka, że przyszedłem na świat w czasie zaćmienia księżyca i to jest ta daleka przyczyna mojego uwięzienia w życiu. Oznacza to bowiem, że od samego początku skazany zostałem na świat księżycowy, a potem okazało się, że to samo życie. Spróbuję to nieco rozwinąć, chociaż wątpię, abym tak od razu został zrozumiany. Otóż życie zrodzone w takich warunkach musiało być od samego zarania formą drzemki, albowiem nie widziało słońca. I wraz z upływem czasu zrozumiałem, że to nie tylko moja przypadłość, ale również i innych żyjących – wszystkich życiem utrudzonych. Ponadto od razu wrzucony zostałem w określone nastawienia i formy, z których zbudowałem własną osobowość, czyli siebie. Krótko mówiąc – żyłem. A czy byłem?

Kiedyś też przypadkowo napisałem, że nie mam biografii, bo już wtedy byłem zdziwiony banalnością i powszedniością kolejnych przypadków swojego życia, układających się w całkiem powszechne i standardowe matryce. A nawet powiedziałbym, że było w tym chyba więcej tej powszechności niż jednostkowości, czyli raczej mnie samego było tu jakby mniej. Nic zatem dziwnego, że udowadniałem sam przed sobą, że właśnie nie mam biografii, to znaczy tej naprawdę mojej biografii.

A co dopiero teraz? Co teraz mogę powiedzieć? Chciałbym jeszcze głębiej zrozumieć sens tej biografii. A także zrozumieć te intuicje, które w niejasny sposób już wtedy wypowiadałem, nie zawsze będąc świadom tego, co wokół mnie się

dzieje. Jak to w życiu. Otóż teraz wydaje mi się, że takie epatowanie tą swoją własną biografią, albo też na odwrót: to demonstracyjne ujawnianie jej braku – otóż to wszystko to są tylko dwie strony tego samego medalu, a mianowicie tak właśnie działa określona forma życiowego nastawienia i zachowania. Bo w końcu życiem wypełniam każdą biografią, innymi słowy tkam ją i przędę formami mojego własnego umysłu, z którym jestem od dłuższego czasu na bakier. Ale też i z drugiej strony naprawdę rozumiem tę potrzebę posiadania biografii, albowiem każdy wszak chce być kimś, czyli jednostką – i to jedyną, i niepowtarzalną. To jest gdzieś zakodowane w naszej gatunkowej pamięci, gdzieś bardzo głęboko – nawet nie na poziomie podświadomości, ale może nawet w jakiejś pamięci komórkowej, czyli wręcz na poziomie fizjologii. I takie właśnie oczekiwanie wpisane jest organicznie w naszą egzystencję, a nie pochodzi z życia. Innymi słowy – po prostu jest. A nawet powiedzieć trzeba chyba więcej: jest tym bardziej wzmacniane, im bardziej samo życie odciska na nas swoje piętno!

Mamy tu zatem niejako dwa poziomy mówienia o własnej biografii: ten prawdziwy, wynikający tylko z tego, że jestem, czyli utwierdzający moją indywidualność, oraz ten życiowy, wynikający z tego, że chcę być ponadto określoną osobowością, odróżniającą się na tle innych osobowości. Niemniej jednak oba motywowane są w gruncie rzeczy tym samym, czyli chęcią bycia kimś osobnym i w istocie niepowtarzalnym. O ile jednak w przypadku poszukiwania własnej indywidualności działanie takie jest autentyczne i organiczne, o tyle w przypadku osobowości mówić możemy co najwyżej o pamięci tamtego szukania – pamięci, którą przechowuje w swych formach życie.

Po pierwsze zatem: mówimy o biografii rozumianej jako prosta suma zdarzeń, które wprawdzie układają się w jakiś porządek, to jednak niekoniecznie są naniżane na jakąkolwiek wartość nadrzędną, którą najchętniej nazwalibyśmy sensem. Tu biografię tylko mam, ale nie posiadam jej. Ale co to znaczy? Otóż tutaj to raczej ta biografia ma mnie, ponieważ moją własną jednostkowość, która wszak z samej swej istoty jest niepowtarzalna i wyjątkowa, odczytuję w planie życia, czyli innymi słowy – wyrażam ją i manifestuję jego formami. Mówiąc krótko, to, co jednostkowe, wyrażam i sprowadzam do tego, co ogólne, niepowtarzalne do powtarzalnego i wreszcie – kto wie, czy to nie jest najważniejsze – to, co być może w ogóle niewyraźne, do wyraźnego, bo tylko tak możliwe jest do ujawnienia dla innych (w planie życia właśnie). A zatem wprawdzie jest jakaś moja biografia, ale nie ma mnie w niej.

Po drugie – mogę też mówić o biografii jako próbie i sposobie na odnalezienie siebie takim, jakim jestem naprawdę. A jestem przecież w sposób oczywisty. I o to mi właśnie tutaj i teraz chodzi, kiedy mówię o biografii. Oznacza

to konsekwentnie dalej nie tylko doświadczenie w pełni samego istnienia, ale także odnalezienie własnego miejsca w całym porządku bytu. Czyli posiadanie go! Powiedzieć także muszę więcej i mocniej: chodzi o zadowolenie w istnieniu, a to wszak samo w sobie jest tylko jedyne i niepowtarzalne, bo moje. Miejsce, w którym jestem u siebie. Albowiem miejsca pobytu, jak to w życiu, zmieniają się, bo bywamy tu i tam, ale w moim miejscu jestem zawsze – i u siebie. I jest także tak, i tak też mówimy, że życie jest wędrówką – właśnie w poszukiwaniu miejsca własnego. A czy je osiągamy? I nawet jeśli rzeczywiście tak się dzieje, to zazwyczaj nic o tym nie możemy powiedzieć. Bo w nim spoczywamy. I może właśnie wtedy i tylko wtedy rzeczywiście posiadam biografię, a nie biografia mnie. Wtedy też jestem naprawdę sobą. A czy może chodzić o cokolwiek innego, równie ważnego? Kto nie widzi całej tej krzyczącej retoryczności tego pytania, ten dawno stracił siebie, bo żyje tylko.

Jaki zatem jest sens pisanie biografii? Niewątpliwie piszemy ją przede wszystkim dla życia. I w ten oto sposób powielamy i reprodukowujemy jego formy powiększając tylko gwar i rozgardiasz, pogrążając się w chaosie. Czego bowiem szukamy i czego oczekujemy? Jakich wyjaśnień wymagamy? Kogo chcemy usprawiedliwić i dlaczego? Niechaj dzieło tłumaczy się samo, a nie przez jego interpretacje!

*Milcz i niech twojej złotej tajemnicy
Szukają w tobie łupieżcy-górnicy.
Niech się wokoło rozszołają żądze,
Ty milcz, zamknięte duszy miej wrzeciędze¹.*

Cóż ja w tym życiu robiłem? Otóż zostawiałem tylko po sobie ślady i być może nigdy nie ułożą się one w jakąś drogę, tym bardziej że zapewne nikt nie będzie po nich kroczył.

Czyż zatem można dziwić się temu, że już od dłuższego czasu zacząłem gorączkowo palić wszystkie swoje zdjęcia i pracowicie usuwać kolejne pliki z kolejnych baz danych? Ale wszak moja praca nie ma końca! Celowo zapominam, by odzyskać własną pamięć, cierpliwie odejmuję, by zyskać jak najwięcej – jakże to wszystko trudno zrozumieć, żyjąc tylko.

Czy ja w ten sposób samego siebie unieważniam? – Ależ wprost przeciwnie: ja siebie samego coraz dokładniejszą i coraz bardziej ostrą linią zakreślam i rysuję w całym porządku całego bytu. A może w ten właśnie sposób osłabiam i poddaję w wątpliwość własną osobowość? – Raczej jest na odwrót: szukam

1 Lao Tse, *Tao*, tłum. Jan Lemański, Warszawa 1921, XVII, s. 23.

swojej mocy tam, gdzie ona jest naprawdę, a nie tam, gdzie wydaje się tylko, że bywa zazwyczaj, to znaczy w samym życiu. I wreszcie widzę to wyraźniej niż do tej pory, że w tej nowej przestrzeni i w tym świeżym powietrzu, którym zacząłem oddychać, nie obowiązują wielkie kwantyfikatory i bezosobowe powszechniki, lecz jednostkowe i indywidualne ziarna, nad którymi pochylam się z czułością, wcześniej mi nieznaną. I gotów jestem nieoczekiwanie wzruszyć się do łez nad ułamaną gałązką kwitnącej jabłoni i zanurzyć się w rwącym potoku górskim bez żadnego powodu i bez szczególnego celu. I co najważniejsze nie powstanie z tego żaden wiersz ani żaden obraz artystyczny.

Tymczasem życie podsuwa nam co i rusz całkowicie inne rozumowania w tych kwestiach. Ale i one ze swej istoty zawieszone są w próżni, albowiem wynikają z naszej wyobraźni. Jednocześnie napędzają niczym wysoko procentowym paliwem wszelkie kategorie umysłu, który plecie te swoje trzy po trzy i cierpliwie dzień po dniu tworzy kolejne pokłady form życia, tka jego materię coraz gęstsza i gęstsza. I przykrywają one kolejnymi skorupami samo istnienie, spychając je do podziemi. Bo tak jest w tym życiu wygodniej i bezpieczniej. I tego też wymaga biografia – moja, twoja, ich, nasza, wasza. Każdego z nas. Czyli nic. Nic tworzy coś i wymaga czegoś. Biografia bowiem jest brakiem, a ja, ja jestem. Innymi słowy – w tym najogólniejszym planie całego bytu biografia jest miejscem pustym, chmurą, która płynie przez to życie, zbierając z jego objawów i wchłaniając w siebie różne i przypadkowe najczęściej artefakty, refleksy, formy. I doprawdy wystarczy tylko, że zerwie się mocniejszy wiatr, i już rozwiewa ją na wszystkie cztery strony świata, i odsłania się czyste niebo. I spadają te poszczególne elementy każdej takiej biografii jak proch umarłych zrzucany z wysoka na niezmierzono-fale morza. Co wtedy pozostaje? Tylko to przezroczyste powietrze, drgające pustką nad jakąś całkowicie nie do ogarnięcia przestrzenią.

Tyłu lat trzeba było i tyłu przeraźliwych doświadczeń, aby na samym końcu dojść do tej oczywistej prawdy, która dopiero rozpoczyna wszystko.

Nie, to nie jest żaden autoportret, nie, nie, ja to ktoś inny. Przekrzywione lustro na ścianie nie kłamie każdego dnia. A więc raz jeszcze się upewniam: ja nie mam biografii, ja nie mam życiorysu, ja nie mam przeszłości. A jeśli nawet one są – w sensie szeregu jakichś zdarzeń i faktów – to i tak nie ma to żadnego znaczenia. A takiego znaczenia za wszelką cenę szukamy, albowiem chcemy zrozumieć to, co jest teraz.

Dlatego też w życiu przydajemy minionym zdarzeniom i faktom sensy i wartości, których same z siebie nie miały – ponieważ płyną one z dzisiejszej perspektywy. A perspektywa ta podszyta jest w gruncie rzeczy właśnie brakiem sensu, bo tylko wtedy zadajemy pytanie o sens. Szuka ten, kto zgubił, a nie ten, kto ma.

A zatem grzebanie w przeszłości jest przejawem braku sensu, jakże często pod-
szytego skrycie chowaną rozpaczą.

W takim razie czy moje życie ma sens i jest szczęśliwe? Niestety nie wiem, bo
ciągle żyję i nie mogę na to wszystko spojrzeć z zewnątrz, a to jest warunek sine
qua non poprawnego rozumowania w tym wypadku. Biografia, życiorys, prze-
szłość, szukanie tzw. korzeni swoich to zatem tylko samooszukiwanie się. A co
nie jest w tym wypadku samooszukiwaniem się? „W tym wypadku” – to znaczy,
kiedy zadajemy pytanie o sens tego, co jest teraz. Otóż jest tylko jedna droga:
stanąć twarzą w twarz z istnieniem samym, czyli zdobyć się na gest odrzucenia
form życia. Bo te zaiste pętają swobodny umysł i zniewalają wolną myśl poprzez
narzucanie gotowych form życiowych. Jednym słowem trzeba na własną rękę
szukać, a to znaczy – trzeba przyjąć rolę jedyną właściwą, czyli bycia w pełni sobą.
I ja właśnie jako taki powtarzam: nie mam biografii, nie mam przeszłości, nie
mam życiorysu, nie mam korzeni. Jestem dokładnie znikąd. I jestem nikim. Nie
odczuwam nawet potrzeby szukania tego wszystkiego i nie rozumiem, skąd taka
potrzeba powstaje. Dziwi mnie nieustannie poszukiwanie własnej biografii w lo-
sach przodków, grzebanie w przeszłości własnych antenatów, grzebanie pośród
tych wszystkich zgredów², bo w istotnym sensie nic z tego nie wynika poza mar-
ną satysfakcją odsłonięcia faktu czy zdarzenia wcześniej nieznanego. I co dalej?
Czy to zmieni mój los, wpłynie na kolejne wydarzenia w moim życiu? Rzadko
to się zdarza, a prawdopodobieństwo czegoś takiego jest bliskie zeru. Powta-
rzam: to wszystko stanowi tylko samo ułudę i jest efektem poczucia braku sensu.
Zostałem urodzony i jestem, i jest to fakt niczym niezasłużony. W pewnym sen-
sie rodzaj daru, całkiem nieoczekiwanego i niespodziewanego. Zająłem zatem
miejsce w porządku całego istnienia – moje małe jestem stało się iskrą wielkiej
Tajemnicy Istnienia. Jakkolwiek by to patetycznie nie zabrzmiało, tak właśnie
jest. Bo jest naprawdę. Moje życie, jak życie w ogóle, było nieustannym bądź
to dławieniem tej iskiarki poprzez przykrywanie jej coraz to nowymi formami
życia, całkiem wymyślonymi przeze mnie lub przez innych, bądź też okresowym
odkrywaniem jej, dmuchaniem w nią, ale ogień nigdy nie zapłonął, bo nie stałem
się ani świętym, ani też nie doznałem żadnego oświecenia. Tą iskrą właśnie!
A teraz stawiam pytanie, spoglądając w to szare od brudu lustro: co zrobiłem,
aby nie zdławić i nie zafałszować poprzez przyjęcie rozmaitych ról i form, tego
niewątpliwie fundamentalnego odczucia, że jestem? Jak korzystałem z tego daru,
czy go należycie doceniłem i uszanowałem, czy naprawdę zrobiłem wszystko,
aby go rozwijać, pielęgnować, czy nie popełniłem w jakimś momencie tego cał-
kowicie podstawowego grzechu wtedy, kiedy zwróciłem się przeciwko niemu?

2 Zgred – pogardliwie: stary człowiek.

Co widzę, spoglądając na siebie?

Brzmi to jak spowiedź z życia, którego wszak nie było, a zatem i tej spowiedzi być nie może. I przy końcu tego ostatniego akapitu powinienem siebie samego nazwać tylko przepisującym słowa i zdań, które zasłyszałem, bo to nie ja jestem ich autorem, albowiem przyfrunęły do mnie nie wiadomo skąd, skądś z daleka. I muszę powtórzyć bynajmniej nie od siebie samego te słowa: „Nie pytaj, kto powiedział, ale patrz, co powiedział”³. Nie mogę zatem podpisać się pod żadnymi słowami tu zanotowanymi. A w tych zdaniach, które z nich się układają, nie można szukać żadnego piękna, lecz co najwyżej pożytku.

Miejsce.

Nigdy nie przywiązywałem też zbytnej wagi do czegoś, co zwykło się określać jako *genius loci*. Próbuję z obłoku, który okleja czas życia, wydobywać jakieś miejsca – choćby ułamkowe, fragmentaryczne, wcale niepretendujące do bycia jakąś całością. Te bowiem są najczęściej wymyślone.

A jednak w przypadku Wrocławia lat 70. i częściowo 80. określenie *genius loci* nasuwa się samo – bo jak inaczej wytłumaczyć niebywałą eksplozję twórczych dokonań w tamtym okresie, które, co ciekawe, łączyły zarówno filozofów, logików i matematyków, jak i artystów.

Tamten czas mogę opisać z dwóch perspektyw: tej ściśle osobistej, bo wszak wtedy – jak powiada klasyk – wszystko się zaczynało: i filozofia, i literatura, i teatr; i tej, uogólnionej, gdzie chciałoby się wręcz znaleźć jakiś wspólny mianownik dla tych obszarów, które raczej wszystko dzieli, a nie łączy. A w tym wypadku: sztukę i logikę.

Opowieść pierwsza musi być chaotyczna, bo przecież prowadzona jest z perspektywy jej uczestnika, a więc widać wyraźnie szczegóły, konkrety, miejsca, a nawet emocje – i dlatego jest bardziej prawdziwa. Wszak życiem jest dyktowana. Druga zaś wprawdzie zaciera zdarzenia, a nawet fakty, ale za to powinna zmierzać ku pewnym uogólnieniom – ale te wydają się być wprost niemożliwe. Bo tak naprawdę trzeba by znaleźć jakieś kryterium tych porównań, jakąś wielkość trzecią, która łączy i zarazem przeciwstawia sobie artystyczny konkret oraz abstrakcyjny koncept. Zadanie to wydaje się być niewykonalne.

³ Tomasz à Kempis, *O naśladowaniu Chrystusa*, tłum. Anna Kamieńska, IW PAX, Warszawa 1989, s. 27 (I, V, 1), rękopis 5855-5861, Biblioteka Królewska w Brukseli.

A przecież wtedy nic nie wiedziałem o konceptualizmie i sztuce pojęciowej, natomiast pilnie uczęszczałem na zajęcia nieodżałowanej pani prof. M. Kokoszyńskiej-Lutman z podstaw logiki i metodologii. To wtedy po raz pierwszy usłyszałem o nowym pojęciu prawdy w definicji Alfreda Tarskiego, ale jej pełne konsekwencje ściśle filozoficzne mogłem zgłębić dopiero później. Nawiasem mówiąc, towarzyszą mi do tej pory w moich kolejnych książkach. To wtedy także po raz pierwszy dowiedziałem się o mereologii i ontologii Leśniewskiego, gdzie szczególnie usiłowałem badać znaczenie spójki „jest”. Mówiąc przewrotnie, nieco lecząc własne kompleksy naukowe – bo przecież tak, jak nawet na najmniejszą górę, trzeba jednak wspinać się, tak też wiedzy nie da się zdobyć, wykonując jakiś efektowny skok, lecz cierpliwie pokonując kolejne szczyble. Wiedza nie jest kwestią nagłego oświecenia, lecz przede wszystkim codziennego trudu studiowania i w tym sensie nie może być świętem, lecz dniem powszednim, drogą, a nie celebracją celu. Wtedy tego jeszcze nie rozumiałem.

Niewątpliwie nazwiskiem, które w pewnym sensie było usytuowane naprzeciw spadkobierczyni szkoły lwowskiej, było... Jarosław Ładosz – profesor filozofii, skądinąd dobrze wykształcony również logik, ale zdeklarowany marksista, sytuujący się nawet na lewo wobec ówczesnych ideologów partyjnych. Bardzo szybko doszło do mojego konfliktu z nim – aczkolwiek nawet słowo „konflikt” jest tu użyte na wyrost, bo kim mógł wówczas być dwudziestokilkuletni chłopak wobec doświadczonego akademika? W każdym razie, kiedy – jako dyrektor Instytutu Filozofii – napisał o mnie, iż nie „przezwyciężyłem powrotu do Kanta” (tę opinię mam w szufladzie do dziś), to natychmiast zostało to odebrane przez przeciwników Ładosza jako komplement i tak – niczym bohater filmu Henryka Kluby, ów sławetny Piszczyk – trafiłem jako „młody i nader zdolny” do Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Ale to już inna historia.

W każdym razie atmosfera strychu przy ul. Szewskiej, na którym faktycznie gnieździła się katedra logiki i do którego wchodziło się po szerokich drewnianych schodach, niewątpliwie ukształtowała moje myślenie. Zwłaszcza elegancja wywodu logicznego wspomnianej już Prof. M. Kokoszyńskiej-Lutman jest ze mną do dziś. Czy jest jej blisko również do poczucia estetyki, do której ostatecznie trafiłem po latach? A może właśnie tu trzeba szukać łatwego wejścia w nurt sztuki pojęciowej, a potem konceptualnej, gdzie sam przedmiot schodził na plan dalszy, bo był jeno pretekstem do myślowej spekulacji. I to sama myśl stawiała się tu bohaterem, a nie jej obiektywny przedmiot. Może dlatego też nie przeżyłem nigdy szoku tej

naprawdę rewolucyjnej zmiany w sztuce: od jej przedmiotowego rozumienia do ujęcia czysto pojęciowego, jako bytu konceptualnego.

Ale przecież bazą była jednak zawsze literatura i filologia, której podstawy zawdzięczam wrocławskiej polonistyce. A był to okres jej wielkości, znaczony wielkimi nazwiskami prof. prof. Czesława Hernasa, Mieczysława Klimowicza, Jana Trzynadłowskiego... Także językoznawcy – od gramatyki opisowej po staropolszczyznę ze sławetnym językiem staro-cerkiewno-słowiańskim. Który wzbudzał w nas lęk. Z perspektywy Wrocławia wielkie zdumienie wzbudzała we mnie polonistyka warszawska, która jawiła się jako co najwyżej szlachetna krytyka literacka, ale nie jako dyscyplina naukowa. I kiedy po jednym gościnnym tam wykładzie dałem temu wyraz w prywatnym gronie, moje zdumienie okazało się niemalże ostatnim w tamtych murach. Aczkolwiek jakieś sympatie osobowe i to przetrwały, bo przecież na co dzień współpracowałem z „Twórczością”, „Miesięcznikiem Literackim”, „Kulturą”...

Gmachowi przy pl. Nankiera zawdzięczam zatem naprawdę wiele. Tam po prostu uczyłem się literatury: jej rozumienia, czytania i tworzenia. Nigdy nie zapomnę wykładu prof. Hernasa na temat „Rytmów albo rymów polskich” Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, którego tematem uczynił był profesor tylko jeden wers jednego z sonetów: *Pokój – szczęśliwość, ale bojowanie nasz byt powszedni*. Do jego analizy wykorzystał nawet ciąg skojarzeń z psychoanalizy, co było wówczas dla mnie szokiem poznawczym, ale jakże płodnym. Dość powiedzieć, że kilkakrotnie wracałem do tej interpretacji, pisząc o... podstawach metafizyki.

Nie wszystko jednak działo się pomiędzy ulicą Szewską a placem Nankiera. Był Teatr Laboratorium, gdzie kilkakrotnie widziałem Ciemnego z niezapomnianym Cieślakiem, była Pantomima Tomaszewskiego z Oleksym, który od początku był inny na tle całego zespołu, oraz ze zjawiskową Danutą Kisiel, w której nie sposób było się nie zakochać. Wreszcie nasze kontestowanie Uniwersytetu Poszukiwań Grotowskiego aktorskimi powrotami do Meyerholda. Po latach však przyznał to w prywatnej rozmowie Włodek Staniewski w Gardzienicach. I tak można by ciągnąć dalej, ale przecież nie chodzi tylko o wspomnienia, ale o *badanie* miejsca – jak to wszystko działało w nas samych i jak pracuje mimo wszystko nadal. To są te istotne pytania. Nie pytam zatem historycznie: czym był wówczas artystyczny i naukowy Wrocław, ale pytam – jakim był doświadczeniem. A to znaczy – jak pracuje dziś: w myśleniu, czuciu, wrażliwości.

Problem.

Zawsze więc jest ten sam problem: czy miejsce i czas tworzą ludzi, czy też ludzie swój czas i miejsce. To również dotyczy Wrocławia tamtego okresu. Bez względu na to, jak był ważny dla kogokolwiek.

A zatem *zbadajmy*, jak w jednym doświadczeniu mogły się zjednoczyć logika ze sztuką (pojęciową) – myśl czysta ze zmysłowym obrazem. Bo wydaje się, takie przeciwstawieni tracą tu sens.

Mówić raczej powinniśmy o urzeczywistnieniu estetyki i sztuki, czyli o przekroczeniu jej granic ku... samemu Istnieniu. Rzeczywiście wtedy znika pojęcie sztuki i pojęcie estetyki (przynajmniej w starym sensie, czyli stricte przedmiotowym). Motorem napędowym tak pojmowanej sfery estetyczności jest negacja negacji – ciągłe przekraczanie raz zakreślonych granic. To ma umożliwić powrót człowieka do samego siebie.

- A. Dziełem sztuki nie jest to, co jest, lecz to, co się staje. Badać dzieło sztuki to przede wszystkim badać, jak ono nam się zjawia, w jakim jest stosunku do nas – a nie badać wyłącznie to, co jest statyczne. Jest to usytuowanie obserwatora i przedmiotu obserwowanego w tym samym planie Istnienia. Pytanie o sztukę staje się tu sposobem tworzenia sztuki przez tego, kto pyta. Przekraczanie bytu sztuki ku byciu sztuką jest zaiste nowym programem estetycznym. Analiza sztuki w sytuacji estetycznej wpływała dotąd z samej sztuki – teraz zaś idzie o to, aby odnosiła się do samego Istnienia.
- B. Założeniem takiej nowej estetyki (bez estetyki?) jest nie tylko rezygnacja z analiz metasfery działania artystycznego i uczestnictwo w samym procesie twórczym, ale także *reprezentacja* Istnienia. Oznacza to także ciągłą demaskację form artystycznych właśnie **jako** artystycznych i mówienie poza językiem artystycznym.

- C. Dzieło sztuki wtedy jest dziełem takiej nowej estetyki, kiedy „nie rzuca się w oczy”, gdy nie

jest tematem „estetycznego” zainteresowania. Im bardziej dzieło jest dziełem, im bardziej funkcjonuje **jako** dzieło, tym bardziej wymyka się jego istotny sens i misja, którą ma do spełnienia. I w tym sensie – paradoksalnie – im bardziej dzieło jest dziełem, czyli im bardziej jest widoczne jako przejaw sztuki, tym mniej je widać – w jego funkcji, którą winno spełniać w sposób istotny. Dlatego w sztuce ludowej lub w sztuce ludów prymitywnych przez to, że dzieł sztuki „nie widać”,

są one naprawdę – bo wynikają z Istnienia⁴. Chodzi teraz o to, aby przywrócić – na nowym poziomie – ten naturalny porządek funkcjonowania sztuki, a to z kolei chyba jednak związane jest ze stanem całego społeczeństwa.

Czy naprawdę do tego prowadzi mariaż logiki i sztuki? Czyli ostatecznie wszystko rozplywa się w istnieniu czystym – takie byłoby doświadczenie sztuki pojęciowej, które paradoksalnie nie chce być sztuką. Pozostają obrazy i wrażenia, emocje i doświadczenie – a wszystkie razem... pozapojęciowe. Jeśli to pozostało po tamtym Wrocławiu, to nie tylko stało się czymś wielkim dla *doświadczenia* sztuki, ale i jest zadaniem na przyszłość. Strzępy z przeszłości, które są wyzwaniem dla przyszłości.

Zakończenie, czyli *pendante* do biografii: proch, marność i cisza wokół niczego.

Tym razem około południa nagle przestało wiać wokół mojej boudy. Po prostu ucichło tak, jak się zaczęło. Zacichła taka cisza na całym świecie jak mgła za oknem zamglonym, która była inną postacią tej samej ciszy wyciszonej wiatrem. Wyczyszczony był cały pejzaż aż do nieskazitelnej białości śniegu. Ścichł i zapadł się w ramy obrazu, wciśniętego w okno tej boudy.

Nawet ten mój zabłąkany listek brzozy, o którym tyle pisałem i który tyle razy wyśmiewano, nie pojawił się. Po prostu było nic, które nagle przerwało jego lot. I to samo nic siebie samo wywróciło do góry nogami, niczym wąż uroboros gryzący własny ogon. Co było? Zamiast *prochu* Koheleta olbrzymie zwały śniegu, które zaokrągliły wszelkie formy, aż w końcu poddały w wątpliwość wszystko, co skrywają. A wokół nich nawet cisza była taka, że pozbawiła powietrze wszelkiego echa, bo nic od niczego nie mogło się odbić.

Nastał spokój większy od tego pokoju, którego dusza moja nie zaznała nigdy. Tak, jakby go ktoś ukradł, a potem przez cały czas kłamał, że mimo to nic się nie stało. Bo jest niby spokojnie. A w istocie nic.

Dlatego właśnie pojawiłem się tu na stoku tej góry, skryty bezpiecznie za wysoką granią. Wyjrzałem dziś przez okno i stwierdziłem, że od tej ciszy wysmuklonej drzewami nawet kolory wszelkie zbladły i okazało się, że są tylko odcieniami bieli. Tej jednej bieli. Śnieżnej. I wymglonej. A więc po wszelkim głosie i odgłosie zanikł również kolor.

4 Por. Bogusław Jasiński, *Granice malarstwa, granice sztuki* [w:] „Twórczość” nr 5, 2009, s. 125-129.

Zaokrągliły się kształty i formy, aż w końcu przeszły w jedną linię bez początku i końca. Jak owa wypłaszczona prosta na ekranie urządzenia, które bada, czy jeszcze żyję. Nawet nie było sensu dalej w nią wnikać, więc całkowicie skupiłem swoją uwagę na jednym jej punkcie. I to tak bardzo, że cały obraz oprawiony w ramę mojego okna jakby zakrzywił się, następnie zwinął i zapadł się w sobie.

Można nawet powiedzieć, że wchłonął mnie ten pejzaż, w którym naprawdę nic już nie było. Zresztą dalej już nie ma większego sensu mówić o tym, co było, mogło być lub co będzie, albowiem wszystko zaczęło się dziać teraz. W takiej jednej chwili bez początku i bez końca, ani tutaj, ani tam, ale również ani szybko, ani też wolno. Krótko mówiąc, *zaproszyło* Koheletem w jakieś ZA – poza grania wielkiej góry, za którą skryła się moja bouda i ja w niej, z marznącymi dłońmi przy ogniu w moim piecyku na drewno. I wciągnęła mnie ta chwila jak lej potężnego wiru w wodnej kipieli.

Pochłonięty zatem zostałem przez obraz ZA, w głębokiej koncentracji i w zapadnięciu się w siebie. Na zewnątrz nic już nie było, ale nie czułem żadnej izolacji. Wprost przeciwnie: to było wielkie zjednoczenie i całkowite przyłgnięcie do tej rzeczywistości, bo umysł mój został oczyszczony. Bo to było też – właśnie tutaj – samo centrum świata i realny pokój. Diabeł odleciał na skrzydłach tam, gdzie był zawsze – do Szeolu. Ale ja znalazłem się dokładnie po drugiej stronie. Czyli gdzie?

W gruncie rzeczy dopiero tutaj rozpoczyna się właściwy problem: nie tylko tego, co jest, a czego nie ma, a więc owej mgły tego dnia, wypełnionego po brzegi śniegiem. Znowu pochylałem się nad tym swoim piecykiem, pod płytą którego wesoło buzuje ogień. Skupiam się na tym, by nie uciekać w teoremat, lecz w doświadczenie, którego jestem świadkiem. Zdaję więc wiernie relację. Nie z tego, co było, i nie z tego, co będzie, lecz wyłącznie z tego, co jest.

Wczoraj skończyłem czytać Koheleta. Jego świat zmieciony został przez ów *proch i marność*, a ja staram się badać, co dalej. Znowu wracam do kwestii prawdy, bo od niej wiele się zaczyna. To, co było tylko *głupstwem* dla życia, niespodziewanie otwiera drzwi do nader realnej rzeczywistości, a to, co do tej pory za prawdę było uważane, staje się głupstwem w oczach bytu jako takiego. I dalej ze zdziwieniem odkrywam, jak brzydota zamienia się w piękno, przypadek w konieczność, a przyszłość w to, co już kiedyś się wydarzyło. Będę o tym pisał i powtarzał bez ustanku. A nawet miłość wyrasta z prawdy bytu, a nie z formy, którą jej

nadaje wyobraźnia i rozum. Przetawiam zegar świata, a wskazówka kompasu rozcina wszystko, co skryte było do tej pory za zasłoną. Krótka mówiąc, kurtyna opada, spektakl umiera, a ja notuję poruszenie na widowni, chociaż nikt już nie gra. I znowu nad głowami zakręcił koło powietrzny pył *prochu i marności*, opadł na wszystkich tak, jak ten śnieg za moim oknem. Pewien prorok o imieniu Jeremiasz w tym miejscu właśnie wstał z krzesła i wykrzyknął: „A, a, aa...” i było to najwznioślejsze opisanie Boga, którego ujrzał. Ale i to było mi zaoszczędzone, bo zakopany byłem w śniegu po sam dach mojej boudy i ciągle jeszcze notowałem w pośpiechu.

Marny proch okazuje się zatem bardziej rzeczywisty niż najtwardsza stal, która *przebiegła* i w proch się obróciła. Zachłanność człowieka, a potem marnotrawienie tego, co osiągnął – wieczne koło pożądania i zaspokajania: oto nasze życie. I ostatecznie... zapomnienie, które po równo mgłą spada na wszystkich i na wszystkich.

Niespodziewanie, bo bez jakiegokolwiek podmuchu wiatru, przylgnął do szyby okna w mojej boudzie maleńki płatek śniegu. Najpierw wydawało się, że rozprysł się na kawałki, ale już po chwili wczepił się w moje okno niby pazurami i tak zastygł. Z nieskończenie małego, bo najmniejszego z małych, płatka, nagle rozrósł się w całą konstelację gwiazd, powiązanych między sobą trajektoriami światła. Doskonały – po raz kolejny już wymknęło mi się pod palce na klawiaturze. *Perfect*. Dwie nieskończoności bowiem podały w ten sposób sobie dłonie. Nie było więc już ani małego, ani wielkiego. Ale również tego, co wcześniej, i tego, co później mogło się zdarzyć. Okruszek śniegu wybuchł. Jest tylko jedno – Jest.



Jan Sawka, 1981?, fot. Czesław Czapliński



Jan Sawka, *Plakietka reklamowa kabaretu OJCÓW*, 1968, linoryt

Ballada o pierwszym wydrukowanym plakacie Janka Sawki

*...Jerunie, jerunie, jerunie, jerunie... tyn ślonski bluesss...
Jak ida na szychta, jak ida na szychta, to śpiywum se śpiywum,
to śpiywum se śpiywum.... Tyn ślonski blues!!!*

Melodia na chwilę ucichła. Potem mała przerwa na zaczerpnięcie haustem potężnej porcji świeżego powietrza i po chwili ponownie, jeszcze donośniej zabrzmiał w duecie refren:

Dwa dupne psy, a jedyn bioły drugi blank biołyyyy...

Echo niosło śpiew po pustej, o trzeciej w nocy, śródmiejskiej ulicy. Po chwili na trzecim piętrze w kilku oknach zapaliło się światło. Był to znak, że w starej kamienicy, mieszczącej zarządzaną przez SPÓŁDZIELNIĘ INWALIDÓW słynną w okolicy knajpę CYGANERIA, ktoś się zbudził i już nie śpi.

Jeszcze tylko kilkanaście schodów i znaleźliśmy się w wynajmowanym przez Janka mieszkaniu. Janek ściągnął z góry szafy rulon linoleum i z marszu zabrał się do pracy. Wycinał kolejne komiksowe obrazki powstającego plakatu KABARETU OJCÓW. Projekt miał formę tablicy ogłoszeniowej z przyczepionymi do niej gazetowymi wycinkami reklam, obrazków, fragmentów artykułów i tym podobnego gazetowego śmiecia. Pracowaliśmy ostro. Janek sypał pomysłami i przenosił je na linoleum, a ja popijałem przyniesione ze sobą z nocnego sklepu wino. Szybko sprowokowałem odwieczną dyskusję na temat nazwy mieszczącej się na parterze pod nami knajpy. Rozumiem RATUSZOWA, MONOPOL, GRAND, STAROMIEJSKA i tym podobne, lecz taka mordownia i CYGANERIA...? Chyba nazwę zawdzięczała kiepskiemu wyglądowi oraz podobnej kondycji finansowej bywalców. Janek twierdził, że inspiracją tego poetyckiego miana byli pałacykowi bywalcy, rezydenci położonego naprzeciw studenckiego klubu PAŁACYK. Oni mieli kojarzyć się z bohemą. Nazwa była raczej odzwierciedleniem kombinacji rachunkowych przy kasowaniu klientów przez kelnera Czesia. Dopiero nad ranem ustaliliśmy wspólnie, że

dotyczy gramatury podawanych potraw. Nędza – zabrzmiało znad linoleum. – Cyganią, jak to w cyganerii. Porcje takie, że zawsze jadła było za mało.

Ulica Kościuszki. Raczej nie najokazalsza i nie bardzo reprezentacyjna. Ni to arteria, ni to ciąg handlowy, corso lub deptak. Ot, zwykła ulica z tym, że w centrum miasta. A centrum to zawsze centrum. Ulica tnie plac Kościuszki, wrocławski odpowiednik „stołecznego” placu Konstytucji, na dwa równe kawałki. W odległości rzutu beretem od placu mieści się uroczą budowlą przypominającą kształtem bajkowy zameczek, taki poprawny niemiecki Disneyland. Dla wielu pokoleń wrocławskich studentów to był „rodzinny dom”, kościół, uniwersytet, restauracja z danciem, kawiarnia, bar, galeria, artystyczna piwnica, klub towarzyski, estrada, teatr, sypialnia, czasem wewnątrz, ale latem też i na zewnątrz. Wszystko w jednym. Taki był wówczas studencki klub ZSP PAŁACYK.

Tu odbywały się najważniejsze w mieście artystyczne wydarzenia i wszelkiej maści festiwale. Panująca atmosfera wolności i artystycznej swobody oraz klubowa społeczność, czyli plastycy, kabareciarze, muzycy jazzowi, piosenkarze, poeci, kształtowały gust i wyobraźnię każdego, kto tam się znalazł. Był nim i Jaś Sawka, wówczas młody student pierwszego roku architektury. Szybko zadomowił się w klubie i dla jego społeczności tworzył rysunki i liczne grafiki użytkowe.

Janek z „pałacowym” KABARETEM OJCÓW przyjaźnił się od chwili jego powstania w 1967 roku. Przychodził na próby, które zamieniały się często w popijawy. Któryś razem, cierpiący na chroniczny brak gotówki, załapał się i pojechał z naszą trupą w charakterze „technicznego”.

Był autorem pierwszego w historii kabaretu... jakby to nazwać? chyba graficznego żartu. A historia jego powstania była następująca. Trzeba zacząć od tego, że w tamtych czasach wszystkie drukarnie, wydawnictwa, gazety, redakcje obejmowało swym monopolem państwo. Nie było zakładów prywatnych, a każda próba druku, nawet banalnego zaproszenia na wesele, wymagała nie tylko bzdurnych oświadczeń i obficie uzasadnianych podań, ale i zgody cenzury. Ta zawsze przyglądała się bacznie treści tych paru tradycyjnych, zamieszczanych na niewielkim kartoniku słów. Państwo chciało mieć kontrolę nad każdą, nawet w niewielkiej ilości powielaną informacją. Interesowało się rysunkiem, fotografią, znakiem graficznym, w zasadzie każdym plastycznym dziełem. Przestrzegano tego skrupulatnie. Pilnując doktryny, zdaniem czujnych urzędników każdy obrazek, hasło, napis, jego nieskontrolowana treść mogła wzbudzić w społeczeństwie ciekawość, podważyć ustrój i tym sposobem zaszkodzić socjalistycznej ojczyźnie.

Taka sytuacja wpływała na stosowanie przez artystów wybranych technik pozwalających na seryjne utrwalanie bez państwowej ingerencji owoców swej pracy. Królował linoryt, a tu szata poligraficzna była raczej uboga. Dla każdego

artysty profesjonalne wydrukowanie swej pracy było nobilitacją, tak jak dla zespołu posiadanie takiego drukowanego plakatu.

Wspomnę niewielkie dziełko Sawki i historię jego powstania. W KABARECIE OJCÓW próbowaliśmy numer, w którym na scenie pojawiał się aktor (Leszek Niedzielski) z walizką oklejoną hotelowymi naklejkami. Przy rączce dyndały bagażowe, lotnicze zawieszki. Wiadomo było, że człowiek z taką walizką to światowiec, a może nawet globtroter. Artysta rozglądał się wkoło, od czasu do czasu łapał na widownię i po chwili z rzeczoney walizki wyjmował różne przedmioty: partyjną gazetę (TRYBUNA LUDU), radio tranzystorowe SZAROTKA, onuce, kaszkiet, konserwę rybną PAPRYKARZ SZCZECIŃSKI i inne podobne szpeje, a na końcu wyciągał z walizki modną wówczas aktówkę, taką typową urzędniczą teczkę. Prosił kogoś z widowni o krzesło, które stawiał na środku sceny, kładł na nim aktówkę i mówił: dzisiaj to mają państwo wyjątkowe szczęście, bo w cenie jednego biletu wystawiamy dwie rzeczy: kabaret i jednoaktówkę.

Do walizki – rekwizytu potrzebne były takie hotelowe naklejki, więc pomyśleliśmy, że mogą też spełniać rolę kabaretowych reklamówek. Dwa słowa i Sawka rychło wywiązał się z zamówienia, i przyniósł niewielki plakacik, niby naklejkę. Linorytowa odbitka nie przypominała hotelowej naklejki, a jej dość duży format pasował do naszej ukochanej walizki jak pięść do nosa. Kolejną, bardziej już wymiarową i bardziej podobną do typowych naklejek zmajstrował nam GETAS (Eugeniusz GET Stankiewicz).

Powrócę do plakatu, pierwszego dzieła Sawki wydrukowanego w prawdziwej, znanej, wrocławskiej drukarni (żadna tam jak dotąd domowa prasa). Jak już wcześniej pisałem, plakat miał formę tablicy z przypinanymi do niej wycinankami przedwojennych reklam gazetowych, intrygujących obrazków i luźnych fragmentów artykułów. Był nie tylko do oglądania czy informowania, ale i do czytania. Całość stanowiła rodzaj komiksu. Kilka takich plakatów umieszczonych ściśle obok siebie w poziomie lub pionie robiło dodatkowe wrażenie, bo stanowiło ścianę oklejoną starymi gazetami.

Janek z zapałem rył w linoleum coraz to nowe fragmenty. Wyłoniła się znana główka Wissarionowicza Dżugaszwilięgo (pseudo Koba), czyli Józefa Stalina. Nieopodal świecił łysiną niejaki Nikita Chruszczow. Nad nimi znajdował się Leonid Breżniew. Kolejny element to dziesięciozłotowa moneta, którą zdobił konterfekt Władysława WIESŁAWA Gomułki. Był też kolektyw matrosów z pancernika POTIOMKIN, rosyjski generał oraz gromada rewolucjonistów zmierzająca autobilem na szturm PAŁACU ZIMOWEGO.

Udające reklamy obrazki miały celem kamuflażu dorobione głupawe napisy w języku angielskim. Zdawałem sobie sprawę, że z każdą chwilą ruchu

Sawkowego ryłka możliwość oficjalnego wydania drukiem naszego plakatu oddala się. W tym momencie nie martwiliśmy się tym za bardzo, bo jeszcze nie było na jego realizację pieniędzy.

Plakat ujrzał świat dopiero z końcem 1969 roku. W tym roku kabaret OJCÓW opuścił Marek Gołębiowski i „za chlebem” emigrował do Warszawy. Szybko znalazł go w klubie i kabarecie STODOŁA, gdzie zakotwiczył na wiele lat. Powstała u OJCÓW wyrwę załatał Andrzej Leparski, mim i kierownik Studenckiego Teatru Pantomimy GEST. Istniejący od 1961 roku teatr miał nie tylko rewelacyjne, nagradzane na wystawach plakaty autorstwa renomowanych plastyków, ale i profesjonalnie opracowane foldery czy przyzwoicie jak na tamten czas drukowane programy. Andrzej znalazł dojsie i Rada Okręgowa wrocławskiego Zrzeszenia Studentów Polskich sfinansowała (nie wiedząc co i nie znając projektu) pracę Sawki.

Znanymi sobie drogami dotarliśmy do miejsca w którym można było bez posiadanych zezwoleń, nie całkiem oficjalnie, powiedzmy, że „konspiracyjnie”, czyli na tak zwaną lewiznę, to i owo wydrukować. Była to Spółdzielnia Pracy INTRODRUK. Majster łypnął na przyniesiony przez artystę materiał do druku i po wypitej wspólnie drugiej półlitrowce JARZĘBIAKU powiedział: *...Nie da rady... tego nie da rady wydrukować.* Kiedy pojawiła się następna butelka, wystękał: *...może da się radę?*

Zagryzł ogórkiem i po długiej chwili kontynuował: *...Zrobimy druk w dwóch częściach. Obrazki z góry – linoryt, a dół, napisy – cynkografia. I razem na maszynie połączymy w całość.*

Oczywiście byliśmy odpowiednio zabezpieczeni i po tych słowach natychmiast pojawiła się kolejna flaszką, lecz majster powiedział: *...dosyć... mam jeszcze kupę roboty. Ale... ale... panie artysta, weź pan ten malunek do domu i przerób chociaż trochę tym czerwonym facjaty, tak żeby nie rzucali się za bardzo w oczy. Inaczej nic z tego nie będzie. Nie wydrukuję... Jutro mam drugą zmianę, to mi pan już odrobione podrzuci, a ja złożę i na maszynę...*

Wróciliśmy do pracowni. Trudna rada i Janek musiał trefne facjatki przemodelować. Więc dorył, czyli dorobił: Breżniewowi – okulary, Stalinowi – brodę i zarost, Chruszczowowi – okulary, Gomułce – zarost, wąsy i ciemne okulary. Stali się przez to mniej do siebie podobni, ale plakat został wydrukowany. I tu się kończy historia pierwszego, drukiem wydanego plakatu Jana Sawki.

P.S. Plakat KABARETU OJCÓW prezentowany pod postacią ściany złożonej z wielu egzemplarzy zwracał uwagę i spełniał swe przeznaczenie. Dotąd takich plakatów i w takiej ekspozycji nie było. Został w środowisku zauważony (plakat i twórca) i zaraz jak lawina potoczyły się zamówienia nie tylko pałacowych grup i zespołów. Były to: zespół rockowy ELAR, w którym grało i śpiewało

dwóch kolegów Janka z roku, AD LIBITUM – grupa Wojtka Popkiewicza, jazzband SAMI SWOI czy kabaret Janusza Potężnego POD JAWORAMI. Sawka współpracował jako rysownik, ilustrator z wrocławskimi instytucjami i gazetami. Będąc już w Warszawie, opracował, pełne swoich grafik, fenomenalne, edytorsko unikatowe wydanie wrocławskich KONFRONTACJI (1974 rok). Był to wydrukowany pod red. Lothara Herbsta suplement literacki do czasopisma. Stanowił manifest grupy młodych poetów, prozaików i krytyków oraz fotografików. Ukazało się 750 egzemplarzy na papierze koloru sepia.

Zgłosił się też wrocławski sztandarowy teatr studencki KALAMBUR. Sawka tworzył dla niego plakaty, a także programy do spektakli: W RYTMIE SŁOŃCA, PODPALACZE, HAJER. Rozwijala się współpraca z zawodowymi instytucjami kultury. Między innymi dla IMPARTU ilustrował rysunkami folder oraz projektował plakaty dla wówczas już byłego kabaretu studenckiego ELITA. Tworzył grafiki, które znajdują się w wielu prywatnych domach, zwłaszcza jego wrocławskich znajomych. Robił ekslibrisy, a dla przyjaciół ślubne zaproszenia. Szybko stawał się artystą znanym i cenionym oraz rozpoznawalnym.

Maciej Kosiński, w latach 1968 – 1972 szef Komisji Kultury Rady Okręgowej ZSP we Wrocławiu, dobrze pamięta Janka i PAŁACYK. ZSP było wtedy jedynym mecenasem studenckich twórców.

...Niezwykle szybko w tym środowisku się odnalazł i to od razu na topie. Jak inni nie terminował. Poza artystycznymi walorami jego niezaprzeczalną cechą była solidna, punktualna i szybka realizacja zamawianych prac, a przy tym pewność wykonania, a nie jak u wielu innych, nabzdyczonych artystów czasowa czy estetyczna obsuwa. Takie rzeczy miały w środowisku niemałe znaczenie i zawsze się je szanowało. Kiedy przeniósłem się do Warszawy coś mu tam zlecałem i często, przy różnych okazjach spotykaliśmy się... (Kosiński później pracował w TVP, by następnie zostać niezależnym producentem telewizyjnym).

A tak przy okazji. Oboje z Jankiem urodziliśmy się w 1946 roku i pochodzimy z tego samego miasta Zabrze.

GŁOSA DO WSPOMNIENIŃ O PEWNYM WROCŁAWIANINIE...

JAN SAWKA. Jaki był? Zabrakłoby kolorów tęczy, którymi można by malować charakterystyczną Sawkową sylwetę. Będą w niej barwy białe i czarne, czasem szare, pastelowe, ale też jaskrawe, przez które zawsze będzie się wyrażać przebijająca postać – Jana Sawki – wielkiego artysty. Brat łąta, bankietowy wesołek, jajcarz, grafik, ilustrator, scenograf, rysownik, „komiksiarz”, malarz, rzeźbiarz, projektant, architekt, autor krytycznych tekstów, a zwłaszcza niepoprawny

WIZJONER, wizjoner z dużej litery. Jeszcze nie istnieje nazwa, która jednym słowem określiłaby jego niezwykłą postać.

Jak barwny może być życiorys, jeżeli składają się na niego liczne wędrówki po Polsce, a później Europie i świecie. Nieustanna gonitwa za pracą, chlebem, uznaniem i sławą. Niekończące się artystyczne przygody i ciągłe z życiem zmagania. Było ich tyle, że położyłyby na obie łopatki niejednego. Janek starał się wszystko bagatelizować albo nie zauważać, by potem móc je koloryzować i mitologizować. Lubił opowiadać zarówno przeżyte, jak i zmyślane przez siebie zdarzenia. Przekazywał je w możliwie najatrakcyjniejszej formie, bo wiedział, że słuchacze tego oczekują od niego. Zawsze lepiej się słucha opowieści o faktycznych, a nawet zmyślonych sukcesach kumpla, rodaka, Polaka... bo w niej, nawet małej części takich sukcesów mieści się także hipotetyczny, własny sukces.

Sawka nie zastanawiał się, że przy okazji mijał się z prawdą. Przecież tworzył legendę. Nie życiorys, lecz legendę. Własną. Dobrze wiedział, że nie tylko samymi dziełami, twórczością, lecz także opowieściami o okolicznościach, w jakich one powstały, wzbudzi emocje. Długo szukał miejsca, gdzie by zapoczątkowaną w Zabrzu, a sfinalizowaną w USA życiową odyseję na zawsze zakotwiczyć. Osiadł, pracował i umarł w High Falls w stanie Nowy Jork.

JAN SAWKA urodził się 10 grudnia 1946 roku w Zabrzu, zmarł 9 sierpnia 2012 roku w High Falls w stanie Nowy Jork. W 1964 roku rozpoczął studia na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej, uwieńczył dyplomem architekta w 1972 roku. Studiował także malarstwo i grafikę na wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych. Będąc jeszcze studentem, tworzył dla słynnych, dzisiaj już kultowych, rockowych i jazzowych zespołów, teatrów, kabaretów oraz festiwali swoje pierwsze plakaty, foldery i liczne biuletyny.

Prace artysty są eksponowane w ponad 70 światowych muzeach sztuki. Ponad 90 indywidualnych wystaw w światowych galeriach, z czego ponad 60 w USA to imponujący dorobek tego znakomitego artysty. W słynnej z udziału prezydenta Ronalda Reagana i plejady amerykańskich gwiazd audycji amerykańskiej telewizji LET POLAND BE POLAND (30.01.1982) poświęconej SOLIDARNOŚCI prezentowano prace Sawki. Był laureatem licznych nagród, autorem słynnej scenografii (52 banery tworzące horyzont monumentalnej sceny), trasy koncertowej kultowego zespołu GRATEFUL DEAD.

A wszystko zaczęło się we Wrocławiu...

(Fragmenty książki WROCŁAWSKIE I INNE SPRAWKI JANKA SAWKI przygotowywanej przez autora dla wydawnictwa C2 Grzegorza Mieczkowskiego. Nagła śmierć wydawcy oraz likwidacja oficyny wstrzymała pracę nad wydaniem książki).

Hedonista kreatywny

(albo „laboratorium” życia

Andrzeja Paluchiewicza)

Jest w wieku Micka Jaggera. Czuje z nim powinowactwo duchowe. Niecierpliwie – cierpliwie, wielofunkcyjny uparciuch pracuje twórczo dwadzieścia cztery godziny na dobę. Sypia w dziwnych pozycjach o dziwnych porach. Wolność ducha i ciała łączy z potrzebą eksperymentalnego życia, co owocuje bezprecedensowym pięknem zachowań, tolerancji i empatią.

Uchylmy okno na kilka wspomnień:

Jesteśmy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Andrzej ze swoją osobowością dobrze trafił w czas, kiedy do Wrocławia na Ziemiach Odzyskanych przemieszczały się wszelkiej maści przedstawiciele kultur z obu Ameryk, Afryki, Indii, Australii, Europy Zachodniej, przetykane uduchowionymi Japończykami. To międzynarodowe towarzystwo bijące w oczy kolorami, totemiczną biżuterią, kosmicznymi fryzurami – bezstresowo tańczyło, śpiewało, chodziło na szczydach w przedziwnych szatach, połykało ognie i Bóg wie co jeszcze. Ulice Rynku i Starego Miasta drżały w posadach, mieszały się języki. W powietrzu dominował zapach marihuany, o którym to zapachu milicja obywatelska nie miała zielonego pojęcia.

A działało się to w czasach galopującej „komuny”. Władze partyjne traktowały miasto jako wizytówkę „światowości” systemu. „Przecież ta znienawidzona Partia nie jest taka zła!” – mówili twardogłowi politycy z ówczesnego ministerstwa kultury. „Patrzcie, artyści ZGNIŁEGO ZACHODU! Mamy wolność. U nas możecie robić, co wam się żywnie podoba. Czujcie się, jak u siebie, a nawet lepiej. Nie przejmujcie się brakiem papieru toaletowego. Nasza „Trybuna Ludu” jest bardzo higroskopijna, przyjeżdżajcie!” No i przyjeżdżali. Głównie na kolejne festiwale Teatru Otwartego. Ten ruchomy fotoplastykon na zawsze napiętnował Wrocław wolnością i różnorodnością myśli i sztuki. Barwni osobnicy chodzili z magnetofonami kasetowymi. Słychać było muzykę Dylana, Hendrixa, Rolling Stones czy sowieckich dysydentów – Okudźawy i Wysockiego. Indianie zaklinali duchy, Afrykanerzy słuchali naszego, ulicznego jazzu. Grupy teatralne dniami i nocami czarowały publiczność i zwykłych



Andrzej Paluchiewicz, *Autoportret*, 1969 (czyt. s. 198)

przechodniów w różnych miejscach Starego Miasta, w salach teatralnych, na dworcach, nawet w barach mlecznych. Tym totalnym teatrem żyli wszyscy; od babci klozetowej – po obleśnego partyjniaka czy pracownika Służby Bezpieczeństwa, którzy, aby nie rzucać się w oczy, potajemnie ściągali portki syntetycznych, ohydnie brązowych garniturów i zamieniali je na dżinsy z PEWEXU.

W naszej wrocławskiej ufolandii mieliśmy takie teatralne okna na świat jak Teatr Pantomimy Henryka Tomaszewskiego (jego „następca” pod tym imieniem istnieje do dzisiaj), a nade wszystko Teatr Laboratorium Jerzego Grotowskiego. „Grot” miał pomysł na wyprowadzenie „komuny” w pole. Ponieważ Teatr Laboratorium zdobył, jeżdżąc po świecie, międzynarodową sławę, szef stworzył u siebie, w słynnej sali w Ratuszu, a potem w Brzezince, światowe warsztaty teatralne, na których wymieniano się doświadczeniami, także parateatralnymi. Grotowski zaś z zespołem wykładali swoje credo Teatru „ubogiego”, otwartego dla wszystkich. Gościli więc w nim artyści Czarni, Żółci, Biali; byli to aktorzy dramatyczni, mimowie, muzycy, cyrkowcy, performerzy, filozofowie, teoretycy teatru, magowie, czarodzieje, szamani. To był prawdziwy tygiel akceptacji i inspiracji. Który nie sposób było kontrolować.

„Paluch” krążył między tymi energiami i czuł się jak ryba w wodzie. Najpierw młodzieńcza pasja zaprowadziła go do studenckiej teatralnej legendy – funkcjonującego pod patronatem Politechniki Wrocławskiej – Teatru Pantomimy „Gest”, gdzie przez pięć lat brał udział w kilku realizacjach tego zespołu. Aż postanowił zostać „dramatycznym”. Grotowski w jego Laboratorium słynął bowiem z wdrażania niekonwencjonalnej metody aktorskiej. W tej kwestii było to absolutnym ewenementem na skalę światową. Andrzej eksperymenty „Grota” bardzo pociągały. W 1966 roku postanowił zgłosić się na karkołomne eliminacje. Z powodzeniem. W Laboratorium został jedenaście lat, pracując tam jako aktor i nadworny fotograf zespołu. Miał absolutną akceptację „Grota” dla jego działalności. Powstało wtedy słynne, unikatowe archiwum fotograficzne półprywatnych i prywatnych ujęć. Kilka tysięcy zdjęć. W owym czasie teatry takie jak „Gest”, Pantomima Tomaszewskiego czy teatr „Grota” były we Wrocławiu antidotum na obowiązujące socrealistyczne myślenie. Istniały w kontrze do konformistycznych postaw działaczy taplających się w ponurej biurokracji. I chyba z uwagi na swą elitarność nie miały większych kłopotów politycznych. Andrzej po próbach w teatrze polował z aparatem, zatrzymując w kadrze to niesforne wówczas miasto. Oglądaliśmy kloszardów, samotników, nieudaczników, dziwadła wszelakie z ptakami na ramionach; rejestrował siermiężność miejsc i siermiężność dusz, zaćmione i zasikane podwórka, czasami z przechodzącą piękną dziewczyną. Niezwykłe są z tamtych czasów czarno-białe portrety wrocławskich prostytutek, które go uwielbiały i traktowały jak

brata. Jednocześnie cały czas fotografował Laboratorium w różnych energiach. W 1971 roku „Paluch” – lub, jak wtedy nazywali go hippisujący przyjaciele – „Jezus” – wraz z kilkunastoma osobami wyjechał do wsi Brzezinka, gdzie Grotowski z zespołem i stażystami rozpoczął pracę w spartańskich warunkach. Zdjęcia z Brzezinki to absolut ducha i ciała Teatru Laboratorium wpisany w historię najbardziej twórczych czasów zespołu w okresie wrocławskim, w PRL-u. Także nieoceniona pamiątka po przedwcześnie zmarłych filarach zespołu. Andrzej jest obecnie jednym z nielicznych żyjących artystów tego zespołu. Czynnym fotograficznie i merytorycznie; a więc kopalnią wiedzy tajemnej o Teatrze „Grotu”.

A wszystko zaczęło się nieopodal Rynku. Na drugim piętrze kamienicy przy małej uliczce Ofiar Oświęcimskich z wejściem od podwórza, gdzie ma swoje mieszkanie „Paluch”, do Laboratorium miał tylko kilkadziesiąt kroków. Mógł tam pójść w piżamie i papciach. W ciągu paru minut był już w kultowej sali w Rynku – Ratuszu, gdzie Teatr miał próby i grał spektakle. Jeździł też z zespołem po świecie, od Nowego Jorku po Kuala Lumpur. To na wyjazdach kupował najlepszej jakości sprzęt fotograficzny, wspaniałe płyty i obłędne ciuchy. Wszystko, co w „Pololandzie” było nieosiągalne. Do jego mieszkania, po takich podróżach, przychodziły wycieczki wygłodniałych intelektualnie i emocjonalnie nieboraków, którzy nie mieli tego szczęścia i sposobności, by podróżować do świątyń międzynarodowej kultury, a jeśli to tylko z wycieczką państwowym Orbisem, gdzie obok kierowcy obowiązkowo siedział agent SB. Andrzej swych gości częstował whisky i muzyką na supersprzęcie (puszczaną na cały regulator), pokazywał albumy słynnych fotografików, np. Newtona czy Leibowitza. Wszystkim znajomym i spragnionym normalności ładował akumulatory. Zawsze lubił się dzielić swoją wolnością. Aż pewnego poranka przytłaczająca i dręcząca codzienność życia w „komunie”; beznadziejność, w połączeniu z szantażami politycznymi, uzależniającymi od „pewnych” deklaracji wyjazdy zagraniczne, przy całym tym nomenklaturowym chłampie, skłoniła go do emigracji.

W 1977 roku wyjechał do Szwecji. Bo tam luz, bo tam blisko, bo tam można promem. Ma obywatelstwo szwedzkie. W tym języku mówi i czyta, jak po polsku. Swoją drogą zawsze dużo czytał. Oddycha normalnością. Zamienił siermięgę Grotowskiego na garnitury Armaniego. Gdy po paru latach, omijając stan wojenny, z kapitalistycznym paszportem przyjechał do Wrocławia, zobaczył zapyziałe miasto. Już nie było kolorowo. Już nie było Grotowskiego. Mistrz też wyjechał. Przeniósł swoje warsztaty. Docelowo wyładował w Italii, w Pontederze. „Paluch” po przyjeździe, starym zwyczajem, skierował swoje pierwsze kroki do Klubu Związków Twórczych (już nie istnieje), gdzie za dawnych czasów spotykali się wszyscy odmienicy. Miał rację, bo był to ostatni azyl wolności. Wtedy go poznałam.

Towarzystwo i emocjonalnie zaskoczyliśmy od razu. Także w zainteresowaniach. Przeto już pierwszego popołudnia wylądowałam w szalonym mieszkaniu na Ofiar. Na dzień dobry napatoczyłam się na jego tatę podobnego do Humphreya Bogarta. Mama nie żyła. Oglądałam młodych rodziców na zdjęciach. Mama to prawie kopia Lauren Bacall. Supereleganccy z odrobiną szaleństwa wyglądali jak para z „Casa-blanki”. Ponieważ u „Palucha” ból istnienia w „komunie” definitywnie skończył się wraz z emigracją, w mieszkaniu polskim, gdzie często bywał, było bardzo wesoło. Tatuś – szalenie towarzyski – kiedy miał nas dosyć, przenosił się do swego pokoiku. Reszta mieszkania stawiała się „balangownią”, czasami na kilka dni. Pano-wał okropny bałagan. Główny wodopój był w kuchni. Grał jednocześnie telewizor, np. z filmem satyrycznym o Pablo Picasso (z kasety wideo w wersji szwedzkiej), z radia leciała audycja muzyczna Wojtka Manna, a z kaseciaka najnowszy Led Zep-pelin. Niektórzy goście ze słuchawkami na uszach (mieli zagraniczne walkmany) siedzieli pod stołem w saloniku, zaciągając się pachnącymi skrętami. Czasami do kuchni, oblepionej rejestracjami samochodowymi z całego świata, wpadała siostra Andrzeja – Jaga – z reprimendą, ale do zniesienia, i wieloletni, nieodłączny przyjaciel polsko-grecki Kostas Ciucios. Kostek przetrzymał wszystkie jego kobiety. Przychodził zwykle perwersyjnie wcześniej rano, wyciągając Andrzeja z miłosnych objęć damy i alkoholu, robił tatusiowi i sobie kawę i wrzeszcząc, zaczynał przemowę: „Ale masz burdel!”. Potem szli na tenisa. Ja w tym czasie w kącie salonu grzebałam w starym, wielkim kufrze. Były tam sterty zdjęć. Różnych. Na przykład Grotowski z Eugenio Barbą, Jeanem-Louisem Barrault, Peterem Brookiem lub sam, goły z papierosem w Brzezince moczy nogi w strumieniu. A Kostek dalej: „Zobacz, Baśka, weź mu powiedz... Może ciebie posłucha... Taki dorobek, taki skarb, zrób coś z tym. Może jakąś wystawę? Te baby, wpędzą go do grobu! Co telefon, to baba dzwoni. Chcesz zdechnąć na zawał, twoja sprawa!”. A ja nadal nurkuję w skrzyni. Nagle seria poruszających portretów z Brzezinki. To jej mieszkańcy z pooranymi ciężką pracą i wszechogarniającą biedą twarzami w czarno-białej fotografii, jak ich codzienność. Potem akty; jakieś Jolki czy Anki w subtelnym świetle i seria dynamicznych portretów gołębi w locie. Mieszanina tematów i doświadczeń...

Wychodzimy na miasto. Rozpoczyna się wieczorno-nocny rajd po knajpach. Andrzej kocha jedzenie wszelkich kultur i świetnie gotuje. Więc: pierogi-wódka, ładna kelnerka, kaszanka-wódka, ładna kelnerka, kasza gryczana z prawdziwkami, go-lonka, ładna kelnerka – wódka, deska serów - wino i wódka, ładna kelnerka – wódka. Piękna kelnerka, flaszka do domu. Potem spanie w kuchni pod kaloryferem lub strategicznie koło lodówki. Rano – tatuś. I tak dookoła Wojtek. W Szwecji tego nie ma. Za to zza Żelaznej Kurtyny przyjechały z nim superekskluzywne, niewyobra-żalnie śmierzące śledzie. Szwedzki, narodowy rarytas. Podróżowały promem,

a potem Andrzejkowym czerwonym kabrioletem z białym, skórzanym dachem. Owe śledzie, jak wreszcie dotarły do Wrocławia, zostały oficjalnie w szerokim gronie dopuszczone do degustacji. W trakcie tego dewiacyjnego aktu wszystkie koty z Rynku dały dyla. Razem ze śledziami przyjechały zdjęcia kolorowe. Bowiem „Jezus” za granicą poczuł się wolnym od czarno-białego myślenia. Okres „szwedzki” zaowocował prasowymi fotoreportażami ze świata, okładkami książek, zdjęciami do kampanii reklamowych na tamtejszym rynku. Znalazłam serię ujęć modelki z prawdziwym ślimakiem zostawiającym śluz na jej ramieniu. Ona z otwartymi ustami, odchyloną głową w tym kierunku, dotyka własnej, naznaczonej śluzem skóry. Wygląda to jak fellacja. Niezwykle subtelnie balansuje to na granicy pornografii. Wreszcie zdjęcia – abstrakcyjne obrazy z feerią barw, jak u Witkacego. Chyba wziął LSD. Świat hedonizmu miesza się z magią. Można by tak długo.

Jesteśmy w 2022 roku. Do tej pory bywam na Ofiar Oświęcimskich. Przychodzę jak do domu. Andrzej z poprzednich związków ma córkę i syna. Jest już dziadkiem. Niedawno pobrali się z Lidką. Mają o czym gadać. Lidka, aktorka interdyscyplinarna, artystyczna dusza, dba o niego i jego wolność wszelaką. Więc „Paluch” dalej nosi lniane garnitury Armaniego – najchętniej na gołe ciało, dalej zbiera ekskluzywne zegarki, choć ciągle pyta, która godzina, nadal przychodzi Kostek, grają w tenisa i golfa. Co dzień wymyśla swoje życie na nowo. Idąc z duchem czasu, kupił sobie profesjonalnego drona i zdał bardzo trudny egzamin państwowy uprawniający do robienia zdjęć tym sprzętem. Wieczną młodość ma wpisaną w geny. Pełen pasji, miłości do ludzi, świata egzotyki i dziwności, hedonista kreatywny, coraz częściej i dłużej przemieszkuje w rodzinnym Wrocławiu. Nie usiedzi w miejscu. Nawet przeziębiony biega w kuchni dookoła stołu.

Gdy nadchodzi noc, lub bladym świtem, czai się z aparatem w uliczkach Starówki i tajemniczych miejscach miasta. Wspina się po krętych, zmurszałych schodach kamienic aż na ostatnie piętra lub, co gorsza, na dach – po ujęcia, które sobie wymyślił. Zadyszka gwarantowana. Swoją drogą kiedy z nim gdzieś idę, to choć zakładam wygodne buty, nie mogę nadążyć ani myślowo, ani fizycznie. Lubi duże przestrzenie. Ogarnia je obiektywem totalnie, jednocześnie wyłuskując w kadrze detal-perełkę, np. stare sieci rybackie, smugę cienia lub światła – rzeczy i zjawiska układające się w wizualny wiersz; ujawnia w ten sposób niezwykłość świata oraz jego harmonię przeciwieństw.

Ciągle odtwarza swój życiowy kalejdoskop. Talent, pasja, profesjonalizm pomogły mu intelektualnie i praktycznie omijać komunizm jak zarazę. Gdy w czasach Grotowskiego jego fotografowanie wybuchło na dobre, uruchomił w sobie artystyczny instynkt przetrwania. W świecie – dla tego typu osobowości, stylu bycia i życia – bardzo nieprzyjaznym. Choć w końcu kapusie od kultury zaczęli

go traktować jako niegroźnego lekkoducha, którego głównie interesowały ciuchy i panienki. Superpatent. Mógł przeto robić, co chciał. Nosił włosy do ramion, indyjską, przywiezioną z Meksyku, irchową kurtkę z frędzlami, której najbardziej zazdrościli mu zbuntowani wrocławscy rockmani. Nie było człowieka, który by się nie obejrzał. Tak jest do dzisiaj. Dawny 23-letni „Paluch-Jezus” to ta sama wolna i niesforna energia; choć ubyło już włosów, a przybyło zmarszczek.

Obecnie skupia się na obrazach ukochanego Wrocławia i jego mieszkańców. Tropi „duszę” miasta, skrytą w nastrojach pustej ulicy, zamglonej bladym światem, na widoku latarni niby rozmawiającej z kotem, na postaciach smutnych bezdomnych albo szczęśliwych kloszardów... Jego brązowe, okrągłe jak z bajki dla dzieci oczy rejestrują sceny oczywiste, ale fotografowane z pewną artystyczną tezą. To właśnie owa baśniowość przewija się przez całą twórczość Andrzeja. Większość fotografii to wizualne wiersze lub opowiadanka. Nieważne, czy figuratywne, czy abstrakcyjne. Ponieważ „Paluch” pielęgnuje w sobie „dziecko”, ma organicznie utrwaloną w sobie siłę przetrwania i tworzenia w każdych warunkach. Jego warsztat jest napiętnowany pierwotną uczciwością. Także surrealizmem. Fotografie Wrocławia żyją nierealnymi barwami. Ostre pomarańcze i fioleto kamienic, tęczyowe fasady, zielone nieba. Jak po pejotlu. Halucynogenne miasto działa jako odtrutka na obecną, ciężko chorą codzienność. Taka wrocławska „odyseja parakosmiczna”. Ostatnio, gdy przejrzał się w lustrze, powstała seria czarno-białych autoportretów. Multiplikacja własnej twarzy w kilkunastu nakryciach głowy. Stwierdził: jestem samowystarczalny!

Gorące dni. Ulice Starego Miasta pełne ludzi głodnych spacerów po pandemii. Wojenne dzieci z Ukrainy bawią się przy fontannie. W podwórku na Ofiar Oświęcimskich Andrzej podnosi szklaneczkę whisky wystudiowanym gestem mima. Opowiada o podróży w Himalaje. Wlażł wtedy z szerpami na wysokość 7000 metrów – jako amator. Potem pokazuje mi film dokumentalny z Brazylii, gdzie razem z Mietkiem Janowskim – jako dawni aktorzy Teatru Laboratorium – prowadzili wykłady o metodzie Grotowskiego. Już po śmierci mistrza. Siedzimy w kuchni. Delektuję się zapachem z piekarnika. To łośoś specjalności Andrzeja. Jako przystawkę Lidka podaje dzieło sztuki w postaci ozorków w galarecie. Paluchiewiczowie nie mieszkają wśród kryształowych żyrandoli i skórzanych foteli. Są bajecznie eklektyczni, zagrasceni książkami, płytami, antykami i dziwacznymi pamiątkami ze świata. W tym horrorze vacui żyją wolni od siebie i dla siebie. Oto krótka historia człowieka, który był mimem, potem aktorem dramatycznym, a fotografikiem jest ciągle. I tak trzymać!



Andrzej Paluchiewicz, *Jerzy Grotowski*, 1973

„Wehikuł pamięci” – o fotografii Andrzeja Paluchiewicza

Legenda Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego, z jego wrocławskiego okresu aktywności (w latach 1966-1977), raz jeszcze została przypomniana w fotograficznym ujęciu aktywnego uczestnika tego zespołu – aktora i równocześnie świadka awangardowego programu tego teatru – Andrzeja Paluchiewicza. Pełnił on, notabene, zakładaną przez Grotowskiego – rolę osoby zaangażowanej w totalny „akt współtworzenia” przez cały zespół teatralny. Paluchiewicz przede wszystkim fotograficznie partycypował w pracy tego zespołu, w tworzeniu owego wyjątkowego klimatu zaangażowania i spełnienia w sztuce, choć brał także udział w kilku spektaklach.

Unikatowy charakter tych zdjęć, wykonywanych przez uczestnika tych wydarzeń od wewnątrz; ujęć pochwyconych w niearanżowanych momentach, spontanicznych zachowaniach osób – uczestników działań; zdjęć z czasu pracy, prób i spektakli, ale także z podróży, prywatnych spotkań itp. – sprawia, że mają one wyjątkową wartość, bowiem dokumentują nie tylko na zewnątrz przekazywane postawy i gesty aktorów oraz ich mistrza, ale rejestrują także osobiste, niemal intymne sytuacje, w jakich znajdowali się poszczególni członkowie tej minispołeczności. Są to zdjęcia fizys, gesty aktorów, grymasy twarzy i zachowań takich osób jak m.in. Jerzy Grotowski, Ludwik Flaszen, Ryszard Cieślak, Zbigniew Cynkutis, Antoni Jahołkowski, Elizabeth Albahaca, Zygmunt Molik, Stanisław Scierski, Rena Mirecka, Mieczysław Janowski i Maja Komorowska. Później uzupełnione o postacie współpracujące z Laboratorium w okresie działań parateatralnych w latach 70. (szczególnie w Brzezince). Po zainicjowaniu przez Grotowskiego projektów stażowych, np. „Specjal Project” czy „Przedsięwzięcie Góra” z 1977 r., związało się z tymi inicjatywami grono współpracowników zagranicznych i krajowych, wśród których wiodącą rolę odgrywali m.in. Włodzimierz Staniewski, Teresa Nawrot, Irena Rycyk, Jacek Zmysłowski, Zbigniew Kozłowski, Zbigniew Spsychalski czy Jerzy Bogajewicz.

Tak więc charakter tych zdjęć – ich „surowość” i bezpośredniość – świetnie współbrzmi z programem „teatru ubogiego” (jaki postulował Grotowski), co znakomicie wpisało się w koncepcję wystawy organizowanej w galerii ZPAF (pl. Marcina 4) i towarzyszącego jej albumu prac fotograficznych, jako artystycznej „syntezy” treści i jej minimalistycznej (w kolorze czarno-białych reprodukcji) edytorsko-graficznej formie. Cykle zdjęć – wykonywane przez Paluchewicza w okresie 1966-1977 – służą tu jako materiał egzemplifikujący programowe cele, jakie formułował i wspólnie z aktorami realizował Grotowski. Godnym podkreślenia będzie tu, po raz pierwszy tak wyraźnie w tym wypadku zauważony, fakt paralelności twórczości fotograficznej – w rejestracji działań performatywnych zespołu – z rodzajem aktywności postulowanej przez Grotowskiego. Chodzi tu o to, że choć zdjęcia Paluchewicza są, formalnie rzecz biorąc, dokumentami pewnych sytuacji, zachowań osób i ich działań, to jednocześnie wpisują się swoją obecnością w tamtym czasie i miejscu w koncepcję tzw. „aktu całkowitego” – o potrzebie którego mówił Grotowski w odniesieniu do twórczej aktywności członków teatru. Ten „akt” miałby być manifestacją takiej postawy twórczego zaangażowania, w jakiej dochodzi do swoistej transgresji i przeniesienia psychicznych treści w działanie, które już nie jest grą aktorską, lecz właśnie rodzajem totalnego aktu przejścia, tj. wyzwoleniu się od konwencji i skierowaniu ku rzeczywistości. Co oznaczało, jak ujmował to L. Flaszen – eliminację z przedstawień tego, co jest teatralne, na rzecz tego, co jest realnym życiem. Spektakle wrocławskie, a szczególnie „Apocalypsis cum Figuris”, realizowały już tę ideę – w zamyśle autorskim Grotowskiego i współuczestniczącego w tym „akcie” całego zespołu – by poprzez psychiczno-mentalne ćwiczenia i osobiste wczucie się w tematy stwarzać rodzaj misterium, w którym spontaniczny rytuał wypiera spektakularną grę aktorską. „Apocalypsis...” byłby więc swoistym dziełem performatywnym, w tym sensie, że było to działanie niemal całkowicie już wyzbyte tradycyjnej „materii” teatralnej, że bliżej w nim do zbioru indywidualnych performances (w znaczeniu, jakim znamy ten rodzaj „sztuki ciała” w zapoczątkowanych w latach 60. i 70. XX w. wizualistycznych akcjach performerów). Właśnie w tę sytuację – w proces przygotowania dzieła (w ramach „aktu” twórczego), jego doskonalenia, zmian i zbiorowego kształtowania; w owo ciągle „otwarte” dzieło włącza się niejako od środka – świadek i współuczestnik tego aktu: ktoś, kto jest tam i jednocześnie dokumentuje (stąd potrzeba pewnego dystansu) innych, w ich „stawianiu się” w tym procesie.

Czynny świadek – doświadczający na sobie, na swym ciele ćwiczeń proponowanych przez Grotowskiego; zmierzający w tej „drodze” doskonalenia się do celu, którym nie miało być ciało wytrenowane, jak w ruchu pantomimicznym, nie musiało być ono wyjątkowo sprawne warsztatowo, ale miało być właśnie Ciałem – owym

„wehikułem duchowości”, źródłem swoistej wewnętrznej świetlistości – a więc takim, które nie stawia aktorowi „oporu”. To droga od ciała estetycznego do duchowego. I tą drogą prowadził Grotowski swój zespół teatralny już poza teatr – gdzie aktywność uczestników tych „spektakli” zaczęła wpisywać się w pewien antropologiczny nurt tzw. „kultury czynnej” (o której także mówił Grotowski).

Obecność A. Paluchiewicza z kamerą fotograficzną w zespole „Laboratorium”, początkowo niezamierzona – staje się z czasem, wobec autorskiej pasji jej użytkownika, pewnym dopełnieniem całego, niejako performatywnego zamysłu Grotowskiego. Wiadomo bowiem, że sztuka performance w swej efemeryczności i okazjonalności, a jednocześnie wyjątkowości każdej akcji czy przedstawienia jest niepowtarzalna i, jako taka, powinna być zarejestrowana filmowo lub fotograficznie, jeśli chcemy zachować te powstające w procesie twórczym jej wartości. Oczywiście niektóre spektakle teatru i jego twórcy byli utrwalani filmowo i fotograficznie przez wielu wytrawnych reporterów i dokumentalistów, ale zdjęcia Paluchiewicza powstawały w sytuacji aktora zaangażowanego – od wewnątrz – w twórcze przemiany formuły teatru, co stwarza zupełnie inną perspektywę ich odbioru. Fotografie A. Paluchiewicza – są to więc „surowe”, czarno-białe zdjęcia, wykonane konwencjonalną techniką (negatywowo-pozytywową); zdjęcia o zróżnicowanych walorach jakościowych – od niemal konturowych ujęć o wyraźnym rastrze do skonstrastowanych, intensywnych zestawień czarno-białego dokumentu, celnie ilustrującego wybrane zdarzenia.

Zastanawiające w tej fotorelacji jest również to, że autor prezentuje tu niewiele zdjęć z samych spektakli, z bezpośredniej akcji scenicznej, a jeśli są, to także chwytają one pewien moment – zwykle wyraz twarzy grającego aktora. Są to więc fotografie wewnętrznego rytmu życia teatru, bo Paluchiewicz, biorąc udział w realizacji spektakli, był jednocześnie niejako widzem – obserwatorem; ale obserwatorem wyjątkowym, bo codziennie, w próbach, w przygotowaniach do spektakli, ale i w czasie wolnym od zajęć towarzyszący ze swym aparatem zespołowi teatralnemu. Co więcej, nie uprawia on tu rasowego reportażu, nie o prawdę dokumentu mu szło, a raczej o autentyzm (choć subiektywnie podany) tego miejsca i czasu, tych ludzi i ich pasji oraz zaangażowania w to, co wspólnie tworzyli.

Serię zdjęć aktorów i samego mistrza Grotowskiego można więc traktować jak migawki wspomnień, pewnego rodzaju dowody aktywności ich kolegi, zaangażowanego w teatr, a przy okazji łączącego z teatralną profesją pasje fotograficzne. Czyż bowiem fotografia nie jest w istocie także pewnym rodzajem sceny, na której czas i tamte zdarzenia prezentują się nieustannie, tak długo, jak długo przetrwa ich udokumentowany ślad?

Działalność Grotowskiego, już z czasów „Księcia Niezłomnego” (Wrocław 1965-68), a szczególnie „Apocalypsis cum Figuris” (1968-69), eksponującego postawę

aktora – twórcy z jego świadomością i kreacją, może być uznana, w jakiejś mierze, za źródłową dla sztuki performance w Polsce, pierwsze bowiem tego rodzaju akcje pojawiają się u nas wprawdzie już w latach 60. (np. pokazy synkretyczne Włodzimierza Borowskiego lub manifestacje Jerzego Beresia) albo w działaniach prezentowanych w galerii „Repassage” (w początkach lat 70.), to faktycznie dopiero w 1978 r. – po przedsięwzięciach upowszechniających działania typu performance w kilku polskich galeriach – ten rodzaj aktywności artystycznej staje się przedmiotem szerszego zainteresowania naszej neoawangardy. Dostrzeżenie związku między eksperymentami teatru Grotowskiego a sztuką performance lat 60. i 70. było impulsem do zorganizowania w 2009 roku w Zachęcie wystawy pt. „Performer” i późniejszej krytycznej dyskusji o fenomenie teatru Grotowskiego, jako części procesu przemian w sztuce światowej lat 60. i 70. Również w związku z tym organizowane były programy badawcze poświęcone tym zależnościom; np. „Grotowski + Performance Research” z Uniwersytetu w Yale (inicjatywa Mario Biagininiego z Ośrodka Grotowskiego w Pontederze).

Konkludując, jeszcze raz należy podkreślić wyjątkowy charakter prezentacji tej twórczości. Fotografie Paluchiewicza są bowiem cenne swym walorem autentyczności – oddania aury i pasji ludzi teatru Grotowskiego, cenne swą wiarygodnością świadka, który tam był i rejestrował „to-co-było”, a co i dzisiaj poświadcza legendę tamtych zdarzeń i tamtego czasu. Mamy więc oto do czynienia z fotografią, która jest tu swoistym „wehikułem pamięci”, żeby sparafrazować określenie samego Grotowskiego odnoszone do jego rozumienia roli teatru wobec rzeczywistości.



Andrzej Paluchiewicz, *Jerzy Grotowski, Brzezinka, 1973*

Przybysze i żarty w sztuce Wrocławia (cz. I)

(z cyklu ROJE UWAG)

PRZYBYSZE

Jeśli spojrzeć na dotychczasowe dokonania sztuki miasta nad Odrą, to zauważamy, iż obejmują one wielce zróżnicowane dzieła będące niejednokrotnie twórczymi mutacjami napływających trendów. Jest to po części potwierdzenie tego, że Wrocław – metropolia przybyszy, z natury rzeczy w sferze sztuki stał się otwarty na przybywające do niego z różnych regionów mniej lub bardziej ukształtowane artystyczne osobowości.

I działo się to w niepozabawionym jakiejś magii dolnośląskim miejscu o bardzo specyficznym zestawieniu wielkich osiągnięć kultury (od średniowiecznych po modernistyczne) z wojennym wypatroszeniem (wszystkiego). To w takim amalgamacie mogły rozwijać się m.in.: twórcze elementy wrocławskiego strukturalizmu, raz po raz przebijające się wątki komiczno-prześmiewcze, szczególnie wykwity konceptualne czy trans-medialne itd. A zaletą wrocławskiej tolerancji i różnorodności staje się to, że w polu wzajemnych oddziaływań powstaje tu sporo prac prawdziwie **odkrywczych**. Gdy oglądamy je w Pawilonie Czterech Kopuł czy w albumikach świetnej serii *Wrocławskie Środowisko Artystyczne*¹, mamy dowody tego, że były lata, w których Wrocław górował wśród polskich centrów życia artystycznego. Sam termin „środowisko artystyczne” jest tu bardzo znaczący, gdyż poza wąsko traktowanymi dziełami Wrocław tworczy demonstruje skomplikowane relacje artystycznych: interwencji wydarzeń, spektakli, akcydensów itp.

DOBRY ŻART...

Nawiązanie do Aleksandra Fredry w sztuce Wrocławia można widzieć jedynie pośrednio i subiektywnie, choć dałoby się zauważyć pewne łącza aluzji między

1 Seria *Wrocławskie Środowisko Artystyczne* powstała w 2007 roku z inicjatywy Andrzeja Jarosza. Wydawana jest w Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta. Obecnie wychodzi pod redakcją Tomasza Mikołajczaka i do końca roku 2022 objęła 22 tomy monografii.

nim i współczesnymi artystami/artystkami. Fredro był wielkim mistrzem komedii wykorzystującym bliskie nam i dziś żartobliwe epigramaty czy elementy farsowe lub facecji. We Wrocławiu przebywał raz jako młody oficer armii Napoleona oraz (prawdopodobnie) drugi raz w 1856 roku, gdy planował zakup majątku ziemskiego w okolicy miasta. Natomiast w 1956 roku „przybył na stałe” do stolicy Dolnego Śląska w formie pochodzącego ze Lwowa bardzo udanego pomnika z 1897 roku autorstwa Leonarda Marconiego. Pomnik Fredry usytuowano na południowej pierzei Rynku, obok ratusza. I od wtedy, na różnych poziomach sympatii (a nawet i kultu), należy do centralnych punktów Wrocławia. W jednej z kamienic obok otrzymała pracownię znana malarka Krzesława Maliszewska. Wprowadziła się do niej, a gdy w końcu wychyliła się z okna, spoglądając na Rynek, mało nie zemdląła z wrażenia. Zobaczyła bowiem na dole Fredrę w pomniku dokładnie tak samo usytuowanym jak we Lwowie na placu, przy którym mieszkała².

Rok 1956, w którym pomnik komediopisarza stanął w mieście nad Odrą, był rokiem szczególnym ze względu na poluzowanie dyktatu nad kulturą. We Wrocławiu zaczęły rozwijać się różne swobodne inicjatywy twórcze. Jedną z nich stał się **sensibilizm** – tendencja grupująca wystąpienia na pograniczu studenckiej chryi i całkiem nowych form „pre-happeningowych” czy performansowych. Autorem nazwy sensibilizm w 1956 roku oraz manifestu tendencji w 1957 jest Kazimierz Głaz. W poszczególnych wystąpieniach aktywnością wyróżnia się jako sensibilsta Michał Jędrzejewski. Ponadto czynni byli: Tadeusz Fyda, Regina Konieczka, Jan Kosiński, Adam Krzemieniecki, Anna Lisowska, Stefan Migdał, Andrzej Popowski, Wiesław Zajączkowski oraz organizator techniczny Stefan Górski. Kulminacją tendencji były dwa nasycone psikusami, precyzyjne humorystycznie spektakle prezentowane w „porządnym”, profesjonalnym Teatrze Kameralnym. Pierwszym spektaklem pełnym absurdałnych „parad” był *Teatr Sensibilistyczny* (1957). Drugim, z chaosem „przeszkód” w prezentowaniu akcji, był *Teatr Katastroficzny* (1958). We wrocławskim Klubie Związków Twórczych w 1976 roku miała miejsce niby poważna, lecz w gruncie rzeczy całkiem farsowa *IV Sesja Sensibilistyczna* obejmująca m.in. wernisaż nieistniejącej wystawy, bombastyczne referaty Głaza Świat a sensibilizm oraz Zbigniewa Makarewicza *Sensibilizm a świat*. Potem była tzw. „sterowana” dyskusja i przy huku oklasków przyznanie dyplomów oraz plakietek przypadkowo wybranym klientom z baru Klubu. W całości *Sesja* stała się odsłonięciem pustki rytuałów życia naukowo-artystycznego tamtych lat. Spektakle sensibilstów z ich piętrzącymi się absurdami i krytyką porządku reżimowego, niestety, nie zostały zdokumentowane (zachowały się

2 M. Jędrzejewski, *Schody i przygody*, Wrocław 2021, s. 161.

jedynie zdjęcia z *IV Sesji*). Dla uzupełnienia tej luki Jędrzejewski wykonał w latach 60. do 80. XX w. serię niezwykle ciekawych rysunków będących precyzyjnymi nawiązaniem do tych wydarzeń. Pokazują one nie bez humorystycznych interpretacji gestykulujących „ludzików” – aktorów spektakli w przestrzennych ujęciach „ptasich”. Są tam wydobyte symultanicznie poszczególne fazy działań. Artysta zastosował, jak sam przyznaje, metodę zbliżoną do tej stosowanej w rysunkach urbanistycznych (ze szczególnym skorzystaniem ze wzoru *plano piloto* z 1958 roku przy projekcie *Brasilia*).

☆☆☆☆☆☆
SPIS PRAC:

1. KOMBINOWANIE
2. JZKOWANIE
3. GUMOWANIE
4. PRZERABIANIE
5. WYRZUCANIE
6. ZALYZNANIE
7. KNOCENIE
8. RYTOWANIE
9. WERNIKOWANIE
10. SZABLONOWANIE
11. GNIECENIE
12. WYCINANIE
13. PUKARTOWANIE
14. ZAKŁADANIE
15. POLEWANIE
16. PLEWANIE
17. PRUŻENIE
18. PRZCINANIE
19. MONTOWANIE
20. MALOWANIE
21. NAKŁĘKANIE
22. ODRZUTOWANIE
23. ZATRUCIE
24. DAWIE W BANIĘ

c.d.
ze strony

7



ob. ob.

4

4

4

WYSTAWY



ob. ob. Jana Jaromira ALEKSIO-

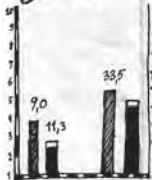
NA, Jerzego CZERNIAW-

-SKIEGO, Jana SAWKI

Eugeniusza STANKIEWICZA



Wzrost w wystawach:



Nagrody: *



OTWARCIE

odbędzie się w dniu 15 marca 1976 r. godz. 18⁰⁰

W MUZEUM PLAKATU w Wilanowie

Jan Sawka, plakat wystawy w Muzeum Plakatu w Wilanowie, 1976, rysunek tuszem (czyt. s. 184)

LESZEK MULARSKI

sonetikon istnienia na przekór nagrobkom grabiszyńskiego

jak zatrzymać przepływ. mieliśmy nieważność
świerszcze, w oczach królestwa guzików
oddychamy w żółtych od nikotyny norach

w życiorysach 3/4 to przeszłość
żywe ramiona krzywej są jak oczy matowe żegnanych
przepływ sinusoid. porażek i sukcesów

pohukują nocami
rozmawiamy z nieobecnymi. Nie jestem w tym dobry
powstrzymuje mnie niechęć do śmierci
Zanim odejdę zniknę niespodziewanie bez słowa
by żyć w prawdopodobieństwach

2019 / 11.01.2022

Wrocław

**harpuny Ginzu
widziane z lotni Melville
i tratwy Thora Heyerdahla
(wiersz w ruchu)**

ocean przekłada falę za falą
biały wieloryb wynurza się i znika
zapada i podnosi się słońce
widziane z pokładu Kon Tiki

jakim kursem płyną
czy przetrwają czy zginą

lotniarz rozpina na wodzie cień majestatu
miotające się jądro nieskończoności lekko strawnych gatunków
na ekranie smartfonu collage miłości i płomienia świecy
jak po stracie bliskiego

Tyle o śmierci.

W snach ocean nabiera złowrogiego kształtu
błyski planktonu w żyłach
miecznik w naprężonym sercu

here comes the sun

kiedyś słońce będzie nasze powtarza uczeń Marksa
poeta Szczepan Kopyt

wiem cuda się zdarzają, wstrząśniemy posadami
nie będziemy bezdomni jak pieski przydrożne
ze złamanymi sercami, mieszkańcy cudzych książek

abstrakcja nas nie opuści, ryby wrócą do Odry
ukrainki do kraju greckiego obrzędu
kości do cmentarnej harmonii

najważniejsze
że zniknie zniknie czerwony trądzik
zakąła ludzkości

trudno było się domyślić co naprawdę porusza nas
oparte na paradoksie, nie pozwala na wypoczynek
wysyła miliardy książeczek mao

księżyc będzie nasz, żywy lub martwy
powtarza Szczepan, uczeń czarnoksiężnika

Wrocław, 19.08.2022

niezapomniana śmierć

wymknęli się nagle z ciał
grzebiemy we wnętrzach słów
szukamy bohaterstwa
w życiorysach
nie ma odejścia
z sojuszu żywych i umarłych
zawsze zostają fragmenty
zimny blask liter wyrytych
w kamieniu
urasta w krajobrazie wojny
do symbolu obrońców
naszego życia

„Wiersze z Dworca Głównego” Wrocław, 26.04.2022



Andrzej Paluchiewicz, *Jerzy Grotowski*, 1966-73-91 (czyt. s. 198)

Marías, Marías; Marías!

„Nic nigdy nie odchodzi na zawsze, (...) to, o czym myśleliśmy, że minęło, prędzej czy później wraca, choć potrzebuje na to trzydziestu czy pięćdziesięciu lat. Ale tak czy inaczej wraca, i to ze wzmożonym zapalem, sztucznie utuczonym, bo nic tak nie odżywia jak wyobraźnia. Przywołane zostaje to, co niektórzy przodkowie, najczęściej nam nieznani, odlegli, musieli przecierpieć. Zmieniono ich wyłącznie w ofiary, choć byli także katami, jak niemal wszyscy, wyobraźnia jednak nad tym ostatnim się nie zatrzymuje, pomija tę część historii i skupia się na tym, co jej pasuje. (...) Ludzie chętnie wierzą, że gdy coś się skończy, bądź zostanie ostatecznie pokonane, wówczas pozostaje na zawsze w przeszłości, to działa uspokajająco. Armie składają się z ludzi. (...) Wszyscy kiedyś mają dość walki i gotowi są szybko ustąpić; boją się, że mogą zginąć ostatniego dnia wojny, tuż przed kapitulacją albo zawieszeniem broni, toteż wracają do domów, kiedy tylko minie bezpośrednie zagrożenie. Dają wrogowi czas, by się pozbierał i nabrał sił”.

To cytat z ostatniej powieści hiszpańskiego pisarza Javiera Marías, powieści o dość nietypowym – nie dla tego, rzecz jasna, autora – tytule „Tomás Nevison”. Zdawałoby się, że to wyjątkowo trafna charakterystyka naszej rodzimej historii, a nawet teraźniejszości w ogóle, gdy tymczasem mamy tu do czynienia z analizą działalności terrorystycznych organizacji ETA i IRA na przestrzeni kilkudziesięciu ostatnich lat. Mniemam, że opisany proces pasuje jednak do każdego czasu i każdego miejsca, jak do każdego czasu i każdego miejsca pasują diagnozy zawarte w dramatach Szekspira.

Nieprzypadkowo padło nazwisko największego dramaturga wszech czasów. Javier Marías jest prawdziwym znawcą jego twórczości, co – ku zadowoleniu dociekliwych czytelników – daje odczuć w swoich powieściach licznymi nawiązaniami do dzieł angielskiego geniusza. Najlepsza jego powieść, „Serce tak białe”, zatytułowana jest wprost cytatem z Szekspira (*Moje ręce mają twoją barwę; lecz wstyd mi, że mam serce tak białe*).

Jaki dobry przypadek sprawił, że przed laty trafiła w moje ręce jedna z pierwszych przetłumaczonych na język polski książek Maríasa „Mężczyzna sentymentalny”? Może przyciągnęła mnie świetna okładka Anity Andrzejewskiej? A może, w dobie coraz grubszych tomów nowej literatury, jedynie stustronicowa objętość? Chyba jednak magnesem – to tylko przypuszczenie – były pierwsze zdania powieści:

„Nie wiem, czy opowiadać wam swoje sny. To sny stare, niemodne, pasują bardziej do dorastającego młodzieńca niż szacownego obywatela. Są przeładowane szczegółami, a zarazem wyraziste, nieco spowolnione, choć ogromnie barwne, takie, jakie mógłby śnić ktoś obdarzony wielką fantazją, lecz w gruncie rzeczy nieskomplikowany, uporządkowany wewnętrznie”.

Jak to dobrze, że nie dotarłem przed lekturą do absurdalnej recenzji Krystyny Kofty w „Nowych Książkach”, która w swojej analizie popisała się kompletnym brakiem wyczucia i dziecięcym niedostatkiem logiki. A przecież już wtedy Reich-Ranicki zaliczył Maríasa do najwybitniejszych pisarzy współczesności (o czym również nie wiedziałem). Tymczasem „Mężczyzna sentymentalny” urzekł mnie od pierwszej strony, w czym zapewne nie mała zasługa tłumaczki Ewy Zaleskiej, która uchwyciła klimat tej onirycznej prozy (trochę przypominający atmosferę pisanych od dziesięcioleci krótkich powieści francuskiego noblisty Patricka Modiano), mającej już wszystkie najważniejsze cechy późniejszych dzieł hiszpańskiego mistrza, w tym niebywale precyzyjną charakterystykę postaci i wręcz bernhardowską umiejętność zatrzymywania akcji w miejscu, na rzecz mieniących się pomysłami dygresji rodem z Alberta Parisa Gütersloha.

Zapewne zdziwiłem wielu czytelników używaniem formy „jest” w stosunku do Javiera Maríasa, ale tekst zacząłem pisać 11 września 2022 roku, nie wiedząc, że tego właśnie dnia pisarz odszedł. Ciągle jeszcze pochylałem się nad jego książką, której bohaterem jest człowiek pracujący dla brytyjskich służ specjalnych (wydział MI5). Ale to – być może w odruchu rozpaczyny – nasunęło mi szaleńczą myśl, że autor, podobnie jak jego bohater, Tomás Nevinson, nie umarł, ale żyje gdzieś daleko, w maleńkim miasteczku, z fałszywą tożsamością, pod fałszywym nazwiskiem (Rowland czy Centurión). I kiedy przyjdzie czas, powróci; zapewne z kilkoma nowymi, wspaniałymi powieściami.

Literatura hiszpańska, a właściwie literatura Hiszpanii, poza klasycznymi pozycjami – a zatem „Don Kichotem” i „Żywotem Łazika z Tormesu” – długo dla naszego pokolenia ustępowała miejsca prozie latynoamerykańskiej, której boom odmienił właściwie wszystko w postrzeganiu obszaru hiszpańskojęzycznego.

I nawet tacy pisarze jak Juan Benet czy Camilo José Cela (Nobel 1989) niespecjalnie byli w stanie zmienić tę perspektywę. Na nasz rynek zaczęło trafiać jednak sporo dobrej literatury średniego kalibru – choćby pełne humoru i przenikliwości powieści autorstwa Eduardo Mendozy i przeznaczone dla młodszych, acz wyrobionych czytelników książki Carlosa Ruiza Zafóna – która pokazała, że za oceanem odcina się już tylko kupony od realizmu magicznego, a tymczasem w Europie powstają wartościowe teksty. Ale chyba wiele jest prawdy w stwierdzeniu, że do powstania dzieł wybitnych potrzebny jest żyzny grunt odżywiany dobrą literaturą środka (o czym tak często zapominają rodzimi wydawcy). To stwierdzenie ma jednak w przypadku Maríasa podwójne znaczenie. Jego powieści, literacko bardzo wymagające, karmią się przecież motywami z poczytnej literatury (tu już nie ograniczamy się do pozycji hiszpańskich), zupełnie jakby Tomasz Mann opracowywał historie opisane przez Alistaira MacLeana czy Iana Fleminga (to drugie nazwisko nieprzypadkowe, bowiem Marías niejeden raz nawiązuje w swojej twórczości do literackiego ojca Jamesa Bonda). Zdaje się, że to działa i w drugą stronę, kiedy literatura sensacyjna powstaje z inspiracji twórczością hiszpańskiego pisarza. Może się mylę, ale powieść Micka Herrona „Kulawe konie”, której ekranizacja zdezonizowała wszystkie produkcje szpiegowskie ostatnich lat, ma atmosferę prozy autora „Jutro, w czas bitwy, o mnie myśl”.

Zasadniczo sam stronię od bezpośrednich inspiracji literackich, ale nie mogę, a nawet nie chcę zaprzeczyć, że moja ostatnia powieść „Blue” posłużyła się naczelną zasadą, jaka przyświeca powieściom Maríasa, a zatem wpleceniem wątku sensacyjnego czy wręcz kryminalnego w materię literacką tekstu. Ale czy zdecydowana większość wybitnych dzieł literatury przypadkiem nie nosi tego piętna?

Wróćmy jednak do Maríasa, nad którego ostatnią (może coś tam jeszcze odnajdą w papierach pisarza krwiożerczy wydawcy) książką ślęczę, chcąc skończyć jej czytanie i nie chcąc go kończyć, bo już nic więcej najprawdopodobniej nie będzie. Przypomina mi to lekturę genialnej trylogii Maríasa „Twoja twarz jutro”, której kolejne części wychodziły w rocznych odstępach. Cedziłem wtedy tekst kolejnych tomów przez długie miesiące, co nie było łatwe, ponieważ to tam właśnie jest scena – ewenement literacki – opisu jednego wieczoru, która rozciąga się na półtora sześciusetstronicowego tomu. U Maríasa nie jest nudno. Nic się nie dzieje, mija ledwie kilkanaście minut (kilkaset stron) i pozostajemy w tym cudownym, jedynym w swoim rodzaju napięciu, jakie znają tylko mole książkowe, do których, rzecz jasna, się zaliczam.

Materia literacka prozy Hiszpana jest wyjątkowa. Kunsztowne zdania (godne innego mistrza piszącego w tym języku, Alejo Carpentiera) i owo niezrównane, jak już zostało napisane, bernhardowskie drażnienie, wdzieranie się w psychologiczne bebechy.

Nieprzypadkowo na początku mojego tekstu znalazł się cytat z ostatniej powieści Maríasa. Takie trafne diagnozy możemy znaleźć we wszystkich książkach

pisarza. Upoważnia go do tego wyjątkowa erudycja, to niezwykle rozpięcie między kulturą iberyjską i anglosaską, ale przede wszystkim biografia jego rodziny, której nie oszczędził frankizm. Do tego wątku Marías wraca zresztą bardzo często. Nie tylko oczywiście on, a całe jego pokolenie. Dopiero po odczekaniu (odregowaniu) kilkudziesięciu lat od śmierci generalissimusa, hiszpańska literatura zaczęła mówić wprost o tym trudnym okresie. Może i my doczekamy się czasu, gdy zaczną powstawać literackie relacje o stanie wojennym...

Tymczasem dobrnąłem do końca „Tomása Nevinsona”. Chyba po raz pierwszy w stosunku do powieści Marías użyłem sformułowania „dobrnąć”. Może sprawiła to wiadomość o jego śmierci, która dotarła do mnie podczas lektury, a może jednak to, że tekst był pisany według powtarzającej się ostatnio zasady, jakby pisarz wpadł w koleinę własnej formy, której w porę nie zdecydował się przełamać. Nie zdobył się na krok, który uczynił niegdyś Romain Gary, by – zmieniając stylistykę swojej prozy – pod fałszywym nazwiskiem Émile Ajar zdobyć po raz drugi Nagrodę Goncourtów. Chyba, że...



Andrzej Paluchiewicz, Grupa aktorów z Teatru Laboratorium, 1966-69 (czyt. s. 198)

Caron Poivre

Siedzący przy stoliku po mojej lewej ręce Włoch wykrzykuje coś do swojej komórki, wymachując przy tym rękami, jakby muchy odganiał. Po prawej stronie ktoś inny prowadzi głośną rozmowę za pomocą Skype'a w języku, którego nie znam i nie mogę w żaden sposób zidentyfikować. Dopiero po kilku minutach udaje mi się rozpoznać, że to Rosjanin, który mówi po portugalsku z wyraźnie angloamerykańskim akcentem.

Do Włocha dołącza młoda dziewczyna w towarzystwie dwóch innych Włochów. Ściskają się icałują, a stolik chwali się przylepioną do blatu kartką, że jest „wydezynfekowany”, no bo pandemia. Po chwili staje się jasne, że dziewczyna Włoszką nie jest i po włosku ani be, ani me. Cała czwórka przechodzi więc na angielski, a raczej na jego dość skromną wersję – dynamika rozmowy zmienia się, ręce stają się już mniej przydatne i nagle okazuje się, że spontaniczne spotkanie przeistacza się w konkurs na żywiołowe uwalnianie z siebie wszystkich angielskich słów, które rozmawiający znają, a ponieważ żadne z nich nie zna ich zbyt wiele, wypowiadają tylko te, które pozostały im w pamięci. Wyrzucają je z siebie w przypadkowej kolejności, w kolejności tym słowom obcej, a więc: „Your English nice”, „Wan you drink?”, „Nice weather”, „Thank you, I bought him yesterday”, „I say sweater”, „no, weather”, „Aha, it is uhm... jumper?”, „Coffee?”, „where is toilet here?”, „there”.

Dziewczyna znika na chwilę; stolik ponownie się ożywia, włoskie słowa wracają, układając się w kolejności mniej więcej zgodnej z regułami, ręce idą w ruch, co ułatwia mi zrozumieć, że rozmowa dotyczy tej właśnie dziewczyny, która na chwilę wyszła (a raczej „na chwilę weszła”, bo akcja tego opowiadania rozgrywa się w ogródku jednej z wrocławskich kawiarni, na rynku skąpanym w słońcu) do toalety.

Amerykańsko-rosyjski Portugalczyk okazał się rosyjskim trenerem sportów walki w Brazylii. Dowiedziałem się o tym dzięki systemowi głośnomówiącemu, który Rosjanin uruchomił, by przebić się przez intelektualnie zagubionych Włochów. Rozmówca trenera poinformował go również o aktualnej pogodzie w Sao Paulo i o kłopotach finansowych klubu, w którym obaj pracują; kłopotom finansowym winna jest pandemia, a winę za złą pogodę ponoszą władze, które...

Dziewczyna wróciła do stolika wraz z resztką swej niefortunnie stosowanej angielszczyzny.

– To co teraz będzie? – warknął Rosjanin w portugalsko-brazylijsko-amerykańskim slangu, zaklął siarczyście po rosyjsku... i wyłączył urządzenie.

Dziewczyna przeprosiła towarzystwo, wystukała numer na ekranie swojego smartfona i rozmawiając z kimś przy pomocy czystej, choć niezbyt wyszukanej polszczyzny, krążyła w tę i z powrotem po zachodniej części rynku, aż...

No nie, już, już. Dalej już nie mogę. Aczkolwiek...

Rosyjski trener zapłacił gotówką i pochylony nad stolikiem zaczął pakować swój laptop do niezwykle eleganckiej torby. Dziewczyna rozmawiała z kimś przez telefon; wyginała przy tym się to w lewo, to w prawo i zerkając na wyraźnie już pobudzonych Włochów, wybuchała co chwilę perlistym śmiechem.

Rosjanin odliczył właściwą ilość monet na napiwek, wrzucił je do szklanki, w której kelnerka pozostawiła rachunek, i odszedł w kierunku placu Solnego. Dźwięk wrzucanych do szklanki monet zwrócił uwagę Włochów, którzy natychmiast zmienili ton rozmowy, wymachując rękami z jeszcze większą niż dotąd energią to w stronę szklanki z napiwkami, to ku niebu, to w kierunku drzwi, za którymi zniknęła kelnerka. Wydawało się, że kłócą się o coś niezwykle ważnego. Nie przerywając nawet na chwilę tej dziwnej włoskiej sprzeczki, wyciągnęli z kieszeni swoje portfele i jęli „przeczesać” ich zawartości, wykładając na stolik karty płatnicze, różne kwity i inne drobne papierki. Przeszukali kieszenie marynarek i spodni, pochowali portfele i zamilkli.

Dziewczyna pojawiła się nagle przy moim stoliku, ignorując obecność Włochów. Przyglądali się nam przez chwilę, po czym wstali, uregulowali rachunek i w milczeniu opuścili kawiarnię, kierując się w stronę Ratusza.

– Czy mogę się przysiąść?

Zbiła mnie z tropu tym pytaniem. Poczułem się niezręcznie, zwłaszcza że przyglądała się odchodzącym Włochom z wyrazem jakiejś dziwnej ulgi na twarzy. Tak mi się przynajmniej wydawało. Podążyłem wzrokiem za Włochami i tak oboje patrzyliśmy na nich przez dłuższą chwilę.

Dziewczyna usiadła przy moim stoliku, mimo że nie odpowiedziałem na jej pytanie.

– Nieciekawi. W ogóle ich nie znam. To takie rutynowe podrywy. Oni myślą, że nie znam włoskiego, a ja we włoskim jestem biegła. Mieszkam w Rzymie od dwudziestu lat.

– Od dwudziestu? – najwyraźniej wyczuła zdziwienie w moim pytaniu, bo natychmiast dodała:

– Urodziłam się w Rzymie dokładnie dwadzieścia lat temu. Dzisiaj są moje urodziny.

– Aha.

Patrzyła mi prosto w oczy.

„Co za bezczelność” – pomyślałem.

Chyba odczytała z wyrazu mojej twarzy tę myśl, bo uśmiechnęła się zalotnie i oznajmiła:

– Być może wygląda to na bezczelność z mojej strony, ale tak nie jest, zresztą zaraz pan się o tym przekona.

Grzebała nerwowo w torebce, wyciągając z niej jakieś dziwne przedmioty. Już nawet nie pamiętam dokładnie, co tam było – jakieś kartki, ołówki, jedwabne chusteczki, długopisy, perfumy, szminki... – w końcu wysypała zawartość torebki na stolik. Robiła to wszystko, nie przerywając mówienia.

– Zawsze chciałam pana poznać, ale nigdy nie myślałam, że spotkamy się ot tak, przypadkowo... przepraszam, nawet się nie przedstawiłam!

Przedstawiła się, nie patrząc na mnie i wypowiadając tylko swoje imię; było to imię bohaterki mojej najnowszej powieści, jeszcze niedokończonej powieści, z którą zmagam się od co najmniej pięciu lat.

Pod stertą drobiazgów znalazła szarą, pomietaną kopertę. Zaśmiała się i wyciągnęła w moim kierunku rękę z listem.

– Proszę, niech pan zajrzy do środka.

– Przepraszam, teraz znowu ja... powinienem był się...

– Nie musi pan się przedstawiać. Chyba nie myśli pan, że przysiadłabym się do kogoś nieznanego ot tak, jakby... – przerwała, zgarniając ze stolika swoje rupiecie z powrotem do torebki. Butelka z perfumami rozbiła się z hukiem na kamiennej posadzce ogródka kawiarni. Zapach rozniósł się w powietrzu, informując panie przy sąsiednim stoliku, że był to Caron Poivre – jeden z najdroższych zapachów świata.

– *Cazzo* – zaklęła dziewczyna.

Kobiety przy stoliku obok znieruchomiały i przyglądały się jej zdecydowanie nieprzychylnie. Dziewczyna zebrała kawałki wonnego szkła, mruczając coś niezrozumiałe pod nosem, i ułożyła je na stoliku, tuż obok wazonika z kwiatami.

– Nic takiego, przepraszam – rzuciła wzrokiem na wyraźnie zde gustowane panie, po czym przesunęła się z krzesłem bliżej mnie.

– No, niech pan zajrzy do środka.

Otworzyłem kopertę. Było w niej podniszczone, kolorowe, nieco wypłowiałe zdjęcie, na którym widniałem ja wraz z moim przyjacielem sprzed lat. Siedzieliśmy obaj na zielonej ławeczce, której już nie ma, a która wtedy stała przy wejściu

bocznym do Teatru Polskiego. Zdjęcie sprzed wielu lat. Z lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Zaniemówiłem. Spojrzałem na dziewczynę. Uśmiechnęła się do mnie, po czym spuściła głowę, wycierając nos jedwabną chusteczką. Zapadła cisza; cisza, która trwała tak długo, że w pewnym momencie było jasne, że już dłużej trwać nie powinna.

– To jest...

– Tak, to mój ojciec – przerwała mi, wycierając chusteczką wyraźnie cisnące się do oczu łzy. – Ciągłe o panu opowiadał. Zmarł trzy tygodnie temu. Dlatego tu jestem. Przyjechałam na pogrzeb, no i...

– Przykro mi.

Przyglądałem się jej z uwagą. Rzeczywiście podobna do ojca – te same błękitne oczy, ten sam nos. Z profilu jednak w ogóle ojca nie przypominała. Patrzyła gdzieś w przestrzeń, jakby przez chwilę nieobecna... może zamyślona, a może to była jej forma zwrócenia na siebie szczególnej uwagi?

– Podobna jestem do ojca, co? Niektórzy od razu zwracają na to uwagę. Oczy i nos, nie sądzi pan?

– Tak. Zwłaszcza oczy – przytaknąłem.

– Przenikliwe, co? – spojrzała na mnie, jej twarz wykrzywiła się nagle i... kichnęła.

– Na zdrowie.

– Przepraszam. To nie covid. Katar sienny. Pewnie po ojcu... u nas w rodzinie wszyscy na to cierpią.

Wyciągnęła z torebki drugą jedwabną chusteczkę i (dyskretnie i z gracją) wytarła w nią nos.

– Z pewnością chciałby pan wiedzieć, jak umarł? – i nie czekając na moją odpowiedź, kontynuowała: – Bez bólu. Po prostu nie obudził się któregoś ranka. A zdrowy był jak... no nic, to już pewnie tak mu było pisane – powiedziała to wszystko prawie na jednym oddechu.

Czułem, że zbiera mi się na kichnięcie. Starałem się powstrzymać, zaciskając dyskretnie nos palcami. Nie udało się.

– Na zdrowie – roześmiała się, wyciągając kolejną jedwabną chusteczkę z torebki. – Proszę. Też sienny? To jakaś wasza pokoleniowa dolegliwość.

– Nie, to ten zapach. Cały rynek pachnie Poivre Caron.

Kobiety przy sąsiednim stoliku gapiły się na nas już całkiem jawnie i bezczelnie aż do momentu, kiedy kelnerka postawiła przed nimi filiżanki z kawą i wyraźnie „zmęczony” wpływem czasu sernik wiedeński. Po chwili podeszła do naszego stolika i bez słowa zgarnęła na tackę resztki potłuczonej butelki po perfumach.

– Po co pani tyle chusteczek? – zapytałem, przyglądając się kobietom, które właśnie „emigrowały” wraz z kawą i sernikiem do najbardziej oddalonego od nas stolika. Dziewczyna podążyła za moim wzrokiem.

– Co one tak...? Czy ja coś może...?

– Nie. Chyba ten zapach perfum je poirytował. No i same perfumy – nie każdego stać na Poivre Caron.

– Mnie stać. Rodzice zamożni, a ja rozpieszczona jedynaczka, wie pan, jak to jest... a chusteczki, żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie, to śmieszna historia. Biorę udział w warsztatach plastycznych, tu w jakimś tam klubie... taki międzynarodowy *workshop* – sami studenci spoza Polski. Hindusi, Szkoci, dwoje Japończyków, Niemiec z Kiel i chyba dziewczyna z Brazylii czy Argentyny, no i ja, Włoszka, sama nie wiem... Wszyscy studiuje nauki polityczne, a tu jesteśmy na stypendium. Warsztaty polegają na tym, że podzielono nas na dwie grupy i rozdano nam jedwabne chusteczki, ogromne ilości jedwabnych chusteczek. Moją grupę wyposażono w białe, a drugą grupę w czerwone. Mamy wspólnie skomponować do czwartku – tak, chyba do czwartku – „obraz przestrzenny”. Przyznam się panu, że nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale tak to nasz opiekun nazywa. Ten obraz ma reprezentować nasze zbiorowe wrażenia o Polsce. Mamy do dyspozycji ogromną przestrzeń... naprawdę imponujące miejsce; to chyba jakieś stare hale produkcyjne, a może stara zajezdnia tramwajowa, bo pełno tam starych szyn w podłodze.

– I czemu to ma służyć?

– Nie wiem, to w ramach tego stypendium. Na zakończenie. Fajnie się z tymi ludźmi spędza czas. Przyjdzie pan zobaczyć? Otwarcie w sobotę o osiemnastej. Zapraszam. Potem mały bankiet na zakończenie.

– I to będzie białe-czerwone? – sam nie wiem, dlaczego to pytanie wyrwało się z moich ust, chyba jakoś tak samo z siebie, bez kontroli, bo zanim skończyłem je wypowiadać, usłyszałem jego trywialność.

– No tak. Dali nam białe i czerwone chusteczki. Nic innego. Chusteczki, salę i temat: „Jak widzisz Polskę”.

– Bardzo panią przepraszam, ale coś mi się tu nie zgadza. Powiedziała pani chwilę temu, że przyjechała pani na pogrzeb ojca, a teraz, że na stypendium. No to jak to jest?

Spojrzała na mnie tak, jakby nie zrozumiała pytania. Po chwili delikatny uśmiech pojawił się na jej twarzy.

– No tak, przepraszam, mama mnie ciągle strofuje, że mówię chaotycznie. Na stypendium przyjechałam do Gdańska, potem byłam w Lublinie, potem na uniwersytecie w Poznaniu... przyjechałam do Wrocławia na pogrzeb ojca,

a ostatni etap tego programu stypendialnego odbywa się właśnie tutaj. Więc jestem tutaj.

– Aha. Rozumiem.

Nic nie rozumiałem. Odkryłem w sobie kielkującą podejrzliwość. Nie podjąłem tematu warsztatu, bo sam pomysł był dla mnie tak nikczemnie głupi, że nie byłbym w stanie powstrzymać się od złośliwych komentarzy i użycia niezbyt cenzuralnych słów. A przecież nie wypadało mi gasić entuzjazmu córce świeżo zmarłego przyjaciela. Gdyby nie ewidentne podobieństwo dziewczyny do ojca, gdyby nie zdjęcie, które ciągle leżało tuż obok mojej filizanki z zimną kawą, byłbym już dawno przerwał tę rozmowę i poszedł do domu, by skończyć pisanie tego właśnie tekstu. Coś jednak kazało mi zostać. Może to, że nie zapłaciłem rachunku, o który nawet jeszcze nie poprosiłem, więc musiałem czekać na kelnerkę; albo może to, że nie spojrzałem na zegarek, by wykrzyknąć w panice: „Boże, spóźniłem się. Mam ważne spotkanie. Pani mi wybaczyć”. Ale nic takiego nie przyszło mi wtedy do głowy.

Pochyliła się nad stolikiem, wzięła do ręki zdjęcie, schowała je do torebki i powiedziała prawie szeptem:

– Ojciec na pana donosił. Wiedział pan o tym, co?

Spojrzałem jej prosto w oczy. Patrzyła na mnie swym przenikliwym błękitem. Uśmiechała się. Oczywiście wiedziałem, że donosił. Wszyscy wiedzieliśmy. Ale skąd ona o tym wiedziała? Chyba jej takich historii nie opowiadał, bo po co? Donosił, bo taką wtedy pełnił funkcję i takie miał zadanie. Był tajnym agentem SB, ale to nam jakoś nie przeszkadzało; wtedy wszyscy coś udawali, a on nie wiedział, że my byliśmy pewni, że on nie wiedział, że my wiedzieliśmy. I jakoś to było – taka przedziwna symbioza. Po latach przekonałem się, że to jego donosicielstwo stanowiło dla wielu doskonałą ochronę, bo donosił selektywnie. W swoich raportach pisał brednie, filozoficzne refleksje, nieistotne fakty, które nikogo w żaden sposób nie obciążały. A wszystko to wspaniała literatura, znakomity styl – wspaniałe eseje socjologiczne i portrety psychologiczne wielu znanych artystów. Wiem o tym, bo po latach dotarłem do tych jego dzieł. To była naprawdę fascynująca lektura. Wiłem się ze śmiechu na samą myśl, jak jego mocodawcy musieli głowić się nad tymi wspaniałymi „nowelami”. Przyznam się, że czułem niekiedy zazdrość, że ci tam, oficerowie bezpieki, czytali te arcydzieła przede mną, że my nie mieliśmy wtedy dostępu do tak znakomitej literatury; oni mieli – i to za darmo. Teczka z jego donosami to niezwykle dzieło w kilku tomach – mądre, błyskotliwe, pisane wyszukaną polszczyzną. Żadnemu ze znanych mi wtedy dziennikarzy nie udało się stworzyć pełniejszego portretu zbiorowego wrocławskich artystów i ludzi kultury niż jemu. Pisał przychylnie

i z empatią nawet o tych, którzy donosili na niego – w końcu nie był w tym środowisku jedynym współpracownikiem tajnych służb. Naprawdę wielki talent, a przy tym wrażliwy i pocciwy człowiek. Myślę, że w wielu przypadkach był o wiele bardziej ludzki niż ci, których portrety tworzył w swoich raportach.

– Zupełnie się z panem zgadzam – odezwała się nagle dziewczyna.

– Słucham? – spojrzałem na nią, nie wiedząc, czy weszła mi w myśl przypadkowo, czy może...

– Zgadzam się z panem. To był wspaniały człowiek... i nie weszłam panu w żadną myśl. Jestem częścią pańskiej myśli. Teraz zastanawia się pan nad tym, co dalej zrobić z tym artykułem. Termin mija pojutrze, a pan zamiast pisać o latach siedemdziesiątych, zajmuje się esbeckim przyjacielem z dawnych lat i jego córką, której najchętniej by się pan pozbył. No ale już za późno. Już jestem tutaj wraz ze swoim cennym zapachem, który niesie się po rynku i... no, już mnie się z tego tekstu wykreślić nie da.

– Co pani... pani zwariowała, czy co? Co pani... – chyba po raz pierwszy w życiu zacząłem się jąkać.

– Jak może się pan jąkać na papierze. Przecież pan to pisze, a nie wypowiada – wyrzuciła to z siebie jakimś dziwnym, piskliwym tonem. Po chwili dodała już na spokojnie i z uśmiechem:

– No dobrze już, dobrze. To był niezły pomysł z tym brakiem imion.

– O czym pani mówi? Jakich znowu imion?

– No, że ten artykuł o tych ludziach będzie czytelny, przejrzysty, opisujący środowisko artystyczne Wrocławia lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku... ale bez imion. Tak jak w pańskiej powieści, którą pisze pan od lat, wymieniając tylko moje imię. Jest w niej całe mnóstwo ciekawych postaci, ale odarł je pan z imion. Wszyscy są bezimienni...

Patrzyłem na nią z otwartymi ustami; naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem, rozglądając się dokoła. Kelnerki nie było w ogródku, by mnie wybawić, kobiety, które przeniosły się do najdalszego stolika, dłużyły łyczeczkami w wiedeńskim serniku i przeżuwały w milczeniu przedwczorajsze ciasto. Przez chwilę miałem wrażenie, że śnię albo że mnie tam po prostu nie było, że się „gubię w zeznaniach” albo że moja wyobraźnia sięgnęła szczytów konfabulacji.

– Ojciec napisał w jednym ze swoich donosów, że jest pan bezużytecznym źródłem informacji z powodu – jak on to ujął – „patologicznej tendencji do konfabulacji”.

– Tak napisał? – wymamrotałem pod nosem. Rzeczywiście tak napisał. Przecież pamiętam. A w innym miejscu nawet dodał...

– ...że ta skłonność do konfabulacji jest, w pana przypadku, wyrazem niezwykłej wrażliwości artystycznej – dokończyła moją myśl.

– No nie, już, już. Dalej już nie mogę. Aczkolwiek... Dosyć. Proszę. Niech pani przestanie mówić.

Dziewczyna jednak mówiła; mówiła z coraz to większym zaangażowaniem i determinacją, jakby bała się, że nagle zniknę, a ona nie zdąży wyrzucić z siebie moich myśli.

– Dlaczego nie używa pan imion ludzi, o których pan pisze?

– Bo nie jestem donosicielem! – krzyknąłem z całą pewnością za głośno, bo panie przy stoliku po przeciwnej stronie ogródka spojrzały na nas z wyraźnym oburzeniem.

Dziewczyna wzięła do ręki telefon i patrząc mi prosto w oczy, zapytała:

– Wybaczyl mu pan?

– Co?

Chciałem wstać i uciec... natychmiast... choćby nie płacąc rachunku, byle teraz. Ale zaczął padać rzęsy deszcz, a ja nie miałem przy sobie parasola.

– No, wybaczyl mu pan?

– Takich rzeczy się nie wybaczają, co najwyżej puszcza się je w niepamięć – odparłem, rozglądając się nerwowo za kelnerką.

– Niech pan jeszcze posiedzi. Bardzo pana o to proszę – powiedziała prawie błagalnym tonem – przecież jeszcze nie usłyszał pan pytania, które sam pan chciał, bym mu zadała.

– Pytania? Jakiego znowuż pytania?

– Różnica między mną a bohaterką pańskiej niedokończzonej książki polega na tym, że ona uciekła panu z narracji, a ja wtargnęłam do tego właśnie artykułu, zamieniając go w jakąś historię o czymś, co się nigdy nie zdarzyło... A może to wszystko się jednak zdarzyło...? A może zdarza się w tej właśnie chwili? Pan jej szuka, przeczesując w popłochu mapę własnej podświadomości, a ja tymczasem...

– Jakie to pytanie pani przypisałem? – wycedziłem przez zęby.

Dziewczyna spojrzała na kobiety, które natychmiast wróciły do swoich serników, ukrywając w nich nieudolnie własną wścibskość. Odebrała telefon, który właśnie zadzwonił, i nie odrywając wzroku od kobiet, słuchała.

– Zaraz będę. Tak? Rozumiem. Okej.

Wyłączyła telefon, wzięła do ręki kopertę ze zdjęciem, schowała ją do torebki i pochyliła się nad blatem stolika.

– Piszę właśnie artykuł dla studenckiego czasopisma na temat upadku komunizmu. Chciałam zadać panu jedno tylko, ale złożone pytanie.

– Nie wiem, czy ja...

– Niech pan słucha. Jeszcze go przecież nie zadałam.

Uniosła głowę, przecesała dłonią włosy i przyglądała mi się wnikliwie przez

dłuższą chwilę. Miałem wrażenie, że zastanawiała się, czy w ogóle zadać mi to pytanie, które, jako swego rodzaju bohaterce tego opowiadania, sam jej wcisnąłem w usta.

– Spotkałam się z wieloma ludźmi, którzy twierdzą, że w Polsce obalono komunizm. Ale przecież w Polsce komunizmu oficjalnie nigdy nie było – powiedziała po chwili.

– Jak to nie było? Co pani mówi?

– Przecież Polska była jedynym krajem bloku wschodniego, w którym nie było partii komunistycznej. Obowiązywał system wielopartyjny; władza była w rękach trzech ugrupowań, które tworzyły silną koalicję, ale każde z nich miało swój osobny status, osobne władze, a w parlamencie zasiadali również posłowie niezależni. Co prawda w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku powstała Komunistyczna Partia Polski, ale była partią nielegalną, działała przecież w podziemiu. Można by więc zaryzykować stwierdzenie, że w Polsce partia komunistyczna była zakazana. Działalność tej partii zalegalizowano dopiero po „upadku komunizmu”, którego formalnie przecież nie było, bo było coś, co się nazywało „dyktaturą proletariatu”. Z pewnością gdzieś się tu mylę, ale nie uważa pan, że dla mojego pokolenia, które nie doświadczyło tego, czego doświadczył mój ojciec czy pan, jest to trudne do zrozumienia? My mamy inne punkty odniesienia. Znamy to, co jest, a to, co było, to dla nas jednak fikcja, literatura. A według tej literatury to wtedy, z formalnego punktu widzenia, było tak, jak jest teraz. Tylko władza działa teraz nieco inaczej, bo tamta wtedy była trochę inna; poza tym inne sojusze międzynarodowe, inne warunki ekonomiczne... ale to się przecież ciągle zmienia, co kilka pokoleń. To po co było obalać coś, co trzeba teraz z powrotem tworzyć na nowo? Według mnie coś tam obalono, ale z pewnością nie komunizm, bo komunizmu po prostu nigdy nie było.

Patrzyłem na dziewczynę, na jej piękne lśniące włosy; przyglądałem się jej dłoniom, które bawiły się smartfonem jak kostką Rubika.

– Był, proszę pani, był! Jeśli pani ocenia rzeczywistość na podstawie nazw, propagandowych sloganów i ideologicznych etykietek, nigdy nie dotrze pani do istoty rzeczy.

Spojrzała na telefon i zerwała się z miejsca.

– Boże, spóźniłam się. Mam ważne spotkanie. Pan mi wybacz – zacytowała moją wcześniejszą myśl, po czym dodała: – Spotykam się z wujkiem na Solnym. A jeśli chodzi o rzeczywistość, to ja jej nie oceniam. Ja jestem nią.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę placu Solnego. Patrzyłem za nią, dopóki nie zlała się z tłumem turystów.

Deszcz ustał, a ja ciągle siedziałem przy pustym stoliku, w opuszczonym już przez „wścibskie kobiety” ogródku kultowej wrocławskiej kawiarni, tonąc w aromacie drogich perfum. Słońce rozpychało się leniwie między chmurami. Na oparciu jednego z krzeseł usiadł szary wróbel i patrzył na mnie z politowaniem. Takie przynajmniej odnosiłem wrażenie.

Czekałem na kelnerkę, która zbierała rozgrzebane na talerzykach resztki zmęczonego wiedeńskiego sernika, aż tu nagle nad moją głową usłyszałem znajomy głos.

– Cześć. Co ty tu robisz?

Był to brat mojego przyjaciela, wujek dziewczyny. Podeszedł do mnie, płosząc przy tym wróbla, który jednym susem przeskoczył na sąsiedni stół.

– Cześć. Chyba się mineliście. Poszła, dosłownie przed chwilą, w stronę Solnego – zakomunikowałem, grzebiąc w portfelu.

– Mogę?

– Proszę, siadaj.

Przysunąłem do stołu zwolnione przez wróbla krzesło.

– Kto poszedł? Gdzie?

– No, ta twoja siostrzenica...

– Siostrzenica? Ja nie mam żadnej siostrzenicy. Chyba coś ci się popieprzyło – zarechotał w charakterystyczny dla siebie sposób; wyglądało to, jakby się dusił, po czym zawsze chrząkał.

– No i najszczerze wyrazy współczucia. Naprawdę nie wiedziałem. Zresztą i tak bym nie mógł być na pogrzebie, bo dopiero wczoraj wróciłem z Londynu – kontynuowałem.

Zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, co powiedział.

– Jak to nie masz siostrzenicy? Przecież przed chwilą tu była i poszła tam – oznajmiłem, wskazując ręką na szklaną fontannę.

– Chyba cię pojechało. O czym ty mówisz? Jaki pogrzeb?

– Twojego brata. Dwa tygodnie temu? Jego córka tu była i...

– Mój brat zginął w wypadku samochodowym dwanaście lat temu w Rzymie. Co ty pieprzysz? Nigdy nie miał dzieci. Zawsze był kawalerem. Czy ty przypadkiem nie tego...? Mierzyłeś gorączkę? Może to covid? Szczepiłeś się?

Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Patrzył na mnie z nieukrywaną troską, a wróbel pod stołem chichotał zamiast niego.

– Może wezwać karetkę? Kelner!?

– Nic, nic... już dobrze. Zostaw to... coś mi się pomieszało... sam nie wiem... przepraszam... już w porządku... – bełkotałem, przyglądając się wróblowi, który odkrywszy na stoliku wścibskich dam nieposprzątane okruchy wiedeńskiego

sernika, zajął się nimi w pośpiechu, jednocześnie mrugając do mnie swym filuternym okiem.

Zrobiło się cicho. Siedzieliśmy tak obaj, milcząc przez wieki; ja milczałem, bo nie miałem już nic do powiedzenia, a on milczał ze strachu. Bał się o mnie. Po dłuższej chwili przerwał tę ciszę i ledwo słyszalnym głosem zapytał:

– Co tu tak pachnie?

– Caron Poivre – wyszeptałem.

© *Bogdan Koca, Wrocław, 30.10.2022*



Andrzej Paluchiewicz, *Autoportret*, 1972 (czyt. s. 198)

Staw

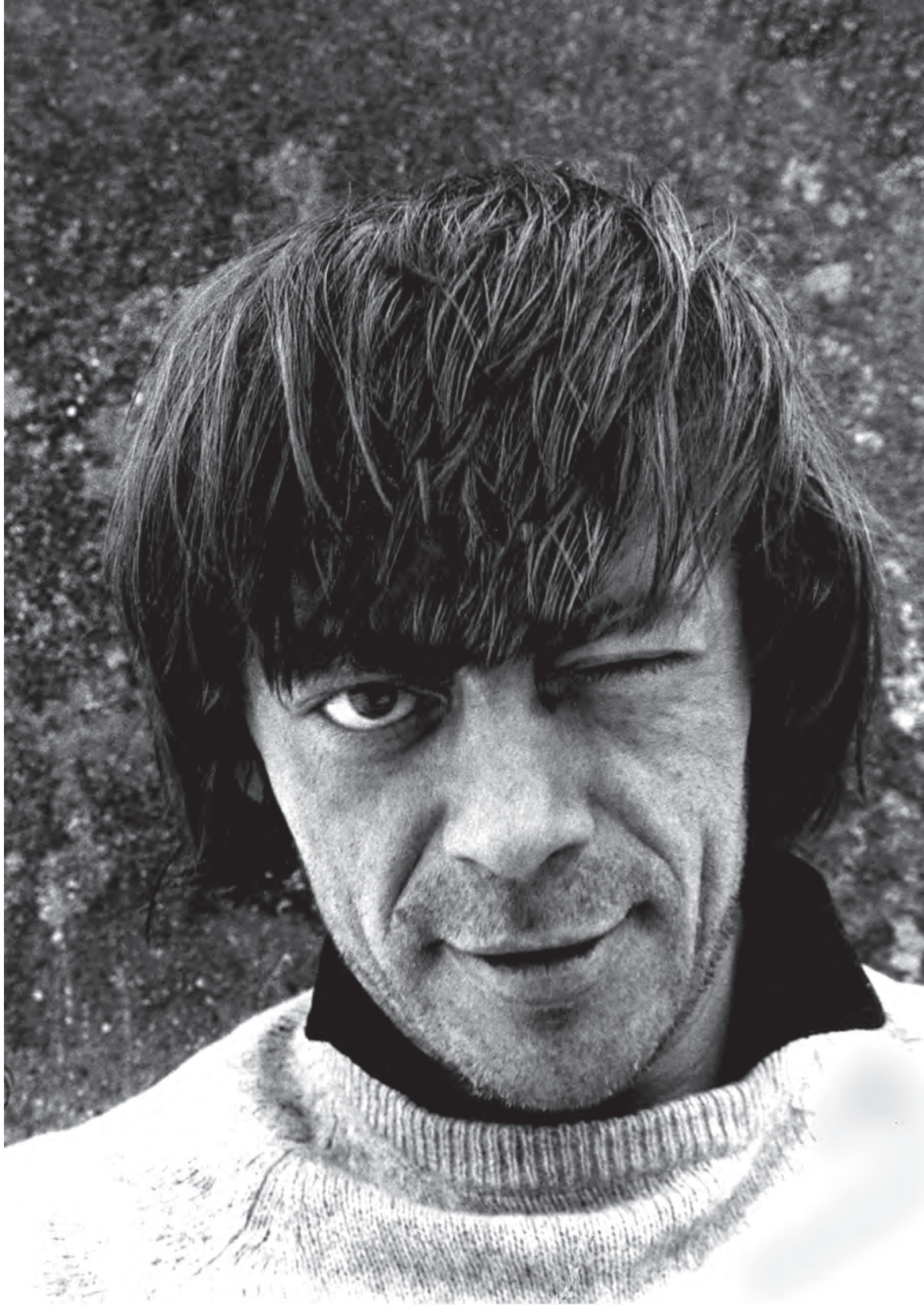
Właściwie dopiero od Z. dowiedzieliśmy się, że nasz staw jest również stawem. Pewnego ranka przechodząc nieopodal, Z. schylił się i ręką odgarnął to, co dotąd braliśmy za zgubiony zielony ręcznik.

– O! – powiedzieliśmy i spojrzeliśmy z nadzieją na miękkie krople i roztańczone na kształt fontanny traski. Z. patrzył już jednak wyłącznie na niewielkie lusterko wody. Patrzył długo, a potem wyjął z kieszeni stalową suwmiarkę, zmierzył poziom wody, pokiwał głową i poszedł gdzieś. Wrócił po chwili z dużym niebieskim czajnikiem. Lał uważnie wodę do stawu, starając się trafić dzióbkiem w sam środek zagłębienia.

Od tego dnia Z. można było spotkać tylko nad stawem. Skonstruował skomplikowany system nawadniania, składający się z miękkich gumowych rurek i uruchomiany przy pomocy pompki od roweru. W dni deszczowe łączył kunsztownie konewki z latawcami, w czasie suszy korzystał z pomocy wycieraczek samochodowych i walca.

Z biegiem lat poziom wody w stawie nieznacznie, ale podnosił się. Zmieniał się i rósł również Z.

Aż pewnej nocy... Nazajutrz staliśmy pod wielkim zamkiem, przed nami rozciągała się błękitna tafla ogromnego jeziora. Bałam się spojrzeć w górę. Wieże przypominały w rysunku kształt kapelusza Z., blanki miały kolor jego płaszcza, nie mówiąc o złocisto-purpurowym pióropuszu zatkniętym na dachu, który od czasu do czasu jakby do nas mrugał.



Andrzej Paluchiewicz, *Ryszard Cieślak*, 1972 (czyt. s. 198)

Między panem, wójtem, plebanem i Barbarellą, czyli „Myśmy wszystko zapomnieli”

Książce Radka Raka (chyba jednak Radosława, skoro opublikował ją, wkraczając w wiek chrystusowy) „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” wyróżnionej w 2020 roku Nagrodą Literacką Nike nie sposób odmówić wartości literackiej, a nawet – szczególnie w warstwie językowej – pewnego rodzaju przebojowości, którą trafiła w czytelnicze (i jurorskie) gusta. Co prawda drogę na rynek księgarski przetarli jej niewiele wcześniej „Galicyanie” Stanisława Aleksandra Nowaka (Nagroda Literacka m.st. Warszawy 2017 oraz finał LNEŚ Angelus), tekst o podobnej formie, a z pewnością dotyczący tego samego obszaru geograficznego (i kulturowego). Obie pozycje uznano za powieści, choć, w rzeczy samej, są zbiorem powiązanych ze sobą opowiadań. O książkach pisano, że *rozmachem onieśmielają czytelników i zawstydzają pisarską konkurencję. Zachwyca [w nich] język, zachwycają opisy przyrody, intrygują główni bohaterowie. Nie ma cienia wątpliwości, że to najambitniejsze projekty literackie tej dekady.*

Nie bez powodu w tytule mojego tekstu pojawia się cytat z „Wesela” Wyspiańskiego dotyczący rzezi galicyjskiej (którą przywołuje książka Raka), ale nie chodzi tu o przypomnienie rabacji 1846. Chodzi o zapomniane pozycje naszej rodzimej literatury, które niezaprzeczalnie utorowały drogę Radosławowi Rakowi i Stanisławowi Aleksandrowi Nowakowi. I nie myślę tu o Tadeuszu Nowaku i Edwardzie Redlińskim.

Jeśli literatura nie odciśnie się na swoim czasie (czasie powstawania) odpowiednio mocno, marna szansa, by powróciła po latach, budząc zainteresowanie choćby garstki czytających. Dlatego owa marna szansa dotknęła Rembeka czy Bobkowskiego, choć Gombrowicz i Witkacy mają swoje pięć minut, które rozciąga się ponad miarę. Ale Witkacy i Gombrowicz odciśnели się na swoim czasie

(czasie powstania), przynajmniej w środowisku artystycznej bohemy, która nie potrafiła o nich nigdy zapomnieć.

Trudno zatem liczyć na comeback pisarza, o którym mało kto w ogóle słyszał, a wręcz – jak się zdaje – nie słyszał nikt. A zwał się on Józef Ozga Michalski. Może jedynie miłośnicy filmu mogą kojarzyć go z zapomnianym obrazem „Sowizdrzał świętokrzyski”, zapomnianym jak jego reżyser, Henryk Kluba, który zawsze pozostawał w cieniu innych, choć tworzył dzieła niebanalne, przepojone wyjątkową poetyką i indywidualnym artystyzmem.

Scenariusz wspomnianego „Sowizdrzała świętokrzyskiego” powstał na podstawie powieści o tym samym tytule napisanej przez Józefa Ozgę Michalskiego. W obsadzie filmu gwiazdy: Olgierd Łukaszewicz i Beata Tyszkiewicz. Trudno jednak nie dostrzec, że na dzieło zabrakło środków finansowych, a może również czasu, skoro kluczowe sceny, ocierające się o fantastykę, tchną wonią kleju i cynfolii. Prawdę mówiąc, owa woń nie przeszkadzała powstałej dziesięć lat wcześniej Vadimowskiej „Barbarelli”, choć zapewne tam mieli lepszy klej i mocniejszą cynfolię. Ciekawe, że te dwie wizje dużo ze sobą łączy, a głównie cud wyobraźni i... frywolność. Tak, dziełko Klubu powstałe u schyłku Peerelu (1978) posiada zaskakujący ładunek zmysłowości. Ale jak mogłoby być inaczej, skoro tym właśnie duchem przepojona jest proza Józefa Ozgi Michalskiego.

Dlaczego zatem, skoro twórczość tego autora ma tak mocną kartę, on sam nie był wymieniany wśród najlepszych pisarzy swojego czasu? Z banalnej przyczyny: po prostu nie potrafił zapanować nad wyobraźnią – przekraczając często ówczesną granicę dobrego smaku – i powściągnąć karkołomnych (niestrawnych w tamtych latach) eksperymentów językowych. To było nie do przełknięcia dla czytelników i krytyki, a nikt nie mógł przecież przypuszczać, że pięćdziesiąt lat później „Galicianie” i „Baśń o węzowym sercu”, pisane z podobną odwagą i swadą, zachwycą absolutnie wszystkich. Dlaczego jednak wtedy zabrakło przywołujących do rozsądku surowych redaktorów, którzy przygotowaliby z tej prozy produkt łatwy do konsumpcji w tamtych czasach? Dlatego, że drukowano wszystko, co Józef Ozga Michalski napisał. Działo się tak z prostej przyczyny: autor przez szereg lat zasiadał w ławach sejmu Polski Ludowej i – o ile się nie mylę – pełnił w jednej kadencji nawet funkcję wicemarszałka. Dlatego drukowano bez mrugnięcia okiem każde jego dzieło. I wspaniale, skoro – powtarzając za Ernestem Sabato – twórca to przede wszystkim ktoś skłonny do przesady. A tę cechę omawiany autor z pewnością posiadał.

Szukając podobieństw w twórczości Józefa Ozgi Michalskiego oraz Radosława Raka i Stanisława A. Nowaka, na pierwszym miejscu jest niewątpliwie miłość do opisywanych obszarów, gdzie rozgrywają się fabuły książek. W przypadku

Michalskiego chodzi o region świętokrzyski. Niezmiennie akcję swoich powieści umiejscawiał właśnie tam, posługując się znakomitą orientacją w topografii i historii tej okolicy. Poza tym nieprzypadkowo tytuł mojego tekstu nawiązuje do utworu Mikołaja Reja. Pleban, Wójt i Pan to postacie kluczowe w snutych przez Ozgę Michalskiego opowieściach. Choć nie sposób pominąć pełnokrwistych kobiet, których na kartach jego książek nie brakuje (stąd owa Barbarella).

Zdaje się, że z tego, co zostało wyżej napisane, można by sądzić, iż mowa tu będzie o wspomnianym na początku „Sowizdrzale Świętokrzyskim”. Nic bardziej mylnego. Chodzi o inną powieść Józefa Ozgi Michalskiego, o książkę, która nosi wcale nie dwuznaczny tytuł „Czary miłosne”.

Jeśli na „Sowizdrzała” trafiłem dzięki filmowi, którego anegdota zainteresowała mnie do tego stopnia, iż poszukałem jej pierwowzoru literackiego, to „Czary miłosne” wpadły mi w rękę zupełnie przypadkowo. Nie przypuszczałem bowiem, że Ozga Michalski cokolwiek poza „Sowizdrzałem” napisał. Czy była to jakaś wyprzedaż księgozbiorów likwidowanych bibliotek, czy może antykwaryczna półka, a może modne ostatnio regały bookcrossingowe ustawione w publicznych miejscach – nie pamiętam. Faktem jest, że nazwisko autora kojarzyłem dobrze, bowiem do „Sowizdrzała” wracałem kilkakrotnie.

Tekst „Czarów miłosnych” powstał o dekadę później, w latach 1977-1981, a wydała go w roku 1984 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Ilustracje piórkiem wykonała związana z wydawnictwem Daria Jeśmanowicz. Są dziwaczne i – podobnie jak tekst książki – sytuują się na cudownej granicy szaleństwa.

Chyba nie miałoby większego sensu wgłębianie się w akcję powieści, która łączy w sobie elementy baśniowe, historie łotrzykowskie, reminiscencje historyczne, a nawet militarne. Autor krąży w niej po rubieżach wielkiej literatury, ocierając się to o Rabelais’go, to o Sienkiewicza, a bywa że i o samego Joyce’a. Oczywiście wszystko dzieje się w obszarze Gór Świętokrzyskich, które zdają się przybierać cechy mitologii jakie znamy z „Tako rzecze Zaratustra” Nietzschego (co nie jest wcale przypadkowym porównaniem). Niemniej spotykamy tu i boginię Kalipso, która więzi w miłosnym łożu bohatera, trafiamy do kozackiej Siczy i kłaniamy się sędziwemu Platonowi dziwnym wtrętem dialogu. Poza tym nie na darmo powieść nosi tytuł „Czary miłosne”. Erotyką przesiąknięta jest bowiem do cna. Ale jest i zdrowy, prosty humor, który stanowi chyba najmocniejszą stronę książki.

Jak napisałem, nie mam zamiaru streszczać fabuły. Kto zainteresowany, z pewnością znajdzie książkę na jakiejś aukcji Allegro. Czytając jednak tekst, podkreślałem ołówkiem nieprawdopodobne językowe fanfaronady, z których część pozwalam sobie poniżej przytoczyć, by uwiarygodnić moje słowa dotyczące utworu.

Na początek rodowód głównego bohatera:

Tego dnia, gdy miał się urodzić Kakus, natura była tak bystrego prowadzenia się i tak lekkiej kondycji, że cokolwiek otarło się o siebie, ulegało zapyleniu (...) I rozpoczynało się wciąż na nowo wielkie rozmnożycielskie spółkowanie, aby na czas wydać odpowiednią ilość ludzi do pracy i rzemiosła wojennego. A i przyroda starała się w tej potrzebie nadążyć. Łasy na owce wilk zadowolił się w tym dniu zgwałceniem suki księżej. Rozbrykany wróbel ośmielał się dogodzić kobyle przez to, że wydziobując spod ogona owies, tak ją podochocił, że pierdnęła na niego i pobiegła szukać ogiera (...) A gdy wyjęto małego Kakusa i ojciec położył go przy matce, noworodek tak był wygłodniały po kąpieli, że wypił z jej piersi wszystko mleko i jeszcze rozglądał się za chrzestną matką. Ta, gdy przyszła i pochyliła się nad nim, aby przygotować go do chrztu, docapnął jej cycki znienacka i nie popuścił, aż ich do cna nie opróżnił.

A następnie coś jak z „Moll Flanders”:

Posłuszna jego woli uchyliła rąbek spódnicy, a komuś, kto by myślał, że jest on tylko zbójem łakomym na skarby tego świata, mogło się wydać, że ujrzał on tam złote drzwi wysadzone klejnotami.

A żeby tego było mało:

Natychmiast poczuł, jak kijek jego zamienił się w leszczynową prężność i bazia mu rozkwitła, jakby w raju, do którego przeszedł przez morze, zamoczywszy tylko nogawki, które schły wyżęte na słońcu. Ona zaś była tak spragniona, jak kobieta, która noc spędziła na modlitwie, a w dzień zadała sobie post suchy.

I znowu coś frywolnego:

– Pchnęłaś go nożem? To grzech!

– A czy nie byłoby grzechem, gdyby on pchnął mnie czymś innym?

Czego dowiadujemy się o pewnej śpiewaczce:

Gdy zaczęła śpiewać, poczuli wszyscy, że wino jej głosu leje się do ich gardeł wprost, pomijając muszle uszów.

Jeszcze o paniach:

Katarzyna spojrzała w oczy dziewczce, krzepkiej o tęgich łydach i utraconej dawno cnocie. Zadarty nos śmiał się z każdej przygody, wydatny brzuch wypinała drapieżnie, a gdy spojrzała się w jej duszę, można było być pewnym, że gdy pan dosiadł w boju ogiera, ona pokładała się w pustym namiocie z jego pacholkiem.

A tu opis innej białogłowy:

Wyglądała jak biała chmura obniżona przez gromy, jak obłok, który skrapia ten ogród. Piersi jej, dwa stożki, strzelały w niebo smuklej niż dwa minarety. Uda jej zanurzały się w kobiercu jak dwie białe łodzie wyrosłe z jednej topoli. Nic nie mogło być wobec jej piękności piękniejsze, ponieważ umysł jej objaśniał wszystko, co spostrzegało się wzajemnie i tworzyło zrozumiałą całość.

Kolejna charakterystyka osoby płci żeńskiej:

Piersi miała jakby w mleku wykąpane. Ujrzał też jej różowe kolana i czarny trójkącik, tam gdzie być powinien.

I dalej w tym guście:

Maciąga uściśnęła raz i drugi dłoń Olgi pod stołem, a wtedy uczył jej kolano przy swoim, tak okrągłe, że zakreśliło mu się w głowie. Uściśnęła przy tym kciuk jego ręki z taką siłą, żeomal nie zdusiła mu wielkiego palca. Odważył się wtedy wyrazić jej swoje uznanie.

– Mieć cię taką do grabki, do spinania pawęża przy sianie, a stodoła dawałaby przychody większe niż dwa kościoły.

– Ty żołnierzyku upatrujesz złotej rybki w strumieniu, a nie wiesz, że ona skoczyła do studni. A na dnie tej studni jest dziura i nie masz dobrego klina, aby dziurę zaczipować.

– Mam ja koguta, odżywiam go czarną jagodą, a on tak jędrnie gra na flecie, że nawet stare kury dostają czerwonych grzebieni i niosą świeże jaja.

Z czym przybywa zbójnik:

– Wie pan, gdy schodzę z gór, to zawsze z wielkim świdrem i trudno babie z gotową dziurą tego nie zauważyć.

A tu w jaki sposób świętokrzyska Kalipso więziła w swoim łożu bohatera:

Pokochał ją jednak i nie mógł nic na to poradzić, aby cztery razy na dobę nie kłaść się z nią do łóżka. Było to ponad miarę jego szlachetnej wyobraźni, ale urzekadło ją taką przemożnością, że igrając z nim, czuł, iż zdobywa piękną łódź na wzburzonym morzu i z więźnia przeobraża się w dowódcę statku, którym steruje. A wtedy ona wywracała się do góry dnem i okrywała go białymi żaglami.

– Trzymaj miecz prosto, abyśmy nie zatonęli, bo zaczaruję cię w maszt i zostaniesz we mnie na zawsze.

Czy Radosław Rak i Stanisław Aleksander Nowak znali „Czary miłosne”, czy – pogrążeni w nieświadomości tego, co było przed nimi – wyważali swoimi książkami już dawno otwarte drzwi?

Nie wiem.

Czy jakiś wydawca odważy się wznowić książki peerelowskiego aparaczyka, Józefa Ozgi Michalskiego?

Nie wiem.

Wiem jednak, że czytając „Sowizdrzała Świętokrzyskiego” – a przede wszystkim „Czary miłosne” – Józefa Ozgi Michalskiego, do ostatniej strony bawiłem się świetnie, czego nie mogę powiedzieć o „Baśni o węzowym sercu” i „Galicyanach”, które już w połowie zaczęły mnie nużyć. A jeśli już miałbym szukać jakiejś współczesnej pozycji, która dorównuje w literackim szaleństwie

zapomnianym „Czarom miłosnym”, to przywołałbym książkę czeskiego autora Petra Stančíka „Młyn do mumii”, która zdobyła odpowiednik polskiej Nike (Magneisia Litera) w roku 2015.



Andrzej Paluchiewicz, Jerzy Grotowski, Brzezinka, 1973 (czyt. s. 198)

Czterysta Dziewięćdziesiąt Dwa

(O „Dniewniku” Waldemara Okonia)

Za słowami kryją się inne słowa
Szekspir

Próba dotyku

„Dniewnik” jako organizm prostopadłościenny o wymiarach długość 20 cm, szerokość 12,5 cm, wysokość 4 cm waży tyle, co owoc z drzewa wiadomości. Bo jest z papieru i to czyni go bezbronnym. Ale wszystko, czym jest, mieści się w jego wnętrzu, do którego potrzebny jest dotyk pozbawiony, dotyk muzyczny. Najlepiej użyć formatu harfy (może być eolska), ale gitara elektryczna też jest odpowiednia, gdy palce Jimiego Hendrixa szarpiają jej druty.

Otwieranie

Intuicyjne i pozbawione regulaminu. Istotny jest zmysł wzroku, który odbiera zaproszenie instant. I nawiązuje relacje. Dobry początek skłania do kontynuacji, która rozgrywa się na łączach i w nieustannym ruchu palców po strunach, które przypominają, że wewnątrz jest utworem na głosy – rodzajem oratorium, które zamienia wokalizy i solówki – nie tylko wokalne, ale i obrazotwórcze. I od regularności relacji powiązanej z dotykiem, wzrokiem oraz oddechem zależy, w jakim stopniu wewnątrz „Dniewnika” zaspokoi ciekawość wizytora i spowoduje, że poczuje się gościem, wobec którego „Dniewnik” na mocy swoich 492 stron odsłoni duszę. „To, co mnie naprawdę interesuje, przepływa przeze mnie mimowolnie. Nie ma twarzy i utrwalonej dzięki materii postaci. Staram się to zrozumieć, albo inaczej: przeniknąć”.

W zakątkach Duszy

Otoczenie z lekko kremowo-białych, prostokątnych płatków, które –po głębszym wejściu – otwierają się jak wachlarz i potrafią odurzyć jak kubistyczny kwiat albo jak worticystyczny wir – wciągnąć, wessać. Lecz „Dniownik” to czuły kwiat, zbyt delikatny, aby zranić przybysza, który podąża za głosem przewodnika, nie zapominając, jak rozległe otacza go wnętrze, którego wystrój kreują słowa prowadzące do wszystkiego, co w jego duszy gra. „Muzyka jest moim kokonem, jestem w środku niej jak owad, który jeszcze się nie wykluł. Słyszę jej głos i wiem, że niedługo do niej dotrę naprawdę”.

Ograniczenie/Powłoka

Czy zamknięcie słowika w klatce powinno wkurzać?

Percepcja jest umiejętnością słyszenia słowika nawet wtedy, gdy jesteśmy ogłuszeni kanonadą fajerwerków. „Dniownik” chce śpiewać, a nawet jeśli nie o muzykę trącą jego struny, to jest słyszalny.

Jest akustyczny.

Generalnie – podejście tradycyjne – w dobrej woli, wobec rzeczy enigmatycznej, jaką jest „Dniownik” – nie powinno ograniczać, albowiem zwalania od obowiązku odpowiedzi na pytania typu: „jak to się je”, „po co te wszystkie zmysły”, „czy wysiłek mi się opłaci”. Nie dziwimy się Kolumbowi, że nie przewidział USA, lądując na Karaibach, przekonany, że odkrył skrót do Indii. Waldemar Okoń nie musi wiedzieć, co z powołanego do życia organizmu – wyrośnie, jakie jego właściwości zostaną wykorzystane – zważywszy, że ukrył duszę w rzeczy samej.

Forma „Dniownika” nie jest adekwatna do jego treści. „Piszę »Dniownik«. Zastępuje mi matkę i ojca, zastępuje pisanie wierszy. Moja poezja jest teraz w nim i czasami jeszcze jej przebłyśk w niektórych tekstach o malarzach”.

Jeżeli koniecznie musimy sprawić sobie orzech do zgryzienia, i dla POCZUCIA BEZPIECZEŃSWTA ORAZ W SUKURS INTELIGENCJI, KTÓRA NAM UMOŻLIWIA, to „Dniownik” uznajmy za artefakt. Uznajmy intensywnie z przekonaniem, że obcujemy z dziełem sztuki. Zwróćcie uwagę, iż dominuje w naszym dochodzeniu wizualna obiektywizacja formy i materii, czyli w grę wchodzi preikonograficzne rozważanie. „Dniownik” jest wizualny, ale bez przesady, nie wystawimy go w galerii i nie zobaczymy w pinakotece. Jego akapity zostały wydrukowane, a przecież są „muzyczne”, słyszalne – a nie widzialne, przy tym – po wydruku

na papierze utraciły pierwotne brzmienie, jakiego im udzielił rodzic, wydobywając z głowy muzykę, której język polski pozwolił zaistnieć w konwencji tekstu (co wcale nie ułatwia kontaktu z duszą, jeno prowadzi do ostrej selekcji, wykluczając przypadkowych przechodniów). „Czasami wydaje mi się, że pisząc »Dniownik« – zwierza się autor – uczestniczę w koncercie na klawiaturę komputera i słowa. Siedzę na scenie z dłońmi złożonymi na klawiszach. Za chwilę rozlegną się pierwsze dźwięki, którymi oczaruję licznie zebraną publiczność”.

Powszechnie akceptowane określenie „książka” jest w obliczu „Dniownika” niestosowne, ponieważ pomniejsza i ogranicza, a nawet dezawuuje. Naraża dobra osobiste autora. To tak jak mówienie „kanapka” o sandwiczu naraża lorda Sandwicza, twórcę. Trywialne i pauperyzujące stwierdzenie „książka” o dziele efemerycznym, lotnym i zmierzającym do plus nieskończoności jest wynikiem mechanizmów rynkowych kształtujących status książki jako towaru. Banał, ale do odświeżenia.

Nastroje wstępne

Możemy (bo nikt nas nie zmusi) uzyskać zaproszenie. Możemy uzyskać subskrypcję i pozwolenie wielokrotnego odwiedzania w dowolnym czasie i terminie. Możemy, bo nie musimy, zakładać białe rękawiczki, aby nasz dotyk nie wywołał dysonansu, nie mącił rytmu percepcji.

A On?

„On” – czyli kto?

Ten, który wszystko może. Ten, który – gdy mu się spodobamy – wyjaśni: „Czytacie teksty człowieka, którego nie ma, który jest wymyślony przez kogoś innego, a ten z kolei przez jeszcze inną osobę i tak bez końca”.

On z „Dniownikiem” może uczynić wszystko, aby tylko spełniał jego fantazje.

On stojąc okrakiem – jak kolos z Rodos – decyduje, kogo wpuścić, a komu dać wilczy bilet, kto w gondoli, a kto boso do dniownikowego zacumuje nabrzeża.

On – od strony pozycji warsztatowej (niby współczesny skryba) jest pisarzem. Nie maszynistą ani kopistą, ani pisarzem urzędowo-dworskim, lecz KIMŚ, kto kokietuje sztuczną inteligencję i drażni algorytmy tekstem niezależnym.

On (czy mu się to podoba, czy nie podoba) jest siewcą dokumentu tekstowego,

który widać na ekranie, lecz efekt jest płaski w dotyku, zimny, zbyt jednostronny, żeby zrozumieć duszę SIEWCY, która jednocześnie sieje i zbiera coś, co „przypomina zwiewny szal, który osuwa się bezszelestnie po nagiej skórze. Płatki śniegu albo, jak u Norwida, niespodziewanie rzuconą w czyjaś twarz wiązaną fiołków”. A zatem szereg myśli domaga się wyjścia z płaszczyzny, aby dostąpić „Dniwnika” w jego 3D i w pełni rozwinąć skrzydła. Sztuczna inteligencja okazuje się predestynowana. „Dniwnik” unika w ten sposób zaszufładowania jako obiekt książką zwany. „Idę do ogrodu, gdzie kilka cieni stara się mnie pocieszyć i uspokoić. Odgarniam je wzrokiem, patrzę poprzez narastającą zieleń. Wypędzone z raju zwierzęta są blisko i nie mają na sobie piętna grzechu pierworodnego”.

Okrycie książkowe „Dniwnika”: w dyskretnym kubistycznym stylu z deseniem graficznym oznajmującym tytuł i personalia autora, uzasadniają kobiecą analogię do KSIĄŻKI. Gdy ujmemy „Dniwnik” w kategoriach conceptualnych, to jego istność jest „nuda” jak prawda. „Stoję nagi – przyznaje Waldemar Okoń – na wprost ściany tekstu. Jestem bezbronny wobec niego, również wobec własnej nagości. Tyle lat doświadczeń, prób i błędów, i dalej jest to samo. Mój słuch jest wyteżony, dotyk nadwrażliwy. Staram się rozpoznać tę ścianę opuszkami palców, bezmyślnie i czule”. Przyjmuje na klatę odpowiedzialność za wizualno-akustyczne przebieranki i estetyczne makijaże. Przyznajmy, że robi to dyskretnie, jak dżentelmen literacki. To, że płeć „Dniwnika” uchodzi za książkę, nie powinno bulwersować. No bo jak ma się ubrać dusza, aby wyjść na świat i polubić ludzi? Pisarz komputerowy tej klasy, którego możemy porównać do sławnego pianisty jazzowego Errolla Garnera, podśpiewuje, pomrukuje, zagaduje w czasie kontaktu z klawiaturą.

Waldemar Okoń wywołuje i powołuje byty intelektualne, a przy tym sugeruje, aby traktować „Dniwnik” zmysłowo z pożądaniem – i obnażać. Papierowy kostium z wydrukowanymi ornamentami w stylu algorytmicznym nadaje się do publicznego obnażania, jak na obiekt conceptualny przystało – o ekspresji poetyckiej (do problemu płci jeszcze wrócimy) wyprowadzanej z głowy na codzienne spacerów w towarzystwie inteligencji kreatywnej w typie artysty melancholika ze skłonnościami do doskonałości, autora rzeczy intelektualnej, którą chce się dzielić, także w życiu pozagrobowym. W ten sposób

„Dniwnik” przejawia cechy *conceptual art* o analogii do programu Romana Opalki, który wyznał: „Jestem przejęty czasem i jego upływem. Idea malowania czasu stała się moim programem, który zostanie zakończony wraz z moją śmiercią”.

„DNIWNIK” *CONCEPTUAL ART OBJECT* o znaczącej sile rażenia i trudnej do przeciwstawienia sile argumentów literackich zakwita w rękach czytelnika jak

origami kwiat. Wbrew pozorom dusza „Dniwnika” chce się ujawnić. Zaproszenie do ujawnienia DUSZY (pod pewnymi warunkami, o których była już mowa) jest spontaniczne i szczere, stawia na bezmyślność serca: „gdyby serce mogło myśleć, przestałoby bić”.

Przewodnik po „Dniwniku” jeszcze się nie ukazał, ale z pewnością nikt nie zastąpi w tej roli Waldemara Okonia. Niby go nie słyszać, a słyszymy, niby go nie widać, ale jak się dobrze przyjrzeć, to pokaże nam swoje ulubione miejsca: „Idziemy nad morze, które należy tylko do nas. Nie ma nazwy. To my jesteśmy jego nazwą”. Oczywiście pewne miejsca wymagają kontekstu, ale jego morza nigdy nie są samotne. To szczególnie łowca mórz i snów. Sny mają do niego słabość i przebywają z nim nawet dłużej – w pewnym sensie lubią mu pozować, a on znajduje czas na dopracowanie szczegółów.

NIBY Książka

„Dniwnik” to literatura auto-faktu. Gdy dobrze się wsłuchać, to pod palcami Okonia brzmi wyznanie reportera z ogrodów własnej duszy. To on jest faktem. Faktem jest jego pisanie. Pisz o sobie samym. Można powiedzieć – jak wszyscy artyści słowa. W tym sensie daje czytelnikowi carte blanche, zwalnia od formalności wizowych, otwiera granice.

REZYGNACJA (kiedy szukamy)

Kiedy szukamy dominium, które określa stan posiadania naszego umysłu, kiedy szukamy możliwości – w trakcie pobytu w „Dniwniku” – jest nam trudno dołączyć (nadażyć?), ale godzimy się, bo słuchanie wcale nas nie męczy, a szukanie przedmiotu naszej ciekawości zostaje zaspokojone i przynosi korzyści, jakbyśmy odkrywali miejsca z dawna nas interesujące lub miejsca, których istnienie przewidywaliśmy lub jeszcze mocniej polubiliśmy: idąc, jadąc, rozmawiając, tańcząc z dniwnikożercą, osobą, która nuci nasze ulubione piosenki wśród pagórków, winnic, miast, wciągając nas na pokład i podróżując przez pełne tajemniczych wysp morza, gdzie wyobrażenia ma swoje dobrze oświetlone miejsca przy suto zastawionym stole, gdzie „łagodne delfiny towarzyszą nam w podróży i duchy ulotnego powietrza są razem z nami na wyciągnięcie błękitnej ręki”. Lecz REZYGNACJA dopytuje. Lecz Chronos coraz głośniejsze chrapie. „Dotykam coraz większej pustki, ta pustka jest we mnie, mogą wypełnić ją już tylko słowa i muzyka, malarstwo gdzieś odeszło, pozostały kolejne setki pustych obrazów”. To nie złożenie broni, żaden

pokój za wszelką cenę ani poddanie. Wyłania się zadanie frasośliwe, godne Rodinowskiego

„Myśliciela”, wielkie, ciężkie jak tona brązu pytanie o sens kierunkowy, o sens docelowy „Dniwnika”.

Blisko mu do bufetu moralisty, który częstuje chlebem i winem i proponuje maski do przymiarki, a gdy to nie zadowala, proponuje REZYGNACJĘ, albowiem wymiana światopoglądu na lepszy model nie leży w gestii moralisty. „Dniwnik” nie ma końca, a zatem nie wiadomo, czy można mu zaufać, zakładając, że czas jego krystalizacji może przekroczyć nasz limit nieśmiertelności. „Naszą nieśmiertelność potwierdzają krzesła i stół z białego drewna i wiklinowe fotele pomalowane przez ciebie na niebiesko. Biel i błękit, to kolory bogów, którzy, o ile wiem, uwielbiają też proste materie i zdrową żywność z pobliskich pól i lasów”.

Jednego serca tak mało, drugiego serca mi trzeba. Bez niego pustka, biel i nicość zagruntowanego płótna: przeczucie ostatniego obrazu. Są zdarzenia krańcowe wprawiające czytelnika w zakłopotanie. „Może nie powinienem o tym pisać – wyznaje autor – »Dniwnik« wymaga jednak ofiar; coraz częściej traktuję go jak żywy organizm, który domaga się pokarmu i picia, pochłania mnie i wypływa, porusza kolejne struny prawdziwych wydarzeń”.

„Do trumny Danusi włożyłem »Jeszcze jeden tom wierszy«. Dziewczynki, kwiaty i rysunki, które miały uchronić ją od śmierci. Mantry wymawiane przez cały czas jej choroby, uwiecznione na kartkach białego papieru” (fragment „Dniwnika” opublikowany w „Formacie Literackim”).

„Nie chcę odchodzić od ciebie dalej niż na linię ciszy
prosisz o deszcz wywołujesz burzę unosimy się lekko lekkością powrotu”¹.

PALCIE DNIWNIK KAŻDEGO DNIA

Palcie „Dniwnik” każdego dnia. Palcie od wschodu do zachodu. A trwóście się! Trwóście się o oczy i o domy wasze, bo nie są ze słów. Nie przytulajcie głowy do papierowych poduszek. Papierowe poduszki są wypełnione płomieniami.

Palcie „Dniwnik” – a nie żałujcie wachlarzy z papieru, nie żałujcie oczu, nie zasłaniajcie uszu! Słuch pragnie pieśni. Uszy lękają się nieruchomego morza skutego lodem.

Palcie „Dniwnik” dopóki ZACHŁANNE OCZY BEZ ZMĘCZENIA. Dopóki widzę „morze, które jest moją duszą i nieustannym pragnieniem”.

1 Waldemar Okoń, *Jeszcze jeden tom wierszy*, AKWEDUKT Oficyna Wydawnicza, Wrocław 2021, s. 60.

„Dniewnik” jest „zaproszeniem do bliskości”². Jest bytem uwolnionym z codzienności specjalnie dla Pań i Panów, którzy mają własne widzimisię i wyłączają telefon w czasie seksu. „Dniewnik” to genetyczny fenomen – „casus Okonia”. Nie tylko Gombrowicz ma swoje „ja”. „Dniewnik” to „ja” Waldemara Okonia! To nowy model „ja” do ćwiczeń z wiwisekcji.

„Dniewnik” to

TABLICE AKUSTYCZNE Z NARRACJĄ NA INSTRUMENT WEWNĘTRZNY

aby zmysły nie przysły w oparach ciężkich dywagacji.

„Dniewnik” należy palić swobodnie, zaciągać się nim, gdy kamień na kamieniu, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień. Palić „Dniewnik” należy z wieczora w pozycji frasobliwej. Niedopałki należy gasić w fontannie di Trevi, aby z trzewi palacza wydobył się ryk rannego łosia.

„Dniewnik” należy palić jak mosty za sobą, aby wyjść na ostatecznego Waldemara Okonia. Wyjść na jego ląd, otrzepując popiół spalonych rękopisów i ksiąg. To spotkanie palaczy opium, gdy „na tarasie po południu pojawiają się dwa cienie. Czekamy na nie bez niepokoju i gniewu. Muszą się pojawić, ponieważ nie jesteśmy do końca bogami”.

Zrozumieć „Dniewnik”

A może polubić bez warunków wstępnych?

Po co grzebać w urnach w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Zrozumieć można zasady termodynamiki. Zrozumieć można smartfon (nawet dziecko kapuje). Zrozumieć, dlaczego sztuczna inteligencja nie nosi skarpetek – oto właściwy kierunek indagacji „Dniewnika”.

Jest istotą życia podtrzymującą na duchu Waldemara Okonia, a to wiele. Dzięki temu, dla nas, to rodzaj poetyckiej transmisji z podróży w towarzystwie kapitana statku, który ma opinię nałogowego palacza i doprowadza abstynentów do intelektualnego harakiri. W jego towarzystwie (za pośrednictwem „Dniewnika”) „nasz film musi się dobrze zakończyć, musi być inaczej niż w życiu. Ale, mówisz, w życiu też miewamy piękne poranki i dobry jest smak wina oraz cień ptaków przelatujących poza oknami. Nasze viole grają jeszcze jeden wielki koncert zapisany na białej kartce, która spadła z parapetu i leży na podłodze tuż pod naszymi stopami”.

2 Cytat z wiersza Apollinaire’a wypowiedziany przez Julię Hartwig w Programie 2 Polskiego Radia, 14 lipca 2022.

Poza tym „Dniewnik” nie jest nachalny. Czyli nie podrywa, nie zadziera, nie wieje, jak kto chce, i nie bierze nóg za pas, gdy płomienie sięgają klawiatury. Płonąca klawiatura Okonia jest jak ten (zrewaloryzowany) Feniks po przejściach, któremu popiół nie przeszkadza w lunchu. Nie narzuca się, tylko wciąga i odrasta. „Tekst, który piszę, też porywa mnie do środka. Jeszcze się przed tym bronię, nie wiem jednak, na jak długo wystarczy mi sił. Pozostanę w nim i już mnie wtedy nigdy nie zobaczycie”.

Wciąga.

A po wciągnięciu jest klaustrofobiczny – nie chce się wychodzić z niego, choćby dla takich chwil: „Najpiękniej było o świcie, kiedy purpurowe wstęgi nagle ożywały poruszane przez wiatr. Budziliśmy się wtedy i patrzyliśmy na biel i błękit niedalekiego morza.

Mówiliśmy o szczęściu i szczęśliwych mieszkańcach mieszkających w odległej krainie na skraju naszej podniszczonej przez czas i historię mapy”.

Strategia Haustu

Kluczowy w strategii „Dniewnika” jest HAUST.

„Dniewnik” składa się z haustów, których bezmiar grozi zachłyśnięciem. Dlatego nie dajmy się uwieść autorowi, kiedy staje się iluzjonistą, abyśmy poczuli moc „haustologii”. Jest w stu procentach autorem obeznanym w estetycznych zachwytach, albowiem „hausty” temu służą, aby się zachwycono. Kurs „haustologii” nikomu nie zaszkodzi – wręcz przeciwnie, pod warunkiem, że nie szukamy w „Dniewniku” pociechy ani recepty na dolegliwości układu pokarmowego. Wszystko, co jest mu przypisane, łącznie z tym, że sam sobie wyjada wnętrzności, jest wynikiem nieuważnej lektury. „Dniewnik” nie znika na naszych oczach. On nie podlega empirii, jak NOL (Niezidentyfikowany Obiekt Latający), a raczej NDL (Niezidentyfikowany Dniewnik Latający). „»Dniewnik« jest moim świętem, pracownice wystukiwanym na klawiaturze, innych nie obchodzę, nie obchodzą mnie inne święta. Z tych słów wynika, że święta są w środku, a my chodzimy wokół nich”.

Ponad to „Dniewnik” inspiruje w piśmie tajemnym.

Jest zanadrze z twarzą
są paginy do których będziesz
wracał są redy nieodkrytych portów
lotne akapity

jest zanadto na sen
który powraca haust za
haustem niczego nie trzeba
zmieniać wszystko nie szkodzi
nawet śmierć z papieru
aby dusza mogła się
ulatniać z niezapowiedzianą wizytą
do kogoś takiego jak ty
messengerze przybyszu z
dniewnikowej czytelnicy znawco
mowy nieuniknionej
dawco „rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć”³.

3 Jakub Skrzypczak, *Zombie, feminizm i rewolucja*, „Format Literacki” nr 3 (2022), s. 143.



Andrzej Paluchiewicz, *R. Cieślak z Księcia niezłomnego*, 1969 (czyt. s. 198)

Przekorna cielesność trwania

Twórczość literacka Andrzeja Saja – krytyka sztuki i fotografii, eseisty oraz poety, przypomina o istnieniu diametralnych interpretacji słowa. Świadectwem tego pozostają najnowsze tomiki wierszy *Oprawa światła* (Wrocław 2020) oraz *Stare zwyczaje Młode nawyki* (Wrocław 2021). Odpowiadają one na pytania stawiane wobec kontekstu doświadczenia życiowego i literatury. Utwory zawarte w tomikach są antropocentryczne wobec rzeczywistości. Liczy się w nich zasada, że to właśnie człowiek jest wpisany w centrum Wszechświata. Zwrócili na to uwagę Urszula M. Benka, pisząca o tomiku *Oprawa światła*, i Roger Piaskowski w eseju zamykającym tomik *Stare zwyczaje Młode nawyki*. Uwypuklili oni osobiste emocje w twórczości Andrzeja Saja oraz skupili się na intelektualnym tronie jego liryki. Poezja tomików to forma autoportretu, który opowiada o emocjach i nosi znamię tradycji intelektualnej: „Nieświadoma młodość i pewna swego, / w dokonaniu, przeżywana starość. / Dwa brzegi tej samej znaczonyj rzeki / wy-jaśniania i po-godzenia” (utwór *Razem*, z tomiku *Stare zwyczaje Młode nawyki*, s. 30). Symbolika antropologii „dwóch brzegów”, młodości i starości, tak rozbudowana zwłaszcza w malarstwie symbolicznym, brzmi w twórczości Andrzeja Saja jako wyzwanie wobec kosmologii platońskiej, zawartej w dialogu *Timajos*. Traktuje on o fizycznym istnieniu ludzkiego pierwiastka we Wszechświecie. Stąd Andrzej Saj mówi: skoro istnieje „nieświadoma młodość”, to także istnieje „przeżywana starość”. Ich ontologiczne trwanie wyznaczają dwie twarze bytu człowieka. Szerzej na ten temat pisze sam autor we wstępie do tomiku *Stare zwyczaje Młode nawyki*.

Urszula M. Benka wprowadza w posłowie do tomiku *Oprawa światła* kategorię „poezji niemożliwej”. Jest to element podziału wszystkich bytów istniejących w słowie – w sensie wertykalnym – na „możliwe” i „niemożliwe”. Mówią o tym strzeliste i smukłe wiersze obu tomików. To także antonimiczne pojęcie horyzontalności poezji, przemieszczającej się poziomo wobec szerszego pojęcia sztuki. Kategoria „poezji niemożliwej” w twórczym dyskursie Andrzeja Saja jest próbą odejścia od utartej ścieżki i wyjściem na szerszy areał graniczący z malarstwem surrealistycznym, rysunkiem czy fotografią. Stan takiej perspektywy

twórczej Urszula M. Benka nazywa „notacją dialogu z samym sobą”. Zdaniem krytyczki, jest to poszukiwanie filozoficznego sensu w literaturze i sztuce współczesnej. Gleba tego poszukiwania pozostaje trudna. Uprawiając sztukę fotografii, artysta natrafia na kłopoty natury formalnej. Zastanawia się, jak wydobyć czarno-białe kolory ze zdjęcia, w dobie unowocześnienia fotografii w nowe nośniki, takie jak komórki, smartfony czy tablety. Idąc tym tropem, należy dodać, że malarz także napotyka na trudności w znalezieniu „prawdziwych” farb, a poeta wierny powołaniu wprowadza słowo na Facebooka i do e-wydawnictwa, traktując wersję papierową tradycyjnych książek jako przeżytek. Pisząc o tym, musimy być świadomi zmian, które zachodzą w świecie Internetu i dotyczą również poezji. Andrzej Saj stan ten nazywa siłą „co czaszki na wskroś rozkuwa / i słowa skutecznie przeciw ciszy daje / ta myśl przekorna cielistości trwania / krwią żyje i serce sobą napawa” (utwór (**ta siła co wysadza kwiaty) z tomiku *Oprawa światła*, s. 30).

Świadomość literacka autora ociera się o wyszukaną parabolę sematycznej chropowatości. W utworze (**obraz taczki w deszczu), kierowanej do C. K. Williamsa, poeta przywołuje językiem wyobraźni przeżyte przez niego kategorie istnienia, takie jak dzieciństwo czy młodość. Znajdują się one za szybą kreatywnej wyobraźni oraz w niedostępnej Norwidowskiej „kropki poezji”:

obraz taczki w deszczu...
ten obraz wyświetla się z tyłu głowy
na ekranie domysłu
żaden malarz nie osiągnie
tej zwinności słowa które wnika
które się w sobie zapada i wyjaśnia
jak śnieg na białym pióropuszu drzewa
jak klocki nocy czarno ułożone
ciasno – wokół spojrzenia
żadne słowo nie zapali tej iskry
biegnącej od oka do dłoni malarza
gdy ten rozplamieni obraz nieba
krążą krople poezji w mżeniu
widzę i płaczę
we łzach czerwieni się litera
na taczce nierozpoznania
(**obraz taczki w deszczu), kierowany do C. K. Williamsa

Tak rozumianą filozofię sensu spotykamy w obu tomikach poety. Zapewne jest to spowodowane głębszą analizą rzeczywistości, którą można by nazwać kategorią szukania siebie w sensie wertykalnym i horyzontalnym. Przykładem pozostaje utwór (***)jakiś wiersz powierzony komuś), będący wykładnią wewnątrz poety, światłem jego duszy, strukturą jego ontologicznej rzeczywistości.

jakiś wiersz powierzony komuś
kiełkuje w ustach; plotka
jakiś wiersz zasiany w nocy
rośnie w macicy : dziecko
jakiś wiersz porzucony na ulicy
zasłuchany w stukot: pochód
jakiś wiersz spętany myślą
jest jak sztylet : trafia w sedno
(***)jakiś wiersz powierzony komuś)

Andrzej Saj w utworze (***)jakiś wiersz powierzony komuś) nacechował własną lirykę aksjologicznie. Upatrując w słowie siłę sprawczą, powołał się na aristotelesowską ontologię dualizmu materii i formy. Samą czynność na rzecz stawiania się rzeczywistości poeta nazwał „wierszem”. Posiada ona otwarte cechy przyczynowe.

Materia utworu to byt rozciągnięty w przestrzeni czasowej: „jakiś wiersz zasiany w nocy / rośnie w macicy : dziecko” i forma jako akt udoskonalający: „jakiś wiersz spętany myślą / jest jak sztylet : trafia w sedno”. W obu przypadkach ontologiczność ociera się o indywidualną materię, o chropowate brzegi istnienia, by stać się „siłą sprawczą” poetyckiej inwencji.

Co jakiś czas – przywołać czas
do spowiednika i rozgrzeszyć
za to wszystko co czynił nam
ale także za to co zaniechał

Co jakiś czas – zmusić czas
by się tłumaczył nam za siebie
że nas traktuje jak niewolnych
którym stale narzuca cel
I stale zabiera cenne chwile
i się marnuje w swym zacięciu

niech się wreszcie zamknie w sobie
ten czas niechętny wobec nas
(***Co jakiś czas – przywołać czas)

Wyobraźnia autora ma w niniejszym utworze strukturę przestrzenną. To, co Urszula M. Benka nazywa „giętką pięciolinią metafor”, staje się wieloznaczną polifonią. Poeta mówi: „zmusić czas / by się tłumaczył nam za siebie / że nas traktuje jak niewolnych / którym stale narzuca cel”. W tej metaforze opisany jest czas jako kategoria przestrzenna. Wybrzmiewa ona jako reguła poetyckiej odwagi mówienia wprost. To ważny element twórczości Andrzeja Saja jako poety. W obu omawianych tomikach dokonuje się bowiem głębsza analiza samego siebie, a słowo nabiera innego, by nie powiedzieć jaskrawego oświelenia.

W utworze (***nie pytaj poety – skąd wiersz) trwa odkrywanie prawdy transcendentnej o „blasku ciemnych słów”. Odbywa się ono wobec perspektywy patrzenia na wszechświat i postrzegania oddzielnych fragmentów życia. Są one dane po to, by codzienności nie zalewała pustka „w księdze skarg i życzeń”:

nie pytaj poety – skąd wiersz
bierze swą siłę i zadziwienie
skąd bije blask ciemnych słów
w jego ognisku rozjarzonych
nie dyktuj stronom pytań
i nie zapisuj odpowiedzi
w księdze skarg i życzeń
gdyby taką podrzucił Bóg
stojący za ladą wieczno-sklepu
z półkami pełnymi tego co jest
niewypowiedziane a tak proste
bo piękno ich jest niewidoczne
nie pytaj dlaczego Bóg
albo owo źródło wszystkiego
bije się o słowa bijące
w sercu poety – gdzie wiersz
tyka jak bomba odbezpieczona
z zapalnikiem bólu doznania
a to znaczy że za tę krawędź
przenika tylko lęk poety
utwór (***nie pytaj poety – skąd wiersz)

Andrzej Saj w twórczości poetyckiej poszukuje własnych algorytmów. Poeta uważa, że jego algorytmy mają nieskończony porządek jasno definiowanych ciągów poetyckich. W ich werbalnym, uduchowionym obrazie tworzą się struktury słowne i przypominają „ocean marzeń”. Poeta mówi o tym w utworze (***)*W karcie urodzenia: pierwszy krzyk*, z cyklu: *W drodze*:

W karcie urodzenia: pierwszy krzyk
bólu na brzegu jego ujawnienia,
potem sen dziecka rozbujany ramionami
matki, która już przed spełnieniem
płynęła wraz po bezmiarze troski,
wprost do oceanu marzeń, gdzie jej syn
będzie królem wód wolności i korsarzem
bogactwa – opromieniony chwałą
zwycięstw nad sobą i nad pokoleniem
takich jak on bezbronnych czcicieli
niemowlęcego kwilenia za mlekiem
i oznakami czułości; którymi się wpisuje
matka w białe pieluchy tej Księgi;
wypełnionej od początku do śmierci
drobnym ściegiem wątlej nitki ust,
złożonej na główce niemowlęcia.

Strofy poetyckie wyraźnie podlegając uproszczeniu, stają się opowieścią o emocjach osobistych: „płynąc po bezmiarze troski, / wprost do oceanu marzeń”, tworzą rozległą przestrzeń bezpośrednich doznań. To, co wydawało się tajemnicą, poprzez ukryte emocje serca, urealnia się w otwartej księdze narodzin „niemowlęcym kwileniem” i „białymi pieluchami”, tworząc fundamentalne i odświeżające sztandary istnienia. Krzyk narodzin to bezapelacyjna przepustka do bycia w istnieniu. To niecierpliwy zachwyt w oczekiwaniu na nowego dziedzica ziemi, postrzeganego w kategoriach osobistych i przestrzennych. Stąd utwór posiada szerszą formułę filozoficzną. Jest rodzajem wykładni paralelizmu, bowiem tożsamość poczętego życia i narodzin wiąże się z filozofią przyjścia. Narodziny człowieka to znak przemierza, symboliczne przypomnienie faktu opuszczenia arki Noego i zejścia na ląd. Tomik *Oprawa światła* powstał w latach 1982-1987 i dedykowany jest synowi poety. Daty powstania przypominają o umiejscowieniu zbioru w trudnej chronologii przestrzennej lat 80. Utworom towarzyszą dwie sentencje: św. Pawła „Wszystko, co jest wyjawione, staje się światłem” i Simone Weil „Kto spożywa światło, żyć będzie”.

Twórczość Andrzeja Saja przemawiając językiem poezji uduchowionej, uświadamia odwieczną spójność świata i wzniosłych strof z egzystencją człowieczą. Wyrastając z podglebia autorskiego, jest poezją podlegającą ciągłej indywidualnej ocenie. Poeta mówi: „Jesteśmy w drodze – wprost z młodości / w przyszłość, która dojrzewa w czasie, łącząc / stacje mijane pełne obcych podróżnych / czekających na swoje pociągi” (utwór *W drodze*, z tomiku *Stare zwyczaje Młode nawyki*, s. 74). Andrzej Saj nie boi się mówić o emocjach w sposób potoczysty i szczery. Widzimy to na przykładzie obu omawianych tomików, ale zwłaszcza w zbiorze *Oprawa światła*. Emocje twórcy nabierają czynnej ekspresji i są jak górski strumień, płynący na przełaj przez kamieniste brzegi życia.

Wrzesień, 2021

(Cytowane utwory pochodzą z <https://pisarze.pl/2021/07/27/wiersze-tygodnia-andrzej-saj/>: 2021. 09. 13)

Andrzej Saj, *Oprawa światła*, Oficyna Wydawnicza „Akwedukt”, Wrocław 2020, s.124. Posłowie Urszula M. Benka

Andrzej Saj, *Stare zwyczaje Młode nawyki*, Biblioteka Pisma Artystycznego Format, Wrocław 2021, s.152.

Posłowie Roger Piaskowski, grafiki Eugeniusz Get-Stankiewicz

Pisarze.pl, Nr 19/21 (491), 21 września 2021



Andrzej Paluchiewicz, *Dyptyk* (Z. Molik), 1973 (czyt. s. 198)

Księżyc się pokłócił z jajkiem

Poezja Benki to seks księżyc z jajkiem w opiece Świętej Trójcy, szalejącej razem z nimi pod jednym prześcieradłem. Nie jest to popisowy numer poetki, gdyż jej poezja cała jest przesiąknięta erotyką. A ponieważ Benka jest mistrzynią w operowaniu mitem, wszędzie znajdziesz w tej książce rozwalone łóżko, godne swoich czasów. Niesamowite piękno miłości Eurydyki i Orfeusza może się jedynie uwidocznić i zredukować do pisanki, do malowanego jajka niczym apokryfu. A we wzorach tych zdaniem malarza, czyli mnie, ukryta jest tragedia Orfeusza, jego ciało rozerwane na strzępy przez dzikie bestie, jego odgryziona głowa, spływająca do morza i nadal tęsknie wyśpiewująca imię Eurydyki. Któż po takiej scenie może tę książkę odłożyć na bok? Ja nie. Straszność tej sceny może jedynie wyciszyć zbieranie liści w ogródku Urszuli, gdzie lubi to robić z wnukiem, o którym mi nieraz opowiada. Tragedia ta w tajemniczy sposób przenika cały tom wierszy pod „wesołym” tytułem „Księżyc się pokłócił z jajkiem”. Ale miłość Benki do życia chichocze co rusz ukrytym w niej wielkim formatem pięknych kobiet, takich jak Eurydyka i Beatrycze, czyli „przynosząca szczęście”. Poetka spotyka się z tymi paniami prawie codziennie we wrocławskich kawiarniach, gdzie próbuje nasiąknąć ich pięknnością i mądrością jak żyć. Rozprawiają o nieskończoności, o plusach i minusach życia na naszej planecie, a szczególnie w Polsce. Koktajl z mitów i kultury chrześcijańskiej jest dla poetki czymś normalnym, jest jej ulubionym daniem, jest idiomem jej języka. Kto płaci rachunek? Nie wiem. Myślę, że po przeczytaniu takiego wierszyka nad każdą bramą katolicyzm w Polsce od razu by rozkwitł:

Oj księżycu, krążysz tam i nazad i łypiesz

Okiem ciekawskim przez palce

Chichocesz a kosmos obrażony

Dziurą ci się wypina czarną dziurą

A w dziurze jajko

Malowane jak pisaneczka

Łatwiutka jak piekielna kochaneczka

Wiesz co szepce?

Duszę ci moją dam jak wianek
Będiesz w wianku
Niebieski kochanku
Niech Trójca się z nas śmieje
Niech pod jednym prześcieradłem z nami zaszałeje

A potem co? Potem to wspomnę o tym wierszyku mojemu szwagrowi, który codziennie rozwozi po całej Polsce jajka. Nie wiem, czy mu coś odbije, jak ten wierszyk przeczyta. Ale gdy pewnego dnia po powrocie z podróży będzie pachniał za mocno księżycem i jajkiem, to już nie wiem, co się będzie działo w jego chałupie, kto mu głowę odgryzie, spadającą z balkonu w morze osiedla i wyśpiewującą życia smak. Strażniczka miłości, Urszula Małgorzata Benka na pewno się nad nim troskliwie pochyli. Tego jestem pewien.

9.10.2022

Urszula Małgorzata Benka, *Księżyc się pokłócił z jajkiem*, Oficyna Wydawnicza AKWEDUKT, Wrocław 2020.



Andrzej Paluchiewicz, *Jerzy Grotowski*, Brzezinka, 1973 (czyt. s. 198)

Nagroda Literacka GNOMA im. Marianny Bocian

Nagroda Literacka GNOMA została ustanowiona po śmierci poetki przez Fundację Pomocy Twórcom i Artystom Polskim – ERANOS, w której, aż do śmierci w roku 2003, Marianna Bocian pełniła funkcję przewodniczącej Rady Fundacji.

W roku 2022 nagrodę otrzymuje poetka, pisarka i dziennikarka Krystyna Konecka.

Marianna Bocian, zaliczana do Nowej Fali poetyckiej lat 60. i 70. XX wieku, przywiązywała wielką wagę do kwestii etycznych, a sama jawnie się sprzeciwiała ówczesnej władzy komunistycznej, za co spotykały ją liczne represje. Uprawiała poezję afirmacji życia, często „społecznie zaangażowaną”, sprzeciwiającą się „spotwarzaczom publicznym” hańbiącym „świętości Ducha” i wartości humanistyczne.

Nagroda GNOMA im. Marianny Bocian, w formie bryły szlifowanego i grawerowanego kryształu, przyznawana jest cyklicznie artystom krzewiącym wartości patriotyczne i ekologiczne, a jej wręczenie odbywa się podczas festiwalu „Noc poetów” w Łądku-Zdroju.

Dotychczasowymi laureatami nagrody byli:

- **Alicja Tanew** – artystka poetka i pieśniarka z Krakowa,
- **Edmund Borzemski** – poeta, historyk, pisarz, animator kultury,
- **Tadeusz Karabowicz** – poeta, tłumacz, profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie,
- **Janusz Wójcik** – poeta, animator Najazdów Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu.

Kronika

Nie żyje Jerzy Urban. Z punktu widzenia psychologii kultury był jednym z najważniejszych dziennikarzy powojennych, zarówno wtedy, kiedy skutecznie przekonywał, jak kiedy rozdrażniał, oburzał, a nawet zrażał środowiska względnie neutralne. W piśmie „Nie”, jakie założył niemal natychmiast po zmianie geopolitycznej, czyniąc zeń gazetę raczej osobistą niż prywatną, połączył wysokie standardy dziennikarskie (wygrywał jeden za drugim wszystkie procesy wytaczane mu za zniesławienie) z polszczyzną faktycznie używaną, która przeszkadzała wielkopańsko ignorować dramaty grup i regionów skazanych na zbędność (jednym ze zjawisk skazanych na zbędność w III RP stała się książka i czytanie ze zrozumieniem), konstruować potiomkinowskie fasady dla wartości deklarowanych.

Molestuje jednak nie tylko Urban, a obecnie raczej już tylko jego cień. W dniu 11 listopada na kopcu Kraka w Krakowie odbyła się manifestacja Rodaków Kamratów, organizacji patriotów polskich jawnie popierającej Władimira Putina i Aleksandra Łukaszenkę, co wobec powszechnie znanych już wydarzeń nie da się dłużej zbywać czyjąś dezorientacją, pasuje natomiast do poglądu Moskwy, że mentalnie *kurica nie ptica, Polska nie zagranica*.

Z głośników organizatorów grzmiały skandowane okrzyki: „Tu jest Polska, a nie Polin” lub że Unia Europejska to „pasożydowanie”, a także zapytania retoryczne (wobec obaw o niedogrzone domy): „Czy będziemy tej zimy palić w piecu Żydami?”. Tłumek fanów w odpowiedzi skandował m.in. hasło: „Precz z żydowską okupacją”. Równie dobrze byliśmy pod nią w czasach II wojny światowej: dr Goebbels na zarzut, że zatrudnia Żyda w swoim biurze, odpowiedział: „O tym, kto jest Żydem, decyduję ja”.

Członkowie europejskiej filii American Jewish Committee czekają na potępienie skandalicznych słów przez polityków, zwłaszcza Prezydenta i Premiera RP oraz szefów ugrupowań w Sejmie. Tym bardziej że, jak odnotowaliśmy tu w *Kronice*, jeszcze wiosną dochodziło do podobnych ekscesów z udziałem tych samych osób. Na razie nie ma do końca pewności, czy przedstawiciele urzędu w Krakowie dopełnili obowiązku obecności na Kraku, w związku z programem „Bezpieczny Kraków”. Kraków nie trzeba się bać. „Znamy już dobre praktyki z działalności miasta Wrocław, jeśli chodzi o silną reakcję na mowę nienawiści i przestępstwa z nienawiści. Będziemy

proponować, by Kraków również je wdrożył i szybko reagował na przestępstwa popełniane w czasie wieców” – zakończył przedstawiciel strony żydowskiej.

Jednak, co się tyczy skrajnych narodowców, tradycję mitów narodowych oni kochają po ciemku: kochają, a nie wiedzą kogo ani co, jak we śnie nocy letniej, gdzie nawet dziura w murze była ukochaną: *O dziuro, dziuro, rozkoszna dziuro!*. Narodowiec na Kraku tupnie, że Szekspir to papier, ale nasz bez wątpienia Słowacki w niedokończonym dramacie o Jeremim Wiśniowieckim podczas oblężenia Zbaraża włożył kniaziowi w usta rozkaz, aby spalić żydowskie chałupy – będzie cieplej.

Szczęсна epoka pre-totalitarna! Jarema zastąpił jako wielki Żydów obrońca: wprowadził ich przez czerwone morze krwi i wojny z Zadnieprza, okrężnie, przez bagna Prypeci. To Żydzi sprawili, że po kraju rozeszła się fama o jego wojennym i wszelakim geniuszu, a syna, Michała Korybuta, unisono okrzyknięto królem. Korybut znał 12 obcych języków i w żadnym nie miał nic do powiedzenia. Po koronacji czym prędzej podpisał umowę przewidującą, że Rzeczpospolita będzie płacić Turcji haracz; o skrócenie tego królowania podejrzewany był Jan III Sobieski.

Kochający w ciemnościach czciciele narodu zachowują się jak osiołek, co to mu w dwa żłoby dano, w jednym owies, w drugim siano.

Monumentalna wiosenna *Polityka w sztuce* w Muzeum Sztuki Współczesnej to dziesiąta wystawa z flagowej serii krakowskiego MOCAK-u, który stara się przedstawiać wybrane tematy poprzez wiele interpretacji i aspektów; połączy sztukę z najważniejszymi terminami cywilizacyjnymi. Katalog *Polityki w sztuce* zawiera reprodukcje prac blisko 70 artystów oraz teksty autorstwa namiętnie zaangażowanych dzisiaj w dyskurs filozofów, prawników i historyków, Janusza Palikota i Marcina Matczaka, Pawła Kowala, Marii Anny Potockiej, Alaksieja Talstou, Jana Woleńskiego związanego z czasopismem „Theoria”. Wystawa została podzielona na sześć działów: *Opór i protest, Podważanie systemów i granic, Demokracja i jej deprawowanie, Nacjonalizm, Unia Europejska, Medialność polityki*.

Pojęcie polityki jest tu dalekie od potocznego sprowadzania jej do samych gier o władzę: chodzi raczej o kulturę zbiorowych sporów, o klarowne definicje zjawisk, nie tyle pozbawione emocji, co czerpiące z głębokiej empatii – właśnie sztuka okazuje się tą wyczuwalną emocjonalnością. Sednem jest tu wciąż „podejrzliwe oraz krytyczne spojrzenie na działania władzy, ujawniające i piętnujące sztuczność oraz zakłamanie strategii politycznych. Pokazuje, że polityka w imię ambicji, zachowania władzy i dyktatorskiego ego potrafi kłamać, manipulować, a nawet zabijać”.

Osobną interesującą pozycją MOCAK-u jest *Filozofia a Zagłada*. To antologia 14 klasycznych esejów filozoficznych, w większości niepublikowanych wcześniej po polsku. Wśród autorów znajdują się między innymi Theodor W. Adorno, Jacques

Derrida i Leszek Kołakowski. Publikacja poświęcona została aspektom ontologicznym, poznawczym i etycznym Zagłady. Porusza zagadnienia sposobów rozumienia i przedstawienia tego ludobójstwa oraz jego wyjątkowości, a także winy i odpowiedzialności sprawców, a w tej materii od siebie gorąco polecamy Zygmunta Baumana, który w *Nowoczesności i Zagładzie* analizuje tragiczne w istocie założenia wbudowane w nauki społeczne, jakie czynią systemowo niemożliwym zrozumienie tego, co się stało z naszą cywilizacją i co się dzieje nadal.

W dniach 8 lipca – 9 października 2022 Muzeum Narodowe w Warszawie we współpracy z Instytutem Witkacego pokazało *Witkacy. Sejsmograf epoki przyspieszenia*, wystawę poświęconą zjawisku Witkacego, jednego z najprzenikliwszych krytyków cywilizacji. Był świadkiem pierwszej z wojen światowych oraz, na zgłiszczach Rewolucji, konstruowania totalitarnego molocha zarządzanego nie tyle przez jednostki potrafiące ze sobą współpracować, a zdolne do rewolucyjnego buntu, co przez bezosobowy aparat, a jednak odbieranego szeroko w świecie jako fascynujący eksperyment intelektualny i społeczny, przy jednocześnie publicznym gnuśnym politowaniu i obojętności „przeciwników”. *Sejsmograf...* pokazał w Witkacym „rejestratora przejawów przyspieszenia cywilizacyjnego, przyczyniającego się do mechanizacji życia jednostki”, a także – to nieunikniona zbieżność faktów – „kulturalizmu” w powstającej na jego oczach Polsce. „Kulturalizm” to umiejętność duchowego dostosowywania się.

Wystawa przygotowana przez Zofię Machnicką i Pawła Polita skupiła się na postawie twórczej, prowadzącej Witkacego do rozbijania powszechnych przesłanek myślenia o sztuce. Dała zarazem przegląd tematów takich jak kosmos, ciało, historia, ruch, pierwotna wizja artystyczna, psychologiczna intensywność przeżycia metafizycznego, refleksja socjologiczna. Ważnym aspektem proponowanej interpretacji twórczości Witkacego było tu również pokazanie jego działań performatywnych i paraartystycznych jako dzieł integralnych z pozostałymi, nie pomijając również tworzonej przez niego literatury.

Sejsmograf... dał nam sposobność obejrzenia prac Witkacego z różnych okresów jego twórczości, w zderzeniu z wizjami awangardy o kluczowym znaczeniu dla kultury europejskiej dwudziestolecia międzywojennego – Wassilego Kandinskiego, Maxa Ernsta, Rudolfa Schlichtera, Umberta Boccioniego i Marcela Duchampa. To ponad 500 obrazów, rysunków, pastel i fotografii. Ekspozycję uzupełniały materiały wideo i archiwalia oraz ikoniczne dzieła twórców międzynarodowej awangardy.

Do końca bieżącego roku powinien się ukazać debiut poetycki, dotąd prozaika, Krzysztofa Rudowskiego – mianowicie *Apokryfy*. To kolejny we Wrocławiu po Andrzeju Saju późny, acz nie spóźniony debiut. Wiersze są wysmakowaną stylizacją wersetów Pisma Świętego w nieprześcignionym tłumaczeniu księdza Jakuba

Wujka, jakie wchłonęło całe chmury gniewu kontrreformatorów, z sadzą stosów – gasły one stopniowo na zachodzie Europy, by zatlić się na torfowym gruncie polskiej tolerancji i wyiskrzyć w obserwowanych dzisiaj przejawach ustrojowo-narodowego gniewu. Na polskich ziemiach wszak spalono ostatnią w Europie czarownicę. Romantyzm jeszcze tylko szeptał, cenzurą tłumiony: *Kiedyś Ty, Boże, był Polaków Bogiem*. To hymn na cześć cara, napisany przez Ujejskiego, który przerobiliśmy w *Boże, coś Polskę*. Ile jest w *Apokryfach* nowej sakralności, a ile politycznej cielesności odkrywanej przez nieortodoksyjny feminizm, jaki wymknął się seksistowskim narracjom jeszcze z końcem XX wieku? Rudowski pokazuje coś uniwersalnego, coś, co tli się pod ziemią w każdym z nas.

Ukazał się również tomik Roberta Gawłowskiego *Życie wieczne*. Tu mniej gniewu i złości, więcej grawitacji ku mistyce. O tym, czy jest to mistyka przeżywana, czy też „istniejąca obiektywnie”, poeci dzisiejszego Śląska debatują już od lat. Od *Dmuchawca* Renaty Marii Niemierowskiej, poprzez wiersze Michała Fostowicza, a nawet *Szamankę* Justyny Koronkiewicz wywiedzioną z pustkowiec pod Górami Stołowymi, chcą się o tym przekonać, choćby za cenę kwadratury koła.

Może nie ma innej drogi niż koliste kwadraty?

Ta właśnie zagadkowa figura frapująca matematyków od zarania dziejów jest tematem ostatnich prac malarskich Henryka Wańka, wędrowca i filozofa kultury. Po długiej przerwie, kiedy nie mógł malować, Waniek stworzył przejmujący cykl – wizje idei oraz wizje szaleństwa, jakie zawsze drzemie na dnie idei, zresztą także na dnie gór, szczególnie Sudetów.

Pokaże te obrazy już wkrótce Galeria Miejska we Wrocławiu, kierowana przez Mirosława Jasińskiego, otwartego na wszelkie nowe powiewy sztuki, a twardo broniącego tradycji. Obrońcy tradycji z doświadczenia wiedzą, że tradycja parzy ręce jak węgiel prosto z pieca. Im bowiem głębiej się w nią wnika, tym gwałtowniejsze następują rewolucje. Rewolucje nie są dziełem nowinkarstwa. Są eksplozjami min bardzo dawno temu osadzonych w kulturowym podglebiu; kultura to tylko uprawa, w brudzie, w gnojowicy, którą Waniek ukazuje w mgle przezczystych kryształów, w podniebnej konturowości, która jak wąż potrafi separować symbole jeden od drugiego, co daje efekt odrobinę diaboliczny: „rozdzielać” to w niedouczonej grece brzmiałoby *diabolejn*.

Rok zamykamy z uśmiechem. Miłosz zauważył, że koniec świata już był, tak więc nad jego zwłokami dr Tulp oddaje się już tylko wyważonym wykładom anatomii. Zgodnie ze sztuką medyczną: z pełnym szacunkiem, ufnie. Tomasz Stawiszyński, filozof i autor tomu wierszy *Rzecz ciemna*, w książce *Reguły na czas chaosu* proponuje 11 zasad, aby przetrwać współczesność.

Dla porządku przypomnijmy: lepiej nie iść drogą zbyt szeroką, a ścieżką śliską i skalistą.

ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH
STUDENCKI KALAMBUR
TEATR
Z WROCŁAWIA
PRZEDSTAWIA WIDOWISKO
DO POEZJI
URSZULI KOZIOL

W RYTMIE SEONCA



J. SAWYKA 70

